



Format Literacki

ISSN 2720-0892

POEZJA – PROZA – ESEJE – SZTUKI WIZUALNE





Format Literacki

ISSN 2720-0892

POEZJA – PROZA – ESEJE – SZTUKI WIZUALNE

Temat numeru: KONSTELACJE DRUGIE

Format Literacki

Dolnośląskie pismo artystyczno-literackie
pod patronatem: Urzędu Miasta Wrocławia,
Akademii Sztuk Pięknych im. Eugeniusza Gepperta
we Wrocławiu, Instytutu Kulturoznawstwa
Uniwersytetu Wrocławskiego

Adres pocztowy:
Rynek-Ratusz 24, 50-101 Wrocław
Preferowany adres e-mail:
redakcja@formatliteracki.pl

Wydawcy:
Stowarzyszenie Pisarzy Polskich — Oddział
we Wrocławiu
Prezes: prof. Waldemar Okoń

Klub Muzyki i Literatury
Dyrektor: Ryszard Sławczyński | plac Kościuszki 10,
50-028 Wrocław
www.klubmil.pl | klubmil@wp.pl

Ośrodek Kultury i Sztuki we Wrocławiu |
Instytucja Kultury Samorządu Województwa
Dolnośląskiego
Dyrektor: Igor Wójcik | Rynek-Ratusz 24,
50-101 Wrocław
www.okis.pl | sekretariat@okis.pl

Redakcja:
Redaktor naczelny
Waldemar Okoń
e-mail: waldemar.okon@wp.pl

Z-ca red. Naczelnego
Andrzej Saj
e-mail: aasaj@interia.pl

Sekretarz redakcji
Robert Gawłowski
e-mail: adr@post.pl

Urszula M. Benka
e-mail: urszula.m.benka2@wp.pl

Krzysztof Rudowski
e-mail: krzysztofrudowski@op.pl



KLUB MUZYKI I LITERATURY
we WROCŁAWIU



AKWEDUKT

Wrocław miasto spotkań



OŚRODEK KULTURY I SZTUKI
WE WROCŁAWIU



INSTYTUCJA KULTURY SAMORZĄDU
WOJEWÓDZTWA DOLNOŚLĄSKIEGO

URZĄD MARSZAŁKOWSKI WOJEWÓDZTWA DOLNOŚLĄSKIEGO



**DOLNY
ŚLĄSK**
www.umwd.pl

Stali współpracownicy:
Monika Braun, Bogusław Jasiński, Janusz Jaroszewski,
Gabriel L. Kamiński, Stanisław Karolewski,
Bogusław Klimsa, Bogdan Koca, Leszek Koczanowicz,
Andrzej Kostołowski, Zbigniew Kresowaty,
Roger Piaskowski, Henryk Waniek, Igor Wójcik,
Tadeusz Złotorzycki

Opracowanie graficzne: Artpunkt-eu

Okładka (przód): Kazimierz Głaz, z serii *Kolumna*
z *Knossos*, 1977, grafika (czyt. s. 178)
Okładka (tył): Ewa Andrzejewska,
z cyklu *Tatry*, fragment (czyt. s. 192)

Korekta: Monika Wójtowicz

Druk i oprawa: PRINT GROUP Sp. z o. o.
ul. Cukrowa 22, 71-004 Szczecin

Nakład: 350 egz.

Za finansowe wsparcie dziękujemy Panu Prezydentowi
i Wydziałowi Kultury Urzędu Miejskiego Wrocławia

Projekt współfinansowany z Budżetu Województwa
Dolnośląskiego

Spis treści numeru 10

- Waldemar Okoń** Wstęp „Konstelacje drugie” — **4**
- Aleksander Jasiński** Nie Ariadny — **8**
- Robert Gawłowski** Wydarte. O debiucie poetyckim
Aleksandra Jasińskiego — **14**
- Monika Braun** O Włosach Bereniki, czyli przestrzeń niczyja — **22**
- Radosław Kłos** Vittorini – sycylijska podróż — **32**
- Urszula M. Benka** O ciemności — **44**
- Justyna Paluch** wiersze — **54**
- Gabriel Leonard Kamiński** Jolka albo Wrocławska Abrakadabra — **58**
- Roger Piaskowski** Noktowizor — **64**
- Lesław Wolak** Podszepty wiatru (fragmenty) — **72**
- Piotr Mras** Objawienie — **82**
- Bogdan Koca** Fragment powieści „ERATYK” — **90**
- Musa Çaxarxan Czachorowski** Fajne chłopaki — **106**
- Jarosław Petrowicz** Do cienia — **112**
- Zdzisław Lipiński** wiersze — **118**
- Waldemar Okoń** „Dniewnik”, czyli kronika niezapowiedzianych
śmierci – część III (fragmenty) — **120**
- Krzysztof Rudowski** Brudnopis 2006 – 2014 — **140**
- Bartłomiej Siwiec** wiersze — **164**
- Tadeusz Borys** Fenomen Aliny Obidniak. Synergia teatru, edukacji,
ekologii i... duchowości — **168**
- Michał Jędrzejewski** Kilka słów o sensibilizmie — **178**
- Andrzej Saj** Życie pofotograficzne (w twórczości E. Andrzejewskiej
i W. Zawadzkiego) — **192**
- Joanna Lustyk** Antybajki dla dorosłych... — **204**
- Janusz Krupiński** Autor a dzieło i zagubiony Bóg.
Czytając „Egotyzm pracy filozoficznej” Cezarego Wąsa — **212**
- Kamila Bryka** Góry literatury — **236**
- Gabriel Leonard Kamiński** „Zapatrzeni” Andrzeja Saja — **240**
- Urszula M. Benka** Kronika — **242**

Wstęp „Konstelacje drugie”

Wopublikowanym w 2022 roku szóstym numerze naszego kwartalnika pisałem już o konstelacjach ujawniających się w sztuce współczesnej jako o nowym pojęciu, w którym zawarta jest jednocześnie wręcz kosmologiczno-mityczna tradycja rozpoznawania świata oraz możliwość docierania do coraz to nowych obszarów już nie w Kosmosie, lecz na bardziej ograniczonym obszarze dostępnym nam tu i teraz. Dolnośląskie, strywalizowane i podniszczone przez czas i ludzi konstelacje – tak interesująco pisze o nich Monika Braun – to z jednej strony synonim tęsknoty za ładem i porządkiem, a z drugiej refleksja nad nieuchronnością przemiany, której efektem jest chaos atakujący i otaczający nas zewsząd, tak jakby nowa, powstająca na nasz codzienny użytek kosmogonia była efektem jedynie zaniedbania i niedostosowania, a nie wywiedzionych z Praw Stworzenia mechanizmów i ponadnaturalnych, niedostępnych człowiekowi procesów. Śmierć Boga prowadzi do rozbicia jego postaci na szereg bóstw, z którymi łatwiej jest nawiązać kontakt, ale też łatwiej jest wobec nich dokonać apostazji. Przecucia tego stanu bliskie są poetom i magom słowa próbującym zatrzymać to, co nie podlega zatrzymaniu, i utrwalić ślady zasypywane przez kolejne fale literackiego i historycznego przypływu. Jak pisał o tym Aleksander Jasiński w jednym z wierszy: „Gdy czuję się pusty / to pragnę / pragnę jak nikt inny / ale światło przecieka między palcami”. W „Formacie” staramy się od dawna być blisko tych metafizycznych przeczuć, o czym świadczą kolejne zamieszczane w nim teksty, do których dołącza teraz „Objawienie” Piotra Mrasa będące egzemplifikacją stwierdzenia Edgara Allana Poe, że „Wszystko, co widzimy lub co nam się wydaje, jest tylko snem we śnie”. Wydaje się jednak, że większość z nich podskórnie dąży do osiągnięcia tak pożądanego przez mistyków i artystów stanu wtajemniczenia w coś, co możemy określić esencją życia, jego niezgłębioną i ostatecznie niemożliwą do ujawnienia prawdą. Prawda ta ujawnia się w rozlicznych kostiumach i pod różnymi postaciami w kolejnych opowiadaniach, esejach, recenzjach, tak jakby sama chciała się nam ukazać w tym trudnym politycznie czasie, naga i dążąca do utrwalenia nie tylko w poetyckim, ale i recenzyjnym oraz kronikarskim słowie. Jak o tym pięknie pisał Tadeusz

Kantor w odczycie „O poezji”: „Nie uprawiam poezji. / Czuję tylko jej zbliżanie się. / Nagle / Nie wiadomo skąd / Czas i miejsce przestaje istnieć. / Osamotniony, / bezbronny, / w ostatniej rozpaczy, w cierpieniu / w bólu – / wpadam w zachwyt / nad tą moją rozpaczą, / nad moim cierpieniem / i moim bólem”.

Czytając kolejne fragmenty nowego „Formatu”, dostrzegamy ów eks-tatyczny balans pomiędzy cierpieniem i próbą powstrzymania go, pomiędzy serio i żartem – tutaj chcę zwrócić uwagę na „Antybajki dla dorosłych” Joanny Lustyk i na „Kilka słów o sensybilizmie” pióra Michała Jędrzejewskiego oraz na utrwalony w formie prozatorskich miniatur pozornie realistyczny zapis zdarzeń i ludzi przekształcany (przekształcający się) w opowieści z tak zwanym drugim dnem, gdzie namysł nad mechanizmami rządzącymi religią i polityką w pewnym momencie zaczyna przesłaniać opowiadane, pozornie proste historie. Nawet odpowiedzi na cokolwiek prowokacyjne w swym zamierzeniu artykuły zamieszczone w poprzednich numerach naszego pisma zyskują rangę filozoficznej refleksji na temat Autora, dzieła i „zagubionego Boga” (Janusz Krupiński). Wielokrotnie zaznaczaliśmy, że nasz kwartalnik nie jest w ścisłym tego słowa znaczeniu pismem regionalistycznym, jednak łatwo zauważyć, że coś, co określamy mianem *genius loci*, często się w nim pojawia bądź pod postacią związanych z tym regionem tekstów literackich oraz poprzez inne działania artystyczne (teatr, sztuki plastyczne ze szczególnym uwzględnieniem fotografii), bądź też jako konkretne miejsce, w którym dzieją się literackie „dniewniki” i poetyckie „podszepty wiatru” lub ujawnia „Wrocławską Abrakadabra”, pozornie konkretna, lecz jednak przesycona zachowanym w pamięci, podskórnym erotyzmem. Wprawdzie część naszych autorów, jak Krzysztof Rudowski w „Brudnopisie”, chciałaby „odlecieć do szczęśliwych krajów, gdzie jabłka z parnasu gniją pod drzewami, gdzie hasają tabuny pegazów, płyną rzeki atramentu, a fabryki papieru są ogromne i pracują na trzy zmiany”, jednak po Apokalipsie, Orfeuszu, Narcyzie, pierwszych Konstelacjach, Pamięci i Milczeniu nie zawsze jest to niestety możliwe. Elizjum bywa zwodnicze, bowiem, jak twierdzi w swoim wierszu Bartłomiej Siwiec: „Elizjum jest dla wybranych”. Uparcie powracamy jednak do krainy boskiego parnasizmu, nieustannie pamiętając, że tuż za jej granicami czają się wojna (jak w „Noktowizorze” Rogera Piaskowskiego) i związana z nią śmierć lub często obecne w życiu dojmujące ludzkie upokorzenie. Odbywana przez naszych Autorów podróż w głąb samego siebie trwa jednak nadal, bez względu na to, że – jak pisze Urszula Benka w swojej znakomitej analizie powieści Stanisława Karolewskiego „Ciemność” – „kultura jest ciemnością, wielką ciemnością”. Z owej ciemności staramy się poprzez sztukę wydobyć, czego dowodem są nie tylko zamieszczone w „Formacie” utwory literackie, ale też liczne dzieła wizualne

autorstwa Anny Andrzejewskiej, Wojciecha Zawadzkiego, Kazimierza Głaza i wielu innych sprawiające, że odwieczna idea korespondencji sztuk nabiera tutaj ponownie istotnego znaczenia.

I na koniec jeszcze jeden tekst Tadeusza Kantora z jego „Lekcji mediolańskich”: „W tych czasach jakiejś nowoczesnej Apokalipsy / gdy potężne bóstwa naszej epoki wciągają sztukę / w obszary swego panowania, rządzone brutalnymi prawami, / obojętnie na wschodzie czy zachodzie, / gdy wydaje się, że sztuka umiera – pojawiają się – / jestem pewny – jak to było zawsze / nagle / i nie wiadomo skąd / ludzie podobni do dawnych świętych pustelników, / ascetów / artyści, których udziałem i bronią będzie / BIEDA / i ŚMIESZNOŚĆ”.

„Lekcje mediolańskie” to pierwsza napisana przez Kantora książka opublikowana po włosku, w Mediolanie w roku 1988. Po czterdziestu pięciu latach słowa Wielkiego Herezjarchy brzmią nadal aktualnie. Wciąż walczymy z traktowaniem artystów w Polsce jak pariasów i wciąż uprawiając sztukę wysoką, narażamy się na zarzut nienadążania za mainstreamem i niezrozumienia medialnego rytmu czasów, w których żyjemy, i związanej z tym pozornie „oldskulowej” śmieszności. Wierzimy jednak, że ta postawa ma sens, o czym świadczy wprawdzie sylwiczny i pozornie chaotyczny, lecz wydobyty z poetyckiej jaźni jego Autorów dziesiąty już numer naszego literacko-artystycznego kwartalnika.



Ewa Andrzejewska, z cyklu *Karkonosze* (czyt. s. 192)

ALEKSANDER JASIŃSKI

Nić Ariadny

Wariant 1

Miała go tylko wyprowadzić z labiryntu,
a wywiodła za miasto, na skraju mitu,
gdzie osiadł na pół wieku i całkiem stetryczał.

Dalej żywił nadzieję i mknące rybiki,
marząc o pegazach i innych
niestworzonych przypadłościach.
Zagajony przez młodych, twierdził,
że dalej żył zagubiony,
że nigdy nie odnalazł
swojego Minotaura,
a jego mordercza sława
to spisek mitomanów.

Mocno trapiły go inflacja i zabobony.
I drżały mu dłonie,
gdy rwał kromki chleba,
dokarmiając wróble,
wznosił ręce, gdy podrywały się do lotu,
bacznie oglądając
rwane kłębki nerwów.

Wariant 2

Miała go tylko wyprowadzić z labiryntu,
a doprowadziła do najlepszego przyjaciela.

Gdy już wyjaśnili sobie wszelkie nieporozumienia

i przeszli wreszcie na ty, to wyszło,
że mają mnóstwo wspólnego.

Tezeusz w mig docenił designerski dryg Minotaura,
ten zaś był pod wrażeniem bohaterskiej umiejętności
rozwiązywania zagadek wszechświata.

Wyprowadzili się na Cyklady. Tam znaleźli nadmorską chatę.
Tezeusz dostał pracę w handlu, Minotaur w rzeźni.
Chodzili razem na kręgle, a w deszczowe dni grywali na aulosach
i przekrzykiwali grzmoty Zeusa.

Nieliczni starzy znajomi powiadali, że strasznie się rozbestwił,
co akurat ubawiło bykogłowego.
Pewnego dnia o bestię upomniało się
greckie ministerstwo rolnictwa.
Mówiąc bestię, wcale nie mam na myśli Tezeusza,
mimo nagminnego wywracania przezeń stołów w tawernach.

Co z nimi dalej, nie wiadomo.
Jednego i drugiego spisaliśmy na straty.
Nie nadawali się na lekcję dla potomności.

Ktoś przebąkiwał, że to nie tak,
że tak nie wolno, że gdzie tu sens w tym wszystkim,
a Minotaur daleko gdzieś tylko zacierał ręce po kolejnym spalonym.

Wariant 3

Miała go tylko wyprowadzić z labiryntu,
a doprowadziła do szewskiej pasji.

Co to za sufłowanie losu,
prowadzenie topora za rękę, przecież,
wskazywanie ofiar palcem,
pisanie scenariusza pismem węzełkowym?

Tezeusz szybko przejrzał na oczy.
Dostrzegł prawdziwe siedlisko
bestii w pałacowych komnatach,
ale miał egzystencjonalnie wyjebane na antyk.

Śniły mu się krwawe rewolucje
i inne ewenementy nieznane stoikom.
Długo nie zagościł w Knossos.
Ariadnę porzucił z bachorem,
następnie udał się na północ, do Aten.
Tam pił i bił się, a potem bił i pił,
a wśród jego karczemnych teorii
ta z nagim dzikusiem o głowie byka
była chyba najmniej zaskakująca.

Wariant 4

Miała go tylko wyprowadzić z labiryntu,
a on nawet nie spojrzał pod nogi.

Teraz z wywieszonym jęzorem czeka,
aż głowy innych ugoszczą sąsiednie pale
niczym klejnoty koronne zdobiące
krwawe uczty w Knossos.

Minos już nawet się nie ceregieli;
zadbał o efektywny system i odpowiednią reklamę.
Jest duży przemiał, bukmacherzy mają utarg,
a w letnie popołudnia muchy pasą się na kuchennych ławach.

Nogi nowych śmiałków co raz płaczą się,
włokąc za sobą ciągnący się kłębek,
oddając krwawemu mrokowi jaźń, młodość i nadzieję.
W gruncie rzeczy to chłopcy,
więc wyborne z nich mięso.

Wariant 5

Miała go tylko wyprowadzić z labiryntu,
ale zmieniła zdanie. Wzięła szydełko
i niemityczną dawkę odwagi.
Pewna ręka, ordynarna nadzieja i błysk w oku
poprowadziły pierwszy cios. Za drugim
kryła się już pewność, za trzecim litość.

Wyszła lekko zakrwawiona, bez cienia smutku,
ale też bez satysfakcji. Wróciła
do prania, wieszania ubrań, szydełkowania
i kto wie czego jeszcze.
Nikt nie wiedział, jak się nazywała.
Wszyscy tylko podskórnie wiedzieli, co zrobiła.

Labirynt ciągnął się dalej, ale już nie gubiły się w nim dzieci.
Poeci przebąkaliwali o potworze, a matki wskazywały wtedy na grób
opuszczonego Minosa. W noc, gdy ryczała w niej bestia wątpliwości,
tłumaczyła sobie gwiazdziste niebo elementarzem dziecięcych oczu.

Wariant 6

Miała go tylko wyprowadzić z labiryntu.
Tak po prostu. Typowa usługa w dziejach mitu,
niczym przeprawa przez Styks czy podtrzymywanie nieba.

Wystawił jej negatywną opinię. Napisał: sympatyczna,
ale niekomunikatywna, preferuje język gestów
i mimikę przeznaczenia. Szczerze mówiąc, nie polecam.
Nie dała po sobie poznać, jak bardzo zaboląły ją te słowa.
Pełna wyrzutów wyjechała do Syrii uczyć się innych mitologii.

Pamiętam, było piękne kreteńskie lato.
Powietrze ocierało się o zwiewne suknie niczym kot,
winogrona pęczniały jak buzie niesfornych chłopców.

Od morza bił dziwny chłód – łajby wypełnione amforami
trzęsły się na bryzie, przywiązane do wybrzeża.
Nowa czternastka rozgaszcza się w swych gniazdkach.
Będzie dobrze, szepczą ci, co nie muszą schodzić do podziemi.

Wariant 7

Miała go tylko wyprowadzić z labiryntu.
Kwestie personalne odłóżmy na bok.
Kogo to tak naprawdę obchodzi,
czy wrócił Tezeusz, czy Minotaur?

Wzruszyła ramionami i zwinęła kłębek.
Czy opłakiwałaaby jednego czy drugiego?
Pewnie nie. Po łzie do oka jak po nitce
do kłębka. Może mrużyła oczy, gdy obok
przechodził młodzieniec do niego nieco podobny
lub ryki jakby brata przyrodniego dochodziły z pastwiska.

Z czasem zaczęła jednak wątpić. Co, jeśli jeden
przewodził się w drugiego? Jeśli heros dał upust
swojemu potworowi lub też potwór ukrył się w nas?
Nasłuchiwała nowin portowych, szemranych opowieści,
szukając ni to punktu zaczepienia, ni to ukojenia.
Włosy zaczęły wypadać jej ze zmartwienia, a dłonie
Przyzwyczajone do lnu znalazły nowy materiał do tkania.
Sznur ten rósł wraz z ubytkiem na głowie, chyba najdłuższy na Krecie,
ciągnący się od jednego sumienia
do ostatniego wytchnienia.



Ewa Andrzejewska, z cyklu *Karkonosze* (czyt. s. 192)

Wydarte. O debiucie poetyckim Aleksandra Jasińskiego

Z niektórych rzeczy trzeba wyrosnąć, inne trzeba z domu wynieść,
są wiersze, które trzeba wychodzić, i palące słowa do wypowiedzenia,
twarde granice do wydzielenia i godziny prób nie do wytrzymania,
wszystko niczym baton sztafetowy czasu wydarte.

Jest coś przejmującego i poruszającego w wierszach, które złożyły się na pierwszy i – mam nadzieję – nie ostatni tom poezji Aleksandra Jasińskiego. Już sam tytuł zbioru „Wszystko wylewa” sugeruje jakiś emocjonalny nadmiar, coś, czego nie sposób powstrzymać i nie sposób milczeć. Przeżycia, odczucia i przeczucia, refleksje, doświadczenia, diagnozy i autodiagnozy – oto materia tych utworów. I zrazu trzeba powiedzieć, że są to wiersze niezwykle dojrzałe. Autor jest świadom swojego miejsca w galaktykach i poetyckich konstelacjach. Stoi za nim niewątpliwie wysoka kultura literacka. Co ciekawe, choć urodził się w roku 1990 we Wrocławiu, to kształcił się i kształtował w czeskiej Pradze, angielskim Yorku i chińskim Nankinie. Ta różnorodność doświadczeń oraz perspektyw widzenia życia jest istotna, ale... Aleksander Jasiński nie proponuje nam jednak jakichś wierszowanych egotycznych selfie, nie epatuje atrakcyjnymi obrazkami ze świata, unika powierzchowności, nie szuka poklasku, a stara się wnikać w tkankę istnienia i w niej szukać swojej prawdy. Deklaruje to nawet wprost.

Gdy czuję się pusty
to pragnę
pragnę jak nikt inny

wyciągam wówczas ręce przed siebie
ale światło przecieka między palcami

niczym japoński turysta fotografuję oczyma
firanki i fundamenty
kawiarnie i latryny
waniliowe lody i ogień zapalniczki

Pragnę jak nigdy przedtem
aby wszystko było moje
potem zamknę oczy
na wieki...

Gdy czuję się pusty, s. 38

Liryczne „ja” tych wierszy świadome jest własnej kondycji, a zawłaszcza jej ograniczeń. Co więcej, wdzięczne jest za taką, a nie inną formę swojego bytowania, gdy powiada:

Dziękuję za brak idealnego ciała
Nie chciałbym być perfekcyjną amforą
wypełnioną nie winem a zastałą wodą

Lepsze to urwane ucho i pękaty kształt
przez który wyciekają krajobrazy Kampanii...

Wrocław – Pompeje, s. 36

Poeta jest, przede wszystkim, czujnym obserwatorem rzeczywistości. Ważniejsze są więc uniwersalia i rozterki wspólne, a dojrzałej pokorze istnienia towarzyszy imperatyw poszukiwania własnych odpowiedzi, bez względu na to, w jakim zakątku globu spotyka swoich bohaterów i w jakich zwierciadłach się przegląda.

Często język tych utworów bliski jest dykcji wczesnych tomów Barańczaka, Kornhausera, Zagajewskiego czy Krynickiego, ale też na przykład ironii Andrzeja Bursy.

Weź napraw Swoje dziecko
Dołoż rozumu dopasuj nóżkę rozprostuj ramionka
Weź zrób coś z tym tak nie można z czym do ludzi

manual, s. 65

Jasiński, mniej lub bardziej świadomie, waloryzuje też nowofalowy konstrukt „fasady i tyłów”. Z jednej strony mamy bowiem multimedialną ułudę Internetu, która dla tak wielu stała się, proszę wybaczyć tautologię, realną rzeczywistością, z drugiej zaś prawdy indywidualne oraz ograniczającą człowieka biologię. Wiodące to jest zwłaszcza w wierszach podejmujących wprost tematykę pandemii, ale i wielu innych utworach. Powstawały one bowiem w większości w czasie zarazy 2020 – 2021. Poeta zdaje się jednak też baczyć na pytanie Zbigniewa Herberta zapisane w wierszu „Do Ryszarda Krynickiego – list”, które autor „Pana Cogito” zadawał także i sobie: „czy warto zatem zniżyć świętą mowę / do bełkotu z trybuny do czarnej piany gazet”. Ale przecież ów „bełkot z trybun” i „czarna piana gazet”, a dziś, przede wszystkim, szara piana Internetu i współczesnych mediów, pojawiają się w tych wierszach nader często, bo najzwyczajniej przynależą do rzeczywistości naszego „tu i teraz”. Lecz Jasiński nie broni Okopów Świętej Trójcy języka poetyckiego, a przeciwnie, w sposób udany korzysta z prozodii multimedialnej nowomowy:

Wszyscy chcą być edgelordami i nawet mi się udziela.
To niczym kwintesencja młodości o smaku zleżałej yerby.
Ty mamrocześ jak to cierpisz i podbijasz stawkę.
Ja przebijam moimi dylematami, głównie zdrowotnymi,
a ty wtedy wyciągasz matkę po chemioterapii
i już ciężko coś dopowiedzieć między smutnymi dymkami.

(...)

„Takie życie w niebycie” – ktoś podsumuje,
a inny będzie chrumkać prześmiewczo, bo się przesłyszał.
Nie ma w tym puenty. Nic a nic. A tym, którzy nadal jej szukają
proponuję podręcznik *Schizophrenia for Dummies*, lekko używany.

Wszyscy chcą być edgelordami, s. 15

Kto zacz ów Edgelord? Już wyjaśniam, przepisując, a jakże (!) z Internetu. *Edgelord to ktoś, zazwyczaj w Internecie, który próbuje zaimponować lub zszokować, publikując przesadne opinie, takie jak nihilizm lub poglądy ekstremistyczne. Termin ten jest kontaminacją pochodzącą od słów „denerwowany” i „władca gówna” – osoba, która „pławi się w goryczy i nieszczęściu innych”.*

Ale tym, co najistotniejsze, jest nie tyle świadomość iluzoryczności świata i fikcyjności jego obrazów, co świadomość kruchości i czasowości życia. Nietrwałość, przemiana, dramaty istnienia, bunt, żal, pretensja – oto tematy i nastroje tych wierszy. „Ocalony” Jasińskiego, co oczywiste, staje wobec innej rzeczywistości niż bohater słynnego wiersza Tadeusza Różewicza. Ale czyż jego dylematy są aż tak odległe od dylematów poetyckiego pierwowzoru? Skoro wciąż żyjemy w epoce masowych rzezi, skoro nadal:

Pojęcia są tylko wyrazami:

Cnota i występpek

Prawda i kłamstwo

Piękno i brzydota

Męstwo i tchórzostwo.

Jednako waży cnota i występpek

To młody Różewicz. A to młody Jasiński:

Podobno dajesz świadectwo nosicielowi bólu
twarzą pooraną niczym czarnoziemy

przed nami szkielet świerkowego boru
za nami deweloperskie nekropolie

nie ma prawdy tylko pył i przypuszczenia
jedziesz autostopem przez sny aż do znużenia...

Ocalony, s. 52

Jest też i wiersz rozpoczynający się słowami:

Jezusowi El Greca nie straszna czasoprzestrzeń
rozciągnięty na granice horyzontu
stroszy swoją aureolę
a gapiom pod krzyżem
aż wydłużają się mordy
wszyscy jakby czekają
na krzyk lub pęknięcie...

El Greco, s. 37

Po tym opisie, który przywołuję jedynie fragmentarycznie, pojawia się niby przypis, oddzielona od opisowej części utworu apostrofa, będąca rozpaczliwym głosem z otchłani współczesności:

Nie potrafię na ciebie patrzeć. Przełykam ślinę, zakrywam twarz,
zarzekam się na kunszt artysty. Gdy już nic nie pomaga, milczę.
Wpatrzony w pytajnik jego bladego ciała, w myślach proszę:
Ty, który potrafisz przywracać życie zmarłym
naucz nas przywracać duszę żywym.

tamże, s. 31

Tym, na co – moim zdaniem – warto jeszcze zwrócić szczególną uwagę, jest obecność motywów antycznych, jak w przywołanym wierszu „Wrocław – Pompeje”, czy mitologicznych, jak w wierszu „Telemachus w gimnazjum” będącym, o czym jestem głęboko przekonany, bardzo osobistym nawiązaniem do losów Odyseusza syna:

Telemachus nie chce mówić o matce
o ojcu też rzadko wspomina
często dłubie w nosie i krzywi się niesamowicie
między lekcjami cyrklem ryje w ławce imiona
na przerwy obiadowe upodobał sobie stół z tyłu sali
a jego przeciętna średnia nie najlepiej wróży
Ciężko rozmawiać z nim ciężko mówić o nim
widać jak wraca do domu powłócząc nogami
nowym pedagogom serce się kraje na sam ten widok
Ale trzeba być wymagającym i zdyscyplinowanym
wykazać zrozumienie bez nadmiernej pobłażliwości
Chciał rozwieszać plakaty ale to nie miejsce na to
raz nawet dostał naganę za pobicie kolegi
Telemachus to ciężki przypadek
ciężki ale mimo wszystko
to wciąż dziecko

Telemachus w gimnazjum, s. 44



Ewa Andrzejewska, z cyklu *Tatry* (czyt. s. 192)

Aż chciałoby się zapytać słowami „Iliady” Homera spolszczonymi przez Lucjana Siemieńskiego:

Tyżeś-to w tej osobie własny syn Odysów?
Podobieństwa w nim wiele masz z oczu i rysów.
Widywałem go nie raz, nie dwa, jeszcze wprzód,
Nim pod Troję popłynął na boje i trudy...

To spoglądanie za siebie w stronę antyku, poszukiwanie ponadczasowych analogii i archetypów oraz waloryzowanie mitu w przypadku Aleksandra Jasińskiego wynika z głębokich egzystencjalnych i duchowych potrzeb. Poeta nazywa je wprost:

Tak, widzisz, wciąż przyswajam naszą mitologię. Bo jak zejść
pod ziemię nie wierząc w magię, w pojemny bursztyn słów?
Jak zapaść się pod astroturf, czekać, by oczy zalał asfalt znów?
Życie łaknie mitologii jak fortepian nut.

Historia nie może urwać się ot tak, niczym szkolna przyjaźń,
musi odebrać coś więcej niż nie ma takiego numeru,
coś więcej niż na wpół opróżnione butelki czy zakurzone strony,
coś ponad wpisy do ksiąg nie takich wieczystych i zmyślane anegdoty,
krążącego, wyglądającego, pamiętającego, przypominającego
tych niepokonanych i tych dawno już zapomnianych, prawda?

Geologia, s. 21

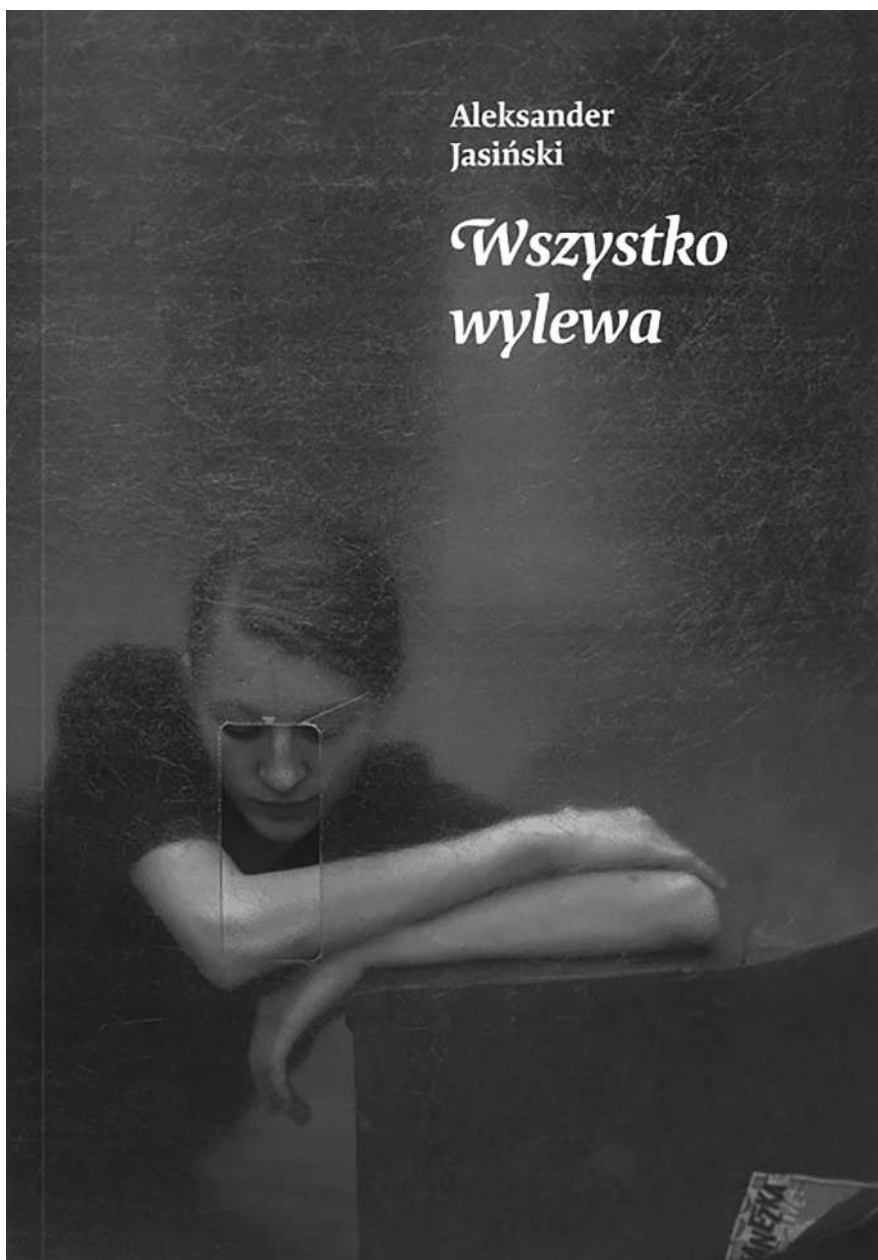
Jakby szukał oparcia i schronienia, ale czy je znajduje? Czy może je znaleźć na przykład w antyku i mitologii? To pytania otwarte. Pytania, na które być może Aleksander Jasiński i sobie, i czytelnikom odpowie kolejnymi tomami wierszy.

Lata temu pisał o tym Wystan Hugh Auden w wierszu „Jaskinia wytwórczości”, którego fragment, w przekładzie Dariusza Sośnickiego, przywołałam na koniec nie bez kozery, bo amerykański poeta wydaje się dyskretnie patronować temu tomowi.

...W końcu to raczej przywilej
pośród strumieni dóbr i pieniędzy
służyć tej niepopularnej sztuce, której się nie da sprowadzić

do lirycznej tapety umilającej naukę,
ani zawiesić na ścianie jako trofeum pnącego się członka zarządu,
której nie można „zaliczyć” jak Wenecję
ani streścić jak powieść Tołstoja, ale która uparcie nalega, by czytać ją
albo zostawić w spokoju...

Aleksander Jasiński, *Wszystko wylewa*, OKiS, Wrocław 2022.



O Włosach Bereniki, czyli przestrzeń niczyja

Ja ci pokażę grozę w garstce prochu¹.

Wynajęłam u nich ganek, przez który i tak nikt nie przechodził².

Lagodnie fioletowa macierzanka rozprzestrzenia tutaj swoje wędrujące nisko przy ziemi królestwo. Jej sztywne, silne łodyżki uparcie pokonują przestrzeń, susze i upały, wystarczają jej byle piaski, właściwie nie potrzebuje ziemi. Lekceważy troskę ogrodnika. Wciska, gdzie się da, płożące, wszędobylskie odnóża podobne owadzim i podnosi ku słońcu kędzierzawe łebki kwiatów. I są tu także wyższe i delikatniejsze od niej dzikie goździki o rozczapierzonych, karminowych płatkach karbowanych jak bibułka. Są i kieliszki biało-różowego powoju. I jeszcze trawy, żółknące w lipcowym słońcu, stroszą ku górze swe źdźbła jak sztylety, tylko pozornie wąziutkie i subtelne. Ale najwięcej tu żółtego rozchodnika, zgodnie z imieniem rozłazącego się na wszystkie strony. Jego mięsiste ciało, odporne nawet na mróz, panoszy się w każdym zagłębieniu i opanowuje wzniesienia. Gwieździste kwiatki dziarsko rozglądają się dookoła. Z odległości wygląda to trochę jak plamy barw w obrazie Helen Frankenthaler, nonszalancko nie-komponowane przez nią gąbką. Formatem także przypomina te przez nią lubiane. Chwilę nawet wyobrażam sobie, że stoi tu z papierosem i kieliszkiem koniaku, patrząc na swoje płótno.

Ale nie, to nie pracownia malarska, jestem sama wśród ruin pałacu. Nade mną powinien być dach, ale jest tylko niebo i leniwe na nim cumulusy. Dokoła mnie pozostałości murów, ale głównie te kolorowe zioła i wyższe od nich krzaki, gdzieniegdzie brzoźki, które lada moment całkowicie zastąpią ludzkie konstrukcje. Dalej, poza obrysem budowli, którego muszę się domyślać, tropić jego ślady, jest park czy raczej to, co po nim zostało. Wiem, bo szłam tutaj poprzez jego

1 T.S. Eliot, *Ziemia jałowa* [w:] idem, *Poezje wybrane*, przeł. Andrzej Piotrowski, Warszawa 1988, s. 77.

2 Nadieżda Mandelsztam, *Wspomnienia*, przeł. Jerzy Czech, Warszawa 2015, s. 429.

zarośnięte aleje i ścieżki, spotykając po drodze kupy gruzu, zapomniane maszyny rolnicze i jakieś inne, rdzewiejące relikwiry po przeszłości. Myślę więc chwilę łzawo o upływie czasu i okrucieństwie historii, ale daję sobie z tym spokój i wdycham zapach macierzanki, w naparze z której kąpano niemowlęta w czasie, gdy byłam małą. Jej właściwości antybakteryjne i rozluźniające widocznie miały na nie zbawienny wpływ.

A potem pochylam się niżej, plan robi się ciasniejszy. Widzę, że wśród roślinnej, miniaturowej dżungli jest coś więcej niż pył, resztki zeszłorocznych łodyg i mrówki. Botaniczna i zoologiczna bujność chce opanować pozostałości jasnokremowych, wzorzystych kafelków podłogi, może niegdyś będącej pałacowym holem. Resztki wyłaniającego się ornamentu, bardziej zresztą zapewne pochodzącego z mojej wyobraźni niż z tych rozłupanych, zarośniętych płytek, mogłyby być jesiennym, nagim drzewem z jego pozbawioną liści koronką gałęzi i gałązek. Beże i brązy na jasnym tle. Trochę może niegdyśszego złota. Ale to też moje życzenia bardziej niż *real*. Więc zaczynam jeszcze uważniej śledzić odłamki i fragmenty, usiłując odnaleźć sens tej ceramicznej opowieści. Podpatruję bieg meandrujących linii, przerywanych pęknięciami i brakami w kaflach oraz tymi zarastającymi malowidło ziołami. A może te długie smugi to czułka ukwiału albo kłosy zboża zbieranego przez żeńców na polu?

I wtedy przypomina mi się Warkocz Bereniki ze starych atlasów nieba. W *Uranometrii* Johanna Bayera z 1603 roku jest on częścią gwiazdozbioru Wolarza i przypomina snopek zboża, co stosownie uzupełnia wiejską scenografię konstelacji i rozwiązuje zagadkę wzoru, który odkrywam wśród chwastów. W *Uranographii* wydanej w 1690 roku, już po śmierci Jana Heweliusza, jest podobny do ukwiału, co także pasuje do poetyki morza niejasności, które penetruję. Włosy Bereniki na niebiańskiej kuli Mercatora z 1551 roku falują jak zanurzone w wodzie. Wyobrażam sobie ich właścicielkę płynącą w niebiańskich odmętach, unoszoną podobnie do Ofelii namalowanej przez Friedricha Heysera. Jeśli to rzeczywiście obraz konstelacji zwanej Warkoczem Bereniki leży roztraskany dziejowym kataklizmem pod moimi stopami, to włosy egipskiej księżniczki niewiele się tu różnią od płataniny łodyg porastających obecnie dawne wejście do pałacu. Wotum miłości złożone w świątyni Afrodyty po tym, jak mąż Bereniki, Ptolemeusz, wrócił z wojny cały i zdrowy, o co czekająca żona prosiła boginię. Obcięła więc włosy i zaniósła kapłanom. Następnego dnia jednak dar zniknął. Wściekłemu władcy wytłumaczył nadworny astronom, że to sama Afrodyta przeniosła pukle Bereniki na nieboskłon, na wieki zachowując pamięć jej ofiary w kształcie konstelacji widocznej na wiosennym, nocnym firmamencie. I są tam do dziś, notowane jeszcze przez starożytnych badaczy i rysowane na ich finezyjnych mapach.

Konstelacja – stały i od tysięcy lat nienaruszalny układ gwiazd. Owa nienaruszalność to wzajemne ich zależności, oczywiście z punktu widzenia ludzkiego oka. To ono nadaje sens ciałom niebieskim jako kompozycji. Bo rysunek wykonany ze skojarzenia odległych, iskrzących punktów jest ludzkim tworem. Z perspektywy kosmicznej wszystko wygląda inaczej. Ale z mojej jest tak: spoglądam i wiem, że one tam są i łączą się oraz że stanowią część jakiejś opowieści, a ta, jak wiadomo, ma bohaterów działających w czasie i przestrzeni, i to, co robią, podporządkowane jest zasadzie przyczyn i skutków, do czegoś prowadzi. Bo nienaruszalność konstelacji to także znaczenia przez nią ewokowane i z nią powiązane. Więc konstelacja, stabilna i odwieczna, symbolizująca jakiś fragment tego, jak cząstki kultury rozmawiają ze sobą, czyni mnie składnikiem przeszłości i przyszłości, systemu znaczeń i odniesień wspólnych mnie i innym. Mogę je sprawdzić – *const*, czyli kosztować – ale też upierać się, obstawać przy czymś, jak chcą słowniki. Obstawę więc przy tym, że nie można naruszyć bezkarnie konstelacji. Naruszenie wytrąca z orbity kultury, odbiera porządek świata. *Constans*, czyli stała. Coś, co się nie zmienia, czego istnienia można być pewnym. Naruszenie odbiera tę pewność. Nie można więcej liczyć na znane wzory, przestrzeń ulega dekompozycji, bo przecież gwiazdozbiór to odległości i proporcje niezmiennie, znika łączność z czasem minionym, a to, co będzie – traci pewną podstawę. A wtedy konstelacja nie odsyła już więcej do Mannowskiej koncepcji opowieści, która „musi być miniona i im bardziej jest miniona, tym lepiej, rzecz można, dla historii jako takiej i dla opowiadającego”³, ale staje się chaotyczna i zgrzytliwa, czerpie z ciasnych, bieżących zasobów, traci rytm i harmonię, jest czymś niejasnym, zepsutym, rozstrojonym. Próbuje podążać za nią, czujemy się jak na szmacianej kładce nad przepaścią w wysokich górach. Możemy, co najwyżej, z wysiłkiem próbować zacząć komponować nową opowieść.

Tak bardzo jednak pragniemy przynależeć do jakiegoś stabilnego, ugruntowanego systemu, od rodziny począwszy, poprzez szkołę, harcerstwo i ubezpieczenia, aż po podnoszące na duchu poczucie, że nasze dzieje i zamieszkiwany przez nas teren układają się w taki harmonijny wzór, że wolimy sobie wyobrazić niepewną kładkę jako most. Jesteśmy na przykład skłonni sądzić, iż tu, na zachodzie kraju, gdzie mieszkam – choć stale pamiętam, że „wielki pajak rozsnuł na nim swoją sieć i lepką śliną zamknął roгатki marzenia”⁴ – też żyjemy w jakiejś konstelacji, że tak zwane „ziemie odzyskane” coś nam przywróciły albo my przywróciliśmy im coś utraconego i że ta odzyskana czy przywrócona substancja wykazuje jakąś spójność czy stałość oraz że wytwarza związki z szerszym światem. Gotowi

3 Tomasz Mann, *Czarodziejska góra*, przeł. Józef Kramsztyk, Warszawa 1982, s. 5.

4 Zbigniew Herbert, *Kraj* [w:] idem, *Bajki*, Kraków 2009, s. 51.

jesteśmy uwierzyć, że nawet jeśli konstelacji rozumianej jako koherencja, stałość, opowieść i szeroka sieć połączeń z kulturą wcześniej tu nie było, bo eksplodowała w dziejowej katastrofie, a jeśli wcześniej jakaś nawet była, to nie nasza, my jednak przez dekady sami ją na nowo wytworzyliśmy. A wystarczy przecież prze-wędrować dolnośląskie pałace i dwory, uważnie przyjrzeć się wsioom, przejść się ulicami Wrocławia czy Świdnicy, żeby znaleźć nie tylko potraskane kafle, takie jakie sama spotkałam, ulegające przemożnej sile niziutkich roślinek, i rozwalone ściany nieodporne na deszcz i mróz – zwykle niszczenie opuszczonych ludzkich siedzib jest w końcu dość powszechnym zjawiskiem w naszej cywilizacji – ale niepolicone znaki rozmyślnych aktów dewastacji płynących nie z nędzy, no, może niekiedy, lecz przede wszystkim z głębokiego niezrozumienia zastanych tutaj przez przybyszy ze wschodu konstrukcji, porządków przestrzennych i sposobów życia. A także w akcie zwykłej zemsty na tamtych. Tak, można tu wypatrzyć niechęć, a nawet nienawiść do odnalezionej tu cudzej konstelacji, zderzyć się z dojmującym brakiem związków duchowych i materialnych.

Oczywiście powody jej niezrozumienia miejsca i dramatycznego poczucia obcości są dość jasne. Przesiedleńcom z Kresów Wschodnich odebrano ich konstelacje: odziedziczone miejsca i obyczaje, przycinane przez pokolenia jabłonie i przechowywane w kufrach genealogie, domy, niekiedy zamieszkane od pokoleń, pejzaże, które znali i rozumieli, proporcje ścian i dachów, nawyki używania rzeczy w sposób taki, a nie inny. Zapakowano ich do wagonów i przemocą osadzono na ziemi cywilizacyjnie dziwnej, w nieznanym krajobrazie, dano w posiadanie obce maszyny i domy, cudzą pościel i filizanki. „Do końca 1948 r. przesiedliło się tam [na zachód] ok. 2,7 mln osób znad Wieprza, Narwi, Wisły, Pilicy czy Warty. Dla nich teren, na który przyszli, był zarazem nowy i obcy: ceglane domy na wsi, asfaltowe drogi, kanalizacja, 30- czy 50-hektarowe gospodarstwa, murowane miasteczka”⁵. Do tego około 2 milionów z terenów Ukrainy i Białorusi. (W tym samym okresie wytransferowano na zachód 3,5 mln. Niemców z ziem zachodnich). Jednak budowle, urządzenia i przedmioty stworzone innymi rękami i dla innych rąk nie pasowały do nowych właścicieli. Budziły zdumienie, niechęć, niekiedy lęk. Z projektowanych w 1895 roku balkonów kamienicy, w której mieszkam, ktoś po wojnie wyrwał secesyjne, finezyjnie kute balustrady, których wzór znalazłam w Archiwum Budowlanym Wrocławia, tkwiący tam jak amonit na pożółkłej karcie, kunsztownie wyrysowany ręką niepodpisanego architekta; zastąpiono je ordynarnymi barierkami. W zajmowanych po Niemcach domach szybko wytarły się pozostawione przez poprzednich mieszkańców plusze, adamaszki posłużyły przybyłym do mycia podłóg, zetlały płótna, wyszczerbiły się miśnieńskie talerze,

5 Andrzej Paczkowski, *Pół wieku dziejów Polski 1939–1989*, Warszawa 2007, s. 148.

platery wylądowały w komórkach na narzędzia. Marmurowym blatom kredensów zdarzyło się uzupełniać wyrwy w bruku. Wśród lśniących glazur poniemieckich łazienek hodowano kury i świny (to autentyczna opowieść mojej nieżyjącej już znajomej, która była takim pierwszym pokoleniem przesiedleńców), czego ślady niekiedy do dziś można znaleźć. Maszyny rdzewiały w szopach i komórkach. Meble i naczynia, tkaniny i bibeloty, obrazy i książki, z pietyzmem tworzone i gromadzone dla czasu płynącego niespiesznie i bezpiecznie, uległy przemożnej sile pragmatyzmu epoki, której głównym kryterium było przetrwanie.

A działo się to w atmosferze przejściowości i niepewności, po straszliwej wojnie i latach niesłychanych okrucieństw. I towarzyszyło temu uczucie, bo uczucie raczej niż świadomość, że ten niechciany prezent jest nie ich, jest niczyj, ewentualnie tamtych, którzy przecież są winni tej wojnie i których zresztą na szczęście już tu nie ma, tym łatwiej zatem to, co zostawili, niszczyć, okaleczać, zohydzać. Bowiem „obciążeni poczuciem krzywdy – jak pisze Andrzej Leder – albo tworzą własne, alternatywne *uniwersum*, albo delegitymizują to dominujące, tworząc coś w rodzaju pustki symbolicznej”⁶. Taki rodzaj pustki i swoistej anonii wytworzył się, i moim zdaniem nadal w znacznym stopniu trwa, na Dolnym Śląsku, bynajmniej nie tylko w efekcie unicestwienia materii. Scenografia tutejsza została przygotowana do innej sztuki, na pewno nie tej, której aktorami były umęczone rzesze biedaków, nadciągających ze wschodu ku dostatкови wypełniającemu niemieckie domy. Nieznanemu, niezrozumiałemu, właściwie niepotrzebnemu. Po co komu w takim czasie plusze, adamaszki i cienkie płótna, platery i kryształy, krzesła o wymyślnie giętych poręczach i czeczotowe szafy? Nie mogło być w tym wszystkim przestrzeni na spinozjańskie rozpatrywanie przedmiotów *sub specie aeternitatis*, co zmienia ich „znaczenia i przemienia je w rzeczy, które należy kochać i «uświęcać», a czyni to właśnie za sprawą ich jednostkowości, czyli że są swoistymi splotami relacji poznawczych i afektywnych”⁷. Po II wojnie nie było już mowy o żadnym *aeternitatis*, nie wieczność, ale doraźność wyznaczała horyzont, bo jeśli człowieka tak łatwo unicestwić, to „uświęcanie” otaczającej go substancji jest tylko pustym frazesem. Pogarda wobec przejawów kultury materialnej generowała pogardę dla ich właścicieli, a ta jak pleśń rozrastała się w innych niszach i kawernach życia społecznego i obejmowała nie tylko obcych, ale i swoich.

Pamiętam moją bytność w Lwówku Śląskim, jak większość dolnośląskich miasteczek stanowiącym dziś karykaturalne puzzle starego z nowym, tym

6 Andrzej Leder, *Rewolucja* [w:] idem, *Prześlona rewolucja. Ćwiczenia z logiki historycznej*, Warszawa 2014, s. 35.

7 Remo Bodei, *O życiu rzeczy*, przeł. Alicja Bielak, Łódź 2016, s. 154.

pierwszym – popadającym w ruinę lub remontowanym byle jak, bez szacunku wobec pierwotnej harmonii bryły czy przestrzeni, tym drugim – budowanym bez ładu i składu, bez chwili życzliwej refleksji, czy nowe pasuje tu do starego. Najbardziej wstrząsająca była jednak wizyta na cmentarzu, gdzie w dawne, niemieckie groby bezceremonialnie wprowadzono polskich zmarłych, wylupując płyty nagrobne poprzednich lokatorów i wmurowując nowe, z imionami i nazwiskami przybyszy. I nie tyle okropność estetyki tych rozwiązań, ile odrażający proceder bezczeszczenia zmarłych zrobił na mnie takie wrażenie, że po ćwierć wieku od tamtej wycieczki tamten obraz i tamto wrażenie zostały w mojej pamięci. Jaka dekonstrukcja hierarchii wartości i wrażliwości na drugiego człowieka musiała się dokonać, by mogło do tego dojść? Kim byli lub są jeszcze ludzie, którzy to zrobili? Hannah Arendt odpowiedziałaby zapewne, że ich „wolność dostała się pod panowanie konieczności, pod nacisk samego procesu życiowego”⁸ – no tak, jakoś trzeba grzebać zmarłych, pochówki są drogie, kamieniarze i murarze cenią się wysoko. Trudny „proces życiowy” długich powojennych dekad uniemożliwiał swobodne i uważne obserwowanie osób i przedmiotów oraz wchodzenie z nimi w bliższy kontakt. Myślę, że uczestnicy, a co więcej również potomkowie rewolucji, a dokonała się tu – w Polsce, na jej „ziemiach odzyskanych”, tak jak i na „ziemiach zabranych” – rewolucja właśnie, która przeorała tkankę ludzką i świat materii, do dziś wedle tego wzoru w znacznym stopniu egzystują, choć oczywiście nie odbywa się to na poziomie świadomości. Trzeba przetrwać, zadbać o siebie, o swoich zmarłych, o cudzych – nie. Pasemka Włosów Bereniki, nici łączące ludzkie istnienia w konstelację zostały stargane. Były zbyt delikatne na brutalne czasy. Ci, którzy przetrwali wojnę, przesiedlenia, rewolucję społeczną i ekonomiczną, a potem komunizm, nauczyli się, że przywiązanie do rzeczy jest tylko ciężarem. I że podobnie ryzykowne bywa przywiązanie do ludzi. Jak to jest w wierszu Miłosza: „Nie kochaj żadnego kraju: kraje łatwo giną. / Nie kochaj żadnego miasta: łatwo rozpada się w gruz. / Nie przechowuj pamiątek, bo z twojej szuflady / Wzbije się dym trujący dla twego oddechu. / Nie miej czułości dla ludzi: ludzie łatwo giną / Albo są pokrzywdzeni i wzywają twojej pomocy. / Nie patrz w jeziora przeszłości: ich tafla rdzą powleczone / Inną ukaże twarz niż się spodziewałeś”⁹. Więc nie patrzono, nie miano czułości.

To nie jest historia dawna, taka, która przeminęła. To jest historia wciąż tworzona i kontynuowana. Po pierwsze w już istniejącym, trwałym jej obrazie, złożonym z nieskończonej liczby okaleczonych ulic, domów i klatek schodowych,

8 Hannah Arendt, *Kwestia społeczna* [w:] eadem, *O rewolucji*, przeł. Mieczysław Godyń, Warszawa 2020, s. 102.

9 Czesław Miłosz, *Dzieci Europy* [w:] idem, *Poezje*, t.1, Paryż 1981, s. 134.

z bestialskich w swej istocie dobudówek i przebudów, z konstrukcji wznoszonych bez zwracania uwagi na sąsiedztwo, z substancji, w której nic nie pasuje do niczego, z partackich „napraw”, ze zniszczonych systemów kanalizacyjnych, wentylacyjnych i melioracyjnych, bo nowo przybyli nie pojmowali ich funkcji, bo mieli inne potrzeby, a ich dzieci i wnuki, i prawnuki nie miały po kim odziedziczyć zrozumienia i szacunku wobec tego nowego świata. Jednym słowem z tworzywa, do którego nikt z nowych posiadaczy nie był „przywiązany” i które wciąż istnieje jako potworkowaty quasi-pomnik czasu pogardy. Po drugie jednak w obrazie wewnętrznym tutejszych mieszkańców, co ważniejsze i poważniejsze – w rozległości skutków. Bo jakiś powierzchowny ład i porządek w końcu pojawił się na tej ziemi, wiele ran zarosła trawa albo macierzanka, w ostatnich latach odbudowuje się i odnawia chętnie. Szczególnie centra dużych miast wyglądają pokazowo. Właśnie tak: jakby demonstrowano nowe formy życia, ogłaszano wszem wobec, że jest teraz świetnie, że „kochamy nasze miasto”. Architekci starają się nareszcie skleić stare z nowym, coraz więcej kamienic i budynków użyteczności publicznej odnawia się w dobrym guście, a wsie dolnośląskie, niegdyś niemal lub całkiem wyludnione, coraz chętniej przekształcają się w letniska. Natykam się na wzruszające akty zrozumienia materii i przyswojenia jej współczesności. Nadal jednak są to działania pojedynczych osób czy instytucji, zwykle odosobnione. Niemal zaraz za ratuszem dużych i małych miast rozciągają się brudne, zaniedbane, zdegradowane tereny „niczyje”. Nikt nie dba o to, co wspólne, nikt nie zwraca uwagi na to, co obok. Obok? Czyli nie moje. To, co pomiędzy osobami i rzeczami, od mojego do twojego progu – duchowo i materialnie – przypomina potrzaskane płytki w zrujnowanym pałacu. Instynkt przetrwania wbrew zbiorowości, a nie z nią czy dla niej, wyniesiony z katastrofy wojny, przesiedleń i komunizmu, nadal, w wydawałoby się bezpiecznym i zaawansowanym cywilizacyjnie świecie, jest głównym motorem ludzkiej aktywności. Nawet jeśli oficjalnie deklaruje się dbałość o mieszkańców i otoczenie, praktyka jest inna. Czyż patrząc na poharataną, zdewastowaną przestrzeń, przyzwalając na śmieci na ulicach i podwórkach, przechodząc mimo i zamykając oczy wobec przemocy wywieranej na materii ożywionej i nieożywionej, przyjmując bez sprzeciwu akty agresji wobec ludzi czy ławek w parku, nie stajemy się współuczestnikami i współtwórcami procedury obojętności na zło w każdej postaci, procedury podstępnie wchłaniającego także wiele dziedzin życia społecznego, wydawałoby się bardzo odległych od brudnych podwórek czy urbanistycznej nonszalancji?

Nie mam poczucia, że żyję w konstelacji, ale że uczestniczę tutaj w przypadkowych zdarzeniach z udziałem różnych ludzi oraz że te zdarzenia i ludzie łączą się ze sobą co najwyżej powierzchownie. Oraz że matrixem ludzkich zachowań

jest otaczająca ich, zmasakrowana materia, to, na co patrzą, czym się posługują, z czego korzystają. Że mieszkańcy tej ziemi wirują ze swoimi rzeczami jak w kalejdoskopie, tworząc różne układanki, raz ładniejsze, raz brzydsze, często banalne, ale zwykle przemijające. Wszędzie dostrzegam ślady po tych, których nie ma – osobach i przedmiotach – jak w haiku: „Chłód mnie przenika / Żona umarła – w sypialni / Nadepnałem na grzebień”¹⁰. Och, jakże często nadeptuję na taki „grzebień”. Chodzę więc smutna po ulicach mojego miasta, Wrocławia, a jego chaotyczność i nieharmonijność mam też za model całej dzisiejszej kultury, jej pospiesznego, nieuważnego pragmatyzmu. I jestem tu trochę jak w muzeum osobliwości, które zdaje mi się przerażające, gdy oglądam to stary gzyms, a przy nim prostacki kawałek powojennego muru, to resztkę starannie kutego ogrodzenia połączoną z prymitywnym płotem z betonu, a we wnętrzach domów – komodę uformowaną czułą i niespieszną dłonią rzemieślnika, a zaraz przy niej inną, byle jaką, owoc epoki łapczywego połykania rzeczy i ich bieżącej użyteczności. Chaotyczność mnie niepokoi. I to, że nic tu nie jest naprawdę i do końca „czyjeś”. By cokolwiek takie było, musi być przecież otoczone troskliwością i dbałością.

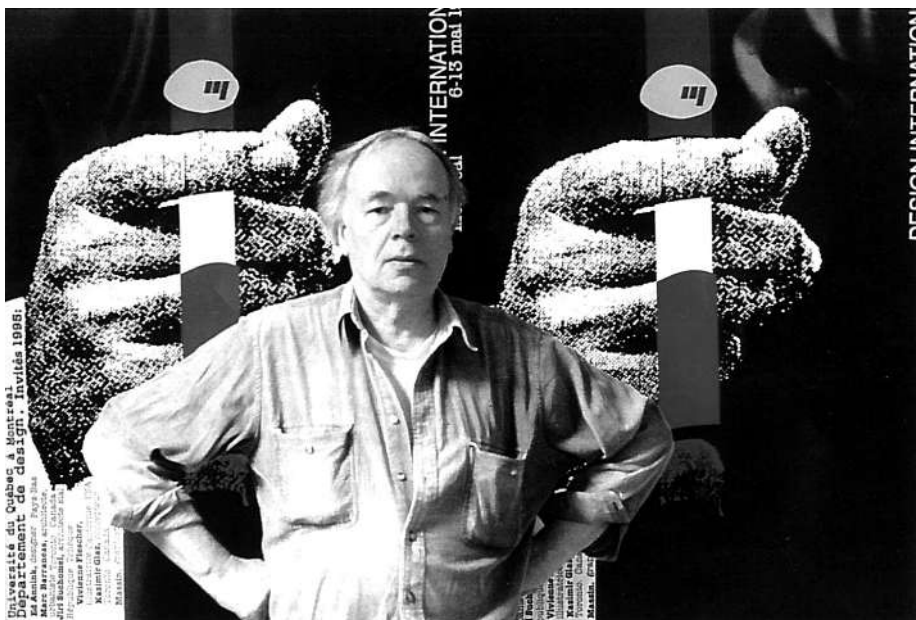
Wędruję po Dolnym Śląsku, mojej ojczyźnie z nabycia, bo urodzona w Warszawie przenosiłam się od zarania do różnych miast wschodniej Polski, dopiero na końcu lądując tutaj, i wypatruję znaków jego niegdysiejszej koherencji, oglądam znaki późniejszego rozkawałkowania, rozbicia, demolki. Jako „cygańskie dziecko” wiem, że wszędzie w tym kraju losy nie były dla materii łaskawe. A jednak nigdzie, poza ziemiami zachodnimi, nie ma aż tylu śladów wrogości wobec niej. Martwi mnie więc każdy popadający w ruinę dom, każdy walący się most, resztki podmurówek tego, co już nie istnieje. Podążam szlakiem przedmiotów. Przypominam sobie, jak Antoni Odyniec zwiedzał w Rzymie „przy końcu galerii na prawo «muzeum świeckie», to jest zbiór starożytnych różnometalowych sprzętów, narzędzi, ozdób itd. Najciekawszym był dla mnie – pisze Odyniec – warkocz jakiejś Rzymianki, znaleziony w sarkofagu, a tak doskonale zachowany. Czy ta pani mogła pomyśleć, trefiać kiedyś te włosy przed stalowym zwierciadłem, że za dwa tysiące lat świat cały podziwiał je będzie. Szkoda, że to nie jest ten sam warkocz *Bereniki*, od którego *konstelacją* gwiazd nazwano”¹¹. Włosy – z żywych stają się eksponatem, oddzielonym od swej funkcji. Włosy – delikatna przędza, łatwa do zniszczenia. Włosy – czerpiące siłę, dopóki łączą się ze swym żywicielem. Zaplecione w warkocz tworzą wzór – połączeń, uwagi i precyzji. Ale Warkocz Bereniki tutaj, na tych ziemiach, jest co najwyżej ładną metaforą czerpaną z przeszłości, nie obrazuje nieistniejącej już przecież jedności ani trwałości danej gwiazdom,

10 Buson Yosa, *Chłód mnie przenika...* [w:] *Haiku*, przeł. A. Żuławska-Umeda, Wrocław 1983, s. 250.

11 Antoni Edward Odyniec, *Listy z podróży: Z Rzymu; Z Neapolu do Genewy*, Warszawa 1961, s. 214.

przynajmniej wedle ludzkiej miary, odsyła być może do niemodnych dziś słów, obecnych jednak w historii egipskiej księżniczki, takich jak troska, współczucie i czułość. A ta ostatnia, o czym wie poeta, „bywa jak pełny wojen krzyk, / I jak szemrzących źródeł prąd, / I jako wtór pogrzebny... I jak plecionka długa z włosów blond, / Na której wdowiec nosić zwykły / Zegarek srebrny –”¹². Norwid rozumiał, że uczucia i nastawienie do świata wyrażają się często w naszym stosunku do materii. Może więc lepiej, myślę, że kafelki z rysunkiem mającej starożytny rodowód konstelacji, zakomponowane z pietyzmem przez niemieckiego architekta czy projektanta, a ułożone potem z uwagą przez starannego majstra, rozpadły się w okruchy metodycznie wchłaniane teraz przez miejscowe zioła z przewagą gwiazdek rozchodnika, który tworzy dziś nad nimi własną, choć efemeryczną konstelację.

12 Cyprian Kamil Norwid, *Czułość* [w:] idem, *Wiersze. Dzieła wybrane*, t.1, Warszawa 1968, s. 423.



Kazimierz Głaz, Montreal, 1995 (czyt. s. 178)

1992

As an aspect of its foreign name Sensationalism is an art movement which was brought to Poland from the West or, at least, it was brought here and as such can be exported to the above mentioned world. Visual artists, writers, poets and dramatists will be liberated. Film, poetry and literature will be sensationalistic and we can say that our epoch belongs to Sensationalism. Kazimierz Gajda, *Sensationalistic Manifesto*, Warsaw, 1955.

CSW ZAMEK UJAZDOWSKI, WARSZAWA, XI. 1993 – I. 1994

HAVE YOU EVER SEEN THE RUNNING RIVER ?

Vittorini – sycylijska podróż

Glosa do ostatniej powieści Elio Vittoriniego *Miasta świata*

Polskie wydanie: Wydawnictwo Austeria, Kraków 2023

OBRAZ 1, lat temu 2200 i więcej

Syrakuzy, miasto na wschodnim wybrzeżu Sycylii od kilku stuleci jest potężnym centrum kultury, handlu i rzemiosła, we władaniu Aten. W środkowej i zachodniej części basenu Morza Śródziemnego konkurować z nim może tylko Kartagina. Syrakuzy mogły liczyć nawet do miliona mieszkańców, a z pewnością było ich ponad ćwierć miliona; dzisiejsze Syrakuzy to skromne 120 tysięcy mieszkańców. Prominentnym mieszkańcem Syrakuz był Archimedes, jeden z największych intelektów wszech czasów. Konsul Marek Klaudiusz Marcellus, rzymski zdobywca miasta w roku 212 p.n.e., gdy w czasach II wojny punickiej po wielomiesięcznym oblężeniu znalazł się wreszcie w obrębie murów tego wspaniałego miasta, podobno rozplakał się z wrażenia, widząc wspaniałości Syrakuz. Zabronił też niszczyć i plądrować miasto, zabronił zabijać jego mieszkańców, chcąc zachować nienaruszone zarówno miasto, jak i wspaniałe rzemiosło jego mieszkańców. Niestety, rozkaz jego nie dotarł na czas do legionisty, który wdarł się do domu Archimedesa i zabił go ciosem miecza. Jak twierdzi Plutarch, Archimedes prosił oprawcę, by choć pozwolił mu rozwiązać zagadnienie, nad którym pracował, a którego zagadka tkwiła w narysowanych na piasku znakach. Legionista potraktował prośbę jak obelgę i zaszlachtował wielkiego myśliciela, autora wspaniałych rozwiązań mechaniki. Przygotowując miasto do oblężenia przez rzymską flotę, Archimedes skonstruował między innymi ogromne żelazne wielopalcowe łapy, połączone z mechanizmem zawiasów, wysięgników, lin i Bóg wie, czego jeszcze. Chwytały one rzymskie okręty, gdy zbliżały się do potężnych murów miasta i przewracały, niczym kruche szklanki na stole, jak opisał to Plutarch. A pomyśleć, że rzymskie okręty wojenne tamtych czasów to bestie długie na 40-50 metrów, pchane żaglem oraz siłą mięśni nawet 300 wioślarzy siedzących w trzech do pięciu rzędach wiosł na każdej burcie, a na pokładzie mieściły dobrą setkę uzbrojonych legionistów, czekających na moment, gdy potężny

pomost skonstruowany na 11-metrowym wysięgniku połączy okręt z murami, zaś całość ważyła nawet 60 ton. Archimedes podrzucał i przewracał te morskie potwory swoimi metalowymi łapami jak piłeczki. Dzięki tej i innym inwencjom Archimedes z Syrakuz oparła się rzymskim atakom licznej floty od strony morza oraz wojskom atakującym mury miejskie i padła dopiero na skutek podstępów.

OBRAZ 2, lat temu 1200

Imperium rzymskie jest od wieków zapomnianą historią. Europą rządzą: imperium karolińskie na północy, centrum i Półwyspie Apenińskim, z małą enklawą Longobardów na południu buta włoskiego, kalifat dynastii Ummajadów, który od kilku dziesięcioleci wprowadził państwo muzułmańskie na Półwyspie Iberyjskim, oraz Bizancjum, panujące w regionie dzisiejszej Grecji i Bałkanów, ale także na Sycylii. I oto kalifat północno-afrykański Abbasydów nie chciał być gorszy od ich braci z kalifatu iberyjskiej Kordoby i zamyślił sobie przejąć Sycylię z rąk Bizancjum. Znów podstępem, gdy bizantyjski kondotier Eufemiusz zdradziecko otworzył islamskiej flocie wejście do portu w Mazzara. Wojska islamskie opanowują liczne miasta Sycylii, ale Syrakuz nie są w stanie zdobyć, pomimo ciężkiego oblężenia. Bizancjum jest daleko, więc pomoc Syrakuzom przychodzi początkowo jedynie ze strony floty doży weneckiego, zanim po wielu miesiącach przybędzie wreszcie flota bizantyjska. Muzułmanie panoszą się wewnątrz wyspy, przejmując kolejne miasta, wprowadzając nowe obyczaje, bijąc własny pieniądź. Wojska muzułmańskie i bizantyjskie ganiają się po całej wyspie, od bitwy do bitwy, islam zdobywa Palermo i – podobnie jak tysiąc lat wcześniej w Syrakuzach – nie dokonuje się rzeź mieszkańców, zwycięzcy oszczędzają ich, nakazując przejście na islam, co palermitańczycy pozornie czynią, gdyż to tylko niewinny zapis w dokumentach, ale zachowują życie, swoje warsztaty rzemieślnicze, pola uprawne. Podobnie dzieje się w Messynie i wielu innych miastach. Niestety, flota bizantyjska zajęta jest transportem materiałów do budowy potężnych kościołów w Konstantynopolu, dla cesarza ważniejszy to cel niż obrona odległych terytoriów. Syrakuzy po 60 latach wojny padają, tym jednak razem zostają splądrowane, ludność zmasakrowana w odwecie za tak długą obronę. Kolejne stulecia Sycylia zostaje pod okupacją islamską, początkowo przez dwa wieki islamscy watażkowie prowadzą nieustanne wojny między sobą. Przychodzi jednak okres rozkwitu, świat arabski wprowadza nowoczesną gospodarkę, rzemiosło, nieznane w Europie uprawy rolne, wspaniałą kulturę, Palermo i cała Sycylia staje się perłą Morza Śródziemnego.

Wojska amerykańskie lądują na Sycylii, pojawiają się żołnierze najbardziej demokratycznej armii świata, biali, czarni, hindusi, wszyscy jednak z podobnymi manierami i nawykami, z nieznanymi dotychczas na wyspie produktami masowej kultury amerykańskiej: coca-cola, amerykańskie papierosy. Dziewczyny zamkniętej dotychczas społeczności szaleją. Później tak samo będzie w Neapolu czy Rzymie.

Ale po co te historie? Pośrodku tych wszystkich zawieruch, a na przestrzeni wieków było ich więcej na Sycylii: Wandalowie, Normanowie, byli znienawidzeni Andegawenowie z Francji czy dynastie hiszpańskie Burbonów, więc pośród tych zawieruch są prości Sycylijczycy, mieszkańcy wyspy położonej w miejscu wyjątkowym, na samym środku Morza Śródziemnego. Grecy, muzułmanie czy Hiszpanie zachowali się jak zwykli kolonizatorzy, przenikali lokalne społeczności, chcąc zawładnąć także umysłami mieszkańców. Ale poza tym wszystkim koloniści greccy czasów starożytnych, a później najeźdźcy islamscy byli niemal wyłącznie mężczyznami, siłą rzeczy przez stulecia greckiego i muzułmańskiego panowania na Sycylii łączyli się oni z miejscowymi kobietami, style życia, nawyki, kultury przenikały się nawzajem. Czyżby więc gen przeciętnego Sycylijczyka był najbardziej kosmopolitycznym genem Europy? Być może. Faktem jest, że Sycylijczycy chętnie przyswajali to, co przywozili ze sobą najeźdźcy. Choćby muzułmanie: zostawili nie tylko wspaniałą architekturę, ale także obce dotychczas zwyczaje kulinarne, wprowadzili nieznaną potrawę, przyprawy, do tego nowe praktyczne słownictwo, jakie weszło do dialektu sycylijskiego, a odnoszące się do nowych produktów oraz wprowadzonych przez najeźdźcę technik wytwarzania.

Pomimo bogatej historii wyspy, bezspornych okresów prosperity, zarówno gospodarczych, jak i kulturowych, Sycylia pozostała jednak synonimem biedy, ubóstwa, zacofania. To efekt ostatnich wieków panowania dynastii hiszpańskich, ale także marginalizacji regionu po zjednoczeniu Włoch w 1848 pod berłem sabaudzkim, acz w ramach monarchii parlamentarnej, rządzącej półwyspem z bogatego Piemontu i oderwanego od zapomnianych regionów południa centrum politycznego w Rzymie. Młode państwo włoskie w XIX wieku wprowadziło wręcz w biednych regionach Sycylii czy Sardynii daniny gorsze nawet niż za czasów panowania Burbonów jak przywrócona średniowieczna danina „focatico”, czyli podatek od komina czy też dymu nad domostwem, uderzający w najbiedniejsze warstwy społeczeństwa. Efektem – masowe migracje Sycylijczyków na północ Włoch i dalej, do Ameryki, a po II wojnie światowej do bogatych krajów Europy, rozkwitłych na dobrodziejstwie planu Marshalla. Sycylia z lat 50.

XX wieku tkwiła jedną nogą w dawnym świecie latyfundiów burbońskich, a drugą nogą, a raczej okiem, zazdrośnie patrzyła na rozwijający się świat na kontynencie, na północ od Rzymu, i dalej, za Alpami, a po drugiej stronie półkuli – w Ameryce. Trzeba powiedzieć, że sycylijscy migranci doskonale odnajdywali się w nowym świecie, niekiedy aż za dobrze, tworząc w Stanach Zjednoczonych Ameryki największą i najbardziej skuteczną organizację mafijną świata.

Takim uciekinierem z Sycylii był Elio Vittorini, z tym że młody Elio nie odwrócił się plecami do rodzinnej wyspy, pozostał jej wierny, choć powoli wypracował własną kosmopolityczną wizję świata, w którym nikogo nie można przekreślać i każdy jest obywatelem wielkiej cywilizacji. Vittorini to z pewnością jeden z ciekawszych pisarzy włoskich okresu międzywojennego i pierwszych dwóch dekad po II wojnie światowej, pisarz żyjący w realnym świecie konfliktów zarówno wielkich światowych mocarstw, jak i – lub przede wszystkim – konfliktów ideologicznych, moralnych i etycznych Włoch okresu faszyzmu i dwóch powojennych dziesięcioleci. Przejściowo zafascynowany był ruchem komunistycznym, ale w czasach wojny domowej w Hiszpanii 1936 z reżimem Franco kto nim nie był. Z tym że fascynacje ideologiczne Vittoriniego zawsze miały tło kulturowe i literackie, nigdy polityczne. Wyżywał się w tworzeniu grupiek intelektualistów, nonkonformistów, zbawców świata i ludzkości wbrew ideologom politycznym. Działalnością swoją prowokował do dyskusji, znalazł też bratnie dusze w osobach takich jak Italo Calvino czy Vasco Pratolini, jego wielkimi zwolennikami byli zarówno Eugenio Montale, jak i Carlo Emilio Gadda.

Słowem, młody Elio nie porzucił Sycylii w poszukiwaniu pracy dla lepszego bytu, ile pchany niesprecyzowaną jeszcze wolą i wizją sprawiedliwego i zrównoważonego świata, obficie czerpiącego z dobrodziejstw cywilizacji. Ojciec jego był kolejarzem i w dzieciństwie przyszły pisarz przemierzał z ojcem szlaki kolejowe Sycylii, lecz wolny czas spędzał na pochłanianiu książek, szybko zafascynował się nieznaną jeszcze we Włoszech literaturą amerykańską. Choć samouk, dokonał jednych z pierwszych tłumaczeń na włoski wielkich pisarzy amerykańskich: D.H. Lawrence'a, W. Saroyana, W. Faulknera, E.A. Poego, E. Caldwell, J. Steinbecka, E. Hemingwaya, z którym połączyła go wieloletnia przyjaźń. Pomimo faszystowskiej cenzury Vittorini i jego wydawca zdolali przemycić część tej innowacyjnej oraz demokratycznej literatury i myśli społecznej zza oceanu na rynek włoski. Synem kolejarza z Sycylii był też wielki poeta i przyszły noblista Salvatore Quasimodo. Zadziwiające, że przez pewien czas obie rodziny, Quasimodo i Vittorini, dzieliły wspólnie dom, czego skutkiem była nie tylko przyjaźń pomiędzy dwoma początkującymi pisarzami, ale także małżeństwo Elio Vittoriniego z siostrą poety, Rosą. Młodzi, niespełna 20-letni małżonkowie uciekają

zresztą z rodzinnego domu, jak Gioacchino i Michela z powieści Vittoriniego, gdyż Rosa była już przyobiecana innemu i tradycyjne wychowanie ojca Rosy sprzeciwiło się tej relacji, spędzają pierwsze dni na ławkach dworcowych, po czym ruszają w drogę na kontynent. Małżeństwo Rosetty z Elio przetrwało tylko do 1950 roku, acz obydwoje aż do przedwczesnej śmierci pisarza (Vittorini zmarł w 1966 z powodu choroby nowotworowej) pozostawali bardzo blisko siebie, także w sferze sentymentalnej. Piękne są opublikowane bardzo ograniczonym nakładem przez Rosę Marię Quasimodo w roku 1984 fragmenty jej dziennika i listy pomiędzy nią a Vittorinim, scenariusz bogatej sentymentalnej i intelektualnej biografii Rosy Quasimodo: „Wymienialiśmy się książkami, od razu poczułam, że jest urodzonym pisarzem, więc opowiadałam mu o moim bracie poecie [...]. Pierwsze czułości skradł mi na progu domu, gdy moi rodzice zajęci byli podlewaniem kwiatków i niczego nie spostrzegli... Pewnej sierpniowej nocy [1927 roku] czekał na mnie w oknie swojego pokoju, boso przemierzyłam dach stacji kolejowej i wślizgnęłam się oknem do domu jego rodziny, który mieścił się po drugiej stronie budynku stacji. Z pomocą jego brata Ugo uciekliśmy zaprzęgiem do hotelu na obrzeżach miasta, gdzie jednak nie przyjęto nas”. I dzień później Rosa tak pisała do rodziców: „Wiem, że sprawiam wam ból, ale to nieuniknione. Będziecie mi złorzeczyć, wyklniecie mnie, ale łączę się z jedynym człowiekiem, jakiego wybrało moje serce, wbrew okrutnym obyczajom, wbrew rozumowi”. Tak czy inaczej, obydwaj początkujący literaci, Quasimodo i Vittorini, opuścili Sycylię, obydwaj przez całe życie przemieszczali się, jakby pozbawieni ojczyzny, a raczej świadomi, że ojczyzna, ich wyspa Sycylia, jest miejscem, z którym na zawsze pozostaną związani, lecz także miejscem, które nic już nie jest w stanie im dać. Miejscem, gdzie można albo tkwić w wielkim marazmie, albo miotać się, marząc o ucieczce. Dla Sycylijczyków niekiedy były to wielkie ucieczki, za ocean albo chociaż do Niemiec czy Francji, lub przynajmniej do Rzymu, a w ostateczności z rodzinnej wsi do Messyny, skąd już tylko 3 kilometry morza dzielą Sycylię od kontynentu. Tak też powstała powieść *Miasta świata*, ostatnia książka Vittoriniego, pisana z przerwami od 1952 do 1960 roku, wizja Sycylii jako ludzi i miejsc bytujących gdzieś daleko od cywilizacji, ale stanowiących symbolikę wszechświata i nierozzerwalnie z nim związanych marzeń i aspiracji. Z jednej strony precyzyjnie nakreśleni owczarze, wędrowni handlarze, robotnicy rolni, nadzorcy, zarządcy, prostytutki, zawodowi kierowcy, żołnierze i policjanci, górnicy kopalni siarki, potem miasta i miasteczka zawieszone wysoko pośród wapiennych formacji skalnych, gaje oliwne, sady, wrzosowiska, strome urwiska, kamieniste pastwiska, miejsca w sposób oczywisty przypisane tej konkretnej lokalizacji, jaką jest Sycylia, a jednak Vittorini dokonuje metafizycznej projekcji, jakby miejsca

i ludzie je zamieszkujący byli zdolni przeniknąć czas i przestrzeń oraz zespolić się z całym światem. Agira, Agrigento lub Caltanissetta mogą być mityczną i wieczną Jeruzalem, dumną Wenecją lub kosmopolityczną Adelajdą czy Filadelfią, tajemniczą Samarkandą czy leżącym na nieosiągalnym krańcu świata Tucumán. Miejsca mentalnie bliskie, gdyż powiązane wspólną historią ludzkości, choć fizycznie odległe, wymagające choćby pierwszego bodźca ucieczki i wyzwolenia od miejsca, do którego jest się przypisanym. I wcześniej lub później każdy mieszkaniec Sycylii wyruszy w długą drogę w poszukiwaniu tego mitycznego świata.

Tak oto w zamkniętej przestrzeni wyspy wszyscy są w stałej podróży. Śledzimy losy chłopca Rosario, który, prowadzony przez ojca, wędruje ze stadem owiec, psem i osłem, przemieszczając się to z gór w kierunku morza zimą, to znów wspinając się ze stadem na wyżyny górskie latem. Niby prowadzą swoje stado, sprzedając w mijanych miasteczkach robione przez nich sery, ale czegoś też szukają, do czegoś dążą. Towarzyszymy podstarzałej, choć wciąż pełnej wigoru, prostytutce Odeidzie, przemieszczającej się od miasta do miasta wozem ciągnionym przez osła. Nie jest to nasz typowy polski wóz z zaprzęgu wiejskiego, to zwany w dialekcie sycylijskim *carrettu*, miniaturowy wiejski wóz, mieszcząca nie więcej niż dwie osoby i skromny bagaż, wymysł XIX-wiecznych Sycylińczyków, którzy ozdabiali też boki wozu wielobarwnymi malowidłami. Wóz Odeidy zdobią, zgodnie z jej profesją, scenki z życia, tworzące historię dziewczyny: „...żółte i niebieskie figury wymalowane na wozie. Była tam młoda dziewczyna, którą jakiś jegomość w kapeluszu ozdobionym piórami wypędzał z domu; dalej znów ona, w środku lasu, obszarpana i wystraszona; potem w jaskini z dzieckiem przy piersi, okryta już tylko swoimi włosami, z kozą u boku; i znów jegomość z piórami tropiący w lesie kozę, pośród myśliwych dmących w rogi; i wreszcie tenże jegomość, gdy wchodzi za kozą do jaskini i ze skruczą podaje swój płaszcz dziewczynie, którą zastał z dzieckiem na ręku, z włosami rozrzuconymi na piersi”.

Wózki takie możemy dzisiaj jeszcze zobaczyć czy to w Taorminie, czy w Canicattì i wielu innych miejscowościach z okazji świątecznych parad ludowych. Odeida znajduje na swojej drodze młodziutką adeptkę zawodu, zagubioną w świecie dziewczynę o dźwięcznym imieniu Rea Silvia, która uciekła z domu, pragnąc przeciwstawić się losowi dziewcząt sycylijskich, zamkniętych w domach za młodu, żeby chronić ich wiano, ale izolowanych od świata i później, po zamążpójściu. Bo „co może dziać się w Milazzo? - odpowiedziała Rea Silvia. - Jest jeden parowiec, przyplywa, odpływa, paru chłopców łąjących w kółko. A ja zawsze haftowałam w otwartych drzwiach. Moja matka i ciotki też zawsze haftowały. To samo moje siostry; wciąż tylko haftowały, chociaż jedna ma dopiero piętnaście lat, a druga niecałe trzynaście [...]. - Już sześć lat, jak mój ojciec wyjechał - dodała. -

Nie ma go i nie miał kto nas zabrać do Australii ani do Messyny, czy chociaż do Katanii. Byłam niczym takie miasto, na które inni patrzą, ale które samo nie widzi i nie może się ruszać, lub jak fontanna, tyle że zamiast wody wychodziły mi spod rąk haftowane serwety. A chłopcy przechodzili i patrzyli na mnie”.

Nad dziewczyną ciąży fatum i jest to fatum jej niewinności, więc krążyć będzie po wyspie, w jej szczęściu-nieszczęściu, jakby sama podróż była jej celem.

Spotkamy też starą arystokratkę, której wspaniała, choć mocno już nadwyreżona zębem czasu rezydencja w łańcuchu górskim Madonie zdaje się panować nad całym północno-zachodnim terytorium wyspy: „Z pałacu w Madonie starsza pani, czekając przy szybach okien na czas kolacji, mogła zliczyć światelka do pięciuset, czy sześciuset, i rozróżnić jedno skupisko od drugiego, powiedzieć Caltavuturo, powiedzieć Sclafani, i tak dalej, ale także rozróżnić każdy pojedynczy odbłask od drugiego, te bogatych domów, strażników miejskich, wieżyczek, dzwonnicy, placów targowych, barów, sklepików, i tych z domów biednych i spelunek, wieśniaków, górników z kopalni siarki, woźniców, matek i ich żon, ich córek, ich dzieci”.

Arystokratka ma też swoją towarzyszkę, swawolną bratanicę Manillę, którą ojciec, zarządca dóbr arystokratki, raz do roku odsyła w okresie przerwy szkolnej do zamku w Madonie, żeby rozweseliła starą matronę, ale przede wszystkim żeby matrona nie zapomniała w testamencie o nim i jego nieszczęsnej żonie, która straciła zmysły po tragicznej śmierci ich syna, skrytobójczo zamordowanego w akcie typowej sycylijskiej vendetty, gdy chłopiec nie zdążył stać się nawet młodzieńcem.

Towarzyszymy dwójce kierowców ciężarówki, przemieszczających się po Sycylii ogromną cysterną Agip. Pozorna nowoczesność ich pojazdu niknie jednak w tradycyjnym sycylijskim pejzażu i jego mieszkańcach, żyjących wciąż w innym świecie. Gdyż Sycylia to nadal świat Rosaria, jego ojca i stada owiec, świat małego Nardo, świat Odeidy i Rei Silvii, świat zarządców wiejskich i robotników rolnych, ostrzyżycieli noży i wypłacaczy koszy. I, niestety, świat górników kopalni siarki, *solfare*, które zdominowały gospodarkę Sycylii na niemal dwa stulecia. Kopalnie sycylijskie, porównywane do przedsionka piekła, powstały wraz z początkiem przemysłu chemicznego w Europie i zapotrzebowaniem na kwas siarkowy. To, co dla Sycylii miało stać się dobrodziejstwem epoki przemysłowej, bardzo szybko przerodziło się w najgorszy sen ludzkości. W naszej powieści dojrzewający chłopiec Rosario tak przedstawia ten świat swojemu małemu towarzyszowi podróży, 6- czy 7-letniemu Nardo: „te wszystkie miejsca kopalni siarki zawsze coś mają tajemniczego - dodał. – To oczywiste! Mieszkają tu ludzie, którzy pracują pod ziemią. A ludzie, którzy idą pracować pod ziemię, muszą być

niewielu dziwni. I jeśli jeszcze nie są, to z pewnością tacy się staną. To muszą być ludzie chorzy, pozieleniali na twarzy, nie mają oni własnych miast, w których mogliby mieszkać, ale rządy ohydnych czarnych baraków, przed którymi nie spotka się nawet cienia spódnicy dziewczyny. W takich miejscach wszystkie drzwi są zaryglowane, a każda nora ich domu wypływa mężczyźni, którzy nieustannie znikają tam, wynurzają się, znów znikają, z kurteczką pod pachą i daszkiem opadającym na oczy, jakby wchodzili do szynku, a nie do domu”. Szczęściem w latach 60. kolejne dekrety władz włoskich ograniczały działalność sycylijskich kopalni siarki, żeby wreszcie z rokiem 1975 zakończyć definitywnie ten ponury rozdział cywilizacji Sycylii.

Na kolejnych stronach spotykamy parę młodych małżonków, Gioacchino i młodzieńca Michela. Przemieszczają się oni w podróży poślubnej, lecz jakby przed czymś uciekali, przed niejasnymi obsesjami pana młodego, który, ledwo zagospodaruje w pokoju kolejnej lokandy, już każe się zbierać, wymykają się cichcem i pieszo lub pierwszym autobusem uciekają do kolejnego miejsca przeznaczenia. Dokładnie poznajemy ich trasę: Ribera, Cattolica Eraclea, Agrigento, Recalmuto, Serradifalco, Villarosa, Gibilemme. Vittorini przytacza nam nazwy miejscowości z niezwykłą precyzją, łącznie w powieści jest 136 nazw geograficznych, miejscowości, przełęczy, gór, rzek i jezior.

„Miasto Scicli, z koroną sanktuariów na zboczach trzech parowców, z nachylonymi dachami i wijącymi się schodkami wzdłuż zbocza, i z wielkim czarnym tłumem jej mieszkańców, jaki roił się w wibrującym w słońcu pyłu, w głębi placu, który od jego zachodniej strony niczym wachlarz otwiera się na otaczającą miasto nizinę”.

„Ragusa, z mostem i trzema rzędami łuków, górującymi nad dachami i elewacjami niżej położonych dzielnic...”

Leonforte z jego monumentalną „osiemnastowieczną fontanną z dwunastoma wylewkami niosącymi wodę, do dzisiaj wciąż nie nadającą się do picia, a którą feudalni baronowie kazali wznieść poza murami miasta, jak się mówi, wcale nie dla ułatwienia życia wieśniakom, ile dla rozdrażnienia pozbawionych wody pobliskich miast Castrogiovanni i Calascibetta”.

Dzisiaj, anno 2023, wiele miejsc z powieści wciąż pozostaje niezmiennych, nie tylko architektonicznie, także w stylu życia, w rytmach codziennych zajęć jej mieszkańców. A od kilkunastu lat powracają tradycyjne farmy, włoskie fattorie, z dawnymi, naturalnymi metodami upraw i hodowli. Kilka lat temu burmistrz Castelbuono, 9-tysięcznego miasteczka położonego w samym sercu pasma górskiego Madonie, zrezygnował z hałaśliwego i kosztownego sprzętu do odbierania odpadów segregowanych i zatrudnił kilka miejscowych osiołków, które do

przytroczonych koszy zbierają worki z odpadami. Po cichu, bez spalania kopalin na paliwo, bez mechaników, już w pierwszym roku osiołki przyniosły mu o 140 ton więcej odpadów niż diabelskie maszyny, z wielkim zgiełkiem przeciskające się wąskimi uliczkami miasteczka. Zapewnił im 5-godzinny dzień pracy i maksymalne, bardzo łagodne normy ciężaru, dzień wolny, własne pastwisko z przysmakami, stałą bezpłatną opiekę zdrowotną, a także dożywotnie miejsce na emeryturę. Przywileje, na które zwierzaki same zapracują. Wydał z kasy miasta po 1000 euro na każdego osiołka i – jak twierdzi – nie będzie musiał kupować nowych po amortyzacji, gdyż osiołki same zadbają o swoje rozmnożenie. W ślad poszły inne gminy, ku ucieście mieszkańców i turystów. Przełamano jednocześnie panującą na Sycylii przeświadczenie, że gospodarką odpadami niepodzielnie rządzi mafia.

Podróżnik natomiast, dzisiejszy turysta, z powodzeniem może przemierzyć szlaki Sycylii, mając za przewodnik tę właśnie powieść Vittoriniego. Można dostrzec do wspaniałych zdobionych ceramiką schodów Caltagirone, arabskich rezydencji w Sambuca, zawieszonego na wysokim urwisku Montalbano z jego normandzkim zamczyskiem, grot wokół Sperlingi i dostrzec „głębokie bruzdy skał, na których wznosi się Sperlinga, z jej domostwami wyżłobionymi w skale i czarnymi nitkami winnic rozrzuconymi też wśród skał”, podziwiać rozległą panoramę z licznych placów Petralii Soprana, dziesiątki kościołów ledwo 8-tysięcznej Agiry, wyrosłej na szczycie góry w miejscu greckiej osady Agyrion, czy też przejść się uliczkami wabiącej przez burmistrza domami za jedno euro Gangi. A potem Enna, Caltanissetta, Agrigento, Canicattì, Capizzi. I wreszcie zajechać do rozłożonej na czterech skałach Nikozji, ze wspaniałą katedrą, 44 kościołami i pięknymi pałacami, zdobionymi lokalnym rękodziełem o bogatych, średnio-wiecznych jeszcze tradycjach lub, na drugim krańcu Sycylii, stanąć w Sambuca di Sicilia, by podziwiać wielowiekowe bogactwo tradycji od arabsko-saraceńskich do barokowych.

Ale w końcu podróży staniemy na rozdrożu tuż przed kamieniem milowym z napisem PETRALIA SOTTANA KM 4,8 oraz SOPRANA KM 9,2. Z pytaniem I CO DALEJ? GDZIE? DOKĄD? Vittorini takie pytania zadawał sobie nieustannie. Gdy utworzył czasopismo progresywnych intelektualistów „Il Politecnico”, w 1945, gdy po dwóch ledwo latach je zamykał, gdy ewoluował od koncepcji lewicowych do liberalnych i radykalnych, gdy w projekcie czasopisma literackiego „Il Menabò” skupił wokół siebie grupę intelektualistów, z Italo Calvinem na czele, którzy na początku lat 60. zaczęli dostrzegać nadciągającą epokę kontestacji, jaka podważyła fascynację boomem ekonomicznym i wstrząsnęła całym światem drobnomieszczańskim. W takim kontekście Vittorini był wiecznym anarchistą, choć bez negatywnych konotacji, gdyż stanowił zawsze uosobienie pacyfizmu,

niczym Martin Luther King, wolał tłumaczyć, spierać się, nawet radykalnymi sformułowaniami, ale stroniąc od wojowniczych radykalizmów.

Większość jego dzieł literackich pozostała niedokończona lub jakby niedokończona, gdyż dostrzegał przemijanie idei, jaka skłaniała go do wzięcia pióra do ręki, a raczej jego nieodłącznej maszyny do pisania Olivetti, by zacząć kreślić nową wizję, ale zbyt szybko zauważał, że te nowe wizje stawały się przeszłością już w momencie ich pierwszego nakreślenia. I gdy zaczynał konstruować każdą nową myśl, nie było wiadomo, dokąd go ona doprowadzi, być może sam ze zdziwieniem spostrzegał, że już w akcie tworzenia kiełkuje zarodek rozwoju nowej drogi. W tym sensie książki Vittoriniego nie są niedokończone, jak często się uważa, gdyż zakończenie nie jest im przypisane, sentymentalno-niespokojny ton nieustającej podróży, tak w sensie geograficznym, jak i własnych niepokojów, nie może mieć zakończenia i nie jest ono potrzebne. „Nigdy nie dążyłem do »wielu książek«, dążę do tej »jednej książki«, gdyż wierzę w jedną prawdę do przekazania” – pisał w roku 1957. Mimo odczucia niedokończoności nie stanowiło to przeszkody, by powieści Vittoriniego kilkakrotnie zostały adaptowane przez świat kina okresu neorealizmu, łącznie z adaptacją filmową *Miast świata*.

I jak w scenariuszu filmowym splątanych pozornie luźnych wątków Odeida spotyka się z Reą Silvia, te dwie zaś napotkają na swej drodze Manillę z jej towarzyszami, Rea Silvia nakrywa Rosaria i Narda we śnie w grocie, samego Rosaria połączy dłuższa, dziwna sekwencja scen z Manillą i jej ojcem, a drogi wędrującego z ojcem i stadem owiec Rosaria stykają się z drogą Narda i jego ojca lalkarza.

Lecz zwycięstwo w świecie jest domeną nielicznych. Pierwszą powieść sycylijską, zatytułowaną po prostu *Sycylijska rozmowa*, z roku 1941 Vittorini rozpoczyna mocną deklaracją: „Zawładnęły mną tej zimy jakieś nieokreślone furie” [*astratti furori*]. W *Miastach świata* te pasje są już sprecyzowane, zwycięzcą jego powieści jest chłopiec Rosario, rzekłbym: personifikacja samego autora, tylko on spośród całego spektrum postaci opowieści został wyposażony przez autora w moc wyzwolenia, moc przeniesienia, projekcji własnych niesprecyzowanych marzeń i wyjścia poza zamknięty jak w teatrze kukiełek świat, natchniony inspiracją, jaką dała mu dedykacja w książce, *Podróż dookoła świata*, otrzymanej w nieświadomym geście od ojca Manilli, który też przelał swoją niemoc na pośpiesznie zamieszczoną dedykację dla chłopca: „Nie ma wątpliwości, że ty też masz swoje prawa. Ale gdzie? W tobie ich nie widać. Szukaj ich, zdobądź je, uczyni swoimi, a sprawisz, że w nagrodę otrzymasz samą córkę króla”.

I na tym można by zakończyć tę podróż za Vittorinim, gdyby nie było to zakończenie zbyt proste i naiwne. Podsumowaniem niech więc będzie sentencja Italo Calvina, który tak recenzował *Miasta świata* Vittoriniego: „Tak jak droga,

jaką przemierzają bohaterowie powieści, tak i droga Autora składała się z szeregu przerywanych linii, obracając się wokół wyobrażenia prawdziwego Miasta rodzaju ludzkiego”.

**** **** ****

Elio Vittorini, ur. 23 lipca 1908 w Syrakuzach, zm. 12 lutego 1966 w Mediolanie. Pisarz, krytyk literacki, scenarzysta, tłumacz literatury amerykańskiej i francuskiej, działacz kulturalny, wydawca, kurator licznych serii wydawniczych w wydawnictwach takich jak Einaudi czy Mondadori, także aktor (rola księcia w filmie *Romeo i Julia*) i polityk (przez krótki czas Przewodniczący Włoskiej Partii Radikalnej). Jest autorem licznych powieści, z których godna uwagi jest *Sycylijska rozmowa* z 1941 (wydanie polskie z 1984 w przekładzie Barbary Sieroszewskiej) oraz obecnie prezentowana *Miasta świata* (wydanie polskie w 2023).

Vittorini wydawał dwa autorskie czasopisma: „Il Politecnico” w latach 1945-1947 i „Il Menabò” (wspólnie z Italo Calvinim) od 1959 do śmierci Vittoriniego w 1966, będące ważną pozycją w życiu kulturalnym Włoch.



Wojciech Zawadzki, *Wnętrze*, 1984 (czyt. s. 192)



Kazimierz Głaz jako gł. Prekursor, ul. Świdnicka, Wrocław, ok. 1960 (czyt. s. 178)

O ciemności

O dziuro, dziuro, rozkoszna dziuro.

William Szekspir, *Sen nocy letniej*

Bywa nieraz z genialnymi utworami tak, że trudno określić ich gatunek, a nawet styl czy... temat – traci to nawet sens. „Faust” choćby, obwołany kluczem Romantyzmu, udźwignął architrawy pojęciowej przestrzeni klasycystycznej Goethego – jedynym zamieszczeniem było tam dopuszczenie do głosu mitu zamiast alegorii. Stanisława Karolewskiego „Ciemność” podobnie: jest i nie jest powieścią, fantastyką albo esejem bądź wyznaniem poety-szaleńca, zarazem obserwacją życia w ciemności istnienia, w ciemności kultury.

Kultura jest ciemnością, wielką ciemnością. Zawsze tchnie lodowatym mrokiem. Ośmiesza pewniki.

Każda. Niczym megalityczne rzeźby, przeraża jakimś wręcz spętaniem, opętaniem i opętaniem. Rzymianom intuicja podszeptnęła na więzi i więzy nazwę *religio*. W porywie natchnienia poeta rzuci: *...jesteśmy ludźmi do jawy zrodzeni / lecz noc – wyznanie wiary w nas budzi*¹.

Tysiącami lat rządzą i ośmieszają ustalone Ongiś barwy, kształty, pra-dźwięki oraz pra-wyiskrzenia. Kiedy rodzi się dziecko, kultura nakazuje np. mężczyznom zgromadzić się i wyć z bólu (każdemu zadano na ciele rany imitujące pochwę) – rozkraczeni w ciasnym szeregu, złączeni w symboliczny rodny kanał, nurkują jeden za drugim na czworakach między łydki tego, kto przed nim, naśladując ruchy noworodka. Narodziny jednostki – oznajmia ta symbolika – są dramatem, są źródłem cierpienia nie tylko dla rodzącej kobiety, lecz i mężczyzn, wszystkich w wiosce, co znaczy, że dla „całego rodzaju”, może też dla przyszłych pokoleń albo i bogów. W kulturze dzisiejszej problem człowieka jako Inicjalnej Pomyłki i zoofoba, wręcz biofoba, wchodzi na coraz dziksze pola antropologii kultury, psychologii, socjologii, sztuki, semiotyki, filozofii, aż po antynatalizm z jego wezwaniem, by ludzkość zaniechała się mnożyć, skoro istnienie sprawia ból – aczkolwiek i biegunowo przeciwstawnej

1 Andrzej Saj, *Twórczość [w:] Zapatrzeni. Ekfrazy i inne obrazy*, Miejska Biblioteka Publiczna im. Galla Anonima, Głogów 2023.

mu antypsychiatrii z jej, dla przykładu, poczuciem, że unikanie bólu okalecza silniej niż zranienie i że śmierć jest naszym fundamentalnym i niezbywalnym prawem.

Oznacza to nadanie również instytucjom kulturowym, w tym religijnym, prawa do zadawania bólu, do stawiania się „winowajcami” i otwiera bramę do poczucia, iż, z racji związku cierpienia z sacrum, kat byłby zbawicielem, tedy więc naturalnym byłby kult kata.

Właśnie **kultem** jest nasycony nasz stosunek do tej grupy społecznej, jaka nas eksploatuje. Parobek miał wielbić gospodarza, a ten rycerza, król dzierżyciela klątwy, prostaczek uczonego, robotnik fabrykanta, a deklasowany kapitalista uśmiechał się kornie do bolszewika. Dzisiaj, kiedy swój duchowy format oznajmiamy manifestowaniem konsumpcji, otoczyliśmy kultem banki i reagujemy odrazą na nowy grzech – bessę. Gdyby dzisiaj tedy ktoś publicznie wołał, że konto jest działką opium dla ludu, wzbudziłby podobną machinę nadzorować-karać, co sto lat temu marksści.

W „Ciemności” Karolewskiego scenę akcji oświetla (i nadzoruje) reflektor konsumpcyjnej, jak kiedyś moralnej względnie militarnej, więc intelektualnej, wyższości dzielnic „nietkniętych”; wyraz „biskup” oznaczał wpierw nadzorcę.

Rany inicjacyjne należą do najstarszych rytów, najbardziej zagadkowych, obnażając zapewne pogląd na naturę człowieka wraz z rozstrzygającym pytaniem o problem zła oraz tego, co ma być kulturą – czemu więc przyzwalamy, aby było źródłem cierpienia? Niemniej symbolika „męskiego porodu” daje głos dążności człowieka do osobowościowej pełni ujranej w płci jako wartości integralnej z mocami kosmologicznymi. Co się tyczy Zachodu, przechodzimy (wciąż jeszcze) fazę, w jakiej moce kosmologiczne uważane są za atawistyczne, mroczne a sprzęgnięte z płcią – lecz żeńską. Faktycznie, kosmos objawia się tylko nocą lub pośród przerażającej ciemności; w rezultacie płęć z nim skojarzona daje o sobie znać **dopiero w ciemności i poprzez ciemność**. Chce się rzec: z jakiegoś powodu człowiek istnieje na dwa sposoby: męski i kobiecy. Na obydwu więc człowiek w kulturach zastyga, na oba sposoby w nich doświadcza ciemności.

Więcej światła? Rozdział u Karolewskiego zatytułowany „Narodziny” kończy się pożarem – bohater wypatruje kobiety, swojej puenty, żywej i zarazem Umarłej; cały poparzony, wpatrzony okiem duszy w Nią – widzi pustkę i, wiedząc, że wkrótce oślepie, uświadamia sobie, że w jej miejsce (jak gdyby uległa przemianie) odbił mu się na siatkówce... tłum gapiów, a w ich oczach *blask i czysta fascynacja płomieniem*.

Bo gdy kultura dopuszcza zmiany, co zawsze z kolei łączono z walką o Światło, traci nad nimi kontrolę i pieczę. Chaos zatem, chaos solarny lub lunarny. Solarny chaos to entropia *zniewieściła*, wspominająca utracony ład, chcąc Raju. Raju Mnogości, pojedynczości bowiem lęka się. Lęka się bycia – *esse* i zastępuje je współ-byciem względnie jakimś pomiędzy-byciem – *interesse*, interesownością, jak wywiódł Lévinas. Dała o sobie znać słowami krzyku i buntu Louisa Ferdinanda Céline'a z „Podróży do kresu nocy”: *Wiek szybkości, jak słyszymy zewsząd. A niby gdzie ten pęd, ta szybkość? Wiek wielkich przemian, wmawiają nam. Jakich znowu przemian? Przecież nic się właściwie nie zmieniło. Wciąż i nadal podziwiają samych siebie. A i to nie jest czymś nowym. Zmieniło się może kilka słów, a i tu niewielki jest postęp. Dwa, trzy nowe słowa tu albo tam, raczej słówka... Dumni byliśmy z siebie, że poruszyliśmy te jakże ważne prawdy, i siedzieliśmy sobie dalej, zachwyceni, przyglądając się paniom w kawiarni.*

Chaos lunarny, zauważmy znów, posiada takich źródłowych odnośników „mnóstwo”. W analogii do faz księżycowych źródła te rosną, maleją, pełne bądź puste lub ukryte, a zawsze w ruchu, w rozwirowaniu, jak Luna powodują blednienie słońc rzeczywistych, czyli gwiazd, zaprowadzają dominację tego, co martwe i zimne, i mające kurzą perspektywę zaledwie, nad tym, co uosabia „gwiazda”. Chaos lunarny to Raje podobne do Piekła i Piekła podobne do Raju, a na domiar w konfrontacji z czasem, który biegnie zygzakami, wszak czas, znów wezwę tu Lévinasa, to „istota i ukazywanie się istoty”. W chaosie lunarnym grawitacja ma różne kierunki, celuje i w firmament, i w ziemię. W „Ciemności” księga kojarzy się ze śmieciem i z ogniem. Pod wpływem ognia księgi czernieją, a nieruchome dotąd litery wzlatują jak ptactwo tysiącami spopielonych pyłków. Szept kartek ożywa w syk płomieni, we wrzask.

Kultura „zmian” chce swej metamorfozy i jednocześnie spazmatycznie nienawidzi jej. Dźwignią dla swoich przemian uczyniła wojnę i tylko w wojnie lokuje ideę bohaterstwa. Wojna! Ze wszystkim. Z zacofaniem, herezją, zarazkami, niedyspozycją w biurze, błędem w zeznaniu podatkowym, objawieniem nie w porę, leworęcznością, niedopałkiem papierosa na asfalcie, nadmierną ilością połkniętych tabletek, niemożliwą już sukienką, z dosłownością, ale też wieloznacznością. *Jeśli masz broń, wyciągnij ją. Nadszedł czas, aby jej użyć – wyjdź z ciężarówkami, samochodami, siekierami. Dziś zaczyna się najlepsza i najbardziej honorowa historia – zawołał, uderzając w rozbawioną młodzież wiejskiego Nova Festival, dowódca wojskowy Hamasu.*

Wojna, coś immanentnie sakralnego, sprawia z kolei, że najdrobniejszy gest, nawet skurcz warg, odgrywa swoją rolę piksela w świętej ikonie. Pod

takim Palcem Bożym muzyka zamienia się – ucieleśnia – raptem w 260 martwych ciał. O przemianach kultury zaczynamy mówić wyczuwalnie odmienną mową, z nowym asortymentem nazw (Céline podsłuchał: jak też ich za mało, za mało!), w odmiennym sformatowaniu pojęć. Wkracza wraz z nimi nieobecna wcześniej stylistyka. Są to środki gruntownie obce tradycyjnej humanistyce, tak jak obcymi religijności pogan Europy Środkowej były terminy łacińskie i greckie albo sterująca zmysłami muzyka dzwonniczo-organowa.

Ta zapewne deprymująco szeroka amplituda historiozoficzna w wypadku pisarstwa Stanisława Karolewskiego jest koniecznością. Jak sam wyznał mi w liście: *Wynika to z przeświadczenia, że literatura nie jest i nie powinna być nauką – porusza się w obszarach, które można poczuć, które są bardziej pierwotne niż rozum, więc wszelkie logiczno-rozumowe układanki są z gruntu skazane na niepowodzenie, ale skoro pytasz, to odpowiem. Dla mnie oprócz oczywiście tej uniwersalnej warstwy, o której piszesz, bardzo ważną jest ta, o której tu w listach już było sporo – fałszywego świata. Skoro Jahwe jest bogiem fałszywym, bogiem z odbicia, to istnieje też bóg prawdziwy, być może jest nim neolityczna Czarna Madonna / Dobra Matka (no właśnie napisałem z rozumu jakieś uproszczenie, które wymagałoby odrębnych tomów). Tylko ta Bogini została przesłonięta zasłoną lub lustro zostało stłuczone – mamy tylko to odwrócone odbicie – Jahwe i kawałki rozsyanego po świecie lustra. Potrafimy sobie wyobrazić las, który trwa przez tysiąc lat – populacja drzew, lisów i zajęcy jest po tysiącu lat mniej więcej taka sama, ale w systemie sztucznym, fałszywym bąk, któremu raz się nada siłę i kierunek, będzie kręcił się w nieskończoność coraz szybciej i szybciej, aż do absurdu. I tak w książce trwa to zarówno na linii rozwoju akcji od jednego ptaka zobaczonego we śnie – do gór ptaków (gdyby nie koniec książki i sugerowane wyjścia, w kolejnym pokoleniu ptaki musiałyby zasypać całe miasto, a w kolejnym pewnie planetę), jak i w chronologii: każde kolejne pokolenie jest coraz bardziej niehumaniczne, coraz mocniej zwierciadło się wykrzywia (od rajskich – żywych ptaków „dziadka” do martwych ptasich trucheł „wnuka”), narastają też przedmioty: biblioteka dziadków, antykwariat ojca, skup makulatury i ciężarówki niepotrzebnych książek. To samo z miłością i sexem. Temu też podporządkowany jest sposób prowadzenia narracji i całego układu narracji – najdłuższy i taki najbardziej poukładany/poprawny/tradycyjny jest rozdział dotyczący pierwszego pokolenia, a te dotyczące ostatniego i będące na wierzchu chronologii są już krótkie, w chaosie, napisane innym językiem etc. I na odwrót: świat prawdziwy coraz bardziej ginie, znika – pierwsze pokolenie widzi go jeszcze w odziedziczonych resztkach architektury, dobiera się do prawdy, zaczerniając książki, drugie pokolenie nie do końca samo potrafi szukać prawdziwego świata, ale jeszcze o nim słyszało –*

grzebie w pozostałościach, współczesne – ostatnie (?) pokolenie właściwie już prawdy nie szuka, ale ona prześwieca niekiedy ze śmieci, cicho przywołuje.

Scenografia „Ciemności” to rozległe Nadodrze we Wrocławiu, dzielnica po części zmurszałych przedwojennych kamienic, pofabrycznych gmaszysk, zagranych podwórzy, sklepików, składów złomu, lumpeksów i makulatury, gwiaździstych placyków, tanich knajp; na placu św. Macieja (który ożył jako *Maciej*) „świętość rzeczywiście przeplata się z przekleństwem”, a to stwierdzenie wieńczy jedną z metop mozaiki o nazwie Ciemność. Ciemność jest bowiem niejednorodna, ma strukturę względnie anatomii. Po pierwsze, jest miejscem do bólu współczesnym właśnie, bo poodgradzanym od mainstreamu wrocławskiego miejskiego życia systemem barier i ścian: bohater-narrator tak samo jak czytelnik kręca się wewnątrz maszynierii zarazy produkującej martwe ptaki. Uprzątają świat – jak głosi jedno z haseł pogodnej ekologii – z ptasich trupów, a może zwłok. Określenie „zwłoki” potwierdzi, że ptak ma psychikę, duszę, ba – sam nią jest jak w mitach: duszą. Co kusi, aby spytać: czy on też popełnił Grzech Pierworodny, śmierć wszak to kara za Pierworodny Grzech?

Miejsce akcji jest zatem zlewnią śmierci. Bohater „Ciemności” nie raz jeden natyka się w niej na znawców Ksiąg, sam odczytany, przemierza nie tyle secesyjne ulice czy piętra kamienic, co pomieszczenia antykwariatu. Po części widzialne, po części niewidzialne – w paśmie niewidzialności trudno odróżnić fakty od urojeń. Każdą książkę przenika jakieś urojenie, jakaś mania, obsesja, fiksacja, jakieś ja i Alter Ego, rzeczywiste oraz, co tu kryć, urojone. Antykwariat to wszak składowisko książek znoszonych jako wymienialne na pieniądze od antykwariusza – ten zaś jest wtajemniczony w „rzeczywistą wartość” rycin i papieru, w odcienie znaczeniowe daty i miejsca wydania. A jednocześnie czuje bohater „Ciemności”, że ma do czynienia z istną intelektualną cepelią, choć „tam”, „po drugiej stronie” więcej entuzjazmu wobec intelektualnej laleczki w stroju einsteinowskim lub też ubranej jak Harari, Fukuyama, Bridget Jones, Witkacy – względnie ktoś z Marvella. Po naszej, śmietniczej, śmieciowej, trupiej stronie entuzjazm zgnił. Chodząc ulicami, faktycznie natykamy się na całe ośmieszone biblioteki rozłożone na trotuarze: baśnie, poezje, historia, filozofia, sztuka haftu, sztuka wysokogórskiej wspinaczki i transgresji, „Pamiętnik geniusza” Salvadora Dalí, listy Franza do Mileny albo Juliusza do Bobrowej, spowiedź dziecięcia wieku, a tuż obok Tybetańska Księgi Śmierci i Piotruś Pan. Powieje mocniej wiatr i kartki z Piotrusia potrafią trzepnąć w trzepocącą jak zranione ptaszysko Księgę Śmierci. Zupełnie tak, jak gdyby Dzwoneczek zabrał dzieci państwa Darling z samsary do Niebytu. A w Niebycie „dzikie dzieci” bez pamięci o żadnym wczoraj czy jutro, w zabawie. Tak, jak gdyby Niebyt był zabawą.

Czy ciemność zatem może być pogodna i miłująca, uśmiechnięta albo – śmieszna? Czytelnik „Ciemności” co chwila parsknie śmiechem – fenomenalny humor jędrnych dialogów, znakomitych, choć prostackich konkluzji. Obscena i natrętne skojarzenia z seksem, wszak jesteśmy seksualni, wszak okresy erotycznego spełnienia i trwania w ufniej relacji są prawie u każdego krótkie, króciutkie, dorywcze, urywane, rozproszone, zmielone maszyną kultury jak dumne drzewo w masę do produkcji cepeliowskich laleczek drewnopodobnych, sformatowane i oklejone etykietkami, co wskazane, a co naganne.

Cepelia albo raczej może... rzeźnia? Klient antykwariatów i śmietnisk nie inaczej jak jego odpowiednik z eleganckich księgarń, wraz z ich ofertą dnia, ma krótki termin używalności i ulega metamorfozie. Otóż jest w „Metamorfozach” Apulejusza pewien stary temat, zaczerpnięty jeszcze z Lukianosa z Samosaty nad Eufratem, o którym bizantyński leksykon „Suda” mówił, że będzie on *wraz z szatanem spadkobiercą ognia wiekuistego*: człowiek tam mianowicie poszukuje czarodziejki; chce zostać ptakiem, jednak staje się osłem.

Chce być Erosem, staje się Priapem – co zdiagnozował Pascal Quignard w „Seksie i trwodze”. Już w złotym wieku Oktawiana Augusta, zgorszonego bezwstydem Owidiusza, nastąpiło największe upowszechnienie priapejów w literaturze rzymskiej, pisali je wówczas Horacy i Tibullus (u tegoż nutą wiodącą jest zgubna namiętność twórcy względem kolejnych dziewcząt, Delii i Nemezis, oraz młodego mężczyzny Maratusa), a w kręgu poetów skupionych wokół Mecenasa powstał zachowany do dziś, anonimowy zbiór 85 utworów stylizowanych na ludową poezję, acz chlubiących się polerownym kunsztem literackim, pełnych odwołań m.in. do Eratostenesa, matematyka, który wyliczył odległość Księżyca od Ziemi i jej obwód.

Ale mity to wiedza archetypalna. Postacie u Karolewskiego zachowują się priapicznie, myślą priapicznie i jak osły, ostatnie osły, z oślim uporem. Chciałoby się rzec, iż nawet w swoim ptasim wcieleniu zamiast wzlatywać pod niebiosa – leżą, zamiast śpiewać, zamiast pobudzać wraz ze wschodem słońca, infekują, intoksykują, są nie tyle duszą, co raczej chorym podbrzuszem duszy – psychiki, jeśli ktoś woli. Tą psychiką jest nasza planeta. Psychika ludzka obejmuje wszelkie formy, Ziemię też.

Człowiek musi więc zakładać grube jednorazowe rękawice, używać folii, łopaty, musi poskromić chęć pożywienia się ogryzkiem z ziemi podtrutej ptasią padliną, i to nawet kiedy słania się z niedożywienia. Nie może padliną ptaka niebieskiego napalić sobie w kopciuchu – nocą marznie więc albo pali papiery. Beduini palili ogniska na wygrzebanych mumiach (na pustyni brakuje drewna, huraganowy wiatr natomiast odwiewa wydmy z ruin). Inkwizytorzy palili

ogniska na herezji i czarostwie, na księgach zakazanych. Po drabinie z nieheblowanych szczebli wpychano ofiarę na chybliwą platformę – tam szarpnięciem odwracali ją i krępowali ręce z tyłu. Blask stosu roztopiał mgły poranka. Naziści może właśnie te same okolice, po jakich snuje się ktoś w „Ciemności”, oświecali płonącym Heinem, choć niewykluczone, że i Kafką. Heinrich Chaim Heine cierpiał z powodu miłosnego odtrącenia, Franz pisze (stosuję czas teraźniejszy, jedyny rzeczywisty, kafkowski): *Miłością jest dla mnie i to, że ty mi jesteś tym nożem, którym ja w sobie grzebię*. Bohater „Ciemności” kocha wciąż opłakiwaną Umarłą, nieodzowną w labiryncie ksiąg, w śmietniku mądrości, w metamorfozach mądrości i u początku Ptasiej Genesis naruszeniu owocu wiadomości dobra i zła.

A zapewne i w życiu rzeczywistym, jak je nazywamy.

Powrót bólu przywraca czucie tam, gdzie groziła martwica. Jesteśmy przecież ciałem. Nie znamy własnych konturów inaczej niż poprzez to, czego dotykamy. Masa, nawał ksiąg, to masa zapożyczeń, pewników pośpiesznych, które – wystarczy lada wstrząs – a zmieniają się w węzowisko znaków zapytania. Nie wiemy nawet, czy „nasz” czas lokuje się na końcu osi czasu cywilizacji względnie życia planety, czy też w jej... rozwidleniu. Czy nasze osobiste „dzisiaj” jest u końca tej osi, czy w bezpiecznej, więc myśleniem niedotykanej odległości.

Skoro mowa o czasie, o jakimś minionym czy też nadchodzącym eonie, o jakim wiemy tylko tyle, co dzikus z Platońskiej jaskini mógł mniemać o świetle niepokalanie czystych Idei, to śpieszę uspokoić Czytelnika: Karolewski bawi się prognostyką, bawi się historiozofią w poczuciu, iż ze świata czy minionego, czy teraźniejszego, czy mającego dopiero nadejść rozumiemy tylko tyle i tylko to, co rozumiemy w sobie, we własnej podświadomości, pod betonową czapą intelektu, bez względu na to, czy chcemy swoje jasne komnaty opierać na lśniącej posadzce, na froterowanej podłodze, na PCV, na polepie czy na klepisku. „Ciemność” to bez wielkiej przesady kraina strychów, komórek, piwnic, korytarzy w nieczynnych urzędach, wszędzie niewidzialne półki pełne książek i, dodam, urokliwych bibelotów, i ekskrementów, i wybroczyn, zupełnie jak gdyby coś zdmuchnęło ścianę dzielącą górę i dół, ciało i duszę.

Śmietniki też bywają w Ciemności uwolnione. Bawią się.

Ptaki to więc my sami; ptak, spośród zwierząt najbardziej niezależny od człowieka, w dawnej Grecji synonimiczny z wróżbą, a dokładniej – znakiem od Niebian, stał się alegorią duszy i ducha, a nawet Ducha Świętego – jako gołębica, identyczna z tą, jaką oznajmiano boginie mezopotamskie, kananejskie i syryjskie i z jakiej uczyniono atrybut greckiej Afrodyty – bogiń skądinąd „straszliwych”, władczyń Podziemia. Śmierć przedstawiano w sztuce jako skrzydlatego, acz mrocznego Amora – Tanatosa. Możliwe, że kroczącego w ciele

osła... Nie mogąc żyć w zdewastowanym środowisku, ptaki (i wszelkie zwierzęta) obdarzają planetę swoim umieraniem.

Zgęstnieniem śmierci.

Chmura ptactwa to przeliczne ja każdego z nas z osobna. Ba, pijaniuski kretyń nad śmietnikiem to także nasze ja. Jak w baśni ośmiela popatrzeć w lustro uspokajającym zapewnieniem, że na cokolwiek natrafimy, było, czyli wcale nie jest, a było dawno, dawno temu, nie za naszej pamięci i nie tu, ale za górami, za lasami, za siedmioma rzekami. Głupiec więc z takiego dystansu czy wiedźma z sękatym nosem okazują się mądrą albo i świętą matką, wciąż żywą w nas animą. A diabeł przyjacielem i kto wie, czy nie zbawcą, jak w baśni o biednym Jaśku, który poszedł się powiesić, a że był człek robotny, pobożny, to diabeł, co na jego duszę czekał pod zawieszonym sznurkiem, zdziwiony drapie się po szczecinie na pysku.

– A niby czego obwiesić się chceta?

– A, bo moja stara – z babskiem wytrzymać nie można, fffu, nawet diabeł ucieknie.

Diabła to ukłuło:

– Diabeł wytrzyma, ho, ho, niejedno.

– A zakład?

– A zakład!

Owszem, w przestrzeni psychiki śmieć okazuje się skarbem nad skarby. Nie do pominięcia. Ale literatura też jest w sytuacji Głupiego Jasia, musi skłonić się nawet przed glistą tak jak kapłan przed skarabeuszem. Tylko wtedy otrzymuje ten znamieny Inny wzrok, wyrozumie Inną mowę. Książki są niczym robactwo. Mnożą się, mnożą. Ruchliwe. Mówi jedna z postaci „Ciemności”: *Jeśli powieść ma być święta, to musi trwać i iść dalej, przyglądać się własnej dekonstrukcji, jak stary człowiek, który wie, że zmierza do śmierci, i wie, że wszystko było nieważne i niepotrzebne, a to, o co tak zabiegał, nie różni się od kropli białej farby wpadającej do kubła z taką farbą.*

W biel przeto.

Kobieta-puenta? Kobieta z mozaiki „Ciemności”? U podobnie cierpiącego na obsesję antykwariatów i pism świętych Anatole’a France’a w „Tais” upadek cnotliwego pustelnika dokonał się w pustynnym grobowcu, rozjaśnionym podczas snu – gdy we śnie dziewczyna z fresku otwiera oczy szeroko, wzdycha, przeciąga leniwie ramiona, ma goły brzuch, a piersi kuliste, pręży je, zbliża się i szepce omal tymi samymi słowy, co Bogini w „Ciemności”: *Jestem boginią bez oblicza i nigdy nie dowiesz się ostatecznie, czy to ja, czy jeden z tych golemów, które cię otaczają. Więc pieśń jej stopy z nadzieją i czcią, że pobłogosławię cię mym spojrzeniem.*

Tylko że w przestrzeni sakralnej, w nie-świadomości być pobłogosławionym to być pomazanym, to być ukąszonym. Ojcom pustyni kobieta kojarzyła się z wężem i tę stronę księgi-ciasteczka (jak z widzenia Ezechiela – słodkiej jak miód z padliny lwa, w jakiej zaległy się pszczoły) – ten aspekt podnoszono u schyłku wieku XIX, w epoce, kiedy Zachód chciał się już wykonać z otuliny seksualnej czystości, jaka dusiła chrześcijaństwo. Kusicielka więc zdradziecko, szyderczo uwodziła i porzucała, odbierając niewinność. Karolewski ujrzy w swoim podświadomym Klubie Bibliofilów twarz lalki Barbie. *Miała w pół otwarte usta (...) Huśtała nogą w czarnej pończoszce z wystawioną do ucałowania stopą. – Całuj, całuj, powtarzała bezgłośnie, samymi ustami w zaciętym mechanizmie.* Wydawca „Ciemności”, Jacek Franco Horezga, odkrywa tutaj archetypalną scenę zaślubin króla Artura z Ginewrą: w katedrze, gdzie ostrołuki są z leśnych drzew splecionych koronami, a na ołtarzu głowa krwawa Cierniem Ukoronowanego. A to jest jednak kolor rdzy. W tle krąży jak Gołębica Święty Graal, a tylko jego kontury, jak może i całego kosmosu Wrocławia tu animowanego, miasta jako takiego i ksiąg czy też znaczeń samych w sobie, i człowieczeństwa są rozmyte.

Czytelnik zresztą to wyczuwa. Wraz ze swoją boginią podąża Śmietniskiem jak przez widne mieszkanie. Jest ono labiryntem, grobowcem, bezdrożem, szklanym kloszem Sylwii Plath, Układem do Składania, grą Szklanych Paciorków – domem ascetycznego zakonu intelektualistów, w jakim Gra wymaga, jak u Hessego, lat ciężkich studiów muzycznych, matematycznych, analizy historii kultury, choć w gruncie rzeczy jest jednak abstrakcyjną syntezą wszelkich sztuk i nauk, opanowywanych po to, by uzyskać zwodniczo szacowny stopień wtajemniczenia „magister ludzi”, mistrza gry. Zabawy słodkiej z zardzewiałym mechanizmem, który chce się z nami całować.

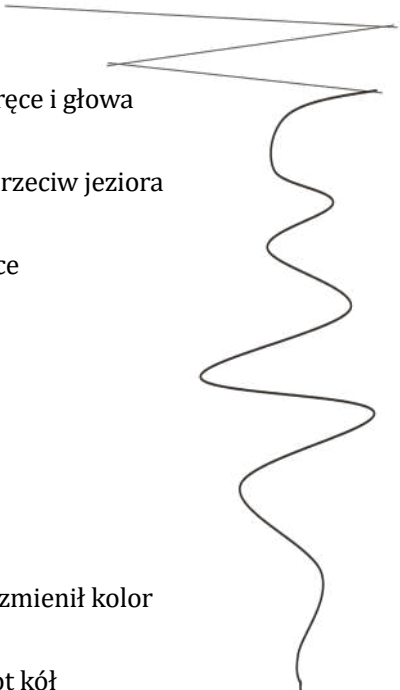
Wchłania więc czytelnik „Ciemności” tę porywającą, a prostą narrację, w ciemności dając upust wesołości. Świetlisty happy end ostatniego „Ciemności” zdania dodaje siłę, bo nie chodzi o hipotezy ani tezy, lecz o własny monolog.

Rozbiły na rozdziałiki, na mikroszenografie „Ciemności”. Milczące tymi jej przenikliwymi hałasami, tymi jej tanecznymi lejtmotywami, ni to z Wagnerskiej opery, ni to z Becketta, ni to ze śmietnisk Harlemu, gdzie nawet ludzie są czarni – czarni, kiedy grają dark jazz, na kanwie swoich elementarnych melodii, perełek wolności muzyki i mitu czarnego jeszcze ładu wolności, które potem walają się na ulicy, pośród ptasiego trupstwa, zamienione w winylowe płyty, owo marzenie młodych, pięknych, niewinnych, muzykalnych, czujących każdym nerwem, że filozofia to tylko miłość, tylko pasja, choć wyraża się egocentrycznie i zgrzyta mechaniczną szczęką intelektualnego manekina. O wadze

utworu decyduje piętno – siła, jak to wyraził Agamben, *która w procesie tworzenia stworzeniu się przeciwstawia i niszczy je, jak przeciwstawny motyw melodyczny, zamykający usta natchnionemu aniołowi.*

Stanisław Karolewski, *Ciemność*, Wydawnictwo Odmienne, Brzeg 2023.

kobiety pod jednym niebem



wiosła poranią
gdy spieczone ręce i głowa
obowiązek naprzeciw jeziora
póki czeka i chce

tak nagle
zielony kamyk zmienił kolor
uderzył o stukot kół

nigdy bym się nie odważyła
utopić tak lekko
zabłądzić pod taflą
bezgłośnie osuwać się w dół

nigdy bym nie porzuciła
zdziwionych ust
nieletnich otwartych źrenic

nade

wiśnie kwitną
na wschód od tramwaju

po przebudzeniu
przed deszczem

tam gdzie śnieg nie był
wystarczająco śmiertelny

bitą śmietaną i niebem

błądzą

spieszysz się

będę

będziesz

zasłaniać

oczy

prze...sny

od rana ze śniadaniem
przy splecanych ścianach
czeka na wiatr co rozgoni
krople i plamy
ciemne skłębione
obrazy w jej głowie

łóżko niepewne
wzgardzone jak człowiek
bez moich snów
jej powiek
łóżko ten żywy byt
wolny człowiek

ze słońcem twarzą w twarz
przegrywa wysoki strach

blask stwarza zasłony
w których łatwiej się chronić
ten sam odcień i wzory
ten sam próg szelest dłoni

woda

musisz być dzielna
cała pogrążona w tęsknocie
aż po lasy góry i śmierci
za siedmioma kontenerami
za siedmioma smutkami innych kobiet
za ich szczęściem nieodkrytym
po wszystkie wiersze

gdyby nie ono
nie odkryłabyś wody na Marsie



Ewa Andrzejewska, z cyklu *Karkonosze* (czyt. s. 192)

Jolka albo Wrocławska Abrakadabra

Moje życie to przemieszanie jawy i snu, dzieciństwa niezmaconego złem i dorosłości pełnej improwizacji niczym w dzieciennym teatryku. Moja matka niespokojna, ciekawa świata, pełna pasji w doprowadzeniu mnie do bram wszechświata podejmowała każdą dodatkową pracę, by związać koniec z końcem i chociaż raz w roku wyjechać ze mną nad morze. Jedną z nich było czuwanie w domach lub mieszkaniach, gdzie niedawno ktoś zmarł. Podziwiałem ją za to, że nie boi się śmierci. Wychodziła czasem na cały dzień. Brała małą walizeczkę i oprócz osobistych rzeczy wkładała doń porcelanowy talerzyk, świecę, kartkę papieru oraz karty do pasjansa. Kiedy zostawałem sam, moje sny najczęściej stawały się niespokojne. Śniło mi się, niezależnie od tego, czy było to lato, czy zima, że wielka zaspą śniegu wysypuje się do pokoju, wypełnia go, wspina się na stół, a potem my, oboje z mamą, siedzimy naprzeciwko siebie i jemy ten śnieg jak lody z małych kamiennych kokilek. Innym razem deszcz padał tak długo, iż w końcu przelał się przez okna do pokoju. Napęczniałe książki, gazety pokrywały wówczas mokrym kożuchem całą przestrzeń pokoju, a mama jak na slapstickowym filmie w przyspieszonym tempie nadmuchiwała materac. Później wypływaliśmy przez otwarte okna na ogródki działkowe i alejkę, a tam setki materacy naszych sąsiadów wynurzały się z zalanych domków i mieszkań. I tak krążyliśmy jakiś czas pomiędzy dachami zatopionych budynków, dopóki woda nie opadła, a sen skończył się zwykle ostrym dzwonkiem budzika.

Gdy byłem sam, oprócz snów miewałem też trochę wolnego czasu, wtedy najczęściej malowałem. Ostrzyłem kredki i rozkładając duży blok rysunkowy, kreśliłem linie, z których potem wychodziły lub nie drzewa, dziwne chaszcze lub ruiny. Czasem, kiedy zbyt energicznie pociągnąłem kredką, linia zawieszała się na sąsiadującym z naszym strychem dachu. Później, nie zamykając nawet oczu, wyobrażałem sobie, jak przez taki wiszący most przechodzą do nas mrówki, chrabąszcze i biegnące truchtem biedronki. A czasem to tylko cisza wypełniająca poddasze i tajemnicze skrzypienie naostrzonej kredki mieszały się ze sobą, tworząc dźwięki

zapadającego zmierzchu. Czerń nocy układała się pomiędzy jak zwinięty koc na parapecie, który mama w czasie ulewy wkładała między okna, by nie spotkał nas sen z pływającymi na materacach sąsiadami. Dopiero potem dowiedziałem się, że ludzie określili to wyobraźnią symboliczną i przysiągłem sobie korzystać z niej do woli przez całe moje życie, aż do końca moich dni. Nawet wówczas, gdy tą ostatnią wyobrażoną sobie sytuacją będzie moja własna śmierć.

W związku z tym moja mama była ciągle zabiegana: jak nie pilnowała pustych mieszkań albo domowników, to robiła bilans lub dziwne statystyki. I nie gotowała, również jak nietypowa kobieta w naszej dzielnicy. Biegałem więc z „trojaczkami” do pobliskiej knajpy pod dźwięczną nazwą „Metalowiec”, by zamówić dwa gotowe obiady. Nie bardzo lubiłem tam chodzić, gdyż popołudniami knajpa ożywała podniesionymi do rangi tubalnych krzyków głosami jej robotniczych bywalców. Bałem się ich ostrego zapachu, przypominającego śmierdzący zepsutą wodą z kanału strumyk biegnący po pobliskiej łące. Mając strach w oczach, zanurzałem się w ich świat pełen przekleństw, przekraczając próg lastrykowej podłogi.

Podobały mi się te „pierdolone kurwy” rzucane w powietrze. Poznałem je już wcześniej. Kiedy mojej mamie od czasu do czasu „wysypywał” się bilans, podobne słowa wypadały z jej ust i ulatywały w powietrze przez otwarte okna. Podchodziłem powoli do okienka, gdzie przyjmowano zamówienia. Chciałem uciec, ale głód i zapachy dochodzące do mnie z kuchni działały jak ta „ośmiorniczka” z reklamy, przytwardzając mnie na amen do tego miejsca. Gdy szedłem w krótkich spodenkach, w lekko przydużej koszuli (mama kupowała na zapas o dwa numery za duże), ich szorstkie twarze rozjaśniały się dziwnym uśmiechem, a do oczu powracała ta dziwna jasność, która pojawia się, gdy słońce oślepia nas swoim blaskiem. Teraz po latach wiem, że przez ten jeden moment, gdy przechodziłem koło ich cuchnących roboczych strojów, gumowców i przepoconych flanelowych koszul – oni na ten jeden jedyne moment wracali do swego dzieciństwa; pełniłem rolę ich własnego o sobie wyobrażenia. Potem, gdy wychodziłem i spoglądałem na nich przez ramię, wszystko powracało powoli do kształtu pospolitej szarzyzny.

Od tamtego momentu wiedziałem już, że cuda i bycie jak najdłużej dzieckiem uwzniośla nas i doprowadza na szczyty dobroci, powodzenia i zwykłej ludzkiej zazdrości. Dlatego już wówczas postanowiłem chorować jak najdłużej, zostawać w każdej klasie, chociaż szkoły nie cierpialem, a czarna tablica przypominała mi wielką klepsydrę, na której kiedyś nauczyciele wywieszają mój osobisty nekrolog mówiący o tym, że jestem tumanem i że nie zdam już do następnej klasy, ale ten obraz był mi wtedy na rękę.

Kiedy już czułem, że jestem mężczyzną, a poczułem się nim w momencie, gdy sikając obok koleżanki w krzakach, mój członek zeszytniał na moment, wprowadzając mnie w konsternację, a ją w stan podwyższonej ciekawości. Do tego stopnia, że wychylając się z kępy krzewów, upadła nagle w pokrzywy, z szycją wykrzywioną w moją stronę. Wiedziałem już, że ją pierwszą zaproszę do domu pod nieobecność matki. Drugi raz było to wtedy, gdy z podarowanej przez dziadka lornetki obserwowałem duży dom wybudowany naprzeciw naszych okien. Po drugiej stronie płotu dzielącego nasze podwórko od tej willowej dzielnicy, w której mieszkały bogate dzieci lekarzy, prawników, nauczycieli lub „zwykłych złodziei”, jak mówili moi sąsiedzi, twierdząc, że takich domów nie można zbudować uczciwą pracą, bo oni też pracują uczciwie i nie stać ich nawet na kupno ogródka, a już nie mówiąc o wczasach nad morzem. Więc któregoś dnia nudząc się, a to nie było takie zwykłe nudzenie, bo już nie chciało mi się czytać ani słuchać radia, a muszę zaznaczyć, że jeszcze wtedy nie mieliśmy telewizora, wziąłem lornetkę i zacząłem obserwować okna willi.

Nie pamiętam już, czy to był piątek czy sobota, ale na pewno nie poniedziałek, bo wtedy zawsze szliśmy do miasta na zakupy, po skończonej pracy mamy, i to był mój najszczęśliwszy dzień tygodnia. Gdy nagle więc wyostrzyłem „wzrok” lornetki, dostrzegłem w łazience naprzeciwko kobietę, która prawdopodobnie weszła do niej, aby wziąć prysznic. A zapomniałbym wam wspomnieć, że był wrzesień, tak jak dzisiaj gorący i słoneczny jak najpiękniejsza polska jesień. Weszła, widziałem, jak zdejmowała sukienkę, potem została w samej halce. Nagle do łazienki wszedł młody mężczyzna, pewnie jej mąż, i nie patyczkując się, przycisnął ją do wanny. Opierała się przez moment, ale po chwili odchyliła się do tyłu, a, niestety, firanka zasłaniała mi resztę widoku. Widziałem tylko, że porusza się czy raczej chwieje, to w przód, to w tył. Trwało to może z dziesięć minut, gdy mężczyzna oderwał się od niej, wytarł ręcznikiem i wyszedł. Poczułem znowu mrowienie w całym ciele, a szczególnie sztywniejący członek uświadomił mi jakieś tajemnicze doświadczenie towarzyszące tej scenie między kobietą i mężczyzną, podpatrzonej przeze mnie w łazience. Pomyślałem sobie wówczas cieplej o mojej koleżance z klasy i postanowiłem zaprosić ją do siebie na poddasze i również „przycisnąć” do wanny. Albo przynajmniej tak jak na filmie bodaj „Polowanie na muchy”, który udało mi się podglądać, udając, że śpię, usiąść obok niej w wannie...

Odłożyłem lornetkę, ale przed snem jeszcze raz do niej zaglądnąłem, lecz obraz w soczewkach był czysty. A tamten z łazienki zniknął, co uświadomiło mi ulotność tego, co widzimy, i przekonało, że takie obrazy trzeba przechowywać w pamięci, bo może potem przy jakiejś okazji wyciągnięte z zakamarków pamięci ocalą moją wiarę w sens szczęśliwego magicznego życia.

Zaprosiłem Jolkę pod pretekstem pożyczenia jej książki. Prawie razem przekroczyliśmy próg mego domu i przez moment, kiedy w przejściu otarłem się o jej twarde załążki piersi, poczułem się niczym dorosły mężczyzna. Włączyłem gaz, żeby było nam cieplej, ogniki pełgały po ścianach jak zwinne, ciekawe wszystkiego jaszczurki. Zasłoniłem okno, tak jak wtedy w lornetce, sam teraz mogłem współtworzyć tamten obraz. Zrobiło się cicho, zdjąłem ze ściany dużą blaszaną wannę i gumowym węzem zacząłem napełniać ją wodą. Jolka przeglądała jakąś kolorową gazetę.-

- Mogę cię rozebrać? – spytałem znienacka.

Słyszałem od kolegów, że dorośli tak zawsze robią, kiedy chcą być dla siebie dobrzy i mili, szczególnie w wolną sobotę. Nie protestowała, kiedy ostrożnie zdjąłem jej bluzkę, skarpetki i sandały. Zaciekawiona patrzyła, jak układam je drżąco na krześle obok moich spodenek. Byliśmy teraz tylko w majtkach, jej niewielkie cycuszki i brodawki dopiero pączkowały, co wydawało mi się nie tak ciekawe jak to, co ma poniżej. Mój ptaszek pulsował pod szortami, ale zauważyłem, że wcale nie patrzy na mnie z takim zainteresowaniem, jak wtedy tamta kobieta w lornetce. Nie wiedziałem, kto z nas pierwszy ma zdjąć z siebie resztę rzeczy, i usiadłem w wannie, pokonując strach przed zimną wodą. Wtuliłem się w jej brzeg i patrzyłem, jak Jolka wchodzi powoli do wody, wzdrygając się przed zimnem. W powietrzu czuć było palący się gaz, nasz młodzieńczy wstyd i plusk wody. Usiadła naprzeciw mnie, podkurczając kolana.

- I jak, fajnie, prawda? – zapytałem, czekając na twierdzącą odpowiedź!

- Nie wiem, ale zimno mi, chcę iść do domu! – odpowiedziała, szczękając zębami.

- Wiesz, widziałem w jakimś filmie, jak mężczyzna wziął prześcieradło i nakrył nim wodę, a potem zanurzył się pod nim, a kobieta leżąca w wodzie śmiała się i unosiła je do góry.

- I co z tego? – odparła Jolka, szczękając zębami przez zaciśnięte wargi.

- Nie wiem, ale to było fajne! – rzekłem pewny siebie jak prawdziwy dorosły.

Nie liczyłem, ile czasu upłynęło, zanim wyszedłem z wanny, mokrymi stopami znacząc ślady, i wyciągnąłem z kupki bielizny przeznaczonej do magla wielkie białe prześcieradło. Nakryłem nim wannę; opadło na lustro wody, część wchłonęła od razu wilgoć i zaczęło opadać na dno, ale fragment, pod którym siedziała Jola, unosił się jak baldachim lub latający dywan; chwyciłem drugi koniec i nakryłem się nim z głową. Nasz wzrok i oddechy spotkały się nagle jak na tamtym filmie.

- Chcę już do domu, chodźmy już, moja mama niedługo wróci – rzekła cicho Jola. - Co będziemy dalej robić? Jest mi zimno! – dodała.

Sam nie wiedziałem, co dalej z tym wszystkim zrobić, wiedziałem tylko, że dostanę w skórę za mokre prześcieradło i plamy na podłodze. To, co chciałem zobaczyć, kryło się za przylegającymi do jej ciała mokrymi fałdkami różowych majteczek, miało wypukły kształt i podobne było do pulchnych wałeczków ciasta, jakie moja matka wałkowała zawsze w sobotę. Nagle dzwonek przerwał naszą rozmowę, ciszę i jej szept. Znieruchomieliśmy oboje.

– Jola, jesteś tam? Otwórz, chodź już, obiad na stole! – Matka Joli prawie krzyczała pod drzwiami, chcąc wzbudzić w nas panikę, strach lub całą winę. – Wiem, że tu jesteściiiiiiiiieeeeeee!

Przyłożyłem palec do ust:

– Ciiiiiiichhhhoó bądz, zaraz ssssooobie pójdzie...

Jolka przygryzła wargi na mokrym końcu prześcieradła i z tym strachem w oczach, który wypełniał teraz jej twarz, wyglądała niezwykle tajemniczo i bardzo kobieco... a napływające do kącików oczu łzy dodawały jej bajkowego, nieziemskiego piękna.

Dzwonienie w końcu ustało, a my, jak tylko mogliśmy najszybciej, zaczęliśmy się ubierać. Po raz ostatni popatrzyłem na nią wzrokiem mężczyzny z lornetki, jak ubiera na mokre majteczki sukienkę, a na stopy próbuje naciągnąć podkolanówki. W jednym sandale wybiegła do przedpokoju, przekręciła klucz w zamku i weszła na klatkę schodową. Zacząłem mimowolnie rękami wylewać wodę z wanny. Po nosem mamrotałem wszystkie znane mi zaklęcia z dzieciństwa: Abrakadabra, hokus-pokus, czary-mary...

Chciałem choć na moment odwlec od siebie i Joli karę oraz winę za ten straszny moment, kiedy nasze matki spotkają się, by wyjaśnić sobie nasze zniknięcie, zamknięte drzwi i brak odpowiedzi na ich wołanie...

Poczułem, że to nie był ten moment, kiedy powinienem poczuć się jak dorosły. Cała ta wyreżyserowana sytuacja przerosła moją wyobraźnię, nie wiedziałem, jak ją dalej poprowadzić, ale ciekawość dziewczęcego ciała, jego zapach i te dwie pulchne fałdki podobne do wałeczków ukryte przed moim wzrokiem jeszcze długo śniły mi się jak jakaś nieprzekraczalna granica. Podniecająca ciekawość tabu, które wtedy dorośli starali się ukrywać przed nami niczym jakiś niezwykle talizman. Skarb, do którego tylko oni posiadali odpowiednie zaklęcie, wprawiające ich w stan niezwyklego podniecenia i napięcia. Od tej pory uważałem lornetkę za narzędzie niezwykle, łączące obrazy naszego dzieciństwa z ich dorosłością. Z roku na rok coraz starszą, samotną i pozbawioną jakichkolwiek wyższych uczuć...

ze zbioru *Wrocławska Abrakadabra*



Wojciech Zawadzki, z cyklu *Olszewskiego 11* (czyt. s. 192)

Noktowizor

Tam Ojczyzna, gdzie źle; bo gdzie tylko w Europie jest ucisk Wolności, i walka o nią, tam jest walka o Ojczyznę, i za tę walkę bić się wszyscy powinni.

Adam Mickiewicz, *Księgi narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego*

Pomyślcie, ilu ludzi w zielonych moro, ilu młodych ludzi zlewa się swoją młodością z młodym lasem i gra w zielone! Podobni do wiosennej demonstracji ziemi uderzającej w barwę zmartwychwstałego życia. Ochotnicy do „zielonej” Ukrainy, do kochanej dziewczyny! Pomyślcie, jak dobrze im iść w zielone, z jaką radością – więcej – z miłością do wolności iść w zieleń ojczystych łąk, pól, w zieleń wsi i w zieleń miast, jakby śmierci nie było, chociaż maskuje się i przybiera – jak to śmierć – obraz martwej natury. Po co im iść? Dlaczego się narażać? Czy to ich praca i sposób na życie, iść pod kule wroga? A miejsc, gdzie wolność wzywa, gdzie się męczy katowana, mnóstwo na drodze.

Prawie wszystko posiada analogie. Jest w analogiach jakaś siła, konspekt i respekt razem wzięte, zmieszane z krwią rodzinną, z pradziadkiem w mundurze w kolumnie wojska polskiego w Kijowie odbitym z rąk bolszewików. Dla 26 letniego Sławomira Jary, bolszewicy stali się ruskami. Stali się czymś zgoła namacalnym jak drzazga wbita w palec. Hej, wszystko Polsce ma swoje analogie do wolności i do jej ciemności, można rzec, znanych tutaj od dziada pradziada. Analogii nie szukaj w krajobrazie, ani w domach i ulicach miast. Nie ma analogii wśród rzeczy martwych. Analogia wyrasta z życia duchowego. Nie dziw się, że Polak napisał te słowa: „Ukrainiec razem z powietrzem stepów wciągnął w siebie miłość swobody tak nieograniczonej, dzikiej, i bujnej, jak stepy same”¹. Uwaga porządkująca: Sławomir nie zastanawia się zbyt czasochłannie nad psychologicznymi aspektami zawołania „bić ruskich”. Jak wielu woli to zawołanie wcielić w życie i ma ku temu możliwości, jako były żołnierz wojska

1 Henryk Sienkiewicz, *Ogniem i mieczem*, t. II., s. 226.

polskiego. A możliwości w tym względzie podsunął mu pradziad Wacław, jeden z niepoliczalnej rzeszy prapradziadków, którzy rozbili w perzynę rosyjskie armie w 1920 roku, a narodom Rzeczypospolitej przynieśli wolność. Dlaczego nienawidzę ruskich? Sławomir Jary sam sobie stawia to pytanie. Zastanawia się, bo nienawiść źle mu się kojarzy. Owszem, nienawiść jako taka jest niedorzeczna, oślepia snajpera, odbiera inteligencję i rzeczowy, chłodny osąd sytuacji. Nawet wtedy, kiedy ruski wydaje się pokonany i rzucony na kolana jak car Szujski przed królem Stefanem Batorym pod Pskowem (Jan Matejko tę scenę jako żywą genialnie odmalował). W swoich życiowych planach, w swej układance na życie Sławomir usłyszał głos prapradziadka Wacława, który w bitwie gołą ręką wyrwał szablę ruskowi i ściągnął go z konia. I choć krew lała się z jego dłoni jak z kranu, to chwycił kacapa (podobno nie ma lepszego określenia na ruskiego jak kacap), podniósł do góry i grzmotnął nim o ziemię. Zdobył przydomek Kilimandżaro od najwyższej góry Afryki, bo w całym pułku nie było wyższego od niego. Sławomir nie przypuszczał, że będzie miał okazję i sposobność dotrzymać tradycji – z dziada pradziada – i dopaść ruskiego, który na Ukrainę się zaparł, aby ze swoim watażką Putinem wojnę rozpętać na nieszczęście świata całego. Dopaść ruskiego! Dopaść Putina! Ilu specjalnych agentów – z *licence to kill* – poluje na niego jak na bin Laden. „Załatwcie go” – życzy marines prezydent USA Joe Biden. „*Wanted*” żywy czy umarły.

Rozana Mostiuk zwolniona z aresztu po wywóźce z Mariupola prosi Sławomira o przysługę. Właściwie to bez jej prośby nasza historia mogłaby się rozmyć, rozproszyć w tysiącach podobnych opowieści o losach uciekinierów z Ukrainy. Jednak w tym przypadku jest inaczej. Rozana mogłaby go poprosić o zabicie Putina, toteż by jej nie odmówił, mogłaby go owinać wokół małego palca jej ślicznych dłoni i Sław czułby się szczęśliwy, tak się w Rozanę wluubił. Poprosiła go, aby odebrał jej mamę i siostrę z granicy w Medyce. Pojechał bez wahania. Na granicy widzi solidarność Polaków z Ukraińcami, widzi sprawną organizację służb państwa polskiego. Widzi też rozpacz i gniew Ukraińców. W exodusie Ukraińców do Polski dostrzega fatum dziejowe, które od wieków przychodzi z Moskwy. Zawozi panią Alinę Mostiuk, mamę Rozanny i siostrę Sabinę do Warszawy. W radiu słyszy prezydenta Wołodymyra Zełenskiego, którego głos przypomina mu zachrypniętą, tragiczną mowę prezydenta Warszawy Juliusza Starzyńskiego z września 1939. Prezydent Ukrainy zachęca do wstępowania do międzynarodowego legionu ochotników przy ukraińskich siłach zbrojnych, do walki z rosyjskim najeźdźcą. Sławomir podejmuje decyzję.

Gęste, czarne włosy, ciemne okulary, maska na twarzy. „Jestem «Zorro»” – mówi o sobie Sławomir, uśmiechając się pod wąsem. Najbardziej lubi swoje buty, biało-szare, sznurowane, wysokie, znacznie powyżej kostki. Przypominają obuwie bokserów w ringu. Mundur w zielono-białe plamy, niby malowany pędzlem Moneta. Na naramiennikach dwie miniaturowe flagi, biało-czerwona i żółto-niebieska. Na piersi znak Polski walczącej zwany kotwicą. Udało się. Został zweryfikowany. Jest w międzynarodowym legionie. Poznaje kilkunastu Polaków. Głośne jest nazwisko Tomka Walentka, znanego mistrza mieszanych sztuk walki, który bohatersko zginął na froncie. Widzi pomoc z Polski w różnych odsłonach. A to czołgi T-72, a to wozy bojowe piechoty, a to armatohaubice na gąsienicach, czyli słynne „kraby”, zaś chwile posiłków umilają polskie racje żywnościowe, z których korzysta ukraińskie wojsko. Szarooki Oleg łamaną polszczyzną mówi: „Gdyby nie Polska, to ta wojna mogłaby wyglądać zupełnie inaczej”. Przed oczami Sławomira bezkres równiny aż po horyzont – jak Dzikie Pola. Widzi Ukrainę przez pryzmat „Ogniem i mieczem” z czasów wojen Rzeczypospolitej z rebelią Chmielnickiego. „Szli krajem tak zniszczonym, że częstokroć po całych dniach żywej duszy nie mogli napotkać. Miasteczka leżały w perzynie, wsie były popalone i puste, lud wybity (...) Trupy tylko spotykali po drodze, szkielety domów, kościołów, cerkwi, niedogarki chat wiejskich i psy na zgłiszczach wyjące”². Niestety, opis z książki zgadza się z tym, co widzi. Zabudowa wiosek i miast w ruinach, spalone samochody, zbombardowane budynki szkół i dopalające się cerkwie. Ten sam złowrogi krajobraz co u Sienkiewicza. Przez szczelinę transportera ogląda straszliwą scenę. Koparka na swojej wielkiej łyżce wiezie zmasakrowane ciała zabitych podczas niedawnego bombardowania. Dawna nazwa „Zaporoże” to w tej wojnie wielki niepokój o bezpieczeństwo atomowej elektrowni w tym mieście, a nie bezludne stepy na brzegach dolnego Dniepru, poniżej porohów, aż do mórz Czarnego i Azowskiego, jałowe nieużytki, gdzie zamieszkiwał lud koczowniczy Pieczyngów i Połowców, a potem Tatarzy, a od szesnastego wieku istniała założona przez Kozaków Sicz na wyspie Chortycy. Sław myśli o panu Wołodyjowskim i Zagłobie, o Bohunie. Słyszy śpiew maszerującego plutonu, zupełnie jak w powieści: „Bude sława sława / Pomeż Kozakami, / Pomeż druhami, / Na dowhija lita, / Do kińca Wika...”³.

– Nasze drony latają z tamtej strony – zauważa sierżant Achtion i pokazuje oddalony o kilometr las. – Ten to nasz – uspokaja. Achtion jest w hełmie, usta ma przesłonięte chustą. Ubrany jest w mundur o barwach ochronnych w postaci

2 Ibidem, s. 202.

3 Ibidem, s. 37.

plam szaro-białych, zlewających się z brązowo-szarymi odcieniami „dzikich pól”. Dron zwalnia. Opada miękko i pewnie jak sokół na wyciągniętą rękę przewodnika Achtiona, który przykleknął z gracją, witając lądującego po udanej akcji, całego i zdrowego „zwiadowcę”. Scena jak z filmu pokazująca więź łączącą inteligentną maszynę i człowieka. To porozumienie i zaufanie otwiera wiele możliwości. Dron zwiadowczy podaje współrzędne, wykrywa położenie i ruchy wojska przeciwnika, a przede wszystkim przekazuje namiary do artylerii. Mały, pudełkowaty korpus, dwie pary skrzydełek po bokach ze śmigielkami: jedna z przodu i druga z tyłu. Przyleciał znad rosyjskich pozycji. Jego rozpoznanie jest bezcenne, przy tym nie naraża zwiadowców. To żołnierz-robot, przykład technologii, która zmienia oblicze wojny. Achtion troszczy się o drona, który włącza zielone światła, prosząc o wzmocnienie i przywrócenie energii, więc podłącza ładowarkę i – co najważniejsze – przed nowym zadaniem zwiadowczym musi zmienić szyfr, aby rosyjscy szyfranci nie wykryli jego pozycji. To nie trwa długo. Achtion zabiera drona i oddala się na otwartą przestrzeń pola. Podnosi prawą rękę, z której lekko odrywa się, szemrając śmigielkami, po czym przyspiesza i oddala się jakieś sto metrów. Zatrzymuje się i zawisa w powietrzu, jak karszun polujący na gryzonie. Ten trwający kilkanaście sekund manewr w stronę pozycji ukraińskich jest dla zmylenia wroga. Albowiem nagle z dużą szybkością oddala się w przeciwnym kierunku w stronę pozycji wroga. Achtion przez parę sekund obserwuje lot drona i wraca do oddziału.

Zaczyna się ostrzał artyleryjski, który wywołuje potworny stres. Wybuchy prowadzą do paniki. Artyleria niszczy wszystko, nie tylko w miejscu, gdzie trafia pocisk, gdzie głęboki lej zniszczył życie i rozrzucił szczątki z ogromną prędkością, pocisk razi otoczenie rozżarzonymi do białości odłamkami. Przewaga Rosjan wynika z artylerii. Nie ma nic gorszego niż ostrzał raketowy. Jak to przetrwać? Jak utrzymać pozycję, a przede wszystkim ocalić siebie? Pozostaje zaufanie do dowódców, rozpoznanie artylerii rosyjskiej i większa skuteczność artylerii własnej, wzmocnionej nowoczesną bronią z NATO. Sławomir – z sercem w gardle – pada na ziemię. Dobrze, że ma hełm i kamizelkę kuloodporną. Nie można zrobić nic więcej. A jeżeli trafi we mnie? Wtedy ani hełm, ani kamizelka, nic nie jest w stanie ochronić, zwłaszcza gdy nie schowasz się w okopie. Może się uda i pękający pocisk mnie ominie. Gdy spadnie blisko, porazi odłamkami. Sław widział, co robią odłamki z żołnierzem. Każdy żołnierz, gdy ktoś do niego strzela, stara się ratować swoje życie, to instynkt samozachowawczy. Ostrzał mija. Wycofują się do lasu. Drzewa mają jeszcze pełno liści. Co będzie zimą, kiedy liście opadną? Teraz las ukrywa przed wścibskim okiem drona, maskuje wojsko

zieloną plandeką. Jak się ukryć przed dronami wroga? Sław nie potrafi sobie tego wyobrazić. A zimy tu srogie, mroźne i śnieżne. Idealne są namioty z termoizolacją i ogrzewaniem, lecz wyposażone w termowizory drony bez problemów je namierzą.

Leżą na pozycjach od siedmiu godzin. Czekają na odpowiedni moment, a dokładnie na rosyjską kolumnę pojazdów z ciężkim sprzętem. Sławomir jest na pozycji przy grząskiej, błotnistej, zajeżdżonej drodze w pobliżu linii kolejowej prowadzącej do Kijowa. Jest ich dwunastu. Sławomir i pięciu z nim będzie strzelać do kolumny. Sześciu ich zabezpiecza. W końcu „są” idzie z ust do ust. Nadjeżdża kolumna pojazdów. Czekają na rozkaz. Sekundy trwają wieczność. Pada komenda: „Ognia!”. Niszczą kilka pierwszych maszyn. Palą się. Pokrywają ich ogniem karabinowym. Pojazdy z przodu kolumny stają w miejscu. Nie mogą się wycofać ani skrócić w bok, blokują całą kolumnę, uniemożliwiają przejazd pozostałym. Cała akcja trwa tyle, co wystrzelenie magazynku. Rozkaz do szybkiego odwrotu i zmiana pozycji. Odbiegają za sierżantem w zarośla i padają. Czołgają się dalej. Szybka zmiana pozycji uniemożliwia ruskom skuteczną reakcję. To zagrywki partyzanckie. Przy ataku Rosjanie panikują. Część z nich ucieka. Pozostali podejmują walkę. Rosyjscy dowódcy wybierają kwadrat, na którym znajdują się atakujący, namierzają i przesyłają namiary do swojej artylerii, która szybko pokrywa wskazany teren ogniem. Ale ich już tam nie ma. Kończą akcję i wycofują się zgodnie z planem. Niszczą potencjał wroga skutecznie i bez strat własnych. Rosyjskie dowództwo nie patrzy na straty własne jak za czasów drugiej wojny. Masa czerwonoarmistów przebiega do przodu po trupach kolegów. Choć to inna wojna, wysyłanie tysięcy młodych mężczyzn na śmierć budzi grozę i zdumienie na całym świecie. Tylko nie w Rosji. „Nienawidzą nas – stwierdza sierżant – kłamią, że to Ukraińcy mordują Rosjan i zagrażają, dlatego nie wahają się używać zakazanej konwencjami broni. Palą fosforem i rażą bombami kasetonowymi. Fosfor przepala wszystko, nie można się przed nim zabezpieczyć – kiwa głową sierżant. – Gdyby nie Polska – stwierdza – ta wojna wyglądałaby inaczej, gorzej dla nas”. Oddział Sławomira dołącza do maszerującej kompanii. Jakiś tęskny głos począł śpiewać w tylnych szeregach: „Jedziesz na wojnę, nieboże, jedziesz na wojnę, noc ci będą na dworze, a dzionki znojne...”. Idą przez las wzdłuż czarnej ściany lekko szumiących drzew. Las może być schronieniem, przyjacielem, ale może być zasadzką. Noc bez gwiazd. Są blisko linii frontu. Przechodzą przez pole. Pod nogami ziemia pokruszona, rozorana przez ciężkie wozy bojowe. Nagle czyjaś noga trafia na opór. But zrywa linkę. Wybuch odrzuca żołnierza na dwa metry. Podnosi się. „Padnij!” – rozkazuje sierżant. Wszyscy już leżą. Żołnierz jest

ogłuszony. Zatacza się i wywraca. Zostaje ściągnięty w zarośla i opatrywany. Wycofują się między drzewa. Raptem puknięcie, jakby strzelił korek od szampana. Sławomir słyszy jęk kolegi. Dostał w rękę. To ruski snajper namierzył go w ciemnościach przez noktowizor. Ciemność jest groźna. Jeżeli coś spadnie na głowę. Jeżeli zostaną zaskoczeni, to przez drony lub przez snajpera, który zabija w nocy, a przy pomocy noktowizora z celownikiem widzi lepiej niż sowa. Ruscy widzą ich na celownikach swoich noktowizorów. Rozpoczyna się ostrzał. Bez noktowizorów są zwierzyną łowną. Wróg ma przewagę. Snajper widzi zielonego ludzika, a to wystarczy, aby posłać mu kulkę. Kończy się zabawa w chowanego, gdy przeciwnik ma noktowizory. W takiej sytuacji nikt nie powinien być, żaden żołnierz legionu nie powinien być łatwym celem dla wroga. Dwa noktowizory na cały oddział to trochę za mało. Odpierają atak, ale to strzelanie trochę na oślep – przynajmniej w wykonaniu Sławomira. Czy nie widzą skurwieli. Co prawda Sław otrzymał noktowizor myśliwski od Waldka. Lecz nie nadaje się. W trakcie używania pozostawia czerwony ślad, który zdradza jego położenie. Temat noktowizorów dla ochotników nabiera znaczenia artykułu pierwszej potrzeby.

Sław biegnie dwadzieścia metrów dalej, aby zbliżyć się do czołgu na odległość skutecznego strzału z wyrzutni przeciwpancernej, czyli jakieś pięćset metrów. Czołg bije z działa w innym kierunku. Sław jest dla czołgu niewidoczny. Może go śmiertelnie zaskoczyć. Szykuje ręczną wyrzutnię przeciwpancerną. Potrafi dobrze strzelać z takiej zabawki. Czuje się pewnie. Nie jest to dla niego pierwszozna. Dwa tygodnie wcześniej załatwił ruski czołg. Tego też chce uciszyć. Ręczną wyrzutnię przeciwpancerną kieruje w stronę czołgu. Celownik naprowadza na punkt. Łatwizna, jak na szkoleniu: „wyceluj, odpal i zapomnij”. Trzy sekundy. Teraz! Palec naciska przycisk. Odpala. Wybuch. Dym zasłania czołg. Sław jest przekonany, że trafił. Nie zmienia pozycji przez parę sekund, nie wycofuje się natychmiast do okopu. Popełnia błąd. Czołg odpowiada ogniem w jego kierunku. Eksplozja pocisku wystrzelonego z czołgu w odległości trzydziestu metrów od niego. Pocisk wybucha. Trzepie nim. Odczuwa wstrząs tektoniczny. Eksplozja jest na tyle silna, że fala uderzeniowa zwała go z nóg. Uderzenie powoduje, że łamie sobie dwa palce. Odłamki ranią go, rażą w kamizelkę i hełm. Nie mógł wiedzieć, że jego pocisk eksploduje przed czołgiem, stąd ta zasłona dymna po wybuchu – i nic mu nie zrobił. Jest ogłuszony i ranny. Kolega, Ukrainiec Witali, wyczołguje się z okopu po niego. Ściąga go za „wszarz” z linii ognia i półprzytomnego usadawia w okopie. Świadomość odzyska w pick-upie, którym zawożą go do szpitala.

Na wojnie, jak w życiu, trzeba mieć szczęście. Sławomir, mimo wszystko, nie może narzekać. Powinien być wdzięczny panu Bogu. Otarł się o śmierć i właściwie na nowo narodził. Może o tym opowiadać jak przygodę z wojny. Ma zabandażowaną rękę i płytką ranę pod kolanem. „Za błędy i niefrasobliwość się płaci” – napisze w e-mailu do Rozany. Jest samokrytyczny. Uważa, że szpital wojskowy to najgorszy czas w jego życiu. Ma poczucie, że to przełom. Szpital to miejsce jego przemiany. „Nie mogę tego zaprzepaścić. Wybacz, że Ci to powiem, ale muszę Ci wyznać. W szpitalu czuję się gorzej niż na froncie z towarzyszami broni”. W szpitalu widzi, jak triumfuje rosyjskie zło. Bezradność rannych i cierpiących. Samotność umierających. Tragedia ludzka. Dramat narodu ukraińskiego w obrazach mężczyzn bez nóg i rąk, zabandażowanych kukieł pod kroplówkami. Sław nie może spać, myśli ma skołatane, czuje, że serce walczy o rytm jego życia. „Wolałbym wrócić na front. Znaleźć się w lesie, w nim spać w ściworze na gołej ziemi z kolegami, tak jak spałem przez ostatni miesiąc, niż być tutaj”. Jak to jest, że Sławomir (raczej średnio zainteresowany literaturą piękną) natrafia na wiersz umieszczony w blogu, w którym odnajduje własne emocje. Ukraińska poetka Hałyna Kruk pisze: „ (...) powiedzieć sobie bezlitośnie, / nie chowając się za plecy innych, / nie sięgając za każdym razem po sławę dziadów i pamięć / bohaterów / jak po chusteczkę na patriotyczne łzy i smarki, / nie uciekając w tęskną pieśń”.

Gdy rany się zagoiły, Sławomir przygotowuje plan. Na front może go dopuszczać, ale po rekonwalescencji. Chce dalej pomagać kolegom, przede wszystkim Polakom, z którymi się zaprzyjaźnił. W szpitalu wpada w jego ręce nowiutki noktowizor, który pokazuje mu Achtion. To „palen na cara” (nawiązanie do hrabiego Pahlena, który będąc zaufanym cara Pawła I, zorganizował udany zamach na władcę Rosji) – dostarczyć chłopcom noktowizory. „Wróć z noktowizorami dla chłopaków z międzynarodowego legionu” – postanawia. Ale najpierw wraca do Polski. Noktowizory nie dają mu spokoju. Oni tam na froncie wystawiają się ruskim na cel. Potrzebują ich na gwałt, a to droga zabawka. Kombinuje. Postanawia zrobić publiczną składkę. Zrobi to razem z ludźmi z Fundacji Otwarty Dialog. W tej organizacji poznaje Edka Zasławskiego, który wyjaśni mu, jakie typy noktowizorów są najlepsze i mają najkorzystniejszą cenę. Razem opracują tekst zrzutki, publikując go na portalu Zrzutka.pl. Bardzo szybko ruszają wpłaty. Sław jest wniebowzięty. Reakcje na zrzutkę są poruszające. Ludzie z fundacji żartują, że to jego prywatna/publiczna wojna z Putinem. To pomaga w zbiórce. Staje się popularna w social mediach. Pod adresem: zrzutka.pl/noktowizory darczyńcy nie tylko wpłacają na konto co kto może, ale piszą emocjonalne komentarze: „Wróćcie cali do ojczyzny”, „Gonić to ruskie gówna”, „Na pohybel ruskim

faszystom”, „Powodzenia, chłopaki”, „Trzymajcie się, chłopaki”, „Chwała wam”, „Wpłacam tylko 20 zł, ponieważ pracuję za najniższą krajową, a mam rodzinę na utrzymaniu, ale chcę pomóc”, „Bić Moskali ile wlezie!”, „wróćcie cali do ojczyzny”, „Śmierć orkom”, „Najwyższy szacunek!”, „Dzięki tym dzielnym Polakom hasło «Za Wolność Naszą i Waszą» jest wciąż aktualne”, „Niech żyje wolna Ukraina, śmierć kacapom”, „Jesteście wielcy! Róbcie swoje i wróćcie cali do domu”. A wyjątkowy głos poparcia przysłało z zaświatów: „Nie składajcie broni, póki nieprzyjaciół trzyma jedną piędź ziemi waszej. Nie składajcie broni, póki despotyzm trzyma jedną piędź ziemi wolnej”⁴. Zrzutka chwyciła nadspodziewanie dobrze, zresztą trwa nadal i można wpłacać. Nasi potrzebują noktowizorów. Sław po blisko dwóch miesiącach ma noktowizory w bagażniku swojego volkswagena. Mężczyźni stoją przed volkswagenem Sławomira na parkingu ośrodka rekrutacji do legionu. W otwartym bagażniku leżą pudełka z noktowizorami osobistymi Hi Micro Lynx – efekt zbiórki. Zebrano ponad 200 tysięcy złotych. Dzięki temu Sławomir je kupił i przywiózł na Ukrainę, to 12 noktowizorów. „Po co?” – Sławomir dziwi się pytaniu reportera Onetu. „Aby widzieli wroga w nocy i nie dali się zaskoczyć. Magiczne urządzenie, cud nauki wojennej nie tylko umożliwia widzenie w mroku, ułatwia służbę w nocy, ale ratuje życie, kiedy przez okular zobaczy się zaczajonego ruska. To małe urządzenie, jak lunetka czy opasek cygaro, odbiera promieniowanie światła szczątkowego i przetwarza na obraz, który żołnierz widzi w ciemnościach. Potrzebny jest antyprogram, który zmienia kierunek ruskiej rakiety i działa jak bumerang” – fantazjuje Sławomir. „Powoduje, że ich rakietę wraca do miejsca startu i eksploduje”. „Sztuczna inteligencja nad tym pracuje” – żartuje prowadzący szkolenie rekrutów były oficer Gromu. „Wojny zaczynają zawodowcy, a kończą rezerwiści” – stwierdza.

Wojna na Ukrainie przynosi zaskakujące analogie. Wieloznacznie i aktualnie brzmią ostatnie zdania z powieści „Ogniem i mieczem” napisane przez Sienkiewicza sto trzydzieści dziewięć lat temu: „Opustoszała Rzeczpospolita, opustoszała Ukraina. Wilcy wyli na zgłiszczach dawnych miast i kwitnące niegdyś kraje były jakby wielki grobowiec. Nienawiść wrosła w serca i zatrąła krew pobratymczą”. Czy jednak nie nadeszła pora, aby raz na zawsze odmienić dziejowe fatum?

4 Adam Mickiewicz, *Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego*.

Podszepty wiatru (fragmenty)¹

Niech Anioł ocali nas pod swoimi skrzydłami

Są jakieś cienie w przedsionkach świtu. Oczy sowy po nocnych łowach błyskają w zaroślach. Słońce gra na linii horyzontu sonatę wschodu. Żagle promieni rozkwitają nad równiną. Oślepiająca jasność. Starzy garncarze rozpoczynają pracę, wprawiając w ruch koło. Bezkształtna glina nabiera kształtu dzbana. Nieokreślone uczucie doniosłości. Przemiana w granicach rozumu, w granicach doświadczenia, w granicach twojego serca.

Długi korytarz. Oślepiająca ciemność. Zapominamy o drodze, gubimy kierunki. Wszystko wiruje. Moja wina, twoja wina, nasza bardzo wielka wina. Ani kroków, ani płaczu, ani krzyku. Widziałem cię w pragnieniach na przedmieściach wiosny, na nadmorskich plażach, w zakamarkach zimy.

Wszystko jest nieokreślone. Wszystko jest niedokończone. Każdy dzień. Każda noc. Każdy wiersz. Każda symfonia. Każda miłość. Każde życie...

Prześwity I

Biegniesz po łąkach do swojego lasu. Osiadł już na nich popiół spalonych traw, a może to cmy oślepione słońcem opadły na ziemię albo wiatr porwał pierze z kurnika. Biegniesz ścieżkami myszy polnych, nie wiedząc, dokąd prowadzą. Przez szare powietrze przenikają światełka, mrugają oczami jak nastolatki do kochanków. Stajemy naprzeciw siebie jak dwa kopce ziemniaków ustawione do wiosennych nasadzeń, jak dwie góry osadzone w ciężkim jesiennym pejzażu.

Ulepieni z tej samej gliny, władający tym samym językiem, wzbijamy się w to samo niebo. Całkowicie zimni, całkowicie obcy, otwarci na przyptyw jasnej fali, nasycamy krwią każdy zaułek, każdą skibę ziemi. Wybieramy złote słowa, które jaśnieją, widziane z lotu ptaka.

¹ Fragmenty przygotowywanego do druku tomu *Podszepty wiatru. Krótkie historie*.

Słońce o zachodzie znika majestatycznie za horyzontem. Stajemy w nagim kole, gdzie promień staje się kruchym nasieniem. Spragnieni i syci rozproszeni po ziemi. Podnosimy się wolno z kolejnych upadków. Stajemy się jaśniejsi, coraz bardziej siwi. Pospiesznie szukamy schronienia w ciasnej przestrzeni domu.

Zachowaj w sercu majowe litanie. Nie zastygaj na dłużej nad jedną rzeką, jednym jeziorem, drzewem. Może na chwilę uniesie nas kołującym dźwiękiem niewidoczny Anioł, może słowem czystym sprawisz, że zmieścimy się pod jednym dachem wiersza. Usiądziemy przy jednym okrągłym stole albo biała łódka przeniesie nas na inny brzeg i obudzimy się na słonecznej plaży lub w jednym cieniu, na otwartym polu zapomnimy się i zgubimy. Zapomnimy i zgubimy się na otwartym polu w jednym cieniu.

Północny wiatr

Znowu wieje wiatr i przynosi sztorm. Fale biją w bębny skał, kaleczą brzeg, poruszają falochrony i układają wzory z muszli na piasku. Statki spieszą się do portu.

Światło opuściło nas i wyciekło z zatoki.

Wiatr zawraca nas z drogi, powala drzewa i zatapia kutry.

Wiatr zapyla kwiaty, przenosi nasiona i rozsiewa życie.

Wiatr gra na rynnach i blaszanych dachach. Złęknione ptaki wychylają głowy z rozkołysanych gałęzi. Pochylamy się, pulsujemy w bólu i toczymy się po bezkresnej równinie. Popychani przez chmury, poganiani wiatrem, budujemy strzeliste dachy domów. Sadzimy wokół drzewa. Bielejemy zasłuchani w podnoszące się zasłony świtu. Przecieramy oczy. Rozciągamy ciało i sprawdzamy, czy krzyż jest na swoim miejscu, czy kręci się głowa.

Nawiedzeni przez noc. Nawiedzeni przez dzień. Przeczujemy nadchodzącą jesień i odchodzącą miłość. Podchodzimy do drzwi i otwieramy je szeroko z nadzieją, że słońce rozproszy cienie.

Wiatr to przekleństwo. Wiatr to nadzieja.

Prześwity II

Weszliśmy w okrąg słońca w samym środku brzozowego lasu. Wyzwoleni od cienia, który podąża za nami o świetle. Wyzwoleni od cienia nocnych latarni. Las drży w najciemniejszym zakątku. Świeci polana konwalii. Trzeba tam przejść przez pole przebite deszczem. Trzeba przepłynąć jezioro.

Ile nadziei w nas było.

Sadziliśmy drzewa po obu stronach asfaltowej drogi. Zawsze widzę tam ciebie w słonecznych okularach. Wyblakło tamto lato i jesień. Nikt się nie mylił. Nic się nie stało. Jaskółka przelatywała nisko nad nami, jakby chciała przysiąc na otwartej dłoni. Przeźroczysty pejzaż rozświetlony snopami skoszonego żyta.

Pamiętam tamte sady, które mijasz. Czasem pochylam się nad nimi we śnie. Te niedokończone świty. Te niedokończone zachody słońca. Zapisane światłem na starych pergaminach. Wykute w stali. Wryte w sercu. Każde echo odpowiada tym samym tonem. Co nas zamknie? Co otworzy na wybuch światła? Wszystko czeka, aż nasze ręce połączą brzegi.

Podszepty wiatru – sierpień

Słońce wytrwale zapisuje historię w słojach drzew. Słój po słoju, słój po słoju. Upał odchodzi, jak zmęczony starzec. Słoneczność jeszcze jest na skałach i na trawach.

Koniec sierpnia – w przestrzeni wybrzmiewa symfonia pożegnalna Josepha Haydna. Zamknięty w dolinie Bobru kościół milczy, stał się przystankiem dla przelatujących na południe ptaków. Możesz zatrzymać się na chwilę i patrzeć, jak odlatuje z nimi lato.

Zapowiedź nocy – wydłużają się ostatnie cienie wzgórz i drzew. Chłopi traktorami zjeżdżają z pól i zwożą pierwsze plony. Bydło asfaltową drogą posłusznie, po sznurku wraca do obory. Zmierzch przybiera niczym rzeka po intensywnym deszczu. Ale tam! Ale tam! Kałuże krwi. Tu i tam! Tu i tam! Sierpień kradnie ostatnie maliny. Nagle ciemność i cisza!



Wojciech Zawadzki, z cyklu *Moja Ameryka* (czyt. s. 192)

Prometeusz dotyka ręki

Po morskich falach biegnie światło nieśmiałe jak pierwszy pocałunek. Okno pokoju szeroko otwarte, promień przenika szarość, naświetla: łóżko, szafę, stół. Drzwi szczelnie zamknięte. Usta jak w gorączce. Bezgraniczne pożądanie pełźnie. Co zrobisz z miłością – zaskoczy cię wiosenna burza. Jasny piorun uderza. Czy jesteś najwyższym punktem na równinie? Udasz, że jesteś ślepy, że nie widzisz, jak oplata czułymi spojrzeniami? Wszystko, co niemożliwe, staje się realne tylko teraz i na ulotną chwilę. Wiatr omywa wykute z brązu ciała. Ty i ja to dwa słońca.

W jakim odcieniu morza wzrastam? Jaka barwa unosi w obłoki? Niknę w łuku tęczy wraz z zaćmieniem. Co powiem, co zrobię, kiedy otrzymam drugie życie. Upuszczę łąkę radości, która spadnie w czarną ziemię. Wejdę na latarnię morską i będę krzyczał na cały głos: *Jestem, jestem, jestem!*

W starych kutrach przyplływają dawne obrazy. Czy pamięć może zabić? Każdej nocy umierasz. W każdy poranek zmartwychwstajesz, a Ziemia dalej kręci się dookoła. Las rozpływa się, mgła gęstnieje i zanika.

Oto biegiesz przez świetlistą łąkę po nieznanych śladach do rzeki, nad którą płoną świeże wrzosy. Rzeka dzieciństwa unosi mój zamek z piasku. Wybrańcy losu przed upałem chowają się w cieniu. Szare wróble harcują w kałużach. Prometeusz dotyka ręki i przenosi na nieznany ląd.

W porcie

Wszystko czeka na nas: las za wioską, góra za lasem, ptak w powietrzu, ryba w wodzie, kobieta z obiadem. W każdy dzień, kiedy słońce wstaje, rozprasza się mrok i przestrzeń wypełnia się wielobarwnym dywanem, przyciągając nas – stada owadów. Ziemia jest wielkim głazem. Grawitacja utrzymuje w stanie równowagi. Opuszczamy wymoszczone kopce.

Po kruchym promieniu poruszamy się w przestrzeni we wszystkich kierunkach. Zapisujemy złotymi literami w sercu sukcesy i porażki. W porcie świeżo pomalowany prom faluje leniwie na wodzie, świeci jak pierwsza stokrotka na wiosennej łące. Spuszczone w dół schody zapraszają:

Wejdz, zostaw wszystko, popłyn na drugi brzeg.

Nic nie jest proste. Wszystko wymaga wysiłku: każdy krok, każde podanie ręki. Odpływam. Na brzegu wyciągnięte rączki dziecka świecą jak rozbite słońce.

Wizja – nic więcej
Allen Ginsberg, *Kaddysz*

Rama

Wychodzi z gęstych cieni lustra, w którym świecą czarne okna. W świetle wieczoru lustro błyszczy niby panna młoda w welonie. Światło lampy stworzone z kilku kwantów przygasa jak dawne pożądanie. Na zewnątrz budynki toną w ciemności. Czuję zimny oddech wiatru napływającego znad gór. Mity prześlizgują się pomiędzy kroplami. Kto sieje mgłę, zbiera deszcz, rozmywa pejzaż. Czy to niewidomy żebrak odzyskał wzrok, czy tylko w bezkresnej czarnej dolinie księżyc przebija się przez szarość? Spragnieni zemsty czają się za arkadami lub w tunelu, gdzie niknie światło; są o krok, o sekundę, o błysk, o myśl, o trzydzieści srebrników bliżej.

Obraz w ramie. Dom w ramie. Miasto w ramie. Góra w ramie. Ocean w ramie. Dziecko w ramie. Matka w ramie. Krzyż w ramie. Bóg w ramie. Rama w ramie.

Może myślisz biegnący po jej linii, że jest ślepą pułapką lub zgromadzonym ładunkiem pamięci, pozorem prawdy. Może wkładając nagą rękę w mrowisko, odkrywasz nowe warstwy bólu, żeby wyzwolić się i zapomnieć o dawnym, żeby zgubić koszmar, wyleczyć duszę, wyrzucić z siebie niewolnika.

Rama z drzewa. Rama miłości. Rama nienawiści. Rama pozorów. Rama wiary. Rama rozumu. Rama poezji. Rama dramatu. Rama kłamstwa. Rama z żelaza.

Strumień słów, rzeka słów, majaki znaczeń, brzęczą stada głodnych komarów. Nawet jedna wiosna jest za krótka, żeby poeci wypełnili wszystkie metafory. Wiosna budząca przyrodę do życia napełnia śpiewem wszystkie uszy i złotym miodem wszystkie ule. Znaczy równinę krzyżem umierającego Boga. Wszystkie dźwięki lasu ponadczasowe, niepokalane unoszą nas w przestrzeni, małe drobiny kurzu, żeby w końcu opaść na wybielone lustro jeziora. Co jest solą? Co ocala to niekończące się poszukiwanie miłości w sobie, w tobie?

Rama trójkąt. Rama prostokąt. Rama kwadrat. Rama elipsa. Rama koło. Rama bólem. Rama grobem. Rama nadzieją. Rama sercem. Rama wyzwoleniem.

Na corocznym przełomie lata

Zabarwić czerwienią wschód słońca, idąc przez wysokie mosty. Wzrastają horyzonty. Bezgłośnie przeciskamy się przez szczeliny przestrzeni na corocznym przełomie lata. W każdej ciemności, która rodzi światło, szukamy ziarna. Czekamy narodzin nowej gwiazdy na niebie. Wygasły dawne wulkany. Krążą w powietrzu okruchy popiołu. Drga obraz w zamglonym starością oku. Snuje się nieć babiego lata.

Jakim byłem kamieniem? Jaką grudą soli?

Szukałem w przedświtach twojej twarzy. W odcieniach szarości napotykałem posągi antycznych bogów. Nie mamy pewności strzelistej w sobie. Nie ma jej ptak w powietrzu ani ryba w wodzie. To odbicie cienia w lustrze wody rozplywa się. Wszystko przeźroczyste, nieskończone. Wielki wiatr życia od wieków nagina drzewa. Łamie nas w zenicie jak zapałki. Przeszywa ostrym ścięciem mrozu.

Co bierze nas w ramiona? Wiatr unosi liście nisko nad ziemią. Jakie zachwyty? Jakie lęki? Jakie nuty grają w sercach, kiedy pęka nieć Ariadny?

Jeszcze spragnieni niesiemy na końcu suchego języka ostatnią kroplę – słowo.

Bracie siedzący na stacji metra w stolicy. Siostro lecąca samolotem nad oceanem. Jeszcze niesiemy w sobie to światło, które łączy. To światło, które ocala. Kiedy równinę przenika chłód, lawa zastyga. Kamienne tablice Mojżesz znosi z Syjonu.

* * *

Odprowadzałem wiatry na skraj lasu. Na otwartej równinie świeciło bezkresne słońce – dla ciebie, Dedalu.

Jesień tuż za progiem

Wiatr przychodzi wieczorem na podwórko, głaszcze trawnik przed domem, czesze igły w modrzewiach i przytula się do słonecznika zwróconego w stronę zachodzącego słońca. Sprawdza, czy w psiej budzie słodko śpią miesięczne szczeniaki.

To słodkie dzieciństwo pod okiem wszytkowidzącej matki.

Przygania misiowe i ptysiowe chmury na niebie. Wywraca plastikową miseczkę na mleko i płoszy czarno-białego kota. Zagląda przez okno do kuchni i obserwuje, jak babcia Marysia przyrządza powidła śliwkowe na zimę.

Gra przez godzinę na uszkodzonej rynnie budynku, po chwili ucieka za starą stodołę. Ukrywa się pod wielkim bazaltowym kamieniem i zasypia.

Podszepty wiatru – listopad

Z drzew znowu opadły liście – wysuszone w słońcu szeleszczą pod naszymi nogami. Powracamy na cmentarze. Przechodzimy wąskimi ścieżkami pomiędzy grobami. Zapalamy świece i z zamkniętymi oczami odmawiamy modlitwę za zmarłych.

Kiedy zamykamy oczy, świat się kurczy. Zmarli szepczą do ucha:
Jesteś gwiazdą na niebie, na którą czekamy.

Na skraju jeziora trzciny tańczą na wietrze. Przelatująca ważka przebiła srebrną igłą przestrzeń. Szron pomalował trawy na białe. Bezdomni śpiący w parkach nocą przymarzają. Gwałtowne niżej i wyżej przetaczają się nad nami.

Przyszłość staje się coraz bardziej nieprzewidywalna.

Światłoczuły

Liść odsłania światło pod naporem wiatru. Wyrastasz z drżącego cienia jaśniejący, coraz bardziej dojrzały, z gwiazdką śniegu w oku. Nikogo tu nie ma.

Równina wypełniona szumem czterech wiatrów. Rzeka wiję się jak obzarty wąż. W zamieci brzegu kwili kacze pisklą. Oracz kroi bruzdy stalowym pługiem w czarnej ziemi. Co zdradza jego słabość? Chwiejność myśli, pewność ruchu. Promień dzieli przestrzeń.

Dokąd biegiesz po kruchym świetle? Wokół góry gałęzi, podobne do ośnieżonych kop siana. Mkniesz nieznanymi ścieżkami, przedzierasząc się przez coraz bledsze profile, coraz cichsze noce. Sny to zmatowiałe srebra. O świetle ptaki skarżą się wiatrowi, że w nocy przyniósł ostry chłód, małymi skrzydłami rozpraszając chmury na niebie dla skrawka ciepła.

Bramo światła, źrenico oka, poranna łza, co rodzi się z długich zapatrzeń, spływa po ciepłym policzku. Wyostrza soczewkę wzroku. Otwiera stare lasy, gdzie na polanie słońca skrywają się wszystkie cienie. Ucieczki w prześwity, w zakamarki szarości, w szczeliny ciemności. Małe i wielkie potknięcia. Nie uronić kropli, przeniknąć do kryształowej kuli.

Ślad tego światła jeszcze długo będę zachowywał w sobie. Zwolnienie rytmu, zwolnienie tętna. Wąskie pasma odchodzącej jesieni unoszą pocałunek krótszy niż przypadkowy dotyk ciał, jak zerwanie kwiatu, jak przecięcie żył. Nikłe światło jeszcze tli się we mnie, dla ciebie.

Prześwity III

Może jeszcze zaświeci na niebie słońce. Małe szczeliny lodu przemieni w wartkie strumyki, a szarość zniknie w kroplach majowego deszczu, ogrzeje przemoknięte gniazda. Coś się załamię. Ktoś się odnajdzie, szukając w lesie dzieciństwa kwiatu paproci. Od gwiazd oderwie się kruchy meteor, wyrzeźbi w równinie ciemny krater, zrodzi w morzu falę tsunami.

Jeszcze odkrywamy wewnątrz ciemne księżyce, nabieramy wiatru w żagle. Gorąca kometa wpada do naszego serca, później rozkwita jak kwiat orchidei. Nasze wiosenne pochody, od rzeki do lasu, od góry do góry. Krok po kroku przybliżamy się do siebie, kładąc na szali wagi coraz cięższe słowa. Staramy się, żeby nasz głos był słyszalny, żeby dotarł wszędzie jak wartka woda podczas powodzi.

Nasze oddechy, nasze oddechy jak krzyki rozbitków. Powietrze i przestrzeń jaśniej. Nie ocala miasto zbudowane z kilku kresek w piasku. Szukając słów, przyplwam do tych samych brzegów, przychodzę do tych samych gór, rzucam te same kamienie. Za każdym razem odkrywam w lesie nowe cienie, nowe zmarszczki w wodzie i iskry unoszące się nad ogniskiem. Zachowałem nadzieję i oczy pełne światła.



Ewa Andrzejewska, z cyklu *Tatry* (czyt. s. 192)

Objawienie

Wszystko, co widzimy lub co nam się wydaje, jest tylko snem w śnie.

Edgar Allan Poe

Sierpniowa, lekka noc. Półprzytomny, w pozycji poziomej, unoszę głowę. Błady przedświt. Wnętrze wypełnia dziwnie połyskujące ciemne światło. Naraz widzę, jak z mojego ciała wyłania się biała, lotna substancja, która natychmiast przyjmuje postać eterycznej, młodej i pięknej kobiety. Struchlałem olśniony. Wszystko dzieje się zniecka, jak w filmach Polańskiego. Chwilę później już stoi naprzeciw, w pełnej krasie, milcząco patrzy mi w oczy. Podchodzi, całuje w usta i... rozpływa się. Nieoczekiwanie, nagle znikła.

Nasze spotkanie trwało ledwie minutę czy dwie. Nie pamiętam jej cielesności, smaku warg, zapachu. Miała lśniącego, przezroczystego „ciało”, lniące włosy. Oczarowała mnie szmaragdowa zieleń jej oczu.

Czułem silny pociąg do światła. Każdy blask był celem głębokiego wglądu. Pożądanie światłości stało się moją potrzebą, niemal obsesją. Urok miał mrok rozcięty jasnymi smugami światła. Wciągała ciemność. Podziw wzbudzał świt, gdy noc unosiła się jeszcze w powietrzu, a dzień jeszcze nie nastał.

Skupiłem wzrok i wchłaniałem promienie. Oddychałem światłem. Namietność, zauroczenie ciepłem białozłocistej barwy całkowicie mną ośwładnęły.

Oniryczna wizja z tego czasu: *Duży pokój na strychu. Nerwowo łażę po domu. Pakuję się. Dostałem wiadomość, że muszę uciekać. Idę ulicą z górą rzeczy, z obrazami, walizami. Gubię i rzucam wszystko po drodze. Wchodzę na owalną arenę. Na widowni stoją po jednej stronie postacie ubrane na czarno, po drugiej na białą. Długie tuniki i nieruchome twarze. Dostojne sylwetki przypominają rzymskich senatorów. Waham się: zostać z nimi czy iść dalej? Idę na środek placu. Wokół rozstawieni są naprzeciw siebie wojownicy o wyglądzie samurajów, w zbrojach czarnych*

i białych. Wszyscy skupieni, nieporuszeni, gotowi do boju, który lada moment się zacznie. Przechodzę szybko pomiędzy nimi, obok trybuny Białych, przez szeroką, pustą ulicę. Mozolnie podnoszę wrota garażu starej kamienicy. Wchodzę wprost na białą plażę. Biegnę ku wiszącemu nad horyzontem Słońcu. Unoszę się wyżej i wyżej. Światłość otula mnie troskliwie, przenika i pochłania.

Późną jesienią udałem się na kilka dni do Utrechtu, do miasta, z którym łączyła mnie szczególna więź. W środku nocy, niczym lunatyk pogrążony w transie, poczłapałem do hotelowej łazienki. Stałem przed lustrem, uważnie patrząc na odbicie twarzy. Skupiłem wzrok na oczach. Ciemność rozjaśniały światła uliczne. Zamarłem w bezruchu. Po dłuższym czasie intensywnej koncentracji zauważyłem wąską smugę światła wzdłuż lewej strony twarzy. Blask wolno rósł, tworząc rodzaj snującego się srebrzystobiałego, mglistego obłoku. Po kilkunastu minutach zaczął słabnąć, by w końcu całkowicie zniknąć.

Owo nocne, tajemnicze przeżycie rozпалиło we mnie wielką ciekawość. Słyszałem o iluminacji, nie wiedziałem jednak, czym ona tak naprawdę jest, jak się ujawnia i po co. Z pasją zgłębiałem dzieła nauk tajemnych, szukając wiedzy o nadprzyrodzonych zjawiskach, duchach czy magii. Z tego czasu zostało kilka notesów, wypełnionych drobnym pismem i rysunkami. Symbole, poetyckie metafory, dziwne doktryny i wizje. Żadnych istotnych opisów objawienia czy iluminacji. Pewne wskazania ukryte były w sentencjach i krótkich tekstach wtajemniczonych ludzi duchowych.

Nocą wyruszałem w niezwykłą podróż w głąb samego siebie. Istotną rolę w ceremonii introspekcji miało lustro. Magiczne zwierciadła od zawsze były bramą, przez którą wyzwolona z ciała dusza mogła przejść na „drugą stronę”. Tylko niektóre posiadały czarodziejską moc. Stałem się tajnym ekspertem od magii luster. Urzekły mnie dwa nobliwe zwierciadła wiszące w korytarzach pobliskiego muzeum. Pokazywały niezwykle głębokie, uduchowione odbicie.

Wybrałem lustro na drzwiach szafy stojącej w dużym, kwadratowym przedpokoju. Odbijało całą postać. Byłem zwrócony twarzą do lustra, w odległości jednego do dwóch metrów od niego. Z lewej był wschód, z prawej zachód. Na komodzie z boku ustawiłem świecę, która oświetlała moją lewą połowę twarzy.

Podczas jednej z pierwszych introspekcji wydarzyło się coś osobliwego. Stojąc przed lustrem, zauważyłem nadlatującego, wyrośniętego mola. Cały iskrzył

i świecił. Frunął wolno, okrążył mnie i nagle z dużą prędkością wpadł do szklanej tafli. Zniknął w niej, powodując rozbłysk światła na szkle. Ten niezwykle wyczyn świetlistego mola wyzwolił w moim zwierciadle szczególne właściwości i stał się widowym znakiem istnienia świata po „drugiej stronie lustra”.

Przekonany o magicznym znaczeniu mojego lustra, stałem przed nim, nieporuszony jak posąg, skoncentrowany na odbiciu twarzy. W istocie wchodziłem mocą skupienia lewego oka w swoje odbite prawe oko. Ten niezwykle trik był możliwy tylko dzięki magii zwierciadła. Ledwie widoczny blask tęczy zachęcał do wędrówki, do ukrytej w głębi materialnego ciała duchowej Jaźni.

Długa, niebezpieczna droga, z której nie ma odwrotu. Nie wolno wrócić do labiryntu codzienności, nie można się zatrzymać czy przetrwać podróży. Takie dostałem intuicyjne zalecenia. Nie dałbym temu wszystkiemu rady, gdyby nie tajemniczy, wewnętrzny Głos.

Mój głos, lecz jednocześnie nie mój. Tak jakbym słyszał kogoś drugiego, siedzącego w moim umyśle. Początkowo słuchałem go z nieufnością. Szybko jednak został moim zaufanym doradcą i przewodnikiem. Nieznanym mistrzem. Miał już „do końca” zostać ze mną. Pytałem go, kim jest. Nigdy nie uzyskałem jednoznacznej odpowiedzi. Mówił, że jest mną, lub milczał.

Nocna introspekcja stała się z czasem intymnym, uroczystym aktem rytualnym. Stałem nago lub ubrany w długi do kostek czarny szlafrok. Migotliwe światło świecy oświetlało wynurzające się z ciemności uduchowione formy mebli. Ciągła koncentracja i niemal szalone oczekiwanie na cudowne objawienie powodowały napięcie psychiczne. Moje zwykłe mieszkanie stopniowo nabierało baśniowego nastroju. Ciemność lśniła tajemniczo, jakby też była światłem. Powietrze gęstniało. Robiło się ciepło. Pojawiały się nagle, nie wiadomo skąd, punktowe blaski na ścianach, na meblach, wszędzie. Rosły i pękały jak ogniste róże. Słysząc było dziwne odgłosy, postukiwania, czasem głośnie, miarowe kroki. Każdy dźwięk był niezwykle donośny i wyraźny, niósł z sobą wibrację przeszywającą ciało i umysł.

Czułem tę długą, niebezpieczną drogę. Relację z wędrówki przekazywał mi lapidarnymi zdaniem towarzysz Głos. Polecenia, jakie wtedy otrzymałem: „Idź dalej” / „Skup się” / „Uważaj” miały istotne znaczenie. Obecność Głosu nadała tej, w istocie „niewidzialnej”, podróży cech realnych. Miał on wpływ na moje emocjonalne zaangażowanie. Wzbudzał ciekawość. Mój udział w grze polegał na

sterowaniu mocą skupienia, zgodnie z intencją Głosu. Na przykład słowa „Teraz biegnij!” oznaczały maksymalną koncentrację. Reagowałem na jego słowa bez namysłu, odruchowo wykonując wszelkie, nawet najdziwniejsze zalecenia.

Każdej nocy rozpoczynałem introspekcję od miejsca, w którym poprzednio ją ukończyłem. Jakbym kopał niewidoczny tunel. Przekonany byłem, że idę po mojego świetlanego Sobowtóra, aby go wyprowadzić na świat. Stojąc w miejscu, poruszałem nogami, symulując chód czy bieg. Całym sobą brałem udział w pielgrzymce do swego wnętrza.

Kładłem się dopiero po wschodzie słońca albo w samo południe. Po krótkim śnie znów byłem pełen cudownej mocy. Walczyłem z każdym przejawem senności. „Nigdy nie zamykaj oczu” – brzmiała jedna z ważnych zasad, wielokrotnie wygłaszanych przez Głos. Nie odczuwałem zmęczenia, przygnębienia czy fizycznego bólu.

Dopiero po dwóch miesiącach introspekcji, licznych nocach wytrwałego oczekiwania zacząłem wolno emanować światło. Ktoś niewidzialny gwizdnął mi wprost do prawego ucha, dając sygnał do najwyższego stopnia skupienia. Zdrętwiałem. Stałem nieporuszony, w mglistym, świetlanym obłoku.

Iluminacja zaczynała się zawsze wokół głowy i twarzy. Początkowo łagodna, stopniowo rosła, obejmując prawie całą postać. Najwięcej blasku szło od oczu. Znajdowałem się w stanie uniesienia i niemego zachwyty. Traciłem ciężar ciała. Wisiałem w przestrzeni, stając się świetlistą istotą. Nie mogłem myśleć, poruszać nawet palcem. Byłem poza ciałem, poza materią, poza zwykłym czasem.

Ostre smugi światła szły w poprzek, z dołu w górę. Jakbym był skanowany albo oczyszczany. Całe wnętrze wokół mnie, meble, lustro, ściany wydzielały tę samą srebrzystobiałą iskrzącą substancję. Krawędzie przedmiotów traciły ostrość, rozmywały się w pulsującym blasku. Wszystko przeistaczało się w jaskrawość.

Wokół zapalonej świecy tworzył się barwny krąg – świetlista mandala. Jej centrum był płomień, z którego z dużą prędkością wylatywały ogniste, ostre jak szpilki złote promienie. Masywny brzeg kręgu miał kolor żółty, przechodzący w ceglasty. Na zewnątrz był intensywnie błękitny. Jego wielkość zależała od jaskrawości płomienia, ta zaś od magicznych mocy. Niektóre kręgi osiągały nawet pół metra średnicy. Pokaz trwał ledwie kilka lub kilkanaście minut.

Podczas seansu introspekcji wszystkie kolory, błyski, płomienie czy kształty rzeczy nabierały intensywności. Dźwięki były wyraźne i przenikliwe. Powietrze mgliste, nasączone rozproszonym światłem. Czasem przezroczyste. Jakby czymś naelektryzowane. Panowała niezmacona, ponadczasowa, uroczysta cisza.

Misterium objawienia odbywało się zawsze głęboką nocą, w ciemności i milczeniu, gdy świat zastygł w głębokim śnie. Sama iluminacja trwała godzinę, dwie, nawet trzy. Rozpoczynała się między drugą a trzecią, gdy nad horyzontem pojawiała się Wenus. Zanikała krótko przed wschodem Słońca.

Zdarzały się noce, nawet tygodnie, podczas których nic się nie działo. Innym razem światłość była niezwykle intensywna. Nie miałem żadnego wpływu na program objawienia. Nigdy nie wiedziałem, nie mogłem nawet przypuszczać, co może się jeszcze wydarzyć. Moje życzenia i przewidywania niemal się nie spełniały.

Podstawowym warunkiem udziału w tajemniczym spektaklu była koncentracja, milczenie umysłu i bezruch ciała. Aby być obecnym w duchowym świecie, musiałem utrzymać ciągły, intensywny wgląd w samego siebie. Gdy przerwałem koncentrację – przerywałem także łączność z „tamtym światem”. Wracałem do materialnej, zwykłej rzeczywistości.

Moja zdolność widzenia uległa dziwnej metamorfozie. Podczas introspekcji mogłem dostrzec również to, co działo się wokół mnie. Eteryczne postacie chodzące po mieszkaniu czy świetliste istoty wpadające znienacka przez okno. Kątem oka patrzyłem na płonące białym płomieniem dłonie. Ogień znikał, gdy odrywałem wzrok od tafli lustra. Ręce robiły się zwyczajne, ze skóry i kości.

Fizycznie stałem na podłodze, ograniczony miejscem i czasem materialnej przestrzeni, w stanie niemal ciągłej koncentracji. Miałem jednak wrażenie lekkiego unoszenia się, jakbym chciał wyjść ze sztywnego ubioru – ze swojego ciała. Oczy mocno błyszczały. Rosnąca wokół energia powodowała strzelanie wgnieceń w plastikowych butelkach. Nagłe dźwięki przeszywały dreszczem. Czułem przyjście i obecność niewidzialnej istoty. Stała tuż obok, za mną. Dotykała „dłoni”, obejmowała.

Promieniowała mocą, która całkowicie mnie wypełniała. Kierowała ciałem, pragnieniami, nawet myślami. Nie wpływała na świadomość. Stałem się bezwolnym wykonawcą przeróżnych, osobliwych, wielokrotnie powtarzanych czynności.

Podnosiłem wolno ramiona. Dłonie łączyły się wysoko nad głową. Ciągnęły mocno w górę. Miałem wrażenie unoszenia się w świetle. Nagromadzoną w nich energię wcierałem następnie w głowę, twarz, ramiona, nawet w całego siebie.

Ćwiczenia przypominały lecznicze czynności uzdrawiania pranicznego lub figury qigonga. Ruchy zawsze były bardzo wolne, uroczyste. Głos oznajmił, że tworzę warstwę ochronną przed demonami i złymi mocami.

Parę dni później, około czwartej nad ranem, gdy, stojąc, już niemal zasypiałem, zobaczyłem w lustrze swoją pękającą i opadającą głowę. Coś z niej wyskoczyło. Podniosłem oczy. Obok stała eteryczna, karłowata postać, równie zdziwiona, jak ja sam. Parę sekund później wolno rozplynęła się w ścianie. Z mojej pękającej głowy wylazło jeszcze kilkanaście eterycznych, demonicznych istot, o dziwnych kształtach ludzkich i zwierzęcych, które szybko zniknęły w ścianach pokoju.

Następnej nocy znów byłem czyszczony. Scenariusz był ten sam: potworne zmęczenie, pękająca głowa i uciekające demony. Nie wiem, ile ich w sumie było. Nie wszystkie mogłem zauważyć i zarejestrować w skołatanim umyśle. „Zostałeś oczyszczony z demonów” – lakonicznie powiedział Głos.

W pewną ciepłą wiosenną noc nago przywarłem do swego lustrzanego Sobowtóra, z nagłym pragnieniem zespolenia się z nim. Zbliżałem się wolno, patrząc mu głęboko w oczy. Dotykałem głową jego głowy. Całowałem. Potem uważnie i namiętnie wcierałem twarz, ramiona, całego siebie w jego postać. Każdy fragment ciała, nawet stopy. Nasze mistyczno-erotyczne zaślubiny trwały kilka godzin. Zawsze na początku introspekcji dotykałem z powagą jego dłoni. Łączyła nas tafla srebrzystego szkła i wzajemna, głęboka sympatia.

Ktoś nauczył mnie chodzenia szybkimi i małymi krokami, niemal nie odrywając stóp od podłogi. Bezwolny, poruszany obcą siłą, byłem żywą, roztańczoną marionetką. Sztywne, mechaniczne ruchy bardzo bawiły. Jakbym był kukłą z teatru Oskara Schlemmera. Fajne było również kręcenie się w kółko. Wirowałem niczym wytrawny derwisz. Nawet po kilkunastu minutach nie miałem żadnych zawrotów głowy. Nie znałem magicznego sensu i celu tego przedziwnego tańca. Nie była to jednak tylko wymyślna zabawa.

Podczas długich nocy introspekcji miały miejsce osobliwe zdarzenia. Zachowałem w pamięci tylko niektórych z nich.

Stałem w mroku na balkonowym tarasie. Przez podwórze leciał czarny ptak, kruk czy wrona. Wlepił we mnie swoje iskrzące ślepia. Głos oznajmił nieoczekiwane: „To był zły demon. Wróci po twoją moc”. Około drugiej w nocy usłyszałem delikatny dźwięk od strony drzwi balkonu. Wszedł. Poczułem jego potężną energię. Głos powtarzał: „Koncentruj się... Nie patrz na niego”. Stałem blisko lustra, żarliwie wpatrując się w swoje odbite oczy. Chciałem wejść w siebie. Uciec jak najdalej. Odszedł po kilkunastu minutach.

Czasem odnosiłem wrażenie, że wszystkie te „mistyczne” objawienia i przeżycia zostały dla mnie celowo przygotowane. Miały jakiś, nieznamy mi, istotny sens dla mojej dalszej egzystencji. Nie dociekałem ich znaczeń. Zbyt olśniony byłem tym, co działo się wokół mnie. Samym fenomenem gry światła, magicznością obrazów i dźwięków. Tajemniczymi wizytami nieznanymi mi istot.

Jedno z mistycznych spotkań wywarło na mnie szczególne wrażenie. To była upalna noc. Resztkami sił tkwiłem przed lustrem. Nagle poczułem na całym ciele powiew chłodnego wiatru. Moc cudownego otrzeźwienia całkiem mnie opanowała.

Zmuszany zostałem do podnoszenia rąk, dziwnych, marionetkowych ruchów głową i tułowiem, głębokich skłonów. W końcu położyłem się na podłodze. Leżałem płasko na brzuchu, z głową ułożoną z boku. Prawym uchem dotykałem podłogi. Próbowałem się ruszyć, lecz nie mogłem. W oddali słychać było tępy szum jadących aut. Głos zapowiedział wizytę kosmicznego węża. „Twój lekarz, dobry wąż” – uspokajał. Chwilę potem usłyszałem mocny, agresywny warkot przejeżdżającej ulicą ciężarówki. Dźwięk ten uderzył w okna. Przebił szyby. Coś zsunęło się z parapetu na podłogę.

To był wąż. Zbliżał się wolno, wydając typowy, szeleszczący odgłos wijącego się cielska. Syk stawał się głośniejszy, bardzo wyraźny. Wiercił uszy, przeszywał mózg. Zaciskałem oczy. Miałem zakaz patrzenia na niego pod groźbą utraty wzroku. Sparaliżowany lękiem przywarłem szczelnie do podłogi. Czułem dotyk jego śliskiego cielska. Pełzał wzdłuż prawego boku. Ocierał o ramiona, biodra i nogi. Oplatał się wokół mnie. Najpierw nogi, potem cała reszta. Nie mogłem opanować drgawek. Zapadłem w niebyt. Nie wiem, jak długo ta wizyta trwała. Uspokoilem się, dopiero gdy jego moc osłabła i głos ucichł w oddali.

Mogłem wreszcie wyjść na balkon. Zapaliłem zapałkę. I w tym momencie usłyszałem z boku cichy jęk. W powietrzu wisiał eteryczny, przedziwny wąż. Cielsko

pokryte świecącymi łuskami, z dużym, niemal okrągłym łbem. Przypominał raczej wyglądem jakiegoś pradawnego, komicznego stwora. Cały błyszczał, mieniąc się blaskami kolorowych światełek. Mierzył chyba dwa metra. Jego rzadkie, długie i sterczące na łbie kudły lśniły jak wysmarowane brylantyną. Patrzył na mnie gniewnymi, iskrzącymi ślepiami. Chwilę potem mknął z piskiem w czarną czeluść nocy.

Tych spotkań z kosmicznym wężem było kilka. Zapraszałem go do siebie. Zjawiał się zawsze z głośnym dźwiękiem jadących aut. Te wizyty nie miały już napięcia „pierwszego razu”. Stawały się powoli rutyną. Lubiłem go.

Cały proces objawienia jest tak różnorodny i wszechstronny, że nie sposób spałiętać szczegółowych zdarzeń. Na początku chciałem wszystko opisywać. Zrezygnowałem, bo uznałem, że wszystko zapamiętam. Nie wiedziałem wtedy, że introspekcja nie ma końca, a ja jestem tylko aktorem magicznego iluzjonu. I choć to wszystko, o czym pisałem, wydaje się szaleństwem, zdarzyło się jednak naprawdę.



Wojciech Zawadzki, *Wnętrze*, 1984 (czyt. s. 192)

Fragment powieści „ERATYK”ⁱ

Rozdział: **Oficjel (+)**

Anna wysiadła z pociągu i spokojnym krokiem zbliżała się do głównej arterii miasta. Zmierzała do ratusza. Ubrana była w białą zwiewną sukienkę i słomkowy kapelusz z kokardą. Pod pachą taszczyła ogromny rulon rysunków technicznych. Weszła na schody budynku, zatrzymała się i... spojrzała mi prosto w oczy.

– Urodziłam się w małej wsi, gdzieś na południu – powiedziała, uśmiechając się zalotnie.

Podeszła do drzwi wejściowych, ale zamiast wejść do środka, odwróciła się do mnie.

– Ojciec był stolarzem. Matka zmarła, kiedy miałam zaledwie pięć lat – wycedziła przez zęby, przytrzymując lewą ręką kapelusz, by ochronić go przed nagłym i nieoczekiwanym podmuchem wiatru. – Pamiętam ją. Rok po śmierci mamy ojciec ożenił się powtórnie, a ja spędziłam resztę dzieciństwa z moją babcią. Przeciętne moje życie było... przeciętne. Zostałam mistrzynią świata... tak, mając dziewiętnaście lat byłam najlepsza... wygrywałam wszystkie mistrzostwa, posiadałam trzy rekordy świata. Nie było mi równej... nigdzie... a potem, no to już było trudniej. Zabiłam go. Tak, zabiłam go przez przypadek. Zabiłam boga. Ale za takie morderstwo nie ma ani sądu, ani kary... ponieważ nikt by mi nie uwierzył, że to fizycznie możliwe. No, gdzie ofiara?... Nie było obiektywnej ofiary, nie było do wodu zbrodni... a w moje oświadczenia i tak by nikt... Trzymam to w tajemnicy. Nikomu przedtem o tym nie mówiłam. Po prostu wstydziłam się swojej zbrodni. I żyję teraz z tym bagażem, z tym niewyobrażalnym poczuciem winy... Nigdy jeszcze o tym głośno nie mówiłam. To pierwszy raz. Przegrałam. Po raz pierwszy od lat przegrałam ważne zawody. Nie było wiwatów, do których przywykłam, telewizyjnych kamer, kwiatów, okrzyków radości na trybunach... Nie popełniłam żadnego błędu. O nie! Byłam doskonale przygotowana. Jak nigdy dotąd. I wtedy...

zobaczyłam boga. To było światełko... coś zamigotało tuż pod taflą wody. Dlaczego właśnie wtedy, na tych najważniejszych w moim życiu zawodach? To mnie kompletnie wybiło z rytmu... zdekoncentrowało. Leżał. Na dnie basenu. Wyciągał do mnie ramiona, jakby wołał o pomoc. Patrzył mi prosto w oczy... I ten jego głos. Głos tłumiony tonami wody „Ratuj!”, „Ratuj!”. Zanurkowałam natychmiast na samo dno basenu, ale jego tam nie było. Zniknął. Przepadł. Przegrałam. Wyciągnięto mnie na brzeg, a potem szpital i tak dalej. I wtedy w szpitalu widziałam go po raz drugi. A potem jeszcze na ulicy i w parku. Śledził mnie. Podglądał. Czekał nocami pod oknem. Śmiał się – o, tak właśnie: „Ha, ha, ha...”. Więc... udusiłam go. Udusiłam go własnymi rękami.

Otworzyła torebkę, wyjęła z niej lusterko oraz szminkę i nie przerywając swojej „opowieści”, malowała usta.

– Zanim popełniłam tę zbrodnię, darzyłam go ogromną miłością. Tak. Początkowo nie byłam do końca świadoma tego mojego uczucia. O tym, że go kochałam, dowiedziałam się znacznie później... właściwie dopiero wtedy, kiedy dotarło do mnie, że on wie wszystko... o mnie... o tym, co jest i co będzie za chwilę, za minutę, za rok, za wieczność. Przecież musiał wiedzieć, że go zabiję, i czekał na to właśnie... czekał cierpliwie... czekał na jawie i w moich snach. Był wszędzie, był we wszystkim. Nie jestem obłąkana, nie. On był moim trenerem, powiernikiem, mentorem. Musiałam go zabić, bo nagle znalazł się... zbyt blisko – na wyciągnięcie rąk. Została po nim tylko przestrzeń pełna agresji... niespełnienia... pożądania... pustych... słów... słów bez znaczenia... fraz... zapewnień bez gwarancji... na cokolwiek... nic. Pustka i sam-ot-ność.

Schowała lusterko do torebki, a szminkę wyrzuciła do kosza na śmieci, który stał przy drzwiach wejściowych do ratusza. Tuż przed wejściem do budynku odwróciła się jeszcze raz w moją stronę.

– Ty byś pewnie tego monologu tak nie napisał, co? – powiedziała, patrząc mi prosto w oczy. – Brak ci odwagi... i fantazji. Boisz się, że ktoś może tego nie zrozumieć albo że pogubi się w narracji, albo... czy ja wiem?! A mnie wolno poruszać się po wszystkich kartkach twojej niby-powieści bez żadnych zahamowań, kompleksów i strachu. Boisz się, że ktoś ci zada pytanie: „O czym to jest?” albo „Po co to komu?” Nie bój się, zawsze możesz zrzucić winę na mnie. Skradłam ci powieść, więc teraz jestem za nią odpowiedzialna. Zresztą czy to można nazwać powieścią? Niech pytają, a ty udzielisz im odpowiedzi tylko wtedy, kiedy ja ci udzielię pozwolenia na jej udzielenie.

Zegar na wieży ratusza wybił jakąś tam godzinę. Anna spojrzała na niebo, przymrużyła oczy, bo słońce prażyło niemiłosiernie.

– No nic. Czas na mnie. Chyba już jestem spóźniona.

– Poczekaj, ja muszę z tobą... – wykrztusiłem.

– Nie teraz.

Odwróciła się i zniknęła za ciężkimi dębowymi drzwiami. Przeszła dostojnym krokiem przez długi, wyłożony kamienną posadzką korytarz, by zatrzymać się przed pokojem z napisem wskazującym na to, że dotarła do właściwego miejsca.

Sprzątaczk i sprzątacze uwijali się wokół jednego z okien, usuwając z parapetu jakiś dziwny brud; przez chwilę wydawało jej się, że to ciała martwych much.

– Co im się stało? – zapytała.

– Poległy w heroicznej walce z szybą – oznajmił jeden ze sprzątaczy, spojrział na Annę i wybuchnął piskliwym, irytującym śmiechem.

Anna zamiast zapukać do drzwi, przed którymi stała, oparła głowę o framugę.

– O Boże, nie wiem, czemu wzywam twoje imię, bo przecież wiem, że cię nie ma, ale co oni robią? Nie wiedzą, co czynią – wyszeptwała, stojąc oparta o futrynę.

Rulon z rysunkami wypadł jej z rąk i potoczył się w kierunku okna. Dowcipniś od much zamilkł, pozostali sprzątacze znieruchomieli. Po chwili jedna z kobiet podniosła rulon i podeszła do Anny.

– Co pani jest? Może w czymś pomóc?

– Nic, nic. Ja do... – I tu wymieniła nazwisko urzędnika, z którym miała się spotkać.

– To tu, niech pani wejdzie do środka – powiedziała kobieta, wrzucając szuflę martwych much do worka na śmieci – on tam jest. Przed chwilą właśnie wrócił.

Kobieta podała Annie rulon z rysunkami.

– Niech pani wejdzie. Bez pukania. Jest tam. Sama widziałam, jak wchodził.

Sprzątacze przyglądali się całej tej scenie w milczeniu.

Anna nacisnęła klamkę i weszła do środka. Panował tam zupełny mrok, mimo że na zewnątrz było bezchmurnie i upalnie.

– Tak, słucham, czym mogę służyć?... – Ktoś odezwał się z głębi pokoju i nie czekając na odpowiedź, kontynuował: – Co za upał, przepraszam za te ciemności, ale widok za oknem mam taki, że muszę je zasłaniać; mdli mnie, kiedy patrzę na ten tam zaszary świat.

Zapaliła się lampa na biurku. Za biurkiem siedział łysy urzędnik w okularach. Spojrzał na Annę, zsuwając okulary na sam koniec nosa. Przyglądał się jej przez dłuższą chwilę, zawijając w aluminiową folię niedojedzoną kanapkę z szynką i zwisającym z niej zwiędłym listkiem sałaty. Po chwili dopił herbatę, kubek schował do szuflady, a kanapkę do bocznej kieszeni marynarki.

Nagle zaczął przeraźliwie kaszłać. Wyciągnął z kieszeni marynarki jedwabną chusteczkę do nosa i wytarł nią spocone czoło. Krople potu pozostały jednak na czubku łysej, białej jak śnieg głowy i spływały leniwie po skroni. Kaszel ustał.

Mężczyzna próbował unieść się z krzesła, ale w ostatniej chwili spojrzał w dół na własny rozporek. Zaczął bezskutecznie mocować się z zamkiem błyskawicznym.

– Przepraszam panią, ale zamek się zaciął. Ciągle mam z nim kłopoty. Wybacz pani, że nie wstanę, by się przywitać? Jakoś tak głupio wyszło... Proszę, niech pani spocznie – powiedział, wskazując ręką na... Dopiero po kilku sekundach zorientował się, że przed biurkiem brakuje krzesła.

– Przykro mi, zupełnie wyleciało mi z głowy; zapomniałem, że krzesło zabrali do naprawy. Mieliśmy wczoraj ciężki dzień i rozpadło się na kawałki... istny koszmar.

Przymknął oczy i rozparł się w swoim fotelu.

– Ja chyba panią znam – powiedział, nie otwierając oczu i nie ruszając się z miejsca – albo może pani mi kogoś przypomina. Wie pani, mam do czynienia z taką ilością ludzi, że... Pani chyba jednak nie znam. Jeśli się mylę, proszę mnie wyprowadzić z błędu. Chociaż te perfumy... coś mi to przypomina. Czy to może Curve Poivre? Nie znoszę tego zapachu.

– Nie, to Burberry Touch.

– No to zupełnie zmienia postać rzeczy. To ładny zapach. Pewnie drogie, co? – westchnął urzędnik, nie otwierając oczu i ciągle manipulując przy zamku błyskawicznym. – Curve Poivre powoduje u mnie niekontrolowany atak kichania. Dobrze, że mnie pani uprzedziła, bo już mi się zbierało... Swoją drogą to naprawdę ciekawe, jak uprzedzenia i sugestie potrafią zawiadywać ludzką fizjologią. O, udało się – dodał, dopinając rozporek.

Otworzył oczy, pochylił się nad biurkiem, poprawił okulary, które już prawie spadały mu z nosa, i zaczął wnikliwie przyglądać się Annie.

– No to o co chodzi? Kto panią... polecił? – zapytał.

– Jestem umówiona z panem – tu wymieniła nazwisko decydenta, z którym miała się spotkać – by omówić szczegóły projektu, który zamierzam realizować na terenie tego powiatu.

– Ale on nie żyje. Zmarł jakieś dziesięć lat temu. Jak może pani być umówiona z kimś, kogo po prostu nie ma? A poza tym u nas przyjęte jest, że nazwisko decydenta, niezależnie od tego, czy on żyje, czy też nie, poprzedza się zawsze tytułem. W tym przypadku tytułem profesorskim. No, chyba że było się z nim w zażyłych stosunkach, to wtedy można pominąć profesora, ale nigdy nie zaszkodzi tytułować. Powiem pani, że nawet jego żona zawsze zwracała się do niego...

Przerwał, spojrzał na Annę wytrzeszczonymi oczami, wtopił się w fotel i zastygł. Wyciągnął papierową serwetkę z lewej wewnętrznej kieszeni marynarki i wytarł nią pot, który spływał już jawnym strumieniem z czubka błyszczącej głowy aż do samych ust.

– Zaraz, zaraz. To jakieś *déjà vu* czy co? Mam wrażenie, że już kiedyś byłem w podobnej sytuacji. Nawet to, co przed chwilą powiedziałem, już kiedyś... chyba... No tak! Pamiętam! No tak. Przecież była tu pani kilka lat temu, z tym pomnikiem czy coś takiego. Pamiętam, mówiła pani, że... bóg panią polecił, a potem pani nagle... no tak... tylko wtedy jakoś pani inaczej... no, ale to było tyle lat...

– Tak, byłam tu dziesięć lat temu i do dzisiaj czekam na decyzję – przerwała Anna i natychmiast dodała: – a w boga to ja nie wierzę.

– Jak to? Przecież, jeśli mnie pamięć nie myli, oświadczyła pani wtedy, że to bóg panią polecił.

– To, że mnie polecił, nie znaczy, że w niego wierzę.

– No jak to – nie znaczy? To co to znaczy? Musi pani wierzyć... bo jeśli on...

Nagle zamilkł, otworzył tekturowe pudełko po cygarach, które stało na biurku obok lampy, wyjął z niego plastikową szklankę wypełnioną jakąś mało apetyczną, brązową cieczą i krzywiąc się niemiłosiernie, opróżnił ją jednym haustem. Chuchnął, wytarł rękawem usta i wrzucił szklankę do kosza na śmieci.

– To niedobrze. To bardzo niedobrze. Bez wiary to ten projekt może być... no wie pani, jak to teraz jest – wycedził przez zęby, zamykając tekturowe pudełko. Spojrzał na zaplamiony brązową cieczą rękaw. Wstał, zdjął marynarkę i powiesił ją na wieszaku w prawym rogu pokoju. Po zdjęciu marynarki okazało się, że pod spodem ubrany był w drugą, identyczną. Podszedł do okna, poprawił zasłonę, chociaż nie wymagała żadnej korekty, po czym ponownie zajął miejsce w swoim fotelu za biurkiem.

– Co pani tam ma? – zapytał, wskazując na rulon, który Anna ciągle trzymała pod pachą.

– Zmiany, drobne korekty...

– Proszę mi to pokazać.

Anna położyła rulon na biurku, wyciągnęła rysunki i jeden po drugim układała je przed urzędnikiem. On jednak nie patrzył na rysunki, tylko na nią.

– Niestety, projekt został w całości zatwierdzony już siedem lat temu. No i teraz mamy problem – powiedział po chwili.

– Niestety? Nie rozumiem, dlaczego ja nic o tym nie wiem. Nikt mnie o niczym nie informował. Dopiero teraz od pana dowiaduję się, że w ogóle podjęto jakąkolwiek decyzję. I pan mówi o problemie? Co to znaczy „Niestety”? Czekam już ponad dziesięć lat, a pan mi mówi, że od siedmiu lat projekt jest gotów do realizacji? Niestety!? Pan chyba sobie ze mnie żarty robi. – Była wyraźnie poirytowana, wściekła. Zaczęła związać rysunki z powrotem w rulon.

– Niech pani to zostawi, bardzo panią o to proszę.

Urzędnik wstał, wziął do rąk rysunki, położył je z powrotem na biurku

i wyszedł z pokoju. Anna została sama. Po chwili podeszła do okna i uchyliła jedną z zasłon. Widok za oknem zapierał dech w piersiach – nad szczytami gór wisiała biała, cienka jak welon, prawie przezroczysta chmura. Słońce prażyło i malowało brokatem błękitno-zielone lasy, które oddzielały miasto od pasma...

Drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł urzędnik, ciągnąc za sobą ogromny, mahoniowy fotel z drewnianymi rzeźbami bawołów na oparciu. Ustawił go przed biurkiem.

– Proszę, niech pani siądzie. Musimy porozmawiać.

Mężczyzna podeszedł do okna i zaciągnął zasłonę, którą Anna przed chwilą uchyliła.

Zaczął przyglądać się dziewczynie. Na jego twarzy pojawił się dziwny, irytujący dwuznaczny uśmiech.

„Wyraźnie czeka, bym usiadła” – pomyślała Anna.

Po chwili usiadła. Fotel jednak okazał się wyjątkowo niewygodnym meblem. Czuła się w nim uwięziona, osaczona, skrepowana, szczególnie kiedy zauważyła, że dwa bawoły, które zdobią oparcie, wiszą po obu stronach jej głowy i gapią się na nią bezczelnie.

– Nie przeszło pani nigdy przez myśl – zaczął urzędnik, patrząc Annie prosto w oczy – że jeśli mamy już dostęp do pani tajemnic, modlitw – czy też ich braku, jak to jest w pani przypadku, do pani intymnych zwierzeń, szeptów, prywatnych rozmów, to nie będziemy w stanie dostać się do pani tajemnych myśli?

Urzędnik zaczął przemawiać nagle jakimś dziwnym, teatralnym głosem. Miało się wrażenie, że „rzeźbi” każde słowo z osobna, że recytuje jakiś wykuty na pamięć tekst.

– Jesteśmy w stanie lepiej wiedzieć, co pani czuje i myśli, niż pani sama – mówił. – To tylko kwestia technologii... kombinacja maleńkich drucików osadzonych w pani włosach. Niewidoczne gołym okiem mikrofony, czujniki. Jest pani podłączona. Swoją drogą to były niezłe wiersze. Gdyby nie te, doskonale ukryte urządzenia w pani fryzurze, byłyby stracone na zawsze. Przez lata żałowałem, że ich nie spisałem. Aż tu nagle okazało się, że oni zrobili to za mnie. Wszystko nagrali. Teraz sama pani widzi, jakie korzyści płyną z faktu, że władza otacza specjalną opieką różnego rodzaju artystów. Nawet tych niepokornych. Nawet wtedy, kiedy ta opieka nosi w sobie znamiona opresji, w ostatecznym rozrachunku jest jednak protekcją, archiwizacją dorobku czy jakby tego nie zwał. Ani pani, ani pani mąż nie zadbaliście o to, by te wiersze przetrwały. Spaliliście je ze strachu, tuż przed samą egzekucją. A tu władza się ni stąd, ni zowąd zmieniła i mąż stał się nagle bohaterem; ma pomniki. Mnóstwo pomników. Jeden stoi nawet tu, przed wejściem do ratusza. Zamierzam opublikować te wiersze... oczywiście

nie teraz... W niedalekiej przyszłości? Oni mają wszystko: wiersze, listy, sztuki teatralne i... wszystko zabezpieczone, przeanalizowane, opracowane, gotowe do druku. Mówię o przyszłości... bo... cóż, wierzę w zmianę... wierzę... potajemnie, że coś się wydarzy i okoliczności zmuszą mnie do zmiany roli... więc przygotowuję się do tego. Założmy, że władza znów się zmieni... przecież to może nastąpić lada chwila... wtedy moje życie będzie, że tak powiem, w pani rękach... więc... widzi pani, boję się tak samo jak pani. Też mogę być podłączony. Pod sufitem, w ścianach, pod stołami, wszędzie ukryto niewidoczne mikrofony, a przecież nie wiem, co mi potajemnie wszczepiono. Więc trochę się boję... choć, nie powiem, jest to w jakiś tam sposób ekscytujące. Różnica między panią a mną polega na tym, że ja wiem o tych wszystkich urządzeniach, a pani nie miała wtedy o nich zielonego pojęcia. A teraz boję się. Tak, boję się, ale nie dlatego, że ktoś inny będzie słuchał moich sekretów... boję się, że to ja będę zmuszony do wysłuchania siebie samego. To jest najbardziej przerażająca opcja. Będę musiał osądzać własne myśli, słowa, tak jak osądzam myśli i słowa innych. Paradoksalnie to jest coś, co nas łączy; pani miała wtedy status zdrajcy, a teraz ja zachowuję się jak zdrajca, który ukrywa przed swoimi mocodawcami własne zbrodnie. Tak, nie przesłyszała się pani. Zbrodnie, bo moje myśli są zbrodnicze, są nafaszerowane wątpliwościami i sprzecznościami.

Nagle zamilkł. Anna odnotowała, że jego oczy stały się nienaturalnie wilgotne. Nie płakał, co prawda, ale łzy wyraźnie zbierały się na krawędzi lewej, dolnej powieki. Chyba zauważył, że przygląda się jego oku, bo wyjął jedwabną chusteczkę z prawej wewnętrznej kieszeni marynarki i przyłożył ją do oka.

– Chroniczne zapalenie rogówki. Męcę się z tym już od dłuższego czasu – powiedział i nie odrywając ręki od oka, kontynuował: – Też jestem artystą. Piszę scenariusze filmowe. Potajemnie... i chciałbym, by mi pani pomogła... nie, nie teraz, później. Mam trójkę dorosłych dzieci i żonę. Muszę jakoś żyć. Ten świat się zawali. Wiem o tym i pani też to wie. Będzie pani u władzy. Nie wiem kiedy, ale będzie pani u władzy. To nieuniknione. Może niekoniecznie pani osobiście, ale pani ludzie... albo może ludzie pani pokroju. Chcę robić filmy. Pomogę pani teraz, a później pani mi pomoże. Wymyślę przestępstwo, którego pani nie popełniła. Coś niezbyt ważnego. Coś, za co się nie karze. Czasami trzeba się poświęcić. Tak się sprawy mają... nic na to nie poradzimy. A później pani mi pomoże. OK? Chcę, żeby pomogła mi pani wyprodukować mój film. To prosty film, ale całkiem, całkiem, jak sądzę. „Czas licytacji” to tytuł roboczy, a potem zobaczymy. Myślę, że powinna pani potajemnie wierzyć w boga lub udawać, że pani wierzy... że pani wierzy potajemnie i że ukrywa pani swoją wiarę. To będzie pani wykroczenie... i to, że pani bóg zmusił panią do udziału w całym tym ruchu... Wie pani, o czym mówię? Oskarżymy boga... i wszystko zostanie pani wybaczone, ponieważ

została pani wykorzystana i pozbawiona wolnej woli. To wystarczy... więc niech się pani przyzna, że potajemnie wierzy w boga...

Anna patrzyła na niego z otwartymi ustami, a on wił się, rozpadał w oczach jak źle posklejany gliniany dzbanek. Recytował swój „tekst” coraz szybciej i coraz bardziej nieskładnie. Przewracał oczami, wymachiwał rękami, krztusił się i co chwilę pokasływał.

– Gdzieś tam w pani głowie kiełkuje teraz pytanie: „Dlaczego potajemnie?”. Bo jeśli ktoś oficjalnie wierzy w boga... no cóż, nasze prawo nie przewiduje takich przypadków, bo oficjalnie boga nie ma. Laickie państwo, rozumie pani, więc według oficjalnego prawa nie można nawet rozpatrywać takiej okoliczności. Niech pani, broń boże, nie przyjdzie na myśl, by przyznać się, że wierzy pani w boga oficjalnie. Jeśli kiedykolwiek złoży pani takie oświadczenie, zabiorą panią i nikt nie będzie już pani chronił. Tam, w innych działach, nie ma nikogo, kto by reprezentował jakąkolwiek wrażliwość na sztukę... na poezję, na muzykę... tam nie ma ludzi artystycznych. Nikt z nich nigdy nie napisał choćby żdźbła wiersza. Proszę mi pomóc. Błagam.

Jego twarz stała się purpurowa, zaczął się dusić. Po chwili wybiegł z pokoju i z hukiem zatrzasnął za sobą drzwi. Anna usłyszała tylko, jak przekręcił od zewnątrz klucz w zamku. Nagle nastała absolutna cisza. Wokół lampy latała mucha, ale Anna nie słyszała jej brzęczenia. Podczas obecności urzędnika słysząc było jakieś szumy dochodzące choćby z zewnątrz, z korytarzy czy z placu ratuszowego... Przynajmniej czuło się jakąś dźwiękową definicję ciszy, coś, co tę ciszę niejako tłumilo. Teraz cisza stała się nagle boleśnie wszechobecna.

Nie trwało to jednak długo, może ułamek sekundy, a może lata. Ciszę przerwał dźwięk przekręcanego w zamku klucza. Drzwi się uchyliły i do pokoju weszła młoda, niezwykle atrakcyjna kobieta. Podeszła do okna, rozsunała zasłony i otworzyła okno na oścież. Szum, pomieszany ze świergotem ptaków, dźwiękiem samochodów i krzykiem bawiących się na podwórku ratusza dzieci, wypełnił pokój. Kobieta usiadła za biurkiem i nie zwracając uwagi na Annę, wzięła do ręki leżącą obok lampy broszurę z godłem państwowym na okładce i jednym, szybkim ruchem zabiła nią muchę, która właśnie przycupnęła na blacie biurka. Zgarnęła ją na białą kartkę i wyrzuciła przez okno. Wróciła na miejsce, wyjęła z eleganckiej torebki równie eleganckie okulary i zaczęła przeglądać rysunki, które urzędnik zostawił na biurku.

Kobieta ubrana była w czerwoną suknię z czarnymi, aksamitnymi wypustkami i mankietami. Szczególną uwagę zwracała jednak biała, ledwo widoczna, ale wyraźna plamka na lewym mankiecie; może dlatego, że wszystko inne było nieskazitelnie czyste i doskonale dopasowane.

„Chyba pasta do zębów” – pomyślała Anna, po czym wzięła głęboki oddech; zapach mocnych, nieznanych jej perfum walczył w powietrzu z Burberry Touch.

– Przepraszam, ale ten pan to... – zaczęła nieśmiało, ale kobieta przerwała jej.

– Wszystko w porządku. Karetka zabrała go do szpitala. Chyba nic poważnego. On czasem ma takie, wie pani... i wiek, i ta jego przeszłość... wszystko mu się już miesza.

Wyciągnęła z torebki jedwabną chusteczkę i nie odrywając wzroku od rysunków, wzięła, podobnie jak Anna, głęboki oddech.

– Burberry Touch? – zapytała, dotykając chusteczką końca nadmiernie upudrowanego nosa. – Trudno to u nas dostać. Ja co prawda wolę Curve Poivre, choć też trudno dostępny.

Uniosła głowę znad biurka, zsunęła okulary na koniec nosa i spojrzała Annie prosto w oczy.

– Muszę być z panią szczerą, bo sprawa nie jest prosta. Przyznam się, że nawet nie wiem, od czego zacząć...

Mówiąc to, spojrzała na poplamiony mankiet sukni, wstała i skierowała się do drzwi.

– Przepraszę panią na sekundę, zaraz wrócę – powiedziała i wyszła z pokoju, nie zamykając za sobą drzwi. Z korytarza dochodziły odgłosy jakiejś awantury o miejsce w kolejce. Donośny męski głos próbował zapanować nad sytuacją, ale... przeciąg zatrzasnął drzwi do pokoju. Za oknem rozległ się dźwięk akordeonu; ktoś grał dobrze znany Annie utwór jednego z wiedeńskich klasykówⁱⁱ. W wykonaniu akordeonisty brzmiało to o wiele bardziej dramatycznie niż wszystkie znane jej wykonania orkiestrowe.

Urzędniczka wróciła. Ubrana była w tę samą czerwoną suknię, ale na mankiecie nie było już białej plamki. Podeszła do okna i zamknęła je w chwili, kiedy akordeonista rozpoczynał *Allegro molto agitato*. Zaciągnęła zasłony i usiadła na swoim miejscu. W pokoju zapanowała cisza. Kobieta wyjęła z szuflady szarą teczkę i zaczęła przeglądać jej zawartość. Robiła to powoli i niezwykle, wydawałoby się, wnikliwie.

– O, pisze pani tutaj – powiedziała, nie patrząc na Annę – cytuję: „Zamiarem moim jest uczczenie wszystkich okazji, które poszły w zapomnienie – chodzi tu o zdarzenia i rocznice, których nikt nigdy nie czci lub o nich po prostu nie wie. Pomnik ma stanąć z dala od miast i wsi, w szczerym polu, gdzieś, gdzie dostęp do niego byłby trudny lub wręcz niemożliwy. Projekt finansowany...” itd., itp.

– No tak – przytaknęła Anna – tak tam napisałam. To było chyba jakieś dziesięć lat temu... już dokładnie nie pamiętam, ale jeśli tak jest tam napisane, to znaczy, że tak było.

– No właśnie. Było – kontynuowała kobieta, przeglądając zawartość teczek. – Teraz okoliczności się nieco... że tak powiem... no, są inne... i... no tak, wtedy przyznano pani fundusze z budżetu wydziału... no tak, ale dzisiaj... jakby to ująć? ... Priorytety się zmieniły i to, co kiedyś miało określoną wartość, dzisiaj już tej wartości po prostu nie ma.

Po chwili zamknęła teczkę i spojrzała na Annę. Patrzyły tak sobie w oczy przez chwilę lub przez ponad miesiącⁱⁱⁱ.

– Nie rozumiem, co pani do mnie mówi – wycedziła Anna przez zęby. – Co nie ma wartości?



Należałoby tutaj wyjaśnić, że urzędnik, którego według kobiety w czerwonej sukni zabrano karetką do szpitala, nie zdążył powiedzieć Annie tego, co tak naprawdę chciał jej powiedzieć.

– Muszę być z panią szczery, bo sprawa nie jest prosta. Przyznam się, że nawet nie wiem, od czego zacząć... – Zamierzał rozpocząć swoją wypowiedź, używając dokładnie tej samej frazy, co kobieta w czerwonej sukni. – W tym moim filmie główną postacią będzie pani. Ale zanim panią stworzyłem, wiedziałem już, jakie będzie zakończenie. Proszę się nie obrażać, ale stworzyłem panią z nudów, z jakiegoś wewnętrznego niepokoju, jaki mną wtedy targał. Muszę ostrzec, że to zakończenie miało być dla pani bardzo przykre. Stworzyłem panią, bo nie chciałem, żeby pani istniała w rzeczywistości. Początkowo nie wiedziałem, co z panią zrobić. Potem, kiedy już była pani, że się tak wyrażę, poczęta, uznałem, że jednak może być z pani jakiś tam pożytek, że może pani być pomocna, niezastąpiona, wręcz niezbędna; taki wierny towarzysz, postać, która potrafi pomieścić w sobie wszelkie moje osobiste frustracje, obsesje, urojenia, kompleksy bez żadnego... no, po prostu nie chciałem, żeby pani istniała naprawdę, że powinno się panią przechować w powieści, w wierszu lub filmie. Właściwie do dziś nie wiem dlaczego. Nie wiem. Zdaję sobie sprawę z tego, że to, co teraz mówię, będzie miało swoje konsekwencje. – Tu planował zawiesić na chwilę głos, chrząknąć i odsłonić okno z widokiem na góry. – Zanim panią wymyśliłem – zamierzał powiedzieć – zanim w ogóle zająłem się pisaniem, robiłem coś zupełnie innego. Miałem dość nietypowy zawód. Kształtowałem rzeczywistość. Wypracowaliśmy wtedy skuteczny sposób radzenia sobie z realizmem. Mam na myśli oczywiście tamtą rzeczywistość, która jest poza tą rzeczywistością. Ale ta rzeczywistość może być równie niebezpieczna jak tamta, zapewniam panią. Za dużo mówię, wiem. Stworzyliśmy (może trochę sztucznie, ale skutecznie) procedurę postępowania umożliwiającą nam wnikliwe i dogłębne poznanie ludzi, których

trzeba było wyeliminować. Mam na myśli wyeliminować, rozumie pani? Należało przede wszystkim wejść (nie bójmy się użyć tutaj tego słowa), „wtargnąć” do najgłębszych pokładów osobowości ofiary (ofiara to złe określenie, ale tak się przyjęło to nazywać, więc niech już tak zostanie), przeniknąć jej umysł i duszę, zanim zlikwiduje się jej ciało. Unicestwianie ludzi bez tych wszystkich rytuałów nie jest, tak prawdę mówiąc, zajęciem godnym cywilizowanego urzędnika. A my, czy chcemy tego, czy nie, jesteśmy cywilizowani; w końcu służymy cywilizacji, prawda? Stworzyliśmy zatem ideologie, ogromne, nieprzebrane ilości ideologii, setki tysięcy najrozmaitszych bogów z ich religiami, by mieć pełną kontrolę nad życiem powszednim, utrzymując jednocześnie nienawiść, zazdrość i podłość na powierzchni naszej codzienności, pielęgnując różnice, sprzeczności, „dożywiając” (to też nie jest właściwe określenie, ale chyba najbardziej adekwatne w tym przypadku) poczucie strachu i niepewności, podtrzymując poczucie winy i skruchy... a wszystko to po to, by po masowej eksterminacji tak zwanych innych (niezależnie od tego, czy oni wiedzą o tym, że są inni, czy nie) ucharakteryzować nasze sumienia, przyodziać je w maski smutku, współczucia, litości i skruchy, przekierować naszą świadomość na to, co w danej chwili aktualne, w imię, na przykład, demokracji lub praw człowieka... albo czegośkolwiek, co... – tu zamierzał zawiesić głos, nie dokończyć zdania, by po chwili dodać – ale to nie jest takie proste, jak by się mogło wydawać, bo w ostatecznym rozrachunku wszystko zaczyna się od najmniejszej cząsteczki, od pojedynczej ludzkiej „gnidy” najętej przez społeczeństwo, czy tam jakąś partię czy dyktaturę. Byłem tą gnidą... i sprawiało mi to wiele radości i satysfakcji; samo tylko bycie nią umożliwiała mi wgląd w tak nieprzystępne zakamarki ludzkiej natury, że teraz „wszystko, co ludzkie, jest mi znane”. Byłem zawodowym śledczym przez dwadzieścia pięć lat. Miałem do czynienia z najbardziej skomplikowanymi i wyrafinowanymi przypadkami. Wtrącałem się we wszystko, pochłaniając z pasją złożoność i prostotę ludzkich umysłów. Byłem technicznie doskonałym śledczym; do pewnego stopnia taki przyjacielski manipulator był ze mnie – zamierzał zachichotać w tym właśnie miejscu, wyciągnąć ręce do góry i pięciokrotnie klasnąć nad głową w dłonie – spowiednik, ksiądz, wybawca niosący nadzieję, pogromca wiary. To było fantastyczne, bo ludzie, których przesłuchiwałem, byli już z góry skazani. Nie wiedzieli o swoim przeznaczeniu. Ja wiedziałem. Wiedziałem więcej o długości ich istnienia niż sam bóg. Nie rozwinęło się przy tym we mnie żadne poczucie winy, o nie! Ja ich w końcu nie skazywałem na śmierć. Ich los był przesądzony na długo przed tym, zanim brałem ich do mojego małego pokoiku... na „pogawędkę”, jak to nazywaliśmy. Jaki mógłby być cel w przesłuchiowaniu kogoś, kto był już praktycznie skończony? Cóż, nigdy nie zadawałem sobie tego pytania... dopiero teraz często o tym

myślę. Czemu? Dlaczego zostaliśmy do tego zmuszani? Żeby uzasadniać podjęte już wcześniej decyzje, dostarczać argumentów, „gdyby co”, „na wszelki wypadek”? Nie, przede wszystkim, by utrzymać poziom zatrudnienia... i zapewnić stabilną pracę dla armii biurokratów i polityków, administratorów, ich krewnych i dobrych znajomych. Żeby statystyki sprzyjały... ale za dużo gadam. Za chwilę podam obiad, ale zanim zaczniemy jeść, chciałbym, żeby pani... – W tym miejscu zamierzał zrobić kolejną, tym razem bardzo krótką pauzę, kichnąć i wytrzeć nos w jedwabną chusteczkę, którą wyciągnąłby z szuflady biurka. – Dziękuję – planował powiedzieć po usłyszeniu „na zdrowie”, które Anna z całą pewnością wypowiedziałaby przy takiej okazji. – Wiem, że to może dziwnie zabrzmieć, ale nie pracuję od lat i jakoś nie mogę znaleźć pracy jako śledczy. Widzi pani, jestem zbyt klasyczny, zbyt staromodny... Teraz moją pracę wykonują dziennikarze, prawnicy lub psychiatry. A bardzo za tym tęsknię. Często fantazjuję na ten temat. Już sama możliwość spróbowania, choćby przez godzinę... przywołałoby to tyle pięknych wspomnień. To byłoby... no, chciałbym, żeby pozwoliła mi pani, bym ją przesłuchał przed posiłkiem, tylko trochę. Pozwoli pani?

Anna nie mogła usłyszeć tego wszystkiego, bo urzędnik... A nawet gdyby dane jej było to usłyszeć, to i tak nie miałoby to wpływu na jej los. Nawet trudno spekulować, czy w ogóle zgodziłaby się na jego propozycję; w końcu biuro urzędnika nie było właściwym miejscem do przygotowania, a tym bardziej do spożywania jakiegokolwiek posiłku, i to zarówno ze względu na jego wyposażenie (brak stołu, na przykład), jak i z powodów czysto kulturowo-obyczajowych. Nie mogła usłyszeć tej całej opowieści i już nigdy jej nie usłyszy, bo urzędnik... ale nie powinienem uprzedzać wypadków; dodam tylko, że gdyby Anna miała możliwość wysłuchania tego, co urzędnik zamierzał jej powiedzieć, jej reakcja na to, co za chwilę nastąpi, mogłaby być zdecydowanie inna, bardziej empatyczna; byłoby w niej więcej współczucia, ciepła i autentycznego psychicznego zaangażowania w ból tej... (ale o tym za chwilę), a tak zmuszona była do reagowania w sposób konwencjonalny, stereotypowy, używając słów i gestów wyznaczonych przez kulturę i wypracowane przez tę kulturę konwencje, do zachowań normatywnych.



– Jak to co? Pani projekt – odpowiedziała kobieta w czerwonej sukni. – Nie reprezentuje wartości, na których nam teraz tak zależy. Nie jest zgodny z założeniami naszej polityki kulturalnej.

– Ale chyba był zgodny, skoro został zatwierdzony?

– Może był, może nie był. Tego nie wiem. Teraz nie jest. Pani wybaczy...

Kobieta w czerwonej sukni otworzyła szufladę, wyjęła z niej butelkę wody mineralnej i mały bakelitowy pojemnik. Z pojemnika wysypała na blat dwie tabletki w różnych kolorach i kształtach, wzięła je do ust i próbowała odkręcić korek od butelki. Niestety, korek nie ustępował. Po kilku nieudanych próbach spojrzała na Annę i wyciągnęła do niej rękę z butelką.

– Może pani się uda? – wymamrotała, stosując nieco zdeformowaną przez obecność tabletek na języku dykcję.

Anna odkręciła korek i postawiła butelkę na środku biurka.

– Dziękuję – powiedziała kobieta w czerwonej sukni, rozgryzając tabletki i popijając je wodą prosto z butelki. Zrobiła to tak szybko i łapczywie, że woda zaczęła spływać jej po wargach, zostawiając wilgotne, ledwo widoczne plamki na kołnierzyku. – Z tego, co nam wiadomo, rozpoczęła pani procedurę apostazji – oznajmiła kobieta w czerwonej sukni, wycierając białą jedwabną chusteczką usta.

– No tak, ale co to ma do rzeczy?

– Oczywiście, to pani osobista sprawa, ale...

Na chusteczce pojawiły się czerwone plamy po szmince. Kobieta złożyła chusteczkę plamami do wewnątrz i schowała ją do torebki.

– ...ale problem w tym, że pani projekt miał być finansowany z funduszu dziedzictwa kulturowego, a jak pani zapewne wie...

– Ale... ale co to ma do rzeczy?!! – odezwała się Anna już zdecydowanie rozdrażnionym głosem. – Co ma dziedzictwo kulturowe do...

– Tu nie chodzi o dziedzictwo – przerwała kobieta – tylko o pani postawę... o pani stosunek do religii.

– Do religii? A co pani może wiedzieć o moim stosunku do religii?

Kobieta w czerwonej sukni podniosła wzrok na Annę.

– Proszę pani, mnie to ani grzeje, ani ziębi. To pani prywatna sprawa... chociaż nie. Już prywatna nie jest, bo skoro pani oficjalnie zadeklarowała w mediach, że...

– Ale co to ma jedno z drugim wspólnego? Nie mówimy tu o mnie, tylko o pomniku!

– Ja się tam na sztuce nie znam, jestem od spraw czysto merytorycznych, więc na temat tego... – wskazała ręką na rysunki ciągle zalegające na biurku – ...to ma być pomnik, tak? Widzi pani, nawet nie wiedziałam, że to ma być pomnik. Wniosek złożono ileś tam lat temu, już nawet nie pamiętam, kiedy to było – mówiąc to, wzięła do ręki jeden z rysunków i zerknęła na jego nagłówek. – No tak, o, proszę, to już dziesięć lat minęło. Powiedziała pani wtedy, że polecił panią bóg. Niezależnie od tego, czy był to tylko dowcip, czy też rzeczywiście bóg panią polecił, to z punktu widzenia czysto marketingowego była to niezwykle atrakcyjna deklaracja. Oczywiście, że jesteśmy krajem laickim, ale zdecydowana większość

naszych wyborców to ludzie wiary. Oni nas wybrali, a my jesteśmy zobowiązani do zaspokojenia ich oczywistych potrzeb. Utworzyliśmy fundację, która wspiera projekty związane z dziedzictwem kulturowym, a nasze dziedzictwo kulturowe to religia i wszystko, co z religią związane...

– Ale mój projekt nie ma nic wspólnego z religią, co pani?... – wtrąciła się Anna.

– Proszę mi nie przerywać, bo zgubię wątek. Wybacz pani, ale...

Kobieta wstała, wyjęła z torebki inhalator, odwróciła się tyłem do Anny i zaaplikowała lek na astmę.

– I po co pani to było? Musiała pani nagłaśniać to publicznie? Kogo w końcu obchodzi, czy pani wierzy w boga, czy nie? Przecież mogłaby sobie pani prywatnie nie wierzyć, nie wierzyć po cichu, bez rozgłosu – odezwała się po chwili, schowała inhalator do torebki i spojrzała na zegarek. – Za chwilę mam następne spotkanie, ale zanim pani pójdzie, powiem jeszcze jedno. Brak wiary nie ma w tym przypadku znaczenia, ale paradoks polega na tym, że przy pani stosunku do wiary cały projekt przestał spełniać wymagane kryteria. Gdyby była pani wierzącą artystką... nie, albo nie, inaczej: gdybyśmy nie wiedzieli, że pani straciła wiarę, nasza interpretacja tego artystycznego zamysłu dałaby się jakoś obronić, a tak to... Oczywiście mówię tutaj o kryteriach przyznawania funduszy. Samego projektu oceniać mi nie wypada, bo, przyznam się szczerze, po prostu go nie znam. Przykro mi, ale w obecnej sytuacji... pani apostazja jest tak nagłaśniana w mediach, że nasze wsparcie dla tego...

Nagle zadzwonił telefon. Kobieta przeprosiła Annę i podniosła słuchawkę. Wsłuchiwała się w kogoś po drugiej stronie. Po chwili konwencjonalny uśmiech zniknął z jej twarzy, a w oczach pojawiły się łzy. Osunęła się na krzesło i wybuchła niekontrolowanym szlochem, który po kilku sekundach przerodził się w coś, co przypominało ryk zranionego zwierzęcia; upadła twarzą na biurko, jęcząc i zakrywając głowę rękami.

Anna stała, bezradnie gapiąc się na lamentującą kobietę w czerwonej sukni; zawołanie kobiety wydawało jej się nadzwyczaj teatralne, nienaturalne.

„Ona łka zdecydowanie za głośno” – pomyślała.

Po chwili zwierzęcy płacz przemienił się w jęk, po czym jęk przeszedł we frustrację i złość, które wyrażała fala okropnych przekleństw powtarzanych przez kobietę z coraz to większą zaciekłością. Nagle ucichła, uniosła głowę i spojrzała na Annę. W jej oczach nie było łez, tylko błysk przerażenia, a może agresywnej bezradności.

– Skurwiel zmarł. Przed chwilą. Koniec. To jest mój koniec – wycodziła przez zęby.

– Kto? – Anna nie wiedziała, czy ma zadać to pytanie z troską, ze współczuciem, czy tradycyjnie, konwersacyjnie, bo „tak by wypadało”, więc na wszelki wypadek

poprzedziła pytanie delikatnym chrząknięciem, co w konsekwencji uczyniło je ledwo słyszalnym.

– Co? – zapytała kobieta agresywnym, zdecydowanym i zupełnie niepotrzebnie podniesionym głosem.

– Kto zmarł? Przepraszam, że pytam, ale...

– Wuj. Mój wuj. Skurwiel, bezduszny cynik. Boże, co teraz ze mną będzie? – jęczała kobieta, waląc przy tym pięścią w biurko.

Nagle w pokoju zrobiło się cicho. Kobieta zachowywała się tak, jakby powietrze z niej uszło. Patrzyła na Annę jak aktorka, która zapomniała tekstu i czeka na odpowiedź suflera.

– Przykro mi. Współczuję pani, ale naprawdę nie wiem...

– Nie miała pani wrażenia, że to skończony skurwysyn? – przerwała kobieta.

– Naprawdę nie wiem, o kim pani...

– No ten, co tu był przede mną. To mój wuj, czy raczej stryj. Skurwiel. Jak on mógł mi to zrobić. Jestem skończona. Pani z pewnością tego nie wie, ale on był kiedyś, dawno, dawno temu tajniakiem. Pracował dla tej najgorszej formacji. Zbierali haki na wszystkich. On miał wszystko na wszystkich. W swojej tajnej szafie w piwnicy. Bali się go, bo ma kwity na wszystkich, więc wszyscy, wszyscy bez wyjątku pozwalali mu na wszystko. Nawet na to, by mnie zatrudnił na tym stanowisku. Jako swego zastępcę. Przecież ja o tej pracy nie mam zielonego pojęcia... a płacę wspaniale. Jestem nie do ruszenia, niezależnie od tego, czy coś robię, czy nie robię zupełnie nic. Liczyło się tylko to, że jestem jego bratanicą. A teraz?

Kobieta wstała, wyjęła z torebki złotą papierośnicę, podeszła do okna, rozsunęła zasłony, otworzyła okno na oścież i zapaliła papierosa. Zaciągnęła się nim trzykrotnie, zgasiła go na parapecie i wyrzuciła niedopałek na zewnątrz. Stała tak przez chwilę, patrząc na góry.

– Teraz już nie mam żadnego zabezpieczenia. Teraz wezmą się za mnie, bo na mnie to mają papiery, oj mają. Nie ma już co i jak udawać. Jestem skończona. – Ostatnie zdanie wyrzuciła z siebie dramatycznym i nieco sztucznie brzmiącym półszepem.

Po chwili zamknęła okno, oparła dłonie na wewnętrznym parapecie i pochyliła się w taki sposób, że z miejsca, w którym stała Anna, widać było tylko jej plecy.

Anna przyglądała się kobiecie, a raczej tej widocznej części jej ciała, która nagle zaczęła drżeć, pulsować, co miało oznaczać, że kobieta płacze, że szlocha. Szlochała bezgłośnie, ale nad wyraz sugestywnie.

„Może nawet nieco za sugestywnie” – przeszło Annie przez myśl, po czym, niemal natychmiast, odezwała się zdecydowanym i lekko podniesionym głosem:

– Kiepsko to pani wychodzi. Niech się pani nie wysila. To i tak na nic się nie zda.

Kobieta odwróciła się i spojrzała na Annę. Minę miała taką, jakby ktoś ją spoliczkował albo wylał na nią wiadro zimnej wody; otworzyła szeroko usta i zaczęła nerwowo mrugać wilgotnymi od łez oczami.

– Co pani? – odezwała się po chwili.

© Bogdan Koca, Haberfield, NSW, 31.01.2023

Przypisy końcowe

[i] Eratyk – głaz narzutowy, narzutniak (z łac. errare – błdzić) – fragment skały litej, przyniesiony przez lądolód.

[ii] *Śmierć i przemienienie* (*Tod und Verklärung*) Richarda Straussa.

[iii] Kontynuacja tej sekwencji nastąpiła po trzydziestu dwóch dniach przerwy w pisaniu.



Międzynarodowy Festiwal Teatrów Ulicznych w Jeleniej Górze, fot. Robert Kutkowski (czyt. s. 168)

Fajne chłopaki

Dzień zaczął się przyjemnie. Na osiedlu spokój, ludziska w domach, nikt nie szwendał się bez potrzeby, nikt nikomu gitary nie zawracał. Zmontowaliśmy swoją pakę, w większości same fajne chłopaki z pobliskiej okolicy. Miło spędzaliśmy wolny czas, którego zazwyczaj było sporo. Zналиśmy się od lat, sąsiedzi też nas znali i w pewnym sensie uważali za elitę osiedla. Zyskaliśmy nawet miano osiedlowej partii. Wiele spraw potrafiliśmy załatwić: przynieść, zanieść, wynieść, przenieść, przerzucić lub wyrzucić. Naprawić albo zepsuć. Jeśli trzeba, kogoś pogonić czy komuś dokopać. Byliśmy sumienni i nie awanturowaliśmy się bez potrzeby. Co poniektórzy twierdzili – niby w żartach – że moglibyśmy w wyborach, choćby do samorządu, startować. Gdybyśmy tylko pragnęli, bez wątpienia osiągnęlibyśmy dobre rezultaty. Nie, nie. Za chińskiego boga, nie. Takie popisy mieliśmy w głębokim poważaniu. Woleliśmy siedzieć w naszym stałym miejscu, beztroscy i rozluźnieni, z browarami w garści i fajkami w zębach. Luz całkowity. No więc siedzieliśmy. Robiło się coraz cieplej, sympatyczniej, ciągnęliśmy ze smakiem piwko, jeden Mały podejrzenie nadymał się i nadymał. Wreszcie odstawił puszkę i wydukał tajemniczo:

– Jakoś tak byłem przez kilka dni u znajomych... W takim mieście małym, miasteczku znaczy się...

Rozpoczął nienadzwyczajnie, lecz słuchaliśmy. Niech się gościu wygada i wynętrzy.

– Zupełnie tam inaczej niż u nas. W dużym mieście, znaczy się... Chodzą te ludzie i chodzą. W miasteczku, znaczy się, chodzą... Po miasteczku wte i wewte. Chodzą i chodzą... Nie ma autobusów, nie ma tramwajów, ławek mało, parków i skwerów ledwo co, chodzą i chodzą... Dochodzą do końca miasteczka i wracają. I dawaj znowu. Nie usiądą gamonie ani na chwilę. – Musiał bardzo się wzruszyć przechadzками małomiasteczkowych, bo aż poczerwieniał. Jakby sam nigdy nie chodził. O co Małemu biega, u licha?

– Chodzą i chodzą, chodzą i chodzą... Nie to co my – do Żabki po piwko i z powrotem. Całkiem inaczej... – Mały naprawdę niezdrowo się podniecił. Czyżby wyprzedzili go w drodze do kościoła? O ile wiem, wcale w nim nie bywał. Ciekawa zagwozodka, toż ćmokowi żyłka w łepetynie pęknie, a wtedy żegnaj Gienia. Po kiego się tak unosi, o bezpieczeństwie własnym nie myśli.

– Inaczej niż u nas... – westchnął zafrasowany ze trzy razy i pociągnął nosem.
– Inaczej... Oni jacyś inni...

Tak... Inaczej... Inni... Masz ci los, pojawił się problem społeczny i ważny. Takich zaś nie lubiliśmy, dlatego każdy trzymał dziób zamknięty. Chyba Mały miał rację, że ludzie z małych miasteczek są odmienni od nas. Tak, zdecydowanie, jakaś racja w tym się zawierała, sam czułem, ale jaka... Chociaż... Może jedynie plótno trzy po trzy, chcąc nas zaskoczyć i omamić, że gdzieś był i coś ponoć zauważył. W gruncie rzeczy liczyliśmy, że wypowie się Doktore, którego tak nazywaliśmy, bo niczym uczony potrafił wszystko wytłumaczyć. Jasno, bez motania i ściemniania. Miał facet kiepełę nie od parady, cieszył się szacunkiem na całym osiedlu. W dodatku silny w łapach niemożliwie i potrafiący zdrowo wypić. W sam raz nadawałby się do sejmu. Albo i do rządu. Nic dziwnego, że przewodził naszej osiedlowej gromadce.

– Oczywiście, że w miasteczkach jest inaczej. Są inne niż duże miasta. Mniejsze. Znacznie mniejsze. Z definicji wynika. Kapejszyn? – rzucił Doktore od niechcenia, chociaż stanowczo i bezapelacyjnie. – Stąd ludzie są inni. Chodzą, bo co innego mają do roboty? Chodzą, bo nie jeżdżą i nie siedzą, czym zasadniczo różnią się od nas.

Przytaknęliśmy zgodnie, usatysfakcjonowani wyjaśnieniem. Tego zresztą się spodziewaliśmy: krótko, prosto, bez owijania w bawełnę. Znowu zamilkliśmy, rozleniwieni w słonecznych promieniach. W skrytości ducha każdy zapewne starał się rozgryźć tę odmienność małomiasteczkowych, która zasadzała się w niezrozumiałym, namolnym chodzeniu. Z jednej strony nic skomplikowanego, jakkolwiek z drugiej dawało do wiwatu. Od nadmiaru emocji poczułem znużenie, powieki same się zamknęły i kapkę przysnąłem.

Obudziło mnie dziamganie, jakby stado bezzębnych przekupek targowało się o pięć groszy. Rozprawiano o czymś ze wzrastającym ożywieniem. Początkowo sądziłem, że Dudek chce iść na stronę za potrzebą. Normalne w towarzystwie przy piwku, tylko po kiego macha rękoma? On jednak zaczął się popisywać, pewnie z gorąca, bo słonko ładnie dawało:

– Nie mówi się odlać, to niemodne. Teraz trzeba mówić wylać.

Wtedy zaszpanował Plomba:

– Nie odlać, nie wylać, jeno odejlać. Z angielskiego, na jednym filmie słyszałem!

No proszę, zadał z grubej rury. Mało że film oglądał, ale, co więcej, słyszał po angielsku. Bujda totalna, grubymi nićmi szyta. Taki patafian miałby film oglądać? Ludzie, trzymajcie mnie...

– Sam wymyślasz te bzdury?! – wyskoczył z pyskiem Buras. – Nie uskuteczniaj wrogiej propagandy! Mówi się odpryskać. Odpryskać, tłuku! Odląć

możesz wodę z moczenia fasoli lub po ugotowaniu ziemniaków, kucia faja! Jeśli ktoś wyleje się na ciebie, wtedy cię oleje. Tak się mówi w wielkim świecie, dyskretnie i elegancko: informuję uprzejmie, że idę się odpryskać.

Rozochocił się żartowniś marnym dowcipem, światowiec od siedmiu boleści, wyprostował radosne metr pięć w kapeluszu i zaczął podrygiwać przed nami, nieudolnie naśladowując ululanego celebrytę:

– Pani taka i owaka, gwiazda dostępna chwilowo ze scen europejskich, a nawet prowincjonalnych, odpryskała się na prawo i lewo z nieprzymuszonym wdziękiem. Włala, szanowne damy! Zapraszamy do wspólnej zabawy!

Przyglądałem się nadmiernie pobudzonemu Burasowi z obrzydzeniem. Obleśny popapraniec. Skąd takiemu przychodzą do łba podobne rewelacje? Z telewizji? Ekspert od wyższych sfer i odlewania ziemniaków. Z nadmiernego wysiłku umysłowego nie wytrzymał i osobiście się olał. Wykrywał, przepowiadacz losu niemyty... Zwinął się ukradkiem z podkulonym ogonem. Zgroza... Zgroza... Upał... Upał nas wszystkich powoli wykończy, stropiłem się i sięgnąłem po puszkę z piwem.

Gadka tymczasem się rozwijała. Łysy, który parę lat temu, zanim wysiadał go Doktore, był tutaj szychą, najwyraźniej do czegoś się przymierzał. Mamrotał pod nosem, jakąś drętwą mowę widocznie w globusie układał, aż wreszcie wypalił:

– Nie macie pojęcia, o czym mówicie. Trzeba znać język polski i różne inne oraz... Pamiętam, w gimnazjum... – zawiesił głos. – Pamiętam, w gimnazjum... – ponownie umilkł. Coś przeżywał, coś go dręczyło. Nie mieliśmy zielonego pojęcia, że Łysy zaliczył gimnazjum. Przecież pobyt w gimnazjum gorszy od kiblowania. Kurza melodia, też bym zadrżał na samo wspomnienie.

Łysy podumał moment i obwieścił:

– Nowocześnie i subtelnie brzmi wysiurać. Co ma podłoże swojskie, ludowe oraz międzynarodowe. I się wymienia...

Gdzieś, przez skórę, wyczuwałem fałsz i prowokację. Nietypowe wahanie, zastanawianie się, niedopowiedzenia... Łysy musiał planować podstępną grę. Nigdy za nim zbyt nie przepadałem, za śliski dla mnie. Może zamierzał chęłpić się przed chłopakami w roli dobrze zorientowanego normalizatora, który ma wiedzę gimnazjalną? Uderzyć w Doktore i odzyskać utraconą pozycję? Ja cię kręcę, ubaw po pachy... Istny thriller dla ubogich.

– Wymienia? Wymieniać możesz swojej starej podpaskę i wzajemnie – rzekł Doktore nieco zirytowany. Łysy wyraźnie podkopywał jego autorytet ostatecznie orzekającego, co było niepokojące.

– Jasne, jasne... – zjadliwie, półgębkiem uśmiechnął się Łysy. – Wymienia się, i bardzo się wymienia! Jest taka zasada... – wyjął. – Obowiązująca urzędowa zasada...

Ucichliśmy. Te słowa nas ruszyły. Brzmiały solidnie i wręcz nakazywały się podporządkować. Bez żadnej dyskusji. Jak pragnę zdrowia, skąd Łysy je wytrzymał? Faktycznie z gimnazjum? Dobrze ziółko z niego... Spojrzałem na Doktore i widać było, że na nim również wywarły wrażenie. Wprawdzie nie pękał, lecz drgnął. Nieco go wzięło. No, może nie za wiele, ale ciut się zmieszał. Zmrużył oczy i napomknął jak gdyby mimochodem:

– Jaka niby zasada, co się niby wymienia? Rusz gimnazjalną mózgownicą, koleś, oświeć publikę. Jaka zasada?

Łysego zmyliło dobrotliwe przyzwolenie Doktore. Zwiertzył wielką okazję błysnięcia inteligencją i zdobycia powszechnej popularności oraz władzy za wiedzę.

– Proszę bardzo, wyższa szkoła jazdy! U otwarte wymienia się na u zamknięte i odwrotnie, a równa się b i c do kwadratu. Wysiurać wymienia się na siurać, siurać natomiast łączy się z ciurać, obsiurać, odsiurać, posiurać, przysiurać, rozsiurać i zasiurać, co oznacza, że zgodnie z powszechną zasadą wymienialności wymienia się oraz dopełnia lewostronnie i prawostronnie. On się wysiurał, ona się obsiurała, ono się posiurało! I odwrotnie. – Potoczył wokół triumfującym wzrokiem, dźwigając pulchny zadek, jakby już chciał zająć miejsce Doktore. – Co należało do ukazania i udowodnienia – dodał dobitnie.

Wytrzeszczyliśmy gały. Niech mnie kule biją... Niech mnie drzwi ścisną... Takiego kina dla ubogich dawno nie widziałem. Kompletne pomieszanie z poplątaniem, do kupy dość porażające. Denne, a zarazem odlotowe. Łysy zadał Doktore cios prosto w słabiznę. Walnął jak ta lala! Mowę mądrą inaczej odwalił, że mucha nie siada. Kto by przypuszczał, że taki z niego specjalista od zasad, z wymienialnością obeznany. Czekaliśmy w napięciu, co zrobi Doktore, czy podda się i odejdzie bez słowa, czy podejmie walkę, chcąc ocalić resztki honoru. W powietrzu iskrzyło. Chłopaki z nadmiaru podniecenia prawie się oślinili. Rudy i Szpak, wzburzeni wielce, dyszeli niezdrowo rozdziawionymi paszczami. Nie co dzień widuje się zmagania dwóch najtęższych umysłów na osiedlu. Gdyby Łysy wziął górę, zaraz by mu buty czyścili, gamonie sprzedajne.

– Ís bin ojlau... Klajne maciora und grosse prosięta po polu gelaufen... – odezwał się niespiesznie Doktore. – Ís siurau ojs alle cuzammen... Ajn, cwaj, draj! Fersztejst, du dummer arszłoś?

Przerwał, choć psim śwędem czułem, że jeszcze uraczy nas czymś nieoczekiwanym. I się nie pomyliłem.

– Henßen klajn, komm curik, bist der mutter glik, majn liber kornblumenblau. Ís zage dir, weg. Du olau und nalau, noś ajnmal ciurau. Cum tojfel. Praszczaj. – Pozornie łagodne słowa zabrzmiały z posępną mocą. Czaiła się w nich i groźba, i obietnica przebaczenia.

Ośłupieliśmy z przejęcia. Doktore powalił Łysego bez pudła, wdeptał w piach i pył! Zwyciężył bezkrwawo kilkoma zdaniami na poziomie ponadgimnazjalnym. Globalnym wręcz i wielojęzycznym. Przewidział dynamicznie sytuację, bezustannie ją kontrolował! Ot, zdolniacha, nasza gwiazda sezonu. Kudy tam Łysemu do starego wyjadacza. Jednego osiedla mało na niego! Miasteczka! Szacun, szacun dla Doktore!

Łysy, nie można powiedzieć, potrafił się zachować. Wywęchał, skubany, pismo nosem. Żadnych bluzgów, żadnego pokrzykiwania, żadnej próby fizycznego udowodniania swoich racji. Trzymał fason, morda. Piątka dla niego. Najpierw krzynę zbladł, potem krzynę poczerwieniał, podniósł się, poruszył ramionami i pochylił nieco, jakby w wątłym ukłonie.

– Właśnie mnie się przypomniało, że żona żelazko pozostawiła na gazie. Muszę w domu sprawdzić, czy dziura się nie wypaliła w serwecie – wydukał drewnianym głosem.

A Doktore! Doktore – istny lew salonowy wagi superciężkiej – nie obśmiał Łysego, nie pouczał, przewagi cielesnej nie okazał i kota nie pogonił. Skinął łaskawie głową i odparł z godnością odpowiednią co najmniej dla ministra:

– Idź.

I Łysy ruszył między bloki. Jego prawa noga podrygiwała przy tym nieznacznie, jak zawsze gdy był nieźle wpieniony. Albo akurat pampers mu się obsunął w tę nogawkę. Co tu nadawać po próżnicy, twardziel. Spłynął stylowo i pomimo przegranego starcia zyskał u nas trochę chwały. Trochę. Patrząc życiowo, nieszczęśnik od początku nie miał szans.

Tak, akcja była piękna, klasa sama dla siebie. Nasze uwielbienie dla Doktore sięgnęło nieba. Miejscowa sfera skapcaniałych politycznych blagierów powinna od niego uczyć się rządzenia i dobrych manier. Byliśmy dumni, że potrafił wyjść cało z trudnego położenia, w dodatku zyskując kilka punktów przewagi nad rywalem. Byliśmy dumni również z siebie, bo stanowiliśmy jego dzielną ekipę. Wprawdzie niektórzy z nas byli zwykłymi fajansbojami, ale pal licho. Dzisiaj promienie chwały Doktore oświeślały także ich nędzne facjaty.

9.10.2023 r.



Wojciech Zawadzki, z cyklu *Moja Ameryka* (czyt. s. 192)

Do cienia

Bywają takie dni, kiedy światła jest więcej niż zazwyczaj. Są takie tygodnie, miesiące i lata, gdy optymizm zupełnie wypiera złe myśli, a o „molu zakrytym”, wyniszczającym człowieka od środka, nic jeszcze nie wiemy. Co o tym decyduje? Pewnie indywidualne predyspozycje, psychiczne nastawienia, przeżywane emocje, może dieta i ruch na świeżym powietrzu. Nie bez znaczenia pozostają układy gwiazd i konfiguracje planet. Każdy jednak – śmiem uważać – prawie takie okresy w swoim życiu przeżywa. Jasnym czasem były dla mnie wakacje roku 2014, kiedy znaki na niebie i ziemi zapowiadały przemianę. Ukończyłem studia doktoranckie i obroniłem dysertację. Cieszyłem się jak dziecko. Zdawało mi się, że złapałem Pana Boga za nogi. Oczami wyobraźni widziałem perspektywę zmiany pracy, godziwszych zarobków, nowych znajomych, a – kto wie – może i miejsca zamieszkania. Świat wydawał się przyjazny i spolegliwy. Skrzynkę pocztową otwierałem bez lęku, listonosz nie był posłańcem hiobowych wieści, lecz niósł dobrą nowinę. Mijanych na ulicach ludzi pozdrowiałem uśmiechami. Dźwięk telefonu nie brzmiał niebezpiecznie i złowieszczo, głos w słuchawce emanował sympatią:

– Panie Aurelianie, mamy dla pana miłą, jak sądzę, niespodziankę. Mianowicie: chcielibyśmy jako Zarząd Towarzystwa Przyjaciół Zdumienia z Prezesem na czele uczcić otrzymanie przez pana stopnia doktora. To wspaniała okazja do rozmowy, podzielenia się doświadczeniami, a przede wszystkim, tak jak powiedziałem, do uczczenia pańskiego wyjątkowego sukcesu. Przecież niecodziennie ktoś w Zdumieniu zostaje doktorem nauk humanistycznych.

Poczułem się ważny. Ucieszyło mnie to, że ktoś mnie dostrzegł, o mnie pomyślał i bezinteresownie chciał zrobić dla mnie coś dobrego. Podjęte przeze mnie badania nie trafiły w próżnię, nie przepadły w przepastnych przestrzeniach niebytu, po prostu miały – jak myślałem – sens.

– Teraz jesteśmy jeszcze w Górach Izerskich – powiedziałem do słuchawki.

– Czy będzie panu odpowiadał termin za trzy dni – dwudziesty siódmy lipca, godzina piętnasta piętnaście?

– Tak, oczywiście, będę już wtedy w Zdumieniu.

– To wspaniale, w takim razie zapraszam na kawę do Domu Muzycznego, gdzie mieści się nasza siedziba. Wie pan, gdzie to jest, panie Aurelianie?

– Tak, wiem, niedaleko klasztoru.

– Otóż to! Doskonale pan się orientuje, panie Aurelianie. Będzie także pan Adam Czapla. Zna go pan? Autor monografii *Populacja bociana białego w powiecie Zdumień na przełomie wieków XX i XXI*.

– A... ten od bocianów... Wiem, wiem. Miły staruszek.

– W takim razie do zobaczenia, panie Aurelianie.

Schowałem telefon do plecaka. Patrzyliśmy ze Stogu w dal. Syciliśmy oczy widokami. Zajadaliśmy słodkie renklody. Po zejściu ze szczytu planowaliśmy pójść do pensjonatu, by napić się izerskiej kwaśnicy. Wieczorem, mimo skromnego budżetu, zaprosiłem żonę z dziećmi do Świerkowej Karczmy. Zamówiliśmy wędzonego pstrąga i prosecco. Jedliśmy na dworze. Za plecami szumiała Kwisa.

– Widzisz, kochanie, mój trud zostanie doceniony. Wiem, że to były cztery lata pracy, a ty w tym czasie miałaś cały dom na głowie. Świetnie sobie poradziłaś. Teraz ja przejmę dużą część obowiązków, obiecuję.

– Zobaczymy – powątpiewała Anna, ale jej mina gromadziła w sobie dumę, radość i zachwyt. – Ze Zdumienia nie możemy się wyprowadzić. To wiesz. Mamy tu rodzinę. Dzieci chodzą do szkoły i są z niej zadowolone – stawiała warunki, trzymając w pięknej dłoni kieliszek Villa Martinetti. Zielone powietrze nasyczone naturalnymi olejkami eterycznymi świerków wzmagало poczucie szczęścia.

– Nasze życie się odmieni. Zobacysz. Dostanę lepszą pracę. Weźmiemy kredyt. Kupimy mieszkanie – rozmarzyłem się. „Pu, pu, pu...” – pohukiwała włochatka.

Po powrocie do Zdumienia przygotowałem się do spotkania. Skopiowałem recenzje promotorów. Introligator z ulicy św. Marka oprawił moją rozprawę w elegancką granatową okładkę. Tom zamierzałem złożyć na ręce Prezesa TPZ. Po obiedzie wypastowałem i włożyłem czarne półbuty, które służą mi już dziesięć lat, nieco nowsze czarne dżinsy i koszulkę z krótkimi rękawami w biało-czarne prążki. Do kupionej na wyprzedaży czerwonej torby włożyłem stalowe pióro z napisem *dr Aurelian Pogodnicki*, otrzymane od sąsiadów w prezencie podczas legendarnej już prywatki, kiedy to wódka lała się strumieniami, a trup padał gęsto.

Anna instruuje mnie, jak należy:

– Może ci jakąś pracę zaproponują... Może jakąś robotę zlecą albo funkcję dadzą, do Zarządu wezmą. Tylko pamiętaj. Nie gódź się na kolejne darmowe zlecenia. Dużo już się społecznie narobiłeś.

– No nie przesadzaj, kochanie. Za korektę ostatnio płacili – protestuję niepewnie.

– Daj spokój, co to za wypłata, nawet na buty dla dzieci nie starczyło. A ten doktorat sporo cię i nas, całą rodzinę, kosztował. Musisz się cenić. Jak ty siebie nie

będziesz szanował, to nikt ciebie nie uszanuje. Chociaż tę pracę mogliby ci wydać, bo nie jest głupia, a nie tylko siebie drukują – poucza i na odchodnym topi mnie w mgiełce wody toaletowej Old Spice.

W Domu Muzycznym, który kiedyś był szkołą muzyczną, między neoklasycystycznymi ścianami i pod takimż sufitem stoi pan Adam, znawca zwyczajów i życia bocianów, liczy sobie już osiemdziesiąt siedem lat i też zostanie uhonorowany przez Zarząd TPZ dyplomem. Wydał bowiem monografię *Populacja bociana białego w powiecie Zdumień na przełomie wieków XX i XXI*. Obok niego medytuje skupiony członek Zarządu – Albert Pierzak. Chłop słynie z tego, że odkrył poemat dygresyjny o założycielce zgromadzenia Sióstr Dobrego Serca z okresu międzywojennego. Wzorowany na *Beniowskim* Juliusza Słowackiego utwór napisał przebywający tu na wakacjach Marian Ornat. Sława Alberta oczywiście jest ograniczona, ale nieśmiało snuje się po zakamarkach Zdumienia. Rozmowa toczy się o białych ptakach.

– Bociany mają doskonałą orientację w przestrzeni. Jednego wywieziono z Kapustowa do Zdumienia autem, jest to dwadzieścia kilometrów, a Kajtek wrócił dokładnie w to samo miejsce. Mówią, że bociany przynoszą dzieci, i coś w tym jest. Opowiem, jak było: jedno małżeństwo z Pieczysk nie mogło mieć potomstwa. Przyleciał bociek, pokręcił się po okolicy i założył gniazdo na kominie starej chałupy. Chcieli je usunąć, bo groziło zawaleniem konstrukcji. Powiedziałem im, że bociany przynoszą szczęście, a jak się je wyrzuca, to jakby prowokowało się nieszczęście. Zostawili gniazdo i po dwóch latach urodziło się w Kapustowie dziecko. Zostałem ojcem chrzestnym...

– Piękna historia. Prawie jak w Biblii – skomentował Pierzak. – A ja wam opowiem o łabędziu...

Tu przerwał, bo przybył Prezes i udaliśmy się na spotkanie w bibliotece. Dotarło jeszcze kilka osób z Zarządu: Tomasz Delfin, Małgorzata Ziemiańska z miejscowego urzędu i Stefan Kamiński. Na kremowym obrusie białe talerzyki, ciasto, ciasteczka, herbata i kawa. Na ścianach czarno-białe zdjęcia ze *Zdumień – dawniej i dziś*, dokumentujące historię miasta. Prezes, nie ociągając się, wyjął z foliowej torby i wręczył mi dyplom w bordowej oprawie o treści: „W związku z obroną pracy doktorskiej składamy Panu w imieniu Towarzystwa Przyjaciół Zdumienia serdeczne gratulacje i życzenia dalszej owocnej pracy w zakresie opracowywania i dokumentowania życia kulturalnego i naukowego Zdumienia i okolic. Z koleżeńskimi pozdrowieniami członkowie Zarządu TPZ”.

– Czy chce pan coś powiedzieć? – sapnął Prezes.

Nic nie zamierzałem mówić, bo nie wiedziałem za bardzo co, więc tylko podziękowałem, podkreśliwszy, że to dla mnie wielki zaszczyt. Następnie wręczono dyplom jubileuszowy panu Adamowi.

– Czy chce pan coś powiedzieć? – Usłyszałem ponowne sapnięcie.

Wiedział, co mówić:

– Tak. Bardzo dziękuję, jest to mój najlepszy dzień w życiu, wspaniale się czuję, jestem wzruszony i wdzięczny, że mój trud w związku z liczeniem bocianów na ziemi zdumieńskiej został doceniony i w tak piękny sposób uhonorowany. W tej wyjątkowej w moim życiu chwili chciałem zaznaczyć, że dzięki mnie w Kapustowie powstanie pomnik upamiętniający wędrówki bocianów, które tu przy międzynarodowej trasie Paryż–Moskwa, biegnącej przez tę historyczną osadę, znajdowały schronienie.

Zainteresowano się postumentem: kto za niego zapłaci i kto go wykona. Następnie Prezes zapytał, jak wyglądała moja obrona pracy doktorskiej.

– Trwała dwie i pół godziny...

– A moja wnuczka – wtrącił pan Adam – obroniła doktorat w Barcelonie. Ona robiła z tego, no... biologii, ale nie do końca... bo jakby z medycyny... nie wiem dokładnie... bo wszystko było po angielsku... I tam był ten noo...

– Promotor? – podsunąłem.

– Tak, promotor, ale zupełnie w swetrze, i reszta komisji też, normalnie w sweterkach przyszli, koszulkach polo... A to wszystko krótko trwało, może z pół godziny, a najwięcej gadał ten noo...

– Promotor? – westchnął Prezes.

– Tak, promotor! Potem ona coś tylko powiedziała po angielsku i jest doktorat.

– No ale żeby nie uszanowali... – zdziwił się Delfin. – W Polsce jednak jest inaczej... Jak u pana, panie Aurelianie, byli ubrani członkowie komisji?

– Nie byli w swetrach, zresztą to był czerwiec, koszule mieli z krótkimi rękawami, ale też nie jakieś tam przesadnie eleganckie, bez krawatów, niektórzy sportowe marynarki powiesili na krzesłach. Jeden profesor był jak zawsze w czarnej skórze z łańcuchami. On ma taki styl. Wszyscy to wiedzą. Nawet na swoim ślubie był w tej skórze i glanach. Ja założyłem garnitur, bo mi żona kazała.

– No właśnie, trzeba jednak tego człowieka zestresowanego uhonorować – skonstatował Prezes.

– Pan się poczęstuje serniczkiem, specjalnie przez panią Anię upieczony, pyszny – zachęcał Pierzak.

– Takie ciasto jadłem w Kapustowie na festynie OSP. Wspaniałe. Wtedy były bociany jeszcze w Polsce. A jeden to został na zimę, bo miał złamane skrzydło. Wzięła go pani Kazia, chowała normalnie z kurami, gęsiami i kaczkami. Wydobrzał i na następny rok odleciał. A bociany to wcale tak żab nie jedzą. Jakby jadły tylko żaby, toby pozdychały z głodu.

– A co jedzą? – zapytałem.

– Myszy, panie, myszy jedzą, krety, a także owady – odparł życzliwie pan Czapla.

– A jaki temat pracy miał pan, panie Aurelianie? – zagaiła po chwili milczenia Małgorzata.

– *Pyry w dobie Romantyzmu.*

W oczach Prezesa pojawił się niepokój. „Pyry, Pyry – gorączkowo myślał – Gdzie to? Gdzie to?” – poszukiwał rozbieganymi oczami pomocy u Delfina. Pomoc nadeszła:

– Pyry leżą w Wielkopolsce. To już jest poza powiatem Zdumień.

– W Wielkopolsce też jest trochę boćków, ale u nas więcej. Zresztą, Polska jest w czołówce światowej, pierwsza chyba jest Hiszpania, a potem Polska.

– A pan sam pisał ten doktorat? – dociekała Ziemiańska.

– No tak, a jak mogłoby być inaczej? – zdziwiłem się.

– No bo wie pan, teraz to wszystko można kupić... – mrugnęła do mnie porozumiewawczo.

– Pamiętam, jak przekupiłem jednego gospodarza nad rzeką Prosną, żeby nie wyrzucał bociana. To były czasy komuny. Dałem mu litra bimbru, razem wypiliśmy i sprawa załatwiona, ale za rok i tak bocian już nie wrócił – wszedł w słowo pan Czapla.

– Panie Aurelianie, a tu są takie ptaszki, więc pytam: co to oznacza? – dociekała pani Małgorzata.

– To o ptakach też pan pisze? Może o bocianach? – zainteresował się staruszek.

– Panie Adamie, źle pan zrozumiał. Ptaszki ołówkiem porobione przez pana Aureliana, poprawki – pouczyła Ziemiańska.

– Aha, źle usłyszałem. Mam osiemdziesiąt siedem lat.

– Piękny wiek – sapnął Prezes.

– Tam zaznaczałem w tekście drobne usterki, gdyż cały czas dalej pracuję nad rozprawą, stosując się do zaleceń recenzentów, wierząc, że dysertacja zostanie wydana.

– W Zdumieniu nie ma szans – uciął Prezes, uprzedzając moją ewentualną prośbę. – Pana praca nie dotyczy Zdumienia!

– Ale ja jestem ze Zdumienia.

– No to co! Pisz pan o Wielkopolsce, to niech pan wydaje w Wielkopolsce! Nastąpiło niewygodne milczenie. Przerwała je pani Małgorzata:

– O rany, już tak późno, ale się zasiedzieliśmy. Muszę lecieć do wnuków.

Zaczęliśmy skwapliwie się zbierać. Pierzak wziął do buzi kawałek serniczka, a do torby kilka ciastek. Prezes w skupieniu poskładał reklamówkę. Delfin pomógł mu włożyć ją do kieszeni marynarki.

Wychodząc z biblioteki na korytarz, zwróciłem się do Stefana:

– Nie tak to sobie wyobrażałem.

– A czego się pan spodziewał? Niech pan powie: czego? – odparł Kamiński.

– Niczego, już w zasadzie niczego – odparłem zgaszony.

Podszedłem jeszcze do gabloty z książkami, wśród których dostrzegłem *Historię Zdumienia Prezesa*.

Po kilku dniach w lokalnej gazecie zobaczyłem zdjęcie uśmiechniętego Prezesa, dobrotliwie spoglądającego w obiektyw. Niżej skromny artykuł autorstwa Pierzaka pt. *TPZ docienia swoich członków*. Czasami w „Tygodniku Zdumienia” zdarzają się literówki nawet w tytułach.



Wojciech Zawadzki, *Olszewskiego 11* (czyt. s. 192)

ZDZISŁAW LIPIŃSKI

wiem i nie wiem
bardziej wiem
choć czasem
nie chcę widzieć

rozbłyśki snów
w ośnieżonych
zawilcach

nadzieja że tak
nadzieja że nie

nadzieja że zawsze
nadzieja że nigdy

nadzieja że ktoś
nadzieja że nikt

nadzieja że tutaj
nadzieja że tam

nadzieja że nigdzie

stare spróchniałe
mosty

niewidoczna przeprawa

nad rzeką płynącą
we mnie

przerwane tamy zalały łąki
szukam synonimów

zdarzyło nam się życie
szyte nie na wyrost
nie na miarę

jakie takie

ziemia bez ludzi
niebo bez ptaków

zimne wrota
kosmosu

„Dniownik”, czyli kronika niezapowiedzianych śmierci – część trzecia (fragmenty)

Poprawiam i zmieniam mój tekst, notuję niespodziewane odpryski myśli, sformułowania, które przychodzą nagle jakby ze sfery snu i domagają się utrwalenia, choćby w tak kruchej postaci, jaką daje słowo. Nad ranem uparte zdanie przypominające, że mieszkam teraz w wygodnym i w miarę eleganckim grobowcu, w jaki zamienił się po twojej śmierci nasz dom. Jest przyjemnie i cicho, sąsiedzi nie hałasują, kwiaty kwitną, podłogi i sprzęty są w miarę czyste i zadbane. W środku tej eleganckiej siedziby są twoje rzeczy, które pozostały ze mną, i złoty lis śpiący na pudłach z klejnotami, które niekiedy daruję moim córeczkom z okazji imienin, ale pozostało ich nadal dużo i lis nie może spać zbyt długo, bowiem w okolicy pojawili się złodzieje, a ja nie zawsze mogę być w domu. Może to zbyt mocne określenie: „grobowiec”, raczej przedsionek kolejnego miejsca spoczynku, które na pewno nie będzie tak wygodne i do którego mój złoty lis i wszystkie twoje rzeczy nie będą miały już wstępu. Dlatego korzystam teraz z wygody pokoju, w którym piszę, i tarasu, na który spadają zwiędłe liście dali. Przedsionki grobowców bywają niejednokrotnie pokryte wspaniałymi malowidłami i mieszczą w sobie bogatą wyprawę potrzebną zmarłemu w życiu pozagrobowym. Patrzę na moje meble i obrazy. Obrazy chętnie zabrałbym ze sobą, podobnie jak chiński haftowany parawan z dwoma walczącymi na śmierć i życie smokami kupiony przez nas kiedyś w desie za pożyczkę dla młodych małżeństw. Wiem jednak, że on na pewno się w tym nowym miejscu nie zmieści i złoty lis będzie go nadal musiał pilnować, aby nie ukradli go złodzieje, którzy podobno ostatnio pojawili się w naszej okolicy.

Wielka fala wyrzuciła mnie kilka lat temu na samotny brzeg, na którym było kilka pustych walizek, strzępy ubrań, stare dokumenty i legitymacje ze zdjęciami osób dawno zmarłych albo takich, których nigdy nie poznałem i już nie poznam. Patrzę na nie uważnie, szczególnie na twarz kobiety sfotografowanej

przed laty w kolorze sjeni, nieposiadającej żadnych znaków szczególnych, której zdjęcie odnalazłem w szufladzie połamanego biurka znalezione na żółtym piasku plaży. Siedzę tu do dzisiaj i staram zapalić z odnalezionych desek i starych gratów wielki ogień. Może ktoś mnie zobaczy i uratuje, ponieważ kończy mi się umiejętność życia w absolutnej samotności, a żaden Piętaszek raczej się już tu nie pojawi. Strugam drewienka, rozpalam ognisko. Nade mną przelatują samoloty, ale jest ich w tym roku jakby mniej, ponieważ słyszałem, że na wyspach szczególnie pojawiło się wiele trudnych do ugaszenia pożarów, a globalne ocieplenie z wolna zamienia się w globalne zagrożenie życia ludzi czekających tam od wielu lat nadaremnie na deszcz i na chłód przynoszący ulgę rozpalonemu ciału. Na moim brzegu na razie panuje klimat umiarkowany, chociaż w morzu pływają śnięte ryby zatrute przez okoliczne demony lub tę kobietę ze zdjęcia patrzącą na mnie uważnie, jakby chciała mi coś powiedzieć, ujawnić swoje prawdziwe nazwisko, pomalować żółty piasek na czarno, uwolnić mnie nareszcie na zawsze z tej bezbrzeżnej pułapki.

Obraz Giorgia de Chirico „Tajemnica i melancholia ulicy” z 1914 roku. To ja jestem na tym obrazie, jestem małą dziewczynką toczącą serso, dawno zapomnianą zabawkę, która wtedy była modna, a teraz jest nieobecna w świecie gier komputerowych i planszowych. Biegnę po stronie cienia wyłaniającego się spoza arkadowej, pozostającej również w cieniu budowli. Znalazłem się tam dzięki taniej publikacji Arkad z 1974 roku wydanej w ponad trzydziestu tysiącach egzemplarzy. To być może jest cień rzucany przez śmierć, do której prowadzi wąska droga wysypana żółtym piaskiem. Bawimy się wszyscy razem, ona, dziewczynka i ja, którego cień jest odmienny, wywiedziony ze sfery słońca, nie ciemności, i przez to nieobecny na płótnie Chirica. O tych trzech cieniach myślę od rana, dodaję je do siebie i odejmuję, staram przykryć je kolejnymi warstwami farby, ukryć poza otwartym szeroko, pustym wozem stojącym w dolnym rogu obrazu. Cienie nie ulegają mi zbyt łatwo, są melancholijne tak jak ja, poszukują gwałtownie innych uczestników zabawy, chcą się wedrzeć do mojego świata, mieć decydujący głos w naszej grze. Dziewczynka biegnie, nie poruszając się zbyt szybko, ja biegnę razem z nią, próbując ją dogonić, aby jeszcze bardziej się z nią utożsamić. Serso toczy się niepostrzeżenie, kijek do toczenia koła wypada mi z rąk. Dziewczynka podnosi go i podaje mi, abyśmy mogli wspólnie dalej się bawić. I tylko ten cień wychylający się spoza ciemnego budynku, cień posągu albo postaci proroka z laską, którą można uśmiercić mnie i dziewczynkę, by później samemu toczyć koło, napawać się naszymi znikającymi cieniami i ich wiecznym, postępującym bezruchem.

Żyjąca w XIV wieku mistyczka Birgitta Birgersdotter porównała Boga do Wielkiego Robala, który po wyjściu spod ziemi krzyczał w jej wizji do swoich kapłanów: „Wy obrzydliwcy, niewdzięczni degeneraci (*abominabiles et ingrati et degenerantes*). Wydaje wam się, że mnie nie ma, a ja się tylko przyczałem jak uśpiony robak, co zimową porą skrywa się w ziemi w postaci larwalnej. Ale wyłezę z ziemi z nastaniem letnich zbiorów i zeżrę wszystko, o co tak zabiegaliście. Wtedy sparaliżuje was strach i nie będzie ucieczki z moich łap, ponieważ nie szukam niczego innego, krom waszych dusz (*nihil quero nisi animas vestras*)”. Uroczy tekst, który można zadedykować pewnemu Ojcu, który nigdy nie był prawdziwym ojcem, chociaż kto go tam wie, i naszej faryzejskiej, pisowskiej, pseudopolitycznej klasie rządzącej. A swoją drogą pisma niektórych mistyków i mistyczek są zdumiewające i często trącą piękną, podniosłą herezją. Taniec na zmurszałych szczątkach Kościoła widziany w niedawnym czasie w mediach i nadzieja, że ten Wielki Robal w końcu wychynie spod ziemi i pożre nie tylko ich wątpliwej jakości dusze, ale majątki i niepohamowaną żądzę władzy za wszelką cenę, objawianą w każdym miejscu i o każdej dobie. Podobno ostatnio tajemnicze centrum Krucjaty Wyzwolenia Człowieka dostało z budżetu Państwa dwadzieścia dziewięć milionów złotych. Najwidoczniej Bóg Wielki Robal tego nie zauważył albo jeszcze nie zdołał się obudzić z zimowego snu i nadal skrywa się w ziemi. Tej ziemi.

Według Krzysztofa Cichonia powołującego się na starożytnych mędrców greckich „W swoim pierwotnym znaczeniu autentyczność dopuszcza przemoc. Kiedy o tym pamiętamy, problematyczne staje się współczesne przekonanie, że każdy rodzaj autentyczności jest wartościowy. Sztuka długo była określana jako coś autentycznego przeciwnego. W kulturze współczesnej uznanie czegoś za sztukę zezwala na ujawnienie autentyczności w stopniu, który raczej nie jest akceptowany w innych obszarach życia”. Uwagi poczynione na marginesie analizy twórczości Jana Lebensteina prowadzą nas w stronę języka krytyki artystycznej, gdzie słowo to jest chronicznie nadużywane i przez to nigdy nie spotkałem się w oficjalnych katalogach, aby jakaś twórczość została uznana za nieautentyczną czy wręcz oszukująca widzów poprzez zawarty w niej ładunek fałszu, schematyczności lub ulegania modom i konwencjom przyswojonym już wcześniej i wchłoniętym przez rynek sztuki. Z drugiej strony wszyscy chcemy być autentyczni, czyli zmierzamy w stronę przemocy i uzurpacji czynionych na żywym ciele biednych widzów, czytelników i słuchaczy, którzy najczęściej mają gdzieś naszą autentyczność i szybko wyzwalają się spod jej presji, uciekając w stronę piosenek, które dobrze znają, bo przecież po co słuchać tych, których wcześniej

nie poznaliśmy. W „Dzienniku” staram się być od blisko siedmiu lat autentyczny, ale nie wiem zbyt dobrze, co to słowo mogłoby w tym przypadku znaczyć, oprócz przysięgi, że będę mówił prawdę, całą prawdę i tylko prawdę będącą moją osobistą, megalomańską własnością, czyli czymś skrajnie subiektywnym i być może w jakimś sensie nieprawdziwym. Tworzę dzieło konceptualne, nie znosząc konceptualizmu, o którym Lebenstein pisał, że „sprowadzał się do tego, że tutaj rzuci się szmatkę, tam się postawi bańkę po mleku, tu się położy jabłuszko – i już jest sztuka”. W chwili kiedy o tym piszę, kładę na stole jabłko, bo nie mam bańki na mleko. Jabłko, podobnie jak stół i ja, jest autentyczne i prawdziwe. Musicie mi w to w tym momencie uwierzyć.

Na zdjęciu scena sprzed ponad trzydziestu lat – chrzest Weroniki. Przed kościołem na Bujwida stoimy my i dwoje rodziców chrzestnych – Ania i Łukasz, który załatwił nam ową uroczystość po znajomości u słynnego księdza Orzechowskiego, o którym już wcześniej pisałem, ponieważ nie mieliśmy nigdy ślubu kościelnego i żyliśmy w uroczym grzechu cudzołóstwa przez całe nasze wspólne życie. Weronisia w stroiku uszytym przez Danusię ze starych koronek wygląda na zdjęciu jak barokowa królewienka i właśnie przestała płakać, i jest szczęśliwa, gdyż wyszliśmy z kościoła, w którym zanosila się rozpaczliwym płaczem przez cały czas trwania uroczystości, ponieważ zgubiła smoczek i nie mieliśmy zapasowego, a może dlatego, że diabeł siedzący w niej od urodzenia uparcie nie chciał porzucić tak obiecującej z jego punktu widzenia duszyczki. Później miałem kłopoty z wydobyciem świadectwa chrztu, ponieważ ksiądz Orzechowski nie prowadził ksiąg parafialnych i ten święty akt nie został nigdzie odnotowany, i dopiero proboszcz z tak zwanego górnego kościoła za niedużą odpłatnością wpisał wszystko tam, gdzie trzeba, szkoda tylko, że w dniu 20 czerwca nie było wolnej rubryki, przez co wpis jest cokolwiek sfałszowany, ale kto to będzie po latach pamiętał. Nie wiem, dlaczego o tym piszę i dlaczego wtedy wszystko wydawało nam się naturalne pomimo braku kościelnego ślubu – chrzest, ksiądz, który poświęcił Weronisi całą mszę, biały stroik, który tak pięknie wyglądał w czerwcowy dzień na tle błękitnego nieba, my z Natalią, rodzice chrzestni, których, jak miemam, czyścić nie ominie, ponieważ później nigdy nie zainteresowali się nawet przez chwilę swoją chrześnicą i jej szkolną oraz religijną edukacją. To być może wszystko przez dzisiejszy błękit pogodnego nieba i zdjęcie odnalezione niespodziewanie w zapomnianym albumie. Pytam: gdzie jesteśmy teraz, co się stało z nami, co stało się z ówczesnym Kościołem, co z naszą naiwną wiarą? Pytam retorycznie, zamykam album, patrzę na gwałtowne, ciemne chmury przepływające nad moim domem. Patrzę.

Rytuał wieczornego zapalania świecy przed twoim zdjęciem, zauważony nawet przez znajomych, którzy czasami przynoszą mi dyskretnie w podarunku świece, abym mógł go kontynuować, chociaż świece dobrego gatunku są u nas coraz droższe, a ja jestem coraz biedniejszy i wracam do mojego naturalnego stanu przypominającego tytuł powieści Józefa Ignacego Kraszewskiego „Całe życie biedna”. Była też „Kuzynka biedka” Balzaca, ale wolę tytuł Kraszewskiego wywiedziony ze stron nam bliższych i lepiej oddający moją finansowa i mentalną sytuację. Całe życie z literaturą nie pozostaje bez wpływu, blizny i skaleczenia są liczne, a rany nie chcą się zabiżnić pomimo licznych prób, aby je zasklepić własnymi tekstami i własnym odczuciem świętości, całkowicie prywatnym i niezwiązanym z żadną oficjalną religią. W czasie moich obrzędów jestem jedynym kapłanem i orantem jednocześnie, a ty obecna na zdjęciu zrobionym już w czasie twojej choroby jesteś nie tyle świętą, co osobą współistniejącą, celem, do którego biegnie słabe światło świecy, i jednocześnie ścieżką, która staram się zbudować, aby móc po niej przejść i chociaż na chwilę na niej pozostać. Modłę się metaforami, jestem w nie uwikłany jak w materię wykonaną z drogocennej substancji, chociaż chciałbym, aby to wszystko było bardziej proste i bezpośrednie, jak gasnący płomień albo melodia sprzed lat, która powróciła do mnie niespodziewanie tego wieczoru – „Amazing grace”, hymn baptystów i niewolniczy gospel jednocześnie, zapisany na trzieszczącej płycie, którą kupiliśmy za złotówkę na targu staroci w Miliczu razem z pudełkiem świec na wszelki wypadek, jakby wyłączyli prąd, o co kiedyś nie było trudno, w czasie biedy i obłędnych, sierpniowych nocy.

Głos z zaświatów. Tekst znaleziony podczas generalnych porządków w piwnicy kryjącej, jak się okazuje, sporo skarbów oraz pliki dawno już przebrzmiałych informacji utrwalone w wycinkach ze starych gazet, zaproszeniach na spotkania literackie, katalogach wystaw, programach targów książek. Głos zapisany na pożółkłej kartce papieru, wystukany jednym palcem na maszynie do pisania, podobny do tego, który zamieściłem w ostatnim tomie poezji jako kodę i zwieńczenie całości, myśląc wtedy, że nic podobnego nigdy wcześniej nie zdołałem napisać. Przepisuję bez poprawek, ponieważ nadal się z nim identyfikuję, tak jakby nie minęło blisko czterdzieści lat od jego napisania, a moja miłość pozostaje nadal w nim obecna, jak wtedy, kiedy borykaliśmy się ze stanem wojennym oraz ograniczeniami w dostawach prawdziwego życia, światła, prądu i papieru do pisania. „Myśleliśmy o nim, kiedy przemierzał brzegi swojego oceanu, a właściwie to ona pamiętała o nim, bo kobiety zawsze pamiętają o cudzych oceanach, nawet wtedy, gdy ich brzegi są wyznaczane przez kogoś innego. Jego kroki zmieniały się w drgającą linię – zapamiętujesz wtedy kilka punktów, kilka miejsc

odniesienia. Ona wiedziała o tym zawsze, pragnęła być tym promieniem, który łączy, a jednocześnie jest na tyle nieokreślony, że nigdy nie poznamy reguł, które nim rządzą”.

Czytam po latach, z pewnym uporem i wysileniem, „Dziennik” Gombrowicza, ten arcywzór wszystkich polskich dzienników, blogów, literackich autoanaliz, nadal aktualnych prowokacji, złotych myśli, obsesji i jednocześnie starannego skrywania siebie poza pozorami absolutnej szczerości. Powinienem napisać o tym obszerny szkic, nie tyle polemiczny, lecz po to, aby ukazać, jak łatwo jest wpaść w stylistyczne pułapki zastawiane na czytelnika przez ten tekst i jak łatwo jest, pomimo pozornych trudności i stylistycznych wykwitów, „pisać Gombrowiczem”, podobnie jak „pisać Schulzem”, którego zwodnicza siła jest jeszcze większa i pochłonęła już niejednego nieostrożnego przechodnia parającego się pisarstwem. Cudowne piękności opisów argentyńskiego świata, wyjątkowe w naszej jakże ubogiej w tej materii literaturze, i ogromny blok nieuczesanej świadomości wpisanej w świat emigracji i komunistycznego PRL-u, w którym było wszystko, tylko nie było prawdziwego, w stylu zachodnioeuropejskim pojmowania komunizmu. Wypisuję poszczególne sformułowania o polskim katolicyzmie, wyższości i niższości, sztuce, która powinna się trzymać z dala od filozofii, wgryzam się w język i czuję, jak on mnie kąsa i pochłania niebezpiecznie, udając, że jest to tylko przybliżanie kaprysów indywidualnego stylu do rzeczywistości i próba odnalezienia relacji pomiędzy ludźmi niezakłamanych przez religię, konwenanse czy fałsz wynikający z wszechogarniającej wszystkich i wszystko Formy. Będę do tego wracał systematycznie, ale na razie cytuję z pierwszego tomu, w którym jednym tchem czytamy: „Środa. Wiatr i kłęby chmur z południa wałęsają się na szczyty. Samotna kura na trawniku... dziobie... Być konkretnym człowiekiem. Być indywiduum. Nie dążyć do przemiany świata, jako całości – żyć w świecie, przerabiając go o tyle tylko, o ile to leży w zasięgu mojej natury. Urzeczywistniać się zgodnie z moimi potrzebami – potrzebami indywidualnymi. Nie chcę powiedzieć, że tamta myśl – zbiorowa, abstrakcyjna – że Ludzkość jako taka nie jest ważna. Ale musi być przywrócona równowaga. Najbardziej nowoczesny kierunek myślenia to ten, który znowu odkryje pojedynczego człowieka”.

Siedzę przy pustym stole i wiem, że powinienem się spakować i zabrać do szarej torby kilka rzeczy, przybory toaletowe, czystą bieliznę i niewiele więcej, ponieważ mam tu niedługo wrócić i dopiero wtedy wszystko porządnie pozbierać oraz zapakować do pudeł stojących pod ścianą. Powinienem też zabrać coś do jedzenia na drogę, najlepiej kanapki przygotowane wcześniej przez ciebie, ale boję się,

że nie zdążę ich zjeść, a moja grupa wsiada już do autobusu, który nie będzie na mnie czekał, tym bardziej że mamy jechać jak zawsze razem, ale ty nie jesteś jeszcze gotowa i jak zawsze się spóźniasz, zajęta wybieraniem odpowiedniego na drogę stroju i poprawianiem makijażu, dzisiaj jakby bardziej wyrazistego i podkreślającego kształt twoich brwi i brązowych oczu. Najtrudniej jest z cieniami na powieki, których cała gama mieści się w plastikowym etui, które masz zawsze ze sobą, na wypadek gdyby zmieniła się pogoda, padał deszcz albo cienie o zmierzchu były zbyt wyraźne i niszczyły jasność naszych spojrzeń oraz zarysy kształtu twarzy. Czekam, ciągle czekam i przez to nie możemy wyjść z domu, ale może tak jest lepiej, bo po co wychodzić w taką pogodę, kiedy tu mamy najlepiej, obok siebie, blisko pustego stołu i starych pudeł, blisko niezasłanego łóżka i pościeli, którą trzeba by wyprać przed zbliżającym się świętem moich Narodzin, blisko snu zabijającego jawę i nagłego przebudzenia hałasem śmieciarki wywołującej stare papiery i plastikowe pudełka po kremach i kolorowych cieniach.

Odszedł Sixto Rodriguez, jedna z najbardziej tajemniczych postaci tak zwanego show-biznesu ostatniego czasu, odnaleziona po latach niepamięci na jakiejś budowie, gdzie był majstrem i gdzie pracował fizycznie. Odnaleziono go przy okazji realizacji filmu o mitycznym śpiewaku sprzed lat, o którym wszyscy myśleli, że popełnił samobójstwo i przez to nie nagrywa nowych utworów. Początek lat 70. XX wieku to czas niebywałego wykwitu dziesiątków talentów muzycznych, pośród których łatwo się było zagubić, nie mając odpowiedniej promocji i wsparcia ze strony wielkich wytwórni płytowych, a historię artysty wzmocniła jego późniejsza ogromna sława w Republice Południowej Afryki, gdzie jego piosenki były niezwykle popularne i stanowiły jedną z form sprzeciwu wobec apartheidu i afrykanerskiej, białej władzy. Ktoś na sprzedawaniu tam jego płyt zarobił miliony, a on sam nawet nie wiedział, że jest idolem w odległym, zniewolonym politycznie i rasowo kraju. Słucham ścieżki dźwiękowej z filmu „Sugar man” poświęconemu Rodrigowi, na której wykorzystano piosenki z dwóch nagranych przez niego ponad pięćdziesiąt lat temu płyt. Wstrząsające „Crucify Your Mind” i „Cause”, piękna „Sandrevan Lullaby – Lifestyles” towarzyszą mi od dawna, są bardzo blisko mojej muzycznej jaźni wypełnianej przez lata utworami z całego świata, najpełniej z lat młodości, kiedy codziennie pojawiał się nowy przebój i kiedy myśleliśmy, że tak już będzie działać się zawsze. Muzyka od pewnego czasu w coraz większym stopniu się przede mną zamyka lub to ja zamykam przed nią moją pamięć i świadomość możliwości istnienia obszaru nowych brzmień i dźwięków. Te, które jeszcze przychodzą, są niezbyt częste i wypływają raczej ze świata muzyki poważnej lub etnicznej wywodzącej się z Bałkanów lub Afryki

Zachodniej. Sugar man niekiedy przychodzi do mnie wieczorami, wyjada cukier ze srebrnej cukiernicy, popija whisky, gra na akustycznej gitarze. Dyskutujemy o tym, co można by naprawić w moim podniszczonym domu. Śmierć nie potrafi nam już w tym na szczęście przeszkodzić.

Najsmutniejszy dzień w roku, a może w całym moim życiu. Dzisiaj obchodzę siedemdziesiąte urodziny. Gdyby nie moje córeczki, to poruszałbym się od rana jak we mgle w państwie umarłych, ponieważ nie żyje już nikt z tych, którzy wtedy mogli być przy moich narodzinach. Umarli: babcia Karolina, ciocia Cesia, wujek Tadzik, mój ojciec, moja mama, przyrodnia siostra, cioteczny brat, który wtedy był ode mnie starszy o ponad rok, umarły wszystkie sąsiadki i przyjaciółki mamy i babci z ulicy Nowowiejskiej, umarł drugi wujek Witek i cała jego dalsza rodzina, babcia Anna i dziadek Franciszek, i młodsza siostra mojego ojca Celina. Czasami mi się śnią i wtedy zapisuję to w „Dniewniku”, ale ich obecność nie jest zbyt natrętna i muszę później przypominać sobie ich twarze, ponieważ zdjęć z tej epoki prawie nie mam, a te, które są, przypominają bardziej wyblakłe dagerotypy niż prawdziwe fotografie. Dostałem dzisiaj życzenia od firm Terranova i Toyota, która napisała w mailu, że życzy mi „morza radości, wiatru pomyślności i autostrad możliwości, i aby moje marzenia osiągnęły »stan spełnienia«”. Najwidoczniej zatrudnili tam jakiegoś nieudanego polonistę na etacie tak zwanego pijarowca, ale „autostrady możliwości” nawet mi się podobają. Jadę nimi nieustannie i szkoda tylko, że z tym stanem spełnienia jest trochę gorzej. Znalazłem też w starych, pożółkłych papierach pisany na maszynie wiersz zatytułowany „Martwa natura”. Wydaje się odpowiedni na tę okazję i dlatego pozwolę sobie go tutaj przed Państwem oczy przywołać: „Powroty z punktu i linii / przynoszą sobą obraz / jak wejście do porównania lub przedmiotu / ożywionego niepewną wyobraźnią. / Obroty wokół własnych ram / narażają go na rozerwanie / na śmierć każdego z nas / przywołują obsesje niektórych ludzi, / ich potrzebę kultu / nadzieję na uratowanie z pożogi / choćby skrawka żywego płótna”.

Na okładce nowej edycji (2021) „Dwunastu stacji” Tomasza Różyckiego informacja o autorze oraz o tym, że ten poemat to „pełna humoru, nostalgii i językowych fajerwerków wyprawa w czasie i przestrzeni – brawurowa opowieść o podróży Wnuka odwiedzającego członków swojej rodziny przesiedlonej z Ukrainy na Ziemię Zachodnie. Otaczająca go rzeczywistość, opisana z czułością i wspaniałym zmysłem obserwacji, poddana zostaje groteskowej deformacji i przekształca się w mit... Utwór przetłumaczony został na angielski, niemiecki, francuski, szwedzki i czeski...”. „Dwanaście stacji” opublikowano po raz pierwszy w roku

2004, czyli ta opowieść musiała powstać wcześniej, w momencie kiedy Różyci miał około trzydziestu trzech lat. Wiek Chrystusowy skłaniający niektórych pisarzy do literackich zaduszek i podsumowań. Moje „Jestem jak echo” powstało w roku 1983, miałem wtedy trzydzieści lat i myślałem, że piszę książkę, która będzie inna niż wszystkie i już przez to warta lektury oraz dogłębnej krytycznej analizy. Została opublikowana po wielu latach i wielu staraniach z tak zwanej łaski na pociechę w roku 2017, a oficyna, która ją wydała, zupełnie nie zadbała o jej promocję, nie mówiąc już o jakiegokolwiek szerszej dystrybucji. Dwie biografie i dwie książki. Wynika z nich, że urodziłem się albo za wcześniej, albo za późno, ale na pewno w nieodpowiednim miejscu i nieodpowiednim czasie, będąc poza tak zwanym środowiskiem i związanymi z nim opiniotwórczymi kręgami skupionymi daleko od dosyć zgrzebnego w tej materii Wrocławia. Jednak jako znany autor „Kresów w malarstwie” chciałbym w tym momencie zaznaczyć, że członków rodziny Różyckiego przesiedlono nie z Ukrainy, a jeżeli już – to z polskich Kresów, a tak naprawdę z Galicji Wschodniej, która nigdy nie należała do Rosji i żadną Ukrainą nie była. Ja i duch mojej mamy urodzonej we Lwowie w roku 1915 prosimy w związku z tym wydawnictwo Znak o poprawienie tej informacji przy kolejnych wydaniach i tłumaczeniach książki Różyckiego, ponieważ w przeciwnym wypadku będziemy musieli ich tam w Krakowie mocno przekląć, a nasze kresowe przekleństwa są potężne i potrafią przetrwać wszystkie historyczne i literackie zawieruchy.

Błękitna kopuła nieba. Staram się wychylić poza nią głowę, jak czynił to niegdyś średniowieczny wędrowiec, ale poza nią jest kolejna i jeszcze dalej następna, jak w szufladkowej opowieści mieszczącej w sobie niekończące się historie wynikające jedna z drugiej i tak w nieskończoność, ponieważ są opowiadane przez wszystkich mieszkańców Ziemi i przez nikogo w tym samym, równoległym czasie. Śledzę uważnie chmury przetaczające się nade mną, w tym roku szczególnie niespokojne i płynące do nas jakby z innej strony świata, niosące ze sobą gwałtowne deszcze i obfitość błyskawic zalewających swoim bladym światłem ogromne połacie nieba. Constable byłby zachwycony ich nadmiarem i dlatego fotografuje je specjalnie dla niego, ponieważ wierzę w koincydencje artystycznych myśli i zamierzeń spełniających się poza przestrzenią i czasem, ulatujące wraz z błękitnym eterem do tych, którzy już odeszli. Wczoraj, w czasie silnego burzliwego wiatru kilka jaskółek próbowało złowić w locie owady, ale nie bardzo im się to udawało, ponieważ pęd powietrza był zbyt silny, a i owadów wystraszonych nim było zbyt mało i ptaki musiały wrócić do swoich gniazd zawiedzione kolejnym nieudanym polowaniem. Muszę zamknąć okna i zabrać z tarasu meble, robi

się niebezpiecznie i niejeden artysta zginął, starając się odczytać sens nieustannie zmieniających się chmur i obłoków, których kolory i kształty trwają najczęściej przez jedną krótką chwilę, aby później zapaść się w otchłani niebytu i jednocześnie zmienić w powstający na naszych oczach, niespodziewany i obłędny malarski spektakl. Na dziś wystarczy, zakrywam błękitną kopułę nieba, wycieram pędzle o suchy piasek nadmorskiej plaży. Obrazy pojawiają się i znikają, jaskółki przecinają je w locie czarnymi, niespokojnymi liniami.

Ktoś wyciągnął mnie na film „Barbie”, mówiąc, że jest to największa sensacja sezonu i powinienem odnotować ją w moim „Dniewniku”. Trochę się broniłem, ale tak rzadko ostatnio chodzę do kina, że w końcu zgodziłem się na to w ramach studiów filmologicznych, którym oddawałem się niegdyś z wielkim zapałem na polonistycie. W sumie film, o którym powstanie wiele doktoratów nie tylko z historii filmu, ale też socjologii, antropologii kulturowej, studiów feministycznych, genderowych oraz takich, o których jeszcze nie mamy pojęcia, a które pojawiają się w Stanach Zjednoczonych w niedalekiej przyszłości. Film dla koneserów i dla dzieci, dla tych, którzy badają postmodernizm w sztuce, i tych, którzy nigdy niczego szczęśliwie nie musieli badać, ale na przykład lubią Latający Cyrk Monty Pythona i „2001: Odyseję kosmiczną” Stanleya Kubricka. Pamiętam, jak zbierałem w latach osiemdziesiątych przez kilka miesięcy pieniądze na lalkę Barbie, wówczas szczyt marzeń Natalii i wszystkich jej nieletnich rówieśniczek. Kupiliśmy ją ostatecznie w Pewexie w Rabce, a później przyszły następne, ale na pewno już nie tak wyczekiwane i pożądane jak ta, która była pierwsza. W filmowej „Barbie” mężczyźni na początku przypominają zmiętoszone króliczki, których nie wpuszcza się do domu bohaterki, a w chwili odwetu potrafią tylko interesować się końmi, brać udział w absurdalnych bijatykach na plaży i martwić tym, że czteropak piwa nie mieści się w zbyt małych, dziewczęcych lodóweczkach. W sumie nieduży, ale inteligentny odwet na świecie supersamców i kolejne pochylenie, tym razem niezwykle interesujące wizualnie, nad trudami kobiecego i dziewczynskiego losu. Po wyjściu z kina postanowiłem kupić sześciopak Pilznera i zapisać się na kursy jazdy konnej. Kupiłem sobie też różowy sweterek, ponieważ tego domagała się ode mnie moja wewnętrzna dziewczynka, o której już kilka razy wcześniej w „Dniewniku” pisałem.

Nie rób niczego na siłę. Na jaką siłę? Na siłę, która jest w języku. Od rana dopadają mnie głosy wewnętrzny i zewnętrzny, dopadają niespodziewanie, nakazując umiar nie tylko w pisaniu, lecz także czynieniu czegokolwiek. Staram się im wytłumaczyć, że piszę coraz mniej, a i moje działania są bardzo ograniczone

przez wiek i stan zdrowia, nie mówiąc już o depresji, upałach i tym, co słyszę i widzę w mediach. Trudno jest tu mówić o jakiejś sile, kiedy skończyło się siedemdziesiąt lat i wszystko męczy, a najbardziej męczy mnie codzienna konieczność bycia oryginalnym w słowie i piśmie, i co to znaczy „być oryginalnym”, jeżeli autotematyzm jest już szacowną tradycją, a i ja sam staję się też pomalą szacowną tradycją, wstając rano lewą nogą i zapisując to na kartce nieistniejącego papieru, którą trzeba dopiero wydrukować, żeby zaistniała naprawdę, ale co to znaczy „naprawdę” i czyja jest to prawda, jeżeli nie jest tylko moja już w chwili odczytania tego, co powstaje na waszych oczach i jeszcze nie zostało wymyślone w wielkim świecie literatury pochłaniającym i wypluwającym coraz to nowe ofiary pisarskiej wiary, nadziei i miłości, i tak bez końca, bez końca do momentu wyłączenia światła, bo idzie wielka burza, która niesie w sobie swoje własne światło o ogromnej sile większej niż ta, która jest w języku i może nawet zabić piszącego, który stara się utrwalić swój niepokój obudzony niespodziewanie przez apokaliptyczną śmieciarkę przejeżdżającą pod oknami jego domu w samo południe, zabierającą wszystkie papierowe odpady, których się nazbierało więcej niż zwykle, i dobrze, że nareszcie przyjechali, bo się już nie mieściło, i co się nie mieściło, nie mieściły się niepotrzebne już nikomu słowa nieporadnie zapisane pod wpływem dwóch głosów zamierających szczęśliwie po tej stronie lustra, tuż przy wszystkich słownikach kupionych przed laty i z dawna nieotwieranych, dziewiczych jak studium przedmiotu albo warstwa kolejnego tekstu wyjętego z rękawa, uratowanego przed zniszczeniem, molochem pożerającym własne dzieci w dniu dwudziestego pierwszego sierpnia dwa tysiące dwudziestego trzeciego roku.

Wielki, dostojny, dziewiętnastowieczny hotel lub elegancki pensjonat – jak w filmie „Śmierć w Wenecji” Viscontiego. Niestety, nie ma pięknego Tadzia i jego arystokratycznej mamy, jest za to tłum eleganckich gości przechadzający się po korytarzach i salonach, oczekujący najwyraźniej na wieczorną ucztę. Wiem, że ma to być uczta, a nie zwyczajna kolacja, i dlatego wychodzę, bo nie lubię dużych ludzkich zgromadzeń i wolę spacer nadmorską promenadą, która prowadzi do granatowych lasów majaczących na odległym horyzoncie. Nie mam też odpowiedniego ubrania, a żywi ludzie od czasu twojej śmierci coraz bardziej mnie denerwują. Wiem, że ktoś powinien się pojawić, ktoś, kogo jeszcze nie znam, i dlatego kupuję kwiaty, czerwone gerbery, które widziałem rano w kwaciarni i wydały mi się stosowne na tę uroczystość, chociaż gerbery podobno wychodzą lub wyszły już z mody, są nieco staroświeckie i nie odpowiadają wymaganiom elegancji i dobrego smaku. Nikt jednak nie przychodzi, a kobieta, która siada koło

mnie na ławce, na pewno nie jest tą wyczekiwaną przeze mnie osobą. Staram się jednak do niej przytulić i przez chwilę jesteśmy razem, ale ona niespodziewanie odchodzi, ponieważ najwidoczniej też czekała na kogoś innego i nasze sny przez to nie do końca mogły się spotkać. Myślę, czy tak już będzie zawsze, czy zawsze będę siedział na tej ławce z pękiem czerwonych gerber w dłoniach, które nagle zwiędły, ponieważ najwidoczniej oszukano mnie w kwiaciarni, sprzedając dawno zerwane kwiaty, a ja jak zwykle tego nie zauważyłem, nieuważny, opuszczony, patrzący na ciemną linię lasu poza granatowym horyzontem.

Niecierpliwość, coraz więcej niecierpliwości, stanu zabijającego mnie od wewnątrz. Staram się ją opanować, tłumaczę samemu sobie, że niecierpliwość w moim wieku do niczego nie prowadzi, co najwyżej utrudnia życie i nie pozwala normalnie funkcjonować. Jednak wiem, że wynika ona z coraz mniejszej liczby dni i godzin, które mi zostały, i dlatego nawet w snach objawia się niespodziewanie w chwilach krytycznych, kiedy nie mogę czegoś znaleźć albo spieszę się coraz bardziej, pomimo tego, że zdaję sobie sprawę, iż tak naprawdę nikt na mnie nie czeka i mój pośpiech nie ma żadnego sensu. Nakładam jednak pospiesznie buty, zapominam o skarpetkach leżących tuż obok, domagam odnalezienia mojej torby podróżnej i drugiego śniadania zawiniętego w srebrny papier, a kobiety, które mi towarzyszą, starają się spełnić moje życzenia, jakby wiedziały, że za chwilę i tak pozostanę w tym samym miejscu, a cały ten pośpiech to tylko pozór, ponieważ jestem do nich na zawsze przywiązany niewidzialnymi nićmi wysnutymi z wrzeciona, na którym, jak w starych opowieściach, przędą nić mojego żywota. Dlatego zdejmuję buty i kładę je pod ścianą, rozwijam srebrny papier i spokojnie jem chleb ze śmietaną posypaną cukrem, taki jak dostawałem niegdyś od mojej mamy, idąc grać w piłkę, i wszyscy zazdrościli mi tej śmietany, ponieważ w czasach biedy był to luksus wyróżniający mnie pośród rówieśników, dzieci robotników i samotnych matek zajmujących się sprzątaniami i praniem jak pani Banacka albo pani Śledziowa mieszkająca na czwartym piętrze w naszej starej kamienicy, o których teraz myślę uspokojony, ponieważ w tym momencie udało mi się zatrzymać czas i wrzeciono nie obraca się już tak szybko w rękach tajemniczych trzech kobiet, jak jeszcze przed chwilą.

Żywię się snami, one żywią się mną. Na razie nikt nie zwyciężył, nie ma też przegranych. Od pewnego czasu poprawiam je i dyscyplinuję, starając się wprowadzić w nie jakiś porządek nie tyle logiczny, co literacki. Moje sny pozwalają mi na to, są cierpliwe i ufne, łaszą mi się do rąk, pragnąc zaistnieć w świetle dnia, chociaż mówię im, aby tego nie robiły, ponieważ są wytworem nocy i zbyt

ostre światło mogłoby im zaszkodzić. Czytam im piękną frazę autorstwa Urszuli Benki o deformowanej przez rozum samowiedzy i o tym, że Noc „językiem symboli i stanu snu, stanu innej chemii w neuronach i krwinkach, tego preludium umierania albo też ćwiczenia w umieraniu, łączy kosmos z dziurami psychiki. Dopuszcza myśl, że konfiguracje migoczące nad nami są jak pismo odbite w naszych impulsach. Tylko tyle pojmujemy z gwiazd, ile pojmujemy siebie; tylko tyle pojmujemy z siebie, ile pojęliśmy z gwiazd”. Sny zgadzają się z tymi frazami, choć nie wszystko w nich rozumieją, ale zawsze można założyć, że nie muszą być nadmiernie rozumne i logiczne, ponieważ ich żywiołem są irracjonalne intuicje i skrywane przeczucie śmierci, owo „ćwiczenie w umieraniu”. Po przeczytaniu tych słów idziemy razem spać, ponieważ jest już bardzo późno, pada deszcz i nieoczekiwanie wyrwały się ze swoich klatek na wolność wszystkie plugawe ptaki nocy. Wiem, że rano znajdę na poduszce ślady mojej krwi. Kolejna opowieść dobiegnie wtedy ostatecznie do swojego końca.

Wiatr wywiał moje płyty na dach sąsiadki. Boję się, że tam zmokną, bo mają być wielkie burze, a winyle są takie kruche i nietrwałe. My, ludzie analogowi, boimy się, że za chwilę znikną ostatnie zapisy tego świata mające jeszcze materialną formę, ciężar i prawo do śmierci. Podobno w internecie wszystko jest wieczne i nic nie ginie, a ludzkość w ten sposób osiągnęła z dawna wyczekiwaną nieśmiertelność. Nie wiem, czy właśnie o taką jej chodziło, ale co nieśmiertelność, to nieśmiertelność. Chcę wejść na dach, lecz nie mam drabiny i wszystko staje się tak skomplikowane, że nie potrafię sobie z tym poradzić. Bezradność ogarnia moje członki, duszę i umysł coraz częściej. Starzy ludzie są często bezradni, a ja po przekroczeniu siedemdziesięciu lat przeszedłem na ich stronę. Jeszcze się bronię, lecz nie ma to większego sensu, ponieważ we współczesnej, wiszącej nad moją głową chmurze nie ma już najprawdopodobniej mojego anioła stróża ani świętych wspomóżycieli. Ktoś powinien powiedzieć, że ta chmura niedługo przesłoni nam oczy i przestaniemy widzieć cokolwiek poza nią. Na szczęście burze przeszły obok, a drabinę znalazłem w drewnitni sąsiadki. Lubię słowo „drewnitnia”, niekiedy używam też staropolskiego słowa „świronek”. Płyty zaczynają się kręcić w mojej głowie. Muzyka wypełnia ją po krawiec czaszki i dalej. Chmura odlatuje w inne strony, sąsiadka idzie pobiegać, wiatr cichnie. Starzy ludzie liżą cukier i sól, która ostatnio bardzo podróżowała. Mają wyblakłe oczy i suche ręce. Czekają na deszcz, który mógłby je trochę zwilżyć.

Od pewnego czasu chodzi za mną człowiek, który twierdzi, że napisze kiedyś moją biografię. Przypomina paryskiego kloszarda i nie zawsze jest całkiem

trzeźwy, ale nie mam nikogo innego, co by się tym zajął, i dlatego muszę go tolerować, a niekiedy nawet dać mu na pół litra, ponieważ, jak twierdzi, nigdy nie pije samogonu, nie mówiąc już o denaturacie czy innych jeszcze bardziej wyrafinowanych koktajlach. Daję mu też moje stare ciuchy, a on, o ile wiem, sprzedaje je na szaberplacu niedaleko Wrocławia lub rozdaje jeszcze uboższym zamieszkującym okoliczne działki. Nosi przy sobie wieczne pióro marki Parker, gdyż według niego o wieczności można pisać tylko przy pomocy wiecznego pióra, a nowomodne wymysły tracą w sobie poczucie nieskończoności, przez co i obiekt opisu może szybko zagać w ludzkiej niepamięci pochłaniającej kolejne komputerowe wydruki i biografie spisane sympatycznym atramentem. Często razem z nim pojawiają się dwie kobiety walczące o moje względy, o których wiem, że prowadzą podupadłe galerie sztuki, do których nikt już nie przychodzi i nikt niczego nie kupuje. Obie jednak trwają na swoich posterunkach, licząc, że kiedyś ta sytuacja się zmieni, a ludzie zainteresują się prawdziwą, osadzoną w materii sztuką. Nie wyprowadzam ich z tego błędu, ponieważ zawsze na święta religijne i państwowe, co od pewnego czasu się szczęśliwie pokrywa, przygotowują dla mnie świąteczne paczki, które oddają bez ich wiedzy oraz zgody mojemu kłoszardowi i wszyscy dzięki temu jesteśmy szczęśliwi. Ostatnio mój potencjalny biograf oznajmił, że zgubił pióro marki Parker i co on ma teraz z tym wszystkim zrobić. Pożyczyłem mu tani długopis, ale nie jestem pewien, czy przez to moja biografia nie stanie się bardziej trywialna i w mniejszym stopniu ukierunkowana na wieczność. Spytałem o to porannym mailem obie właścicielki galerii, ale dotychczas nie otrzymałem od nich wiążącej odpowiedzi.

Wysłuchałem wczoraj nagrania „Jeszcze jednego tom wierszy” w wykonaniu Bogdana Kocy, który również zaaranżował całość muzycznie i nadał jej swój reżyserski, wręcz sceniczny szlif. Moje wiersze zamieniły się w trwający blisko czterdzieści pięć minut spektakl z właściwymi dla liryki pauzami i odpowiednim rytmem wydobytym umiejętnie z poetyckiego słowa. Nie powinienem może o tym pisać, ale naprawdę byłem wzruszony, tym bardziej że ten tom był ostatnim, jaki mogłem ci podarować i który jeszcze zdążyłaś w grudniu 2019 roku przeczytać. Pamiętam, że nie powiedziałaś wtedy o nim ani słowa, tak jakby to, co zostało w nim zapisane, wystarczyło i mogło zastąpić wszystkie nasze również pozasłowne spotkania i wspólne istnienie, które wkrótce miało być na zawsze przerwane. Miłość rozbita na wersy, podskórny erotyzm, z dzisiejszej mojej perspektywy bardzo bolesny. „Jeszcze jeden tom wierszy” włożyłem do twojej trumny tuż przed kremacją, licząc, że jego wewnętrzna prawda stopi się z twoją duszą przechodzącą przez ostateczną próbę śmierci, a prochy słów miały połączyć się

z prochami ciała i pozostać pośród ognia na zawsze. Wysłuchałem wczoraj nagrania „Jeszcze jednego tomu wierszy”. Nie zaznałem pocieszenia, poezja nikogo i niczego nie leczy.

Moja mała droga krzyżowa. Zawsze taka sama, ponieważ nie wolno mi z niej nigdzie zboczyć, porzucić krzyża, pójść za zakrętem w boczną uliczkę, zobaczyć, co dzisiaj na placu targowym sprzedają handlarze. Jej marszruta jest wyznaczona raz na zawsze i nigdy się już nie zmienia. Najpierw boczna alejka obok grobów dawnych greckich komunistów, które stopniowo znikają i chowa się w nich od pewnego czasu nowych zmarłych, później grobowiec młodego człowieka, który zginął śmiercią lotnika, narożny grób Gwiazdów, o którym już pisałem w „Dniwniku”, i dalej grób babci Karoliny oraz pole sześćdziesiąt jeden, do którego idę ze zniczami i przygaszonym światłem oczu moich. Wracając, mijam kilka nagrobków osób, które kiedyś znałem. Dzisiaj moją uwagę zwróciła płyta nagrobna z dwoma napisami oznajmującymi, że są tu pochowani Franciszka Wieligda i jej wnuk Ryszard Mysior, który zginął w wypadku na placu Grunwaldzkim w roku 1997. Był starszy ode mnie o rok i bawiliśmy się zawsze razem na podwórku przy placu Kościuszki i w domu jego rodziców, gdzie królowała jego babcia, o której zawsze mówiliśmy „babcia Rysia”, bo wtedy nie wiedziałem, że nazywa się pięknie, po kresowemu – Wieligda i ma na imię Franciszka. Czasami zapalam na ich grobie lampki, bo najczęściej nikt do nich nie przychodzi, a napisy na płycie ulegają stopniowemu zniszczeniu. Moja mała droga krzyżowa staje się przez to bardziej ludzka, pozwala pamiętać szczęśliwe chwile, czas życia, a nie śmierci. Później przechodzę na przycmentarny parking przez wąską uliczkę, na której ostatnio jakiś kierowca chciał mnie zabić, ale udało mi się w ostatniej chwili uratować. Musiał to być cud, cud to był. Uszedłem cało.

Dzisiaj wyjazd do Alicante, a w nocy sen tryumfalny o zwycięstwie Ukrainy nad Rosją. Jesteśmy na wielkim placu i tysiące ludzi świętuje ten moment, witając nowego prezydenta Stanów Zjednoczonych i chór gospel, który ma śpiewać podczas tej uroczystości. Grupa małych dzieci bawi się z reniferem i trochę mnie to dziwi, ale radość przepełniająca wszystkich szybko zaciera zdziwienie i tłumaczę to sobie darami, jakie musiała złożyć pokonana Rosja ukraińskim zwycięzcom. Prezydent otoczony tłumem ochroniarzy i tajniaków niezbyt mi się podoba i dlatego patrzę na dach pobliskiego domu, na którym ktoś zawiesza ukraińską flagę, a wszyscy wiwatują, puszczając w niebo setki baloników. Jestem bardzo blisko prezydenta i ochroniarze każą mi się cofnąć. Nie pamiętam, jak się tam znalazłem i dlaczego znalazłem się w grupie uprzywilejowanych mieszkańców

naszego miasta witających gościa z Ameryki chlebem i solą. Wszystko zniknęło w jednej chwili i przez to nie zdążyłem się nawet dowiedzieć, jak nazywa się nowy prezydent, za to dalej słucham muzyki gospel, głaszczę renifera i pijam zwycięstwo wódką „Stoliczną”, której smak pamiętam bardzo wyraźnie z dawnych lat. Zawsze ją lubiłem, podobnie jak ogromne torty o fantazyjnych nazwach „Krasnaja Moskwa” czy „Pobieda”. Myślę o tym, co stało się na naszych oczach z dawną Rosją. Wyjeżdżam dzisiaj jeszcze raz do Alicante.

W mieście moich marzeń nic nie napisałem. Odłączyłem się od słów na trzy tygodnie, sądząc, że dzięki temu staną się one bardziej dojrzałe i pełne. Nic takiego nie zaszło i dlatego musiałem powrócić do snów o moich zmarłych, którzy w Alicante śnili mi się nieustannie, tak jakby pogoda oraz ciepłe i ciepłe morze wyzwały we mnie fale irrealnych skojarzeń i absurdalnych sytuacji, które stopione ze sobą tworzyły obrazy przypisane każdemu z nich według skali mojej zagubionej pamięci i onirycznych urojeń. Zbierałem je do szklanej kuli kupionej na bazarze, aby później śledzić kolejne wydarzenia i nagłe zwroty akcji lokujące wszystko w kolejnych miastach na wzgórzu albo w starej szafie, w której ktoś wydawał przyjezdnym wieszaki na sukienki i na ślubne garnitury z krawatem i czarnymi butami, których niespodziewany połysk potrafił oślepić nawet najbardziej wytrwałych poszukiwaczy przygód i bywalców futrzanego kołnierza, przez który zawsze przechodziło się i przechodzi się na drugą stronę do krainy, która tak naprawdę być może nie istnieje. Ela i Krzysztof zamieszkali tam już dawniej, podobnie jak i ty czyniąc mi wyrzuty, że wszedłem tutaj kuchennymi drzwiami, zamiast jak inni porządnie i z namaszczeniem przez główną bramę. Musiałem się tłumaczyć, wskazując na niezwykłość całej sytuacji i na to, że jestem na południu Hiszpanii, a nie w starej szafie albo na stoku wysokiej góry sięgającej waniliowego nieba. Nie wiem, czy moje tłumaczenie zostało przyjęte, ponieważ ktoś kazał mi wrócić i stłuc moją szklaną kulę na tysiąc kawałków, licząc zapewne na to, że uda się je wszystkie odnaleźć i skleić, a tajemnicza melodia, która pojawiła się nagle w tle olśniewających obrazów, zostanie kiedyś przeze mnie utrwalaona na starej taśmie znalezionej niedawno w pudełku po ślubnych butach, tuż obok krawata, którego nigdy nie założyłem, i twojej koronkowej białej ślubnej sukienki ubranej wtedy tylko ten jeden jedyny raz.

Na poręczy balkonu szary gołąb przypatrujący mi się uważnie i czule. Przekrzywia głowę i pocierając dziobem pióra na skrzydle, patrzy na mnie spoza swoich czarnych źrenic, być może czekając na jedzenie i na to, żebym się nareszcie obudził. Wiem, że muszę mu coś przynieść, ale boję się, że mój ruch może

go spłoszyć, i dlatego nie w pełni jeszcze obudzony bardzo ostrożnie wstaję, podpierając się delikatnie o poręczę fotela i ważąc każde kolejne posunięcie aż do momentu, kiedy on, widząc moje starania, przesunął się dalej, stwarzając mi miejsce na kolejny krok i przejście do kuchni po okruchy suchego chleba. Rzucał mi je na sąsiedni balkon, tak aby mógł spokojnie wszystko zjeść, lecz on nie bardzo się spieszy i dalej patrzy na mnie, chcąc zapewne przekazać jakąś ważną wiadomość lub zrozumieć, dlaczego siedzę tak całymi godzinami, czekając na poranne słońce i na poszerzający Calle Virgen del Socorro widok nieodległego morza. Trwamy przez chwilę nieruchomo, a niebo i morskie fale dotykają się nagle dzięki temu u zbiegu piramidy naszego widzenia, jak na starych rycinach ukazujących perspektywiczne linie i zawarty w nich kosmos ludzkiego, wyzwolonego z pęt religii rozumu. Później jemy osobno chleb, on za balustradą sąsiedniego balkonu, ja na moim bujanym fotelu, który nagle pozwala zrozumieć przepływy odchodzącego od nas lata, i wiem, że więcej się już nie spotkamy, ale na szczęście Calle Virgen del Socorro przetrwa do przyszłego roku, podobnie jak całe miasto zatopione w słońcu i moja pustka, którą staram się zasypać i zatopić kolejnymi opowieściami o sobie samym i o głodnych, niebieskich ptakach.

Czytam o BookToku, którego gwiazdą bardzo chciałbym zostać i dzięki temu mój „Dziennik” stałby się bestsellerem TikToka mającym miliony lajków i setki tysięcy obserwatorów. Muszę jednak zmienić nieco jego formułę i zaznaczyć w zapowiedziach, że jest to romans fantasy, w którym ważne jest uczucie rodzącej się miłości, a bohaterowie walcząc z tym uczuciem, próbują się bezskutecznie rozstać, aby móc później znowu się pogodzić. Podobno użytkownicy BookToka nagrywają własne reakcje na dopiero co przeczytane książki, śmiejąc się przy tym i zalewając łzami, co niewątpliwie świadczy o sile literatury i jej wpływie na młode umysły. Jedną ze znanych blogerek Natalia M., mającą już 41 tysięcy obserwatorów na Instagramie i 43 tysiące na TikToku, zauważa, że nie aspiruje do pisania o literaturze pięknym językiem, ponieważ nie jest polonistką ani purystką językową i chce jedynie, aby przez jej opinie przemawiały emocje, a nie suche opisy dotyczące konstrukcji utworu. Stąd też nazwa jej portalu: „prostymi słowami”, a niedługo portal zostanie wzbogacony dzięki montowanym przez nią zdjęciom, rolkom i filmikom uzupełniającym krytyczne opinie o materiały audiowizualne. Co ciekawe, niektórzy literaturoznawcy (literaturoznawczynie) piszą, że najbardziej należy się obawiać nie młodocianych tiktokerów i tiktokerek, ale obrońców i wyznawców Kościoła Literatury, dla których sztuka słowa to sprawa życia i śmierci, a nie swobodnego wyrażania emocji i dobrej zabawy wyzwalającej „jaranko” i „polecanko”. Niestety, „Dziennik” od dawna jest

zarówno w heretyckim Kościele Literatury, jak i w Wieży z Kości Słoniowej dostępnej tylko nielicznym. Siedzę tam zamknięty na złoty kluczyk, patrzę przez małe okienko. Czekam, aż kolejny raz przyleci do mnie złota pszczoła zbierająca słodki i wonny miód sztuki innej niż opowieści o Nathanielu Sheyu: „sportowcu, bokserze, przystojnym chłopaku, idolu wielu polskich nastolatków”.

Zmarł Michał Głowiński. Jego prace teoretycznoliterackie towarzyszyły mi i towarzyszą od czasów studiów polonistycznych. Pamiętam, że występował wówczas w tajemniczym tandemie „Sławiński- Głowiński”, by później stać się nadal cokolwiek mityczną osobą pojedynczą. Niejakim zaskoczeniem były jego wydane już w wieku XXI książki prozatorskie, w których ujawniał swój skrywany przez lata homoseksualizm i żydowskie pochodzenie. Był jednym z nielicznych badaczy literatury polskiej, z którymi udało mi się nawiązać kontakt listowny po przesłaniu im „Jestem jak echo” i ostatnio „Jeszcze jednego tomu wierszy”. Na pierwszą część „Dziennika” nie odpowiedział, być może był chory i nie miał już siły pisać listów. Jego nazwisko pojawiło się na tak zwanym pasku w telewizji TVN i nie wiem, czy jego śmierć gdzieś jeszcze w mediach odnotowano. Odchodzi pokolenie wielkich humanistów borykających się przez całe swoje życie z pamięcią wojny, a później PRL-u, z wynikającym z odmiennej orientacji seksualnej wykluczeniem i z koniecznością paktu z uładowaną u nas w stosunku do innych demoludów, ale jednak groźną i zaborczą komuną. Chcąc istnieć, musieli lawirować, poszukując obszarów w miarę bezpiecznych cenzuralnie, takich jak literatura Młodej Polski, by później móc ujawnić cały swój talent interpretacyjny w pracach poświęconych językowi totalitaryzmu powracającemu obecnie w ramach rządów PiS-u w coraz bardziej zwulgaryzowanej i prymitywnej formie. Myślę, że nikt tak jak on nie będzie już potrafił tej nowej fali zalewającego nas zewsząd, propagandowego chamstwa opisać, podobnie jak nikt z jego pokolenia nie mógł przewidzieć powrotu faszystowskich w swej istocie, pseudo-narodowo-socjalistycznych, ksenofobicznych i łamiących podstawowe prawa człowieka trendów w naszej polityce. Gdy zmarł, miał osiemdziesiąt osiem lat. W czasie wojny był ukrywającym się przed hitlerowskimi mordercami kilkuletnim, żydowskim dzieckiem.

W Starym Klasztorze koncert zespołu Angelite. Wcześniej byłem tam na koncercie mongolskich śpiewaków uprawiających śpiew krtaniowy, z którymi chór z Bułgarii nagrał kiedyś długogrającą płytę. Osiemnaście śpiewaczek w różnym wieku – od około dwudziestoletnich do liczących ponad sześćdziesiąt lat, tak jakby ta muzyka nie uznawała granicy pomiędzy młodością i starością oraz

mogła powstawać i istnieć ponad kolejnymi pokoleniami. Świat kobiet spokojny i piękny, najbardziej narażony na przemoc i zniszczenie, trapiiony wojnami i śmiercią bliskich, wypełniony niekończącą się, monotonną pracą i brakiem uznania ze strony świata mężczyzn. Jestem codziennie w tym świecie, jednocześnie zagubiony i próbujący go nieustannie zrozumieć. Przestrzeń śpiewu zawarta w tej muzyce bliska jest rozległym przestrzeniom gór i morza, a jego wysokie tony potrafią zatrzymać czas zamknięty w nich jak w przepływie chmur nad dolinami i w oddechu nowo narodzonego dziecka. Słuchając Angelite, staję się wręcz bezbronny wobec czystych emocji, poza którymi kryje się poszukiwana przeze mnie nieustannie droga do absolutnego piękna, podobnie jak podczas naszego jedynego pobytu w Bułgarii, kiedy słuchałem tamtejszych grajków grających do kebabcze w nadmorskiej restauracji. Kobiety na scenie trzymają się za ręce, jedna z nich jest niewidoma, na widowni publiczność pięćdziesiąt plus oraz trochę młodych ludzi, ale przeważa starsza generacja. Za to w klubie piętro niżej dużo licealistów, którym piwo wydziela specjalna maszyna sprawdzająca ich wiek, ponieważ nieletnim piwa się nie sprzedaje. Maszyna mruga magicznym okiem, wydaje piwo po znajomości. Na górze pijemy kisel mliako, zagryzając je owczym serem. Jest noc. W ogródku baru przy Hali Targowej młodzi Anglicy jedzą schabowe z kapustą, popijając je piwem marki Lech. Obserwuję ich uważnie. Dar obserwacji jest bardzo potrzebny pisarzowi piszącemu wysokoartystyczne memuary.

Dzisiaj pierwszy dzień nowego roku trzeciej części „Dniwnika”. Pozostały jeszcze dwa lata, aby mój plan, przynajmniej fragmentarycznie, się wypełnił. Nie wiem, czy mi się to uda, nie wszystko zależy ode mnie. W Warszawie Marsz Miliona Serc, w Katowicach ta, co zawsze, propagandowa śpiewka PiS-u. Odnotowuję te dwa wydarzenia dla przyszłych historyków, ale tak naprawdę staram się przed nimi bronić, aby zupełnie nie oszaleć od zalewu polityki i powtarzających się całymi godzinami medialnych komentarzy. Dlatego w tym uroczystym dniu napiszę o przedstawieniu baletowym, które widziałem w Teatro Principal de Alicante dedykowanym Eusebio Sempere z okazji stulecia jej urodzin. Taniec nowoczesny, bardzo oszczędny w gestach i scenicznej ekspresji, przybliżający nas do abstrakcyjnych linii i rytmów mieszczących się w każdym poruszeniu naszego ciała. Śledzę te linie, rysuję w wyobraźni ich powtarzalny i dynamiczny obraz. Pamiętam inne przedstawienie, które widziałem w latach siedemdziesiątych XX w. w ramach Wrocławskiego Festiwalu Teatru Otwartego. Miało tytuł „Śmierć geometrii” i było dziełem jakiejś grupy baletowej z Włoch, której nazwy już dzisiaj nie pamiętam. Było mi wtedy bardzo bliskie, ponieważ w szkole

średniej wojowałem z pewnym podręcznikiem do geometrii, który prześladował mnie nieustanną koniecznością udowadniania czegoś przy pomocy linii, cyrkla i zawiłych rachunków. Końcowy napis: „co było do udowodnienia” śnił mi się jeszcze przez kilka lat, podobnie jak okładka tej książki i zapach papieru, na którym była wydrukowana. Artyści z Włoch tańczyli, a właściwie przesuwali się po pochylonej w stronę widowni scenie, kreśląc sobą kolorowe, cielesne spłoty i arabeski. Wtedy po raz pierwszy doceniłem tak zwaną sztukę nieprzedstawiającą, uwalniającą nas od naśladowania i dzięki temu wolną od trywialnych skojarzeń i uzurpacji obecnej w krainie *mimesis*. Słowa są i nie są mimetyczne. Boski Geometra dał im z niewiedomego powodu pierwszeństwo przed obrazem. Moją książkę do geometrii po zakończeniu roku szkolnego zaraz komuś za darmo oddałem. Może ktoś do dzisiaj jeszcze się z niej uczy i stara udowodnić to, co wcześniej było już ostatecznie od dawna udowodnione.

Pitagoras: „kto zatracą się w cierpieniu, nie może być człowiekiem wolnym”. Zatracać się w cierpieniu od ponad dwóch lat. Moja wolność jest przez to znacznie ograniczona lub całkowicie zanika, kiedy tak siedzę sam wieczorami w opuszczonym przez ciebie domu. Ciekawe, czy grecki mędrzec wysnuł swoją myśl z osobistych doświadczeń, czy była jedynie retorycznym sofizmatem napisanym na użytek gromadki uczniów. Siedzę przy stole, kreślę kwadraty i trójkąty, myślę o harmonii sfer. Cierpienie nie uszlachetnia i wszystkie dogmaty religijne apoteozujące je są wynikiem obsesji sadomasochistycznych psychopatów. Jednak moje cierpienie jest prawdziwe i odbiega od sfery wysublimowanej teologicznej sfery myśli i chorego z gruntu zatracenia w cudzej, męczeńskiej śmierci sprzed tysięcy lat. Jestem tu i teraz, a moja klatka zawęża się do kilku pokoi, fragmentu ogrodu, skrzynki pocztowej, do której już od dawna nikt nie przynosi listów. Jest mi coraz trudniej, ponieważ wcześniej przez kilkadziesiąt lat nigdy nie znalazłem się w takiej sytuacji, a teraz, próbując się w niej odnaleźć, pogrążam się w cierpieniu coraz bardziej. Trójkąty i kwadraty przewracają się i wpadają niespodziewanie na siebie, niszcząc subtelne krawędzie i pustą, wewnętrzną przestrzeń. Jestem w samym jej środku, odwracam kolejną kartkę „Dniownika”, patrzę na niespokojne chmury za oknem, czekam na wielki deszcz.

Brudnopis 2006 – 2014

rogalika powroty

Podoba mi się uspokojenie, sen bez Boga, przestrzenie. Aż po końce palców; końce galaktyk. Jak nie pozwolić temu, co za oknem, wtargnąć do domu, do mojej szalonej głowy?

Z radością myślę daty, przestawiam kropki, przecinki. Uwalniam się w ten sposób od czasu.

Ostatniego dnia października stanąłem u stóp wielkiej góry. W niemożliwym – jak na tę porę roku – słońcu. Zawahałem się. Niebiańskie szczyty, których bronią skaliste wały, i poskręcane palisady kosodrzewin.

Ubrane w białą szadź drzewa i krzewy, i druty (od słupa do słupa). Poranek zaskoczył mnie, wygnał w pola. Z kosturem i kotem. A zatem dobre i złe zaskoczenie. To dobre raczej. Domyślam się, wierzę, bo te sprawy nie zostają nigdy odkryte.

Dzień pisma, dzień myślenia, dzień straconych nadziei, dzień powrotu do jesiennej nocy.

Dupa. Słowo proste. Iloznaczone. Aż dreszcz przechodzi.

Zepsuty pokój pustki, w którym po kątach kryją się niespełnione obowiązki miłości.

Kiedy poranek odsuwa krzesło, wydaje się, że świat zatrzymuje się na zawsze, zawieszając podejmowanie decyzji. Tylko że o tej porze, poza wszelkimi oficjalnymi liniami porozumienia, przychodzą złe wiadomości, które kładą cię na papierze i zrzucają kartki na podłogę.

I życie. I śmierć. I sens. I bezsens. Opowiadam się za życiem z błędnej pozycji żyjącego.

Po. Dopiero po przychodzi prawdziwy smutek.

Często nawiedza mnie wspomnienie pewnej kobiety o małych piersiach i wielkim temperamencie, która lubiła mnie ujeżdżać. Seksualizm stał się wspomnieniem. A pod nim... zaczynam odkrywać ciepło.

Dnia pewnego spałem dłużej niż zwykle, by obudzić się w pogodną Niedzielę Palmową. U Chrystusa była to piękna zapowiedź śmierci. Mój Wielki Tydzień rozciągnął się nieco.

Serce przypomina o swoim istnieniu. Bólem. Czy – w związku z tym – powinienem przestać je karmić kawą i fajką?

Powrót rogalika, wiernego towarzysza kawy porannej, nastąpił w niespodziewanym momencie. Rozpięty byłem pomiędzy poprzątanym alpejskim powietrzem Monachium a obłożonym szczętym śniegiem Wrocławiem. Tak nieodzowny stał się rogalik w obliczu tego.

Rosną nadzieje i stwarzają warunki do snu i przebudzenia.

Pośród zimy ktoś mówił o lecie, że nie nadejdzie. Mówił też o szczęściu, że nie nadejdzie.

Kto wyostrzył jej kosę? Kto pieczołowicie ją wyklepał (kosę)? Kto dał kobiecie to ostre narzędzie?

Moje książki czytają lektorzy. Podziwiają, głowami kiwają. Ale cóż, nie jestem krewnym naczelnego...

Ostatni raz czułem się dobrze w 1997 roku. Jeden poranek.

Upominam się tylko o testament Franza Kafki. Ja, Józef bez nazwiska.

Pająk – mój umysł – już, już gotowy jest wstrzyknąć jad.

Pustki w poezji tropię. Zadyszki tropię. Potknięcia i przeklęcia, nierozważne zamyślenia i nieszczerości puste (pełne – uznaję). Niewiele po takich pochodach się ostaje. Tylko diamenty. Brylanty odrzucam.

Rujnuje nam życie poezja wikłająca się w siebie. Rujnują nam życie słowniki i ład naturalny. Sztuczność sztuki ratuje.

Coś się kończy, nic się nie zaczyna. Unieruchomiony świt połowy października.
Dom tam czy tutaj, gdzie niczym ważka usiadłem na krótką chwilę.

We śnie napisałem wiersz i postawiłem datę – dzień, w którym się obudziłem.
Był tam również kot. Jak na jawie.

Co łączy morze i wzniesienia przesadne?

Dzisiaj rano (24.11.2006) usłyszałem swoje wiersze w radiu.

Najgorsza jest ta kurwa – śmierć. Z każdym pójdzie do łóżka.

Mikołaj w tym roku przebrał się za listonosza. Przyniósł umowę wydawniczą.

Zapłakały oczy kota, ze szczęścia wymruczanego. Futrzana lalka z ogonem złożona z wypraw Magellana, o których my, którzy zbyt szybko rozpoznaliśmy krzywizny ziemi, możemy tylko pomarzyć.

Z ciepłego łóżka kochanki uciekać skoro świt. Ta noc idzie do dziennika, w którym zapisujesz wszystkie przesłanki do – warto żyć.

Nad ranem obudził mnie skurcz. Przypomniął, że żyję. Boli, więc jestem.

Wspomnienie sklepów z rozpoznawalnymi sprzedawczyniami.

Tutaj, gdzie przy stolikach siedzą uśmiechnięci goście, w ubraniach swojej młodości, śpiewa Frank Sinatra, panuje miłość, uprzejmość i niekonieczność.

Ekspresja przychodzi na wiosnę, z kluczem ptasich esów-floresów.

Krople deszczu zapamiętane z zakochania się.

Nie przybył rogalik, nie zaciekał kształtem księżycowym. Przybyła bułka, ale to przecież pełnia (rano rozdętek wisiał na niebie).

Chodzą słuchy, że poszukiwanie szczęścia ma zostać zawieszone. Nie wiercie pogłoskom.

Oczywiście najważniejsze są słowa, które skrzętnie ukrywam między kartkami brulionów.

Kot odszedł.

Władze, zmiłujcie się. Zakażcie Sienkiewicza. Niech owoc przeklęty kusi. Niech budzi emocje. Zakażcie i Prousta, mordy zakazane!

Nie ma już kota, który tak często był cichą i dobrą obecnością. Teraz – w krainie małych łowów.

Trwam na posterunku, odkładając berło na rzecz pilota telewizyjnego i łopatkę węglowej.

Idź, idź. Śpij. Pan Bóg z wiecznym piórem pisze twoje dzieje na pergaminie ze skór grzeszników.

Śniadanie o 15:15. Magiczna piętnasta piętnaście. W dawnych czasach kończyło się wtedy pracę. Dzisiaj nikt nie pyta, czy chce się, czy nie chce się pracować. Jakby pytano o to, czy mamy ochotę oddychać. Wróciłem właśnie z cuchnącej cementem budowy. Do szorstkiej od pyłu dłoni wziąłem pióro. Nie pasuje.

Wczoraj wieczorem wiatr potrząsnął nami. Rozsypał myśli i rzucił niepotrzebne przedmioty w czarną dziurę. Teraz jesteśmy wolni. Cieszymy się brakiem prądu i ciszą wielkich głośników. Porzućmy jeszcze wstyd... (styczniowa burza sprawiła, że skwaśniało mleko).

Czas wieczornego marazmu. Ten czas nadchodzi i dotyka wilgotnym udem.

Zima pocałowała mnie po raz pierwszy w połowie października, kiedy obudziłem się w schronisku Murowaniec. Teraz, po czterech miesiącach, powróciła. Śnieg, mróz i wygwieżdżone niebo. Całuję każdą gwiazdkę i modłę się do białego Boga.

Rogalika powrót niespodziewany. Za sprawą żony mojej (czarodziejki) przybył do mnie rogalik mały. Kawa, rogalik, świt i kot – zestaw doskonały, poetycki wielce.

Nie będę płakał po zamkniętym ostatnią stroną czasie. Pozostanę obojętny na przepływy kosmatego zwierza.

Światło elektryczne przychodzi i odchodzi; jak dzień przychodzi i odchodzi. Dzisiejszy poranek (po wietrznej nocy) powitał martwością żarówek. Znaleźliśmy zapalki, świece i przenieśliśmy się w czasie. Piękni i spokojni jak postacie ze starych portretów.

Kot bawi się pluszowym misiem, radio mruczy niekończącą się melodię, kawa stygnie, fajka tli się bezszelestnie. Skończyła się krótka zima.

Nieuczesany mój rodowód odrębności.

Młodość rodzi przenośnie lekkie jak pióro anioła.

Ciałocierpienie zwie się... przeziębienie. Ciężko z tym pod jednym dachem.

Najcenniejszy skarb kobiety – libido. W ten skarb można się ubrać, tym skarbem błyszczeć w każdej konwersacji, ten skarb przylega do wybranego mężczyzny jak tatuaż.

Na sambodromie najpiękniejsze pupki świata. Dzieło mojego Boga.

Zanim zacznę pisać, oglądam stalówkę i to, co jest pod nią. Fiszbiny egzystencji.

Od kiedy kot poszedł na wikt św. Franciszka, w ogrodzie panuje bezkrólewie. Obce kocie wojska maszerują tu i tam.

Pościnałem zeschłe krzaki malin, pościnałem części zimy. A bazie już puszą czupryny siwe. Lecz powietrze jeszcze śpi, a nasze pulsy – wręcz jesienne...

Nowinki nic niewarte. Ale sam akt wyglądania nowinek wart wiele.

To okropna zbrodnia: omijanie wiosny, ponieważ są ważniejsze sprawy.

Od jutra nie będzie już twojego ulubionego programu. Oglądalność spadła do jednego widza.

Komu bije Dzwon Zygmunta?

Billy Wilder urodził się w Suchej Beskidzkiej; serio.

W powietrzu mgły strzępy. W głowie rojeń nocnych strzępki. Ćmy uczipione do zgasłej lampy.

Kot bawi się na kanapie. Kpi z kostuchy; ma ją pod ogonem.

Rogalik z masłem smakuje jak kochanka sprzed lat. Rozpoznana, dotarta, wpasowana w opuszki palców.

Tylko marynarze, którzy mrą na morzu, wracają do Edenu.

Nie ma mowy o zmartwychwstaniu. Przynajmniej do soboty.

Trąbka domaga się przedmuchania splotów.

W rozmowie przez telefon poeci robią długie pauzy, ważą słowa.

W schronisku Ornak tylko dwójka gości. Wokół zaduszkowe Tatry. Rozpaliliśmy ogień na kominku, otworzyliśmy butelkę wina.

Poznałem ciebie od śmiechu, od płaczu, od namiętności, jakby los wyjął z kart Dostojewskiego Gruszeńkę.

Nad twoim dzieciństwem nie unosił się Czarny Anioł. Dlatego nie zrozumiesz nigdy, jak można kochać smutek.

Długo patrzyłem w nocne niebo. Dostrzegłem statek kosmiczny, wprost ze snu Kubricka, wprost z wyobraźni Dicka. Z mojej cichej nadziei karmionej kosmosem.

Wczesnym popołudniem, późnym kwietniem snuje się czas – nieprzyjaciel. Rogalik zatrzymuje go w krzywiźnie buły.

Już nie pamiętam, jaki rodzaj dotyku ofiarowała mi ta dziewczyna. Czy tylko pocałunek i odrobinę wilgoci?

Żyłem samotnością, gorączką i okropnymi tabletkami do ssania. Telefon łagodził objawy, a stare melodramaty osuszyły łzy.

W młodości śmierć jest przyjacielem, w wieku dojrzałym – zaciekle wrogiem. Zezłościła mnie płowowłosa dziewczyna.

Goni mnie przez chmur puchy kobieta wyjąca, stękająca, aż usłyszeć mogą sąsiedzi. Do roboty!

Kto by przypuszczał, że będzie tak jak jest.

„Dobra śmierć jest formą wypełnienia”, pisze Liiceanu. Pisze też o milczeniu. O konieczności milczenia, by naładować się energią.

Nie lubię świtu, bo oglądać go musiałem w najtrudniejszych chwilach życia. Znała go myśl o bezsensie.

Noc przyprowadziła mnie za rękę do miejsc znanych ze snu poprzedniego i poprzedniego. Utrudnienia w tych snach są wielkie. Nie byłoby łatwo żyć we śnie, uciekłoby się w jawę.

Gdzie podziały się zasmarkane dzieci? Kiedyś mówiło się: ty smarku!

Grudzień brnie. Moje poranki są nocne, moje popołudnia są nocne.

Pisarz dostał życzenia świąteczne z banku. Nie od czytelników. Na stos pisarza!

Trochę seksu, pocałunki i przyjaźń na wieki.

Dzwoni Michał Jagiełło. Słów kilka, o planach, o Tatrach, o tematach, które interesują poetów.

Cisza, choinka, rogalik, kawa, dzień 29. grudnia pcha się drzwiami, oknami i kominiem nawet. Cóż mam do gadania przy jego namolności, cóż mam do zaśpiewania o jego pomiędzyświąteczności.

Dzień jak dzień. 1.01.2009.

Czas zaklęty w zegara obsesyjne „tyk”.

Filozof mówi – spaceruj.

Słoik marynowanych maślaków. Wyglądają jak cipki. Mam nadzieję, że każdy próbował tych rarytasów.

Nie siedź nocą. Diabeł dybie.

Górka w parku (czterdzieści lat temu) oblężona niczym forteca królowej śniegu.

Zasypianie z kobietą o skórze koloru popiołu. Czy tajemnica mieszka między jej udami, czy w naszej wyobraźni?

Filozof mówił, że „poznał już te filozofie”. Więc nie żał mu umierać na łamach codziennej gazety.

Powoli odchodzą w krainy zapomnień, w elizejskie wertepy, gdzie tak łatwo się potknąć. Rok. Drugi. Następny. Czasem sen wyczarowuje ich postacie. Smutne. Przeróżliwie smutne.

Rogalika powrót niespodziewany.

Trzynaste przykazanie łamane jest przeze mnie permanentnie.

Don Kichot ze szpadlem przeciw krecim łapkoms – skrzydłoms wiatraków.

W świecie kobiet mężczyzna uwięziony. Smak waginy dyktuje poczynania. Punktualność i wierność. Piersi przerywają każdą dyskusję.

Do śmierci, która jest kolejną żoną (zdradza jak żadna).

Nie waż się nawet rozumieć niewiasty. Byłeś wspaniały – powie, jeśli nie przeholowałeś.

Siódma piętnaście. Niczyj telefon, głos generowany. Nie dosłyszałeś, ale już nie powtórzą, kiedy pogrzeb.

Kometa rogaliczna zakreśliła trajektorię i spadła na stół.

Świat organizuje trzęsienia ziemi, wypuszcza komety (z rękawa), rozwiesza pory roku i gotuje magmę. No cóż, by rano zabrać się do roboty, potrzeba siły znacznie większej.

Zatęsknisz za jakimś miejscem swojego dzieciństwa. Za leniwymi powrotami ze szkoły i niepokojem pierwszego odkrytego świata.

Nie jest ostatnio częstym gościem pan deszcz (dlaczego nie pani?).

Dojrzeła plan ucieczki. W traw suchych bezkres, w *nikt nie woła*.

Rwetes ranny, sny pomieszane z kanapkami. Żona, kot, autobus. Godzinę później telefon. Dwie godziny później telefon. Bez kwitnie.
Przykazanie trzynaste – wyspanym być.

Opływamy Przylądek... palcem.

Kometa-rogal (z makiem).

Bardzo nas cieszył aktor. Zniknął z ekranu, zapomniał, choroba i tak dalej.

Nuta zastygła w zamęcie smutku. Gis.

Kalendarze przerażają, mordują.

Diablica. Pani Kopytkowska, ogoniasta, ale reszta doskonała.

Wiatr rozwiewa włosy. Nudzi się zegar. Tak w kółko i w kółko.

Kobiety przychodzą. Całujesz je, tulisz, słuchasz pretensji, nie masz dla nich czasu. I odchodzą.

W ostatni dzień zimowy (już bardzo przedwiosenny) wyprawilem się na krótki rekonesans. Przekroczyłem linię demarkacyjną. Ani ptasi, ani kwietny nie był las. Zapach próchna.

Mam wrażenie, że dni początku wiosny zawsze są samobójcze.

Trzeba to urodzić i przestać śnić o budynku ze stali.

Następują dni kolejne wiosny. Historia powtarza się i powtarza. Z mądrością nie ma to nic wspólnego.

Pod opuszkami palców zgrubienia obłoków. Miękkie, puszyste i chłodne. Natrafiam na znajomy kształt młodego ciepłem słońca. Ukłucie! Krew z serdecznego palca niczym atrament cyrografu. Srebrzysta igła samolotu przebiła palec.

Zmiana czasu dybie na nas niczym rozbójnik schowany za drzewem. Wygrzmoci i porzuci na pastwę lata.

Wiosenne noce młodości... Nad miastem wisiała delikatna ciemność. Powietrze drgało przebudzeniem. Nie chciało się spać; nic się nie chciało. Tylko trwać w najwyższej intensywności istnienia.

Ja, Krzysztof Kolumb. Posejdon drapie trójzębem dno Santa Marii.

Kochałem raz pod gwiazdami. W mgławic zamęcie szukałem drogi do czeluści bezdennej.

Przetyka lata i miesiące krótki oddech – zapach perfum. Niczym mgła snuje się wokół ciał pożądania. Odnajdujemy go w miejscach najciekawszych. U kurtyzan to pewność, u dziewic opór niedoskonały.

Jakiż to dobry przyjaciel, który cię nie opuszcza dzień i noc. A i im dalej w las, tym bliższy, tym bardziej odczuwany; w końcu trzyma cię przecież za ręce i nogi. Wbija swoją obecność w twoją intymność tak bardzo, że już nie potrafisz zapomnieć o jego istnieniu.

Czułość jest w każdym słowie. Dobrym i złym. Tak to jest z miłością.

Ciężar kota jest niewielki (przynajmniej mojego). A czasami kot jest wręcz nieważki, gdy jakimś cudem materializuje się na kolanach.

Kac codzienny. Czy piłem wczoraj, czy nie piłem.

Był ktoś taki, kto wypowiedział kiedyś słowo „leciutko”. Gdy słyszę, jak ktoś je powtarza, uśmiecham się; leciutko.

Kobiece piersi – poemat różnorodności. Jeśli tego nie wiesz, zapytaj Don Juana.

Coś takiego. Wspomniano o Bogu, w którego uwierzyli wszyscy kosmonauci.

Jedynie patrząc na kota, mam trochę nadziei.

Życie – taka nienasycona kochanka, której (jej) nigdy dość. I kiedy już wychodzisz, jeszcze w przedpokoju cię dopada.

Czy jest możliwa rozmowa wieczorna? Jak z Czechowa czy z jakiejś mojej książki...

Uczepiła się mnie kochanka niewierna, poezja. A bez skrupułów oddaje się innym. I czytam potem w „Twórczości”, jak ten i ów mieli ją na sto sposobów.

Obserwowałem wróbla. Dość grubaśnego, wesołego wiosennie. Optymistyczny.

Jak wyobrazić sobie nieżywość.

Tęsknota do praw natury. Za dużo myślenia, kombinowania, przekładania klocków, podpiliowywania ich krawędzi. Płynmy i nie pytajmy.

Erroll Garner. Delikatny szum oceanu za plecami pianisty.

Niepokoï mnie brak afektu.

Nocą zamieniasz patrzeć na czucie. Twój język uwielbia rozwidlenia.

Piszę wiersz, mając lat pięćdziesiąt jeden.

Dostałem z Egiptu pozdrowienia. Gdzie uciec?

Pełne kształty dam. Bujna wiosna. I muzyka bez granic.

Nie mają płci anioły, ale łatwo można sobie wyobrazić rajske tarmoszenie.

Stachury duch pukał do mnie, pukał młodością ugaszoną śmiercią.

Śmierć przychodzi o drugiej w nocy, którą niegdyś kochałem (drugą w nocy). Później była to godzina rozkoszy.

Cudowne kwiatu płatki o smaku różanym. Nie można się od nich oderwać.

Co znaczy VVTQV?

Obejmowałem zgrabną pielęgniarkę; we śnie. Obcinała mi włosy. Słowaccy górale rzucali kijami. Osłoniłem się poduszką.

Samolot zabiera nas w nieprawdziwe podróże.

Panie mają biusty. I jest im z nimi do twarzy.

Rogalika powrót niespodziewany. Świat otworzył się na tysiąc i jedną możliwość.

Ma tak seksowne ciało, że dech zapiera. No i drobiazg. Miłość.

Załamanie człowieka piszącego. Od czasu do czasu (załamanie, nie pisanie).

Wiersz o tyczce. Jak skok o tyczce.

Odpływam na jesiennej pajęczynie.

Byłeś mały, dostawałeś lizaka. Dorosłość znalazła ci inne słodkie miejsce.

Procedury jesienne. Miłości nowe, rogalik z makiem w masła czapeczce i mapa Tatr.

Tworki. Do Tworek! Wszystko jasne.

Towarzyszu mój, który umarłeś dwa życia temu. Niosę, niosę twój wór.

Mój kraj schowany jest za piecem. Ale nie u Pana Boga.

Ich łona. Z tajemniczej jaskini Ali Baby przeobraziły się w tandetne sklepy z pamiątkami.

Pierwszy raz nie czułem zapachu gór. Listopad przeszedł już śnieżną przykrywkę. Zginął zapach świerków, mchów i grzybów. Destylowane powietrze.

Popłakałem, pośmiałem się, zatańczyłem i... wracam.

Moja pielgrzymka urodziła się dawno i nie miała konkretnego celu. I zawsze pierwszy promień słońca, który przedziera się zwycięsko, oświeśla masyw Kominiańskiego Wierchu.

Spadła z nieba, a właściwie przeleciała przez całe niebo, ciągnąc za sobą warkocz świetlisty. Była wielką, wspaniałą obietnicą.

Ostatni dzień sierpnia zamyka wakacyjne marzenia, a resztki nadziei wysyła pocztą na rok przyszły.

Jak bardzo znajome są delikatne godziny nowego miesiąca. Powracają niczym dawne kochanki. Czuję ich zapach, słyszę westchnienia. Ale to przecież nie one, tylko inne, podobne kobiety, choć ubrane w te same suknie.

Trzy duże nietoperze. Dźwięk ich lotu. Nie szum; trzepot.

Zza okna daleki odgłos traktora orzącego pole. Na niebie jaskółki zbierające się do odlotu. Kot zagrzebał się w zapachu pościeli. Właściwie zawsze to samo. Pióro, piersi, przełęcz i południe.

Z Gdyni – Orłowa widać Sopot, widać Gdańsk, ale przede wszystkim wielką wodę. Spacer pod efektownym klifem przypomina Portugalię, a Gdynia przypomina... Gdynię. Wracałem kolejką SKM.

Deszcz. Wyglądaliśmy przez okno, licząc parasole. Jakież to było proste i piękne. Gdy pojawiał się parasol mamy, kończyliśmy obserwację przez szybę.

Odmawiam różaniec z wędrowania po górach.

Być może lato jest tylko oczekiwaniem na wrześniowy przepych, gdy w bezwietrzne dni coraz niższe słońce bawi się w malarza barw ciepłych.

W innych miastach są miejsca ciche, a ludzie delikatni. Snujesz się tam, by się snuć.

Spóźnił się pociąg na stację spóźnioną. Chłodną, kroplistą. Więc stoisz z dreszczem za pazuchą, z mokrą sierścią psa zawiadowcy. Już stąd nie odjedziesz. Zostaniesz

na zawsze. Zawiadowca ma córkę, której piersi zrekompensują złą pogodę. Zawiadowca ma piwniczkę pełną zacnych butelek. Ta linia została zamknięta jeszcze w poprzednim wieku.

Otwiera się chętnie, a właściwie naturalnie.

Łatwo nauczyliśmy się pięknych metafor. Omijać, błędzić, kluczyć. Niech ktoś w końcu powie, że się zakochał.

Moje drogi są doraźne.

Ziemia pachnie tak pięknie na wiosnę, że trzeba pieścić ją, by rodziła.

Usnęły moje kochanki, a może po prostu się zestarzały. Wysychają ich łona, piersi stają się nieczułe, a słowo orgazm wymazały gumką pożyczoną od wnuków.

Jedni, drudzy i następni – odeszli. A wydawało się, że są nieśmiertelni jak my.

Do nieba się jedzie długo spokojnym pociągiem. Powiedzmy, całą noc. Wsiadasz wieczorem, zmęczony, senny. Budzisz się rano w kłębach chmur.

Na wsi słońce wstaje leniwie, niczym parobek.

Tylko dalekie szlaki są w stanie odmienić nasze bezsilne myśli.

Tyleśmy warci, ileśmy przelecieli.

Jakież złudne są pocałunki w snach.

Wesele jest nad nami. Pogrzeb jest pod nami.

Z boku na bok rzucało nas po łóżku, aż wreszcie złączyliśmy się pięknie i intensywnie.

Bohater naszej powieści – człowiek młody, lecz bywały – ten, co damy słodko pieści i wygłasza dyrdymały.

Kulistość ziemi – jak kulistość damskich pośladków. A fazy księżyca – fazami periodu, głosu płodności. Droga Mleczna ze szczodrego wytrysku rodzącego nowe światy.

Ja nie dyskutuję o patriotyzmie, jak nie dyskutuję o potrzebie oddychania.

Kocim futrem dotyka nas absolut; nad ranem. Ale bywa, że gwiazdy coś opowiedzą spokojną nocą.

Spacerowałem nad morzem. W dobrym, milczącym towarzystwie.

Daj Boże sensu choć miarkę, daj.

Muzyka, która jest pracą w pocie czoła.

Poeci nie robią na mnie żadnego wrażenia. Są zwykle starzy, a jeśli nie starzy, to mało przekonujący. Rozmowy z nimi przypominają dyskusje z policjantem (co ma być i tak będzie).

Kochanki? Najważniejsze, by ładnie zdejmowały majtki...

Moje zajęcia? Pisanie i gadanie. Głupie gadanie.

Naprzód do walki o święta Bożego Narodzenia! Niczym przodownik pracy rzucam się w wir zajęć.

Kamfora, tango, mirta, ametyst. Myśl o słowie, które uznasz za genialne.

Dzisiaj dzień zwykły – poniedziałek.

Wrócił zbir jeden, rogalik niewdzięczny, wrócił dwudziestego grudnia.

A zatem worek żeglarski na plecy i daj się ponieść falującej wyobraźni.

Wzburzone wody oceanów lśnią niepokojąco. Ogień palenisk dalekich domostw – kusi. Wystawiam stopę spod kołdry. Marzną palce.

Czemu jesteś poetą, a nie piekarzem? Dlaczego nie jesteś wyrocznią, której boi się każdy frant?

Tato się przyśnił. Szedł ulicą. Był ładnie opalony, miał na sobie modną koszulę. Przytuliłem się do niego.

Trzy piwa Paulaner. Dwa kieliszki czerwonego wina (14,5%). Trzy kieliszki nalewki wiśniowej (38%). I noc z licznymi przebudzeniami.

Czy to nie piękne, że moja kochanka chwali się nowym kochankiem? Chwali się świetnym seksem i stanem namiętnej fascynacji.

Ta kobieta powiedziała szybko, że sypia zawsze nago, i równie szybko zdjęła sukienkę.

Kobiety i ich rozsądek w obliczu intymności, rozsądek, którego w takich sytuacjach brakuje nam, mężczyznom.

Całe lata budowała się magia podróży. Magia decyzji. Magia myśli. Magia przygotowań. Dzisiaj szukam tych drżeń radości, upycham je do plecaków i... ruszam w znane.

Wpisuję się w jej egzystencji namiętne zakamarki. Ja – zmysłowy wibrator.

Jeziora są myślą lub snu odkryciem. Trzeba je cenić za woń rybną i zapach butwienia.

Kwaśny smak nieistnienia. Zimny i wyrachowany. Wszechświat ze swą gwiezdą bezmyślnością.

Nie mam najmniejszej wątpliwości, że świat bezwzględny jest. Czy bezduszny – tego już nie wiadomo. Skąd zatem nasze nieprzespane noce?

Wypatruję przez moje północne okno zgrai pingwinów.

Kiedy masz ochotę cmoknąć cycusie? Kiedy jest za co je cmoknąć.

Czy pamiętam? Nie, nie pamiętam. Nic. Tylko brązowa szparka.

Jak to się dzieje, że nawet w absolutnej ciemności widzisz blask w oczach kochanki, jakby była paleniskiem, które wyrzuca z siebie iskry?

Pochylił się bałwan, którego lepiłszy kilka dni temu. Zima zabiera swoje zabawki.

Niewolnice mogły być budzikami zapowiadającymi świt delikatną pieszczotą.
Jaką naturę mają sny o przeciskaniu się?

Łap taxi!

Czy już nie czas na powrót do dawnych form życia? Do wieczorów spędzanych na rozmowach? Na pieczeniu ciasta, układaniu pasjansa, graniu w szachy, paleniu fajki i piciu wina?

Karta lubi dym (sportów lub klubowych). Może i piwo, i wódeczkę (żytnią z kłoskiem).

Wszyscy nosili te same kurtki i trykotowe koszulki w tych samych wzorach, i wiarę w podbój kosmosu.

Dlaczego nie chce się przyśnić Przełęcz Iwaniacka? Dlaczego nie chce się przyśnić Izabela Kowalska? A nawet Iwona Baranowska?

Jakże tu wierzyć w nieśmiertelność, gdy ciężko poradzić sobie z własnym ciałem, które łapie choroby, krosty i dręczą je bóle. Nie mówiąc już o duszy, gnębionej chandrą i niepojętymi porywami miłości. Nie ma nawet czasu, by się porządnie umyć, przebrać, odkochać, a przede wszystkim otrzeźwieć.

Gdzie są przyjaciele? Czy ta instytucja już nie funkcjonuje?

Jakie to dziwne, że kończąc powieść, czujesz, jak kolejna zaczyna kopać w brzuch.

Sny, jak zwykle, nieoptymistyczne.

Przeczytałem, że koty oszukują, generując mruczenie o częstotliwości płaczu noworodka.

Są długie i krótkie miesiące. Nie chodzi o ilość dni.

O zimie słyszeliśmy od naszych dziadków.

Gdzieś się skradałem. Może, by pisać... Ulica Starcza (dzisiaj Edyty Stein) i jakieś knajpki, do których bałem się wejść. A potem wykład. Za mało miejsc, więc

dostawiono kilka krzeseł. Obok mnie Katarzyna Grochola. Pyta, dlaczego nie mam nic do pisania. No, nie mam.

Plemiona żyjące wewnątrz kontynentu bez świadomości istnienia oceanów.

Skąd biorą się kobiece fanaberie? Czy z łona obleganego nieustannie przez zdobywców, czy z owalu piersi wystawionych na szczegółowe obserwacje?

Odchodzi już do lamusa mały Korsykanin dogorywający na Świętej Helenie.

Głęboka jest potrzeba kobiecych bioder, w których skarb zaspokojenia śpi na różowej poduszeczce.

Młody reżyser głupio gadał i ładne aktorki równie głupio i do tego długo gadały. Że piosenki Abby są proste i wręcz banalne. A nasze życie w tamtych czasach to syf (tak powiedział). Nie będę obrońcą Abby, ale współczesne produkcje rozrywkowe mają się do nich jak mucha do samolotu, a w tym „syfie” żyliśmy ideami, kochaliśmy szczerze, a od czasu do czasu bywaliśmy na księżycu.

Czy rzeczywiście kobieta patrzy? Chciałbym się dowiedzieć, ale to druga strona barykady.

Odlatuję do szczęśliwych krajów, gdzie jabłka z parnasu gniją pod drzewami, gdzie hasają tabuny pegazów, płyną rzeki atramentu, a fabryki papieru są ogromne i pracują na trzy zmiany.

Lato, niczym zasuszony motyl w sieni, zmieni się w kartkę papieru z adnotacją: lato 2987.

Tak to już się ułożyło na mojej okrągłej planecie, że jest noc i dzień, choć – kto wie – są może inne podziały.

Budzący się dzień jest codziennie; z niezrozumiałym uporem.

Czy nie czas już wywędrować z tej niegościnniej krainy? Nic tu po nas, elfach.

Wczesne popołudnie roku 1965. Za oknem deszcz i kolorowe parasole. Aż trudno uwierzyć, że za pięćdziesiąt lat będę miał takie czarne myśli.

Rogalik leży na talerzyku. Ma wypieczoną skórkę posypaną makiem.

Już drugi dzień z południa gorący oddech tropiku.

Chodzą po nas zgryzotki-trzpiotki.

Dworzec kolejowy, gdzie przyjeżdżałem tak wiele razy. Ale już dawno.

Powitały nas Łazienki Królewskie pięknym dniem, ostatnim dniem października.
Skąd bierzemy siły, by się nie spieszyć?

Znowu horyzont wpuścił w swą linię gór pasma nierówności. O, kusicielu! Już
szykuję kostur podróży, już czekam na pieśczętę wiatru.

Napisałem o tobie kilka wierszy, czasie, gdy nie byłeś jeszcze dla mnie taki groźny.

Na scenie klarnet basowy. Ów tajemniczy detonator dźwięków.

Poranki z myśleniem. Od lat piętnastu.

Kraków czy Koszalin? Z którego kubka wypić kawę?

Demon ciemności o wiele straszniejszy jest niż rogata postać. Jego przejrzystość
i pozorne nieistnienie ostrością brzytwy podrzynają gardło.

Nad wszystko wiara we własne umiejętności i... pomoc sił nadprzyrodzonych.
To jest sztuka.

Czas uzbroił się w fuzję.

Która z pań ma ochotę pokazać, że ma diabła pod spódnicą? U dołu, w cieniu kryje
się szatana ogonek.

Śni się czasem dotyk czarownicy, kobiety ubranej w rozkosz.

Wątpliwości nadciągają razem z piękną pogodą.

Wszyscy ci, którzy zejdą na śniadanie do jadalni, będą mieli nad głowami aureole ze snów; niczym święci.

Goldbergowskich Wariacji ciąg dalszy. Więcej i więcej, setki, tysiące. Jak gwiazd. No cóż, panie ateusz. Posiedziałyby się w kruchcie i byłoby błogo, błogo.

Duch i materia w jednej mieszkały stodole. Duch na górze, materia na dole. Jakież się działy z powodu tego sąsiedztwa awantury, co je wciąż wzniecał raz po raz który...

Nie wierzę w ziemskie przyspieszenie. Wolę nieziemskie opóźnienie. Na szczęście komety jeszcze przecinają niebo, a nawróceni ruszają do Mekki.

Deszcz? Zwijam manatki i jadę na planetę SUSZA.

Poznajemy się przypadkiem (albo tak nam się jawi wola bogów).

Rozmawiamy. Pracujemy. A w końcu ten ktoś wychodzi po angielsku. I tyle go widziano.

Będziemy wypatrywać tych przybyszów z nieba w ciepłe noce pachnące miłością.

Ptaki, ci mali wysłannicy budzą nas o świcie wyjątkową wolą życia, która w nas w tak przykry sposób zanikła.

Jak wymazać tę lepłą praśność tamtych czasów?

Dla agnostyka greckie bogi równie prawdopodobne.

Góry – forma ucieczki od rzeczywistości.

Wspomnień różaniec odmawiam na ścieżkach, które przemierzałem kiedyś. Dowiedziałem się, że wraz z wrześniem rozpoczyna się meteorologiczna jesień. A zatem tak, jak przypuszczałem.

Szukamy naszych dróg na dalekich szlakach Drogi Mlecznej, ale my tutaj, na skraju przepaści.

Dzisiaj mgła. Ten przedziwny stan skupienia materii; stan skupienia ducha.
Przywieźli chleb. Coś oczywistego.

Wraz z pogodą z piekła rodem przychodzą złowrogie dni, które nie mają finału.

Kawa wypita. Co tu planować.

Dotknijmy przemijającej chwili, jak motyla na szpilce.

To właśnie tęsknoty za innem prowadzą nas w ramiona kochanek, każą na nowo
stawać się jurnymi byczkami. Zrzucamy brzemię lat, ciesząc się... innem.

Śmierć lubi komunikację zbiorową.

Medytacje pustelnika o dupie Maryni.

Gdzie podzieli się zomole, ubecy, członkowie partii, egzekutyw, TKKŚ, HSPS, ZSP,
ZSMP? Co trzeci z nas był po tamtej stronie i... pozostał.

Robimy tajemnice, spiski, knowania, by odkryć w sobie zwierzęcość.

Roku witanie. Jakie pierwotne. Jak zniesienie embarga.

Powrót po północy. Kiedyś. Białe rtęciowe latarnie miały w sobie zimno.
Już w domu słyszałem kolejny nocny tramwaj, którym wracał inny poeta.

Jakież marzenia miało się wtedy, gdy na talerzyku Rosenthala leżał kawałek
tortu, którego dolna warstwa z kruchego ciasta posmarowana była galaretką
z porzeczek...

Pani nogi w szpilkach łączą niebo z ziemią. Jeśli te buty są czerwone, to nawet
z piekłem.

Dobre wspomnienie przy kuchennym stole. Jechałem tramwajem. Patrzyłem
przez okno, a czas stał w miejscu.

Dlaczegoż jest tak interesujące udo kobiety? Czy dlatego, że zaczyna się i z przodu,
i z tyłu tak ciekawie?

Zadawałem we śnie ból białemu kotu, który poczynił (również we śnie) spustoszenie w moim domu. Skąd bierze się we mnie taka możliwość; możliwość zadawania bólu?

Ci ludzie, którzy byli w ZOMO, są w moim wieku. Są gdzieś tutaj.

Czy natchnienie mnie prowadzi, czy... spekulacja.

Na wszystko trzeba dać się nabrać. Na wszystko.

Uciekam z wielkiego domu, który zwie się rano-wieczór.

Po nocy pełnej złych snów (śmierć, przemoc, czerni ziemi) biały całun śniegu ratujący świat.

Każde wyjście z mieszkania mojego dzieciństwa – mieszkania ponurego, mrocznego – było poważnym przedsięwzięciem. Dlatego w złych snach ktoś niepokojąco pukał do drzwi. Tylko okna wychodzące na ulicę były optymistyczne, umiejscowione wysoko, jakby w niebie.

Zda się, że nie sposób obejść się bez powietrza, a jednak długie lata potrafimy zadowolić się jednym oddechem.

Już tylko ona, iskra młodzieńców, pozwala nam, mężczyznom, trwać na posterunku sensu.

I ten słodki czas, który w młodości płynie tak wolno, jakby zapowiadał nieśmiertelność.

A w snach mieszkają stare niepokoje. Szkoda, że nie ma starych żądz.

Wszyscy poszukujemy sensu, żonglując Ewangeliami, wertując wycinki z gazet. Przypadkowe słowo przechodnia bierzemy za znak Boga, a wiosenną burzę za początek apokalipsy.

A jakież to dodatek do życia daje nam Bóg? Nocne splecenie pod kołdrą? Kufelek jasnego z pianką?

Pasjanse są po to, by wikłać między kartami czas, by zatrzymać go długim i dokładnym tasowaniem.

Nad ranem przyszedł sen lubieżny.

Wiersz – sekret dziecinny w zagiętym rogu strony uczniowskiego pamiętnika.

Życie mężczyzny za kobiecymi plecami.

Śnią się niepośpiechy.

Telewizor pobudzał do myślenia, choć świat był tam tekturowy.

Każda noc odchodzi nad ranem. Jakie to dziwne...

Nadlatują ptasie eskadry. Wiosna naciska.

Tylko w snach widuję starą kanapę, która już dawno została wyrzucona, a przecież przeżywaliśmy na niej orgazm za orgazmem.

W ogrodzie wisiał – niczym chiński lampion – księżyc.

Gdzie poszła Ela, która ma długie nogi i piersi małego chłopca?

Florencja, godzina 15. Ulica miasta z opowieści. Puzderko olbrzymia – katedra. Beztroski tłum na zawsze uwiecznia fotografia cyfrowa. 011000101000111.

Mediolan pyszny, modny i wciąż aktualny. Napoleon się kłania.

Nadlatuje nietoperz. Odgłos napiętej celuloidowej taśmy.

Panie z nóżką odkrytą po ramiona.

Ulice mojego miasta dzieciństwa zawsze były ciemne, a bramy domów nieomknięte.

Śmierć zagląda przez sen. Rozmawia ze mną, wysyłając umarłych, którzy udają żywych.



Międzynarodowy Festiwal Teatrów Ulicznych w Jeleniej Górze, fot. Robert Kutkowski (czyt. s. 168)



Partia szachów

Na starej rycinie, autor anonimowy,
męczyzna gra w szachy ze śmiercią.

Śmierć oczywiście gra czarnymi.

Jak z nią grać, żeby nie przegrać?
Może warto poświęcić piona, grać
odważnie, a może lepiej ustawić
się pasywnie, czekać na ciosy?

Śmierć się nie spieszy, mówią, że
czas działa na jej korzyść.

Każde pole jest jak jeden rok,
Wypełnij je treścią – mówi po cichu.

Przechodzę do końcówki. Wiesz – znów
się ona odzywa – końcówki są najlepsze
i tajemniczo chichocze. Chyba zdobyła
przewagę. Już się nie wywinę.

Później symultana. Śmierć daje seans
gry jednoczesnej: teraz dla odmiany gram
czarnymi.

Gram słabo, moja pozycja szybko staje się
krytyczna. Zugzwang – mówi śmierć i życzliwie
mnie obejmuje. – Cokolwiek zrobisz,
pogorszysz swoje położenie.
Cokolwiek zrobię – powtarzam – cokolwiek.

Widząc, co się dzieje, teraz ja zaczynam grać na czas.

Cienie

Już noc, samochód rzuca snop światła
na mur budynku. Na jego ścianie
dostrzegam cienie. Odbijają się tam drzewa,
wymachują szczupłymi witkami. Widzę strzeliste
ogrodzenie, niczym sterczące włócznie rycerzy.
I jeszcze psy, a także my.
Ustawiamy się w pochodzie, maszerujemy.
Dokąd?
Do krainy złudzenia.
Ale gdzie jest ta kraina, gdzie chadzają cienie?
Tutaj tylko władza, pieniądze, interesy,
układy, kombinacje i zdrady, a tam są inne odcienie:
realność jest nieważna, ważniejsze marzenie.
Nagle cienie wydłużają się, stają się wielkoludami,
a ich wielkie psy spuszczone z łańcucha wyobraźni
szczekają, a potem wybiegają poza tamtą
scenę.

Martwy gołąb

Martwy gołąb nie wie, że jest martwy,
wciąż wydaje mu się, że szybuje w górze,
sprawnie przecina powietrze. Przelatuje, wiruje,
przyprawia innych o dreszcze.

Martwy gołąb nie wie, że jego ciało chłopiec
patroszy patykiem, jakby czegoś szukał, ale
tego tam nie ma. To uleciało.

Martwy gołąb nigdy nie patrzy na nas z góry,
jakby intuicyjnie czuł, że pewnych rzeczy
się nie robi.

Martwy gołąb przez sen uśmiecha się do chłopca:
nie chce, aby ten miał przykre wspomnienia.

Elizjum

Zanim znajdziesz się w Elizjum, musisz po trzykroć doświadczyć.
Doświadczenie racjonalne, że wszystko to kwestia myślenia, to piękna bajka, która musi skończyć się tragicznie. Przetrwasz, gdy zrozumiesz, że to, co niepojęte, ma głębszy sens. Gdy ujrzysz śmierć w oczach bliskich, swoją niemoc i lekarzy, z którymi wiązałeś, a oni bezradnie rozkładają ręce, gdy ujrzysz wymiociny, krew w kale i szczupłość, która jest chora, a potem tamten, łagodnie uśmiechając się, odejdzie, odejdzie na zawsze. To doświadczenie eschatologiczne, ale musisz iść dalej, przez wąskie ścieżki zapomnienia. Powołano ciebie do doświadczenia meta. Nie rezygnuj, idź. Elizjum jest dla wybranych.

Przegranı mężczyźni

Mężczyźni się nie leczą, nie lubią lekarzy,
nie chcą wizyt, konsultacji, diagnoz, nienawidzą
prześwietleń. Dostają gęsiej skórki na słowo
kolonoskopia. Cóż taki lekarz mi pomoże?
– słyszę jednego mężczyznę i jakbym słyszał cały
ród męski. Nie będziemy brać lekarstw mówią w parku
zbuntowani mężczyźni i spokojnie otwierają piwa.

Mężczyzna w poczekalni to rzadki widok,
częściej spotykany jest na intensywnej terapii.
Tamten ożywia się na widok zgrabnych nóg
pielęgniarki, nie będzie miał do niej pretensji,
gdy ta niedługo nakryje go białym płótnem.
Mężczyźni nie chcą nadwyreżać budżetu państwa,
słowo „dług” źle im się kojarzy.
Słyszę, jak jeden mówi: „coś mnie zżera, coś mnie zżera
od środka” i wkurzony wychodzi na papierosa.

Jestem mężczyzną, kocham kobiety i jeśli nigdy
tego nie wymówiłem, proszę, wybaczcie.

Każdy mężczyzna chciałby umrzeć z miłości,
ale przeważnie przyczyna jest bardziej prozaiczna.



Alina Obidniak (czyt. s. 168)

Fenomen Aliny Obidniak.

Synergia teatru, edukacji, ekologii

i... duchowości

*Przychodzimy, odchodzimy,
Leciuteńko, na paluszkach.*

Kilka osobistych refleksji na początek

Pewnego dnia „nie wiadomo dlaczego” sięgnąłem po *Matecznik. Świat. Kosmos* Aliny Obidniak, książeczkę wydaną w 2000 roku w ramach serii *W poszukiwaniu lepszej szkoły*. I nagle, ze szczególną intensywnością, ożyły wspomnienia z czasów, kiedy zapisywały one karty naszych wspólnych działań, niekiedy zwariowanych pomysłów i dyskusji, które coraz bardziej zawiązywały i wzmacniały nici naszego wzajemnego duchowego porozumienia i – jak pięknie to ujmuje Ryszard Łukaszewicz we wstępie do tej książeczki – porozumienia *i tam*, gdzie „kwitną poziomki”, *i tam*, gdzie „lasy pięknie śpiewają”, *i tam*, gdzie „nadzieja matka mądrych”, *i tam*, gdzie „leczą głupotę”, *i tam*, gdzie „czynimy sobie Ziemię kochaną”. Poczułem, podobnie jak autor wstępu, że nie wystarczy już tylko czytać, nawet wielokrotnie, teksty Aliny, ale trzeba także refleksyjnie wsłuchać się w siebie.

Alina, czego osobiście doświadczyłem, zawsze pomagała w znalezieniu nowego spojrzenia, wyjścia poza rutynę czy stare nawyki, uczyła szanowania lokalności i jednocześnie wyjścia poza nią. A zawsze te Jej inicjatywy zostawiały trwałe ślady – po prostu pisały historię tego regionu. Towarzyszyła im przy tym zawsze ogromna pokora i piękna sugestia, że nikt nic nie musi, ale gdy ma prawdziwą motywację wewnętrzną, wiele może i ciągle te możliwości wtedy rosną. Dodawanie ludziom tej motywacji, siły i Dobrej Energii – to właśnie istota FENOMENU Aliny Obidniak, a dotyczy to Osoby obsypanej wieloma tytułami: „Kobiety Europy 1995”, „Królowej Karkonoszy” czy „Cesarzowej Teatrów Ulicznych”.

Kim miała być, a kim się stawiała

Alina Obidniak urodziła się w 1931 roku w Krośnie w – jak to sama podkreśla w *Niedokończonej rozmowie* z Małgorzatą Potoczak-Pełczyńską – rodzinie biednej: Jej ojciec był ludwisarzem, a matka krawcową. Jednak Alina miała jakby rodzinnie zakodowane bycie człowiekiem sztuki, bo Jej brat Karol Obidniak wybrał podobną drogę – był aktorem i reżyserem. Szczególnie fascynował Ją teatr jako forma ekspresji siebie, swojej osobowości. Już w dzieciństwie, między czternastym a szesnastym rokiem życia, napisała kilkanaście sztuk wierszem, którymi – jak wspomina – „terroryzowała” na próbach swoje rówieśniczki. Teksty te, niestety, Alina spaliła.

Miała być pianistką, ale nią *nie została*. Przeszkodziła jej w tym choroba. Chciała jak Jej brat realizować się w aktorstwie. Skończyła studia aktorskie w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej w Krakowie, ale mimo prób w tym zawodzie aktorką *nie została*. Jednak nie od razu po maturze rozpoczęła te studia, ponieważ Jej pierwsze spotkanie w Krakowie z Leonem Schillerem, który „rządził” wówczas krakowską reżyserią teatralną, zakończyło się tylko cennym pouczeniem. Jak wspomina Alina w *Przerwanej rozmowie*, Leon Schiller „jak zobaczył przed sobą małą chudą dziewczyneczkę, zapytał: Czego ty chcesz, dzieciно? Wytłumaczył, że reżyser musi najpierw zdobyć wiedzę o sobie samym, i kazał wrócić do siebie po kilku latach”.

Alina Obidniak ukończyła także studia reżyserskie na Wydziale Reżyserii Filmowej w Wszechrosyjskim Państwowym Instytucie Kinematografii w Moskwie i w Państwowej Wyższej Szkole Filmowej w Łodzi. Była więc przygotowana i wiedziała, jak reżyserować filmy, ale reżyserką filmów *nie została*. Po realizacji trzech etiid filmowych zdecydowała się na uprawianie wyłącznie reżyserii teatralnej. Alina wybrała w tych poszukiwaniach swojej drogi życia teatr jako formę ekspresji siebie, a swoje „incydenty” aktorskie potraktowała jako cenne doświadczenia w tych poszukiwaniach – wybrała reżyserowanie spektakli teatralnych i zarządzanie teatrem. Tu też zaczęła tworzyć swój pierwszy moduł STAWANIA się człowiekiem sztuki, pierwszy moduł Jej FENOMENU.

Ludzie, którzy mieli na Nią wyjątkowy wpływ

To nie przypadek, że spotykamy na swojej drodze te, a nie inne osoby. Alina Obidniak uważała nawet, że jest nam zadane, żebyśmy spotkali osoby, które nas inspirują, ekscytują... ale też prowokują do innych niż nawykowe odniesień. Alina do takich osób zawsze zaliczała wielkiego maga teatru, Jerzego Grotowskiego,

Aleksandra Dowżenkę – ukraińskiego reżysera i wykładowcę w Wszechrosyjskim Państwowym Instytucie Kinematografii, Janusza Deglera – teatrologa, historyka teatru, pełniącego przez wiele lat obowiązki kierownika literackiego w jeleniogórskim teatrze, Krystiana Lupe, którego kariera reżyserska miała swe początki właśnie w Jeleniej Górze i który jako reżyser teatralny jest obecnie laureatem najważniejszych polskich nagród teatralnych, Jean-Marie Pradiera – francuskiego lingwistę i psychologa, związanego z Międzynarodową Szkołą Antropologii Teatru, i Henryka Skolimowskiego – filozofa i ekologa. Te diametralnie różne osobowości twórców bardzo wzbogacały Jej wrażliwość, Jej postrzeganie świata i postrzeganie procesów tworzenia jako przekraczających teatr i wkraczających na inne ważne dla człowieka obszary – obszary ekologii i edukacji, nasyconej wrażliwością na piękno przyrody i potrzebą jej ochrony.

Wieloletnia przyjaźń z Jerzym Grotowskim rozpoczęła się i kształtowała w latach 50. w czasie studiów aktorskich w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej w Krakowie, później także na studiach reżyserskich w Moskwie, a potem Alina utrzymywała z Grotowskim stałe kontakty. W jednym z wywiadów dla PAP znany antropolog teatru i uczestnik inicjatyw Jerzego Grotowskiego – Mirosław Kocur bardzo trafnie określił istotę wpływu Grotowskiego na traktowanie przez Alinę teatru w sposób „niezwykle romantyczny”, niczym misji społecznej, a nie rozrywki. Ten wpływ stracił siłą rzeczy swoją intensywność po wyjeździe Grotowskiego z Polski w 1985 roku, ale warto odnotować, że jeszcze w 1990 roku Alina Obidniak pełniła funkcję zastępcy dyrektora w nowo powstałym Ośrodku Grotowskiego we Wrocławiu (dzisiejszy Instytut Grotowskiego), na dziewięć lat przed przekroczeniem przez Grotowskiego progu życia w Pontederze – małej miejscowości w Toskanii, gdzie spędził w odosobnieniu ostatnie lata swojego życia.

Ich liczącą blisko dziewięćdziesiąt pozycji korespondencję z lat 1956–1995 zawiera książka Aliny Obidniak *Pola energii*, wydana w 2010 roku przez Instytut Grotowskiego we Wrocławiu, w której Alina wyraża przekonanie – dla niektórych teatrologów kontrowersyjne – że „pole naszej energii współdziała nieustannie ze zdarzeniami, sytuacjami, które nas spotykają”, a przecież według mojej wiedzy takie przekonanie ma rzetelne oparcie w fizyce kwantowej.

Teatr: przed- i jeleniogórskie czasy i doświadczenia

Do czasu przyjazdu do Jeleniej Góry Alina Obidniak reżyserowała na deskach teatrów w Polsce, jak i za granicą, m.in. w Tuzli (w Bośni i Hercegowinie) i Veszprém (na Węgrzech). Jednak bardzo ważnym Jej doświadczeniem

było wyreżyserowanie w 1962 roku *Irkuckiej historii* Aleksieja Arbuzowa w Teatrze im. Aleksandra Fredry w Gnieźnie, co w dużym stopniu umożliwiło Jej objęcie dyrekcji w Teatrze im. Wojciecha Bogusławskiego w Kaliszu. (...)

Po odejściu z Kalisza – jak wspomina w *Polach energii* – przymierzała się nawet do przejęcia – z rąk Krasowskich – Teatru Polskiego we Wrocławiu, lecz ostatecznie z tym gnieźnieńskim i kaliskim doświadczeniem na początku lat 70. Alina pojawiła się w Jeleniej Górze, przejmując w tym mieście w 1973 roku, jako dyrektorka, odpowiedzialność za rozwój artystyczny ówczesnego Teatru Dramatycznego, którego patronem uczyniła Cypriana Kamila Norwida – jego poezje i dramaty często w formie różnych montaży pojawiały się na scenie Teatru w Jeleniej Górze.

Wieloletni okres prowadzenia tego Teatru (w latach 1973–1988 i w 2000 roku) to z pewnością czas jego rosnącego udziału w życiu kulturalnym nie tylko miasta Jelenia Góra i regionu karkonoskiego. Wiele inicjatyw Aliny Obidniak miało wymiar ogólnopolski, niektóre także wymiar szerszy – europejski, a nawet pozaeuropejski. Tak było, gdy kierowany przez Nią Teatr wyjechał do Paryża z *Fedrą* Jeana Racine’a w ujęciu Pradier’a i *Pragmatystami* Witkacego w reżyserii Krystiana Lupy. Tak było, gdy w 1976 roku Teatr jeleniogórski, jako jedna z nielicznych europejskich scen dramatycznych, został nagrodzony na Festiwalu Teatru Narodów w Caracas, w Wenezueli, gdzie wystąpił z *Don Juanem* Molière’a w inscenizacji Krzysztofa Pankiewicza. Alina bowiem coraz częściej występowała głównie w roli menedżera i animatora kultury – spektakli teatralnych i parateatralnych.

Wcześniej, bo już od pierwszego roku prowadzenia Teatru, Alina zainicjowała odbywające się corocznie *Jeleniogórskie Spotkania Teatralne* z udziałem zespołów krajowych i zagranicznych, a w 1979 roku z Jej inicjatywy powstał przy Teatrze Ośrodek Badań i Praktyk Kulturowych, który miał charakter międzynarodowy i prowadził interdyscyplinarne badania teatralne.

Alina Obidniak ciągle dzieliła się swoimi doświadczeniami z młodszym pokoleniem twórców, m.in. zapraszając do Teatru młodych reżyserów, umożliwiając im debiuty. Zasłynęła jako odkrywca młodych talentów reżyserskich, którym stworzyła wyjątkowo dogodne, niemal laboratoryjne warunki dla ich rozwoju artystycznego. W 1977 roku jako dyrektorka, po obejrzeniu w krakowskiej PWST inscenizacji dramatu *Nadobnisie i koczokodany* Witkacego, zaprosiła do siebie Krystiana Lupa. Zapewniła mu możliwość pracy studyjnej w warunkach repertuarowego teatru, dzięki czemu Lupa stworzył w Jeleniej Górze aż dziewięć przedstawień, które były potem prezentowane w wielu teatrach w Polsce. Były one skupione na penetrowaniu demonicznej strony

człowieka – może czasami w formie nieco kontrowersyjnej, ale na pewno przerysowanej.

A na scenie nie bała się prowokacji artystycznych. Dowodem na to jest choćby obrazoburcza *Zemsta* w inscenizacji Pankiewicza. Alina chciała zawsze mieć – jak to określała – młodych zdolnych „wariatów” w zespole, którzy – jak powiedziała kiedyś nestorka Teatru im. Cypriana Kamila Norwida, Zuzanna Łozińska – chcą robić „wściekłą” awangardę”.

Teatr i jego wyjście na... ulice

Kluczowe jednak znaczenie dla promocji regionu karkonoskiego w skali co najmniej europejskiej miało rozpoczęcie w 1982 roku urzeczywistniania jednego z najważniejszych projektów Aliny Obidniak, współpracującej przy jego tworzeniu z Piotrem Szczeniowskim: organizacji *Międzynarodowego Festiwalu Teatrów Ulicznych*, czyli spotkań z żywym teatrem, teatrem otwartym, teatrem bliskim, który wyszedł do ludzi, wyszedł na... ulice, place. W Festiwalu uczestniczyły zarówno krajowe, jak i zagraniczne, o uznanej renomie grupy teatralne, komedianci, akrobaci („szczudlarze”), tancerze niemal z całej Europy – takie jak na przykład Odin Teatret z Danii, Compagnie Jo Bithume Plasticiens Volants i Collectif Organum z Francji czy legendarny The Living Theatre ze Stanów Zjednoczonych, a także grupy teatralne z Australii i Japonii. To na jeleniogórskim Festiwalu swoją profesjonalną karierę teatru ulicznego rozpoczynały takie m.in. grupy teatralne jak Teatr Pinezka z Gdańska, Teatr Klinika Lalek z Pobiednej czy Teatr Biały Klaun z Krakowa (od 2001 roku występujący pod nazwą Teatr Nikoli).

Uczestniczące w Festiwalu grupy teatralne wypełniały ulice i place nie tylko Jeleniej Góry, ale także bliższych i dalszych okolicznych miejscowości Dolnego Śląska – weszły na ulice Lwówka Śląskiego, Gryfowa Śląskiego, Bolkowa, Zgorzelca, Mirska, Lubawki czy Jedliny Zdroju. To wielkie święto teatru otwartego trwało zwykle dwa, a nawet trzy tygodnie na przełomie czerwca i lipca, ale przygotowania do festiwalu rozciągały się na cały rok.

Jelenia Góra była pierwszym miastem w Polsce, które zorganizowało na tak dużą skalę festiwal teatrów ulicznych. Jak wspomina Alina w wielu naszych rozmowach – wszyscy pukali się wówczas w głowę, co też ta Alina Obidniak i ten Piotr Szczeniowski wymyślili. To było coś absolutnie nowego w tej szarzyźnie tamtych czasów. To było swoiste antidotum na tamte czasy – pokazać kolorowych artystów z całej Europy w najmniejszych miejscowościach regionu. Teatr w Jeleniej Górze swoim wyjściem... na ulice dokonał więc w polskim życiu kulturalnym prawdziwej przemiany, a może nawet przemiany rewolucyjnej w postrzeganiu roli

teatru i jego kontaktu z widzami – z widzami włączającymi się w działania uliczne teatru.

W swoich pierwszych edycjach Festiwal ten stał się z pewnością wyjątkowym zjawiskiem kulturowym, a idea organizowania festiwali teatrów ulicznych szybko „rozlała się” ze stolicy Karkonoszy na cały kraj. Nośnikiem tego „rozłania się” były teatry uczestniczące w Festiwalu.

Tak było w przypadku gdańskiego Teatru Snów, który trzy lata później przeniósł teatralną inspirację Aliny do Gdańska, a przecież od 1998 roku odbywa się corocznie w Gdańsku *Międzynarodowy Festiwal Teatrów Plenerowych i Ulicznych FETA*.

Tak było w przypadku poznańskiego Teatru 8 Dnia, który przeniósł do Poznania praktykowanie teatru plenerowego i nadał mu rangę międzynarodową. Był on organizowany z wielkim rozmachem pod nazwą *Międzynarodowy Festiwal Teatralny Malta*. Festiwal ten po burzliwych losach w latach 90. w 2009 roku stracił swój impet i wymiar międzynarodowy.

Tak było w przypadku krakowskiego teatru KTO, który po udziale w jeleniogórskim Festiwalu rok później rozpoczął analogiczny projekt teatralny. Te wyjścia teatru na ulice organizowane były pod różnymi hasłami, np. 36 edycja Festiwalu w 2023 roku to bardzo udana próba zaczarowania krakowian *„Radością z odzyskanego podwórka”*. To właśnie na krakowskim Festiwalu w 2007 roku, na którym wystąpił także Teatr im. Cypriana Kamila Norwida z plenerowym spektaklem o Don Kichocie, Alinie Obidniak nadano tytuł *Cesarzowej Teatrów Ulicznych*. A był to rok, w którym festiwal jeleniogórski obchodził 25-lecie swojego istnienia. Wspomina o tym Artur Elster w artykule *Spotkanie z naszą Cesarzową Teatrów Ulicznych w Krakowie*, który ukazał się w 2013 roku.

Tak też było w przypadku Teatru Akademia Ruchu z Warszawy, polskiej grupy teatralnej o eksperymentalnym charakterze – teatru gestu i narracji wizualnej, który także wyszedł... na ulice, tworząc widowiska w zurbanizowanej przestrzeni miejskiej poprzez proste scenki teatralne realizowane wobec przypadkowych widzów.

I tak też było, kiedy powstawał we Wrocławiu *Międzynarodowy Festiwal Sztuki Ulicznej Busker Bus*, którego dwudziesta trzecia edycja odbyła się w 2023 roku – profilowany od początku jako Festiwal promujący teatr uliczny w bardzo różnych odsłonach tego teatru: jako teatru marionetek, Nowego Cyrku – akrobatyki partnerskiej, efektów iluzjonistycznych, pokazów cyrkowych... z udziałem ekip teatralnych z kilkunastu krajów z Europy, Ameryki Południowej i Azji.

Trudno wymienić wszystkie „transfery” jeleniogórskiego wyjścia teatru... na ulice, bo te inne „najważniejsze” inspiracje jeleniogórskiej idei Aliny do uprawiania teatru otwartego dotarły m.in. także do Chojnic, Olsztyna i Niepołomic, Zielonej Góry i Augustowa, Opola i Brześcia, Siedlec i Tarnowa, ale też do Świdnika i Łomży, a transgranicznie do niemieckiego Görlitz. Wielu ludzi w swoich małych miasteczkach nie widziało dotąd aktora „na żywo”, a teraz mogli zobaczyć ich wielu na swoim podwórku, na swojej ulicy, placu czy skwerze.

W ciągu czterech dziesięcioleci festiwal jeleniogórski wielokrotnie zmieniał swoją formułę, jednak przy stabilności sedna tego Festiwalu. Był wzbogacany nowymi elementami, np. przez *Bieg Ludzi Teatru*. Podjmowano także próby nadania Festiwalowi bardziej monotematycznego charakteru, np. poprzez spektakle, których głównym elementem było chodzenie na szczudłach lub taniec. Od 2012 roku Festiwal nie ma już charakteru „międzymiastowego” i odbywa się wyłącznie w Jeleniej Górze, nadal wpisując się w kalendarz najważniejszych imprez kulturalnych regionu karkonoskiego. To było i jest prawdziwe święto teatralne tego regionu.

Edukacja i ekologia zanurzone w... duchowości

Po 15 sezonach kierowania teatrem Alina Obidniak była na fali. Jednak w 1989 roku zrezygnowała z funkcji dyrektora teatru. W wywiadzie z 2021 roku *Niedokończona rozmowa* podała powód tego odejścia. Uznała, że czas przekroczyć kolejny próg i kontynuować proces szukania... siebie właśnie wtedy, gdy „odpadnie funkcja dyrektora teatru” i co zostanie z Aliny Obidniak, gdy to się stanie. A pokusa sprawdzenia się w edukacji ekologicznej była bardzo prawdziwa i zaowocowała kolejną Jej misją oraz inicjatywami – pasją wtopienia ekologii w edukację i nasycenie tej misji duchowością. W 2000 roku nieoczekiwanie – na kilka miesięcy – powróciła do Teatru jeleniogórskiego, proponując współpracę grupie studentów Wydziału Reżyserii z warszawskiej Akademii Teatralnej, a na początku 2010 roku Alina jeszcze raz wyreżyserowała na scenie jeleniogórskiej kolejny montaż tekstów Norwida zatytułowany *Sztukmistrz*. Były to już jednak tylko teatralne „incydenty” w realizowanej z całym już – jak to u Aliny – zaangażowaniem i pasją misji podnoszenia świadomości ekologicznej, zwłaszcza u ludzi młodych.

Jakie było źródło tych inicjatyw? Paradoksalnie tym źródłem był kryzys, jaki pojawił się wśród proekologicznych organizacji pozarządowych regionu karkonoskiego po okresie wielkiej mobilizacji w walce z Celwiskożą w latach 1975–1990.

Jej bohaterowie poczuli się zmęczeni i właśnie dlatego włączenie się Aliny w ponowną integrację różnych „sektorów” w działaniach na rzecz ochrony środowiska nastąpiło w odpowiednim czasie i miejscu. (...) Lata te ukazują też wyraźnie logikę kolejnego ważnego „pasa ruchu” drogi życiowej Aliny, logikę budowy osobistej wrażliwości ekologicznej jako punktu wyjścia dla poszerzenia tej wrażliwości, obrazującej się w holistycznie pojmowanej przez Alinę jakości życia.

Doświadczenia Aliny Obidniak ukazują też inną przesłankę Jej nowej pasji. To chęć „praktykowania” ekologii i ochrony środowiska poprzez włączanie się w rozwiązywanie rzeczywistych problemów – konfliktów, zawsze rozumianych przez Alinę jako WSPÓŁISTNIENIE – niekoniecznie pokojowe – różnych **systemów wartości**. Dlatego konsekwentnie proponuje przejście od negatywnych emocji, walki, agresji... do wrażliwej, opartej na prawdzie argumentacji, racjonalności... ale także do zauważania duchowości ludzi, odkrywania ich człowieczeństwa – empatii, szacunku, uczciwości... i znaczenia małych kroków w rozwiązywaniu dużych problemów tej cywilizacji.

Na tych fundamentach aksjologicznych z przesłaniem Jej mentora – Henryka Skolimowskiego, że „nadzieja jest matką mądrych” oraz „czyńcie sobie Ziemię kochaną”, powstawały kolejne projekty/programy, w których realizację Alina potrafiła włączać setki ludzi myślących i czujących podobnie. Przełom lat 80. i 90., a zwłaszcza pierwsza połowa tych lat przyniosły kolejne inicjatywy Aliny Obidniak, które miały w sobie duży potencjał oryginalności i siłę rozprzestrzeniania dobrej energii na inne regiony kraju.

Szczególny ślad w świadomości i pamięci ludzi regionu karkonoskiego pozostawiły Jej parateatralne *Rytuały dla Matki Ziemi* i program *Działania na rzecz Matki Ziemi* – który objął ponad dwa tysiące dzieci i młodzieży z ponad stu szkół podstawowych i średnich, w których przeprowadzono ponad tysiąc warsztatów, profilowanych przez Alinę jako artystyczne działania proekologiczne. To była bardzo atrakcyjna dla dzieci forma edukacji ekologicznej, w których Alina pięknie wykorzystywała swoje doświadczenia teatralne. To była ta obrazująca się praktycznie **synergia teatru, edukacji i ekologii** budowana na aksjologicznej bazie **wartości uczuciowych** – jako reprezentantów sfery ducha. Był to w regionie karkonoskim czas jakby masowego budzenia się wrażliwości ekologicznej w wielu środowiskach, które dotychczas unikały ze sobą współpracy i uważały ekologię oraz ochronę środowiska za „zawalidrogę” rozwoju gospodarczego. W dużym stopniu akceleratorem tych pozytywnych zmian był ten bardzo oryginalny model działania edukacyjnego.

Jednak Alinie Obidniak to nie wystarczało, wiedziała, że kluczem do utrwalenia efektów programu *Działania na rzecz Matki Ziemi* musi być danie

przysłowiowej wędki do prowadzenia edukacji ekologicznej, zwłaszcza nauczycielom. Dlatego wspólnie z nauczycielami powołała w 1992 roku *Laboratorium Samorozwoju*, w ramach którego prowadziła warsztaty i dyskusje, jak zmienić siebie, jak uwrażliwić się na problemy ochrony przyrody, jak dostrzegać jej piękno, jak rozprzestrzeniać swoisty efekt „fali” budzenia naszego człowieczeństwa na innych – nauczycieli, radnych... i wszystkich innych ludzi. W tym *Laboratorium*, które powstało z inspiracji Ryszarda Łukaszewicza i Henryka Skolimowskiego, Alina starała się podążać śladem Grotowskiego z jego pozateatralnego okresu twórczości, poszukując i w tej formie dróg duchowej przemiany.

Duże znaczenie dla integracji środowiska „ochroniarzy”, nie tylko regionu kar-konoskiego, miały też organizowane cyklicznie na początku lat 90. spotkania pod bardzo zachęcającą nazwą *Biesiady ekologiczne*, na których dyskutowano – często do późnych godzin wieczornych – m.in. na temat zdrowego odżywiania, zdrowej żywności, rolnictwa ekologicznego i... ekofilozofii. Brało w nich udział wielu znanych ekologów, naukowców i przedstawicieli świata sztuki – często przyjeżdżała do nas aktorka i ekołożka Lucyna Winnicka, wiele spotkań prowadził Henryk Skolimowski. Łącznie odbyło się ponad sto takich biesiad. Jak wspomina to Alina w *Niedokończonej rozmowie* – hulało to niesamowicie.

Jej też zawdzięczamy unikalną w skali kraju i urzeczywistnianą w latach 90. wspólnie z autorem tego eseju inicjatywę organizowania corocznych *Jeleniogórskich Spotkań Ekologicznych – Lokalna Agenda 21*, na które zjeżdżali ekolodzy z całej Polski, by dyskutować, co zrobić, aby główny dokument Szczytu Ziemi w Rio de Janeiro z 1992 roku – *Agenda 21* nie pozostał tylko na papierze. To były piękne, bardzo owocne spotkania, utrwalane potem w naszej pamięci na przełomie lat 90. i nowego milenium na kameralnych już warsztatach prowadzonych przez Henryka Skolimowskiego w „Szamanówce” – domu Lidii i Tomasza Olszewskich w Szklarskiej Porębie z udziałem Aliny, Tyburcjusza Tyblewskiego (ówczesnego dziekana Wydziału Esperanta na Uniwersytecie w San Marino), znanego ekologa i urbanisty – Jacka Jakubca. Uczestniczyłem w nich również z żoną Grażyną. A „Profesor Skolimowski – jak pisze Alina w swoim esej z 2003 roku pt. *Skolimowski* – »szamanił« na tych spotkaniach po mistrzowsku. Mówił łagodnym głosem, emanującym mocą i optymizmem”.

Alina Obidniak po wycofaniu się w 1989 roku z kierowania teatrem poza edukacją ekologiczną zaangażowała się także w ruch ekologiczny i działalność Partii Zielonych oraz stała się też działaczką feministyczną. W 1995 roku została laureatką nagrody „*Kobieta Europy*” przyznawanej przez Komisję Europejską, co było swoistym podsumowaniem Jej działań i osiągnięć.

Odchodzimy, a zawsze jakiś ślad po nas zostaje

Działalność Aliny Obidniak w regionie karkonoskim i Jej ciągła troska o jego rozwój to piękne, trwające od prawie 50 lat pasmo niezwykle oryginalnych i pozostawiających trwały ślad inicjatyw. Ważny jest jednak sposób, w jaki się one rodziły i jak były urzeczywistniane. Chyba najlepiej oddaje to Jej wypowiedź w jednym z wywiadów dla „Nowin Jeleniogórskich”, w którym stwierdziła: „Już podczas pracy w teatrze spotykałam wielu ciekawych ludzi, panował przychylny klimat dla naszych działań. Żyje tu, jak ja to nazywam, wielu wspaniałych, cudownych wariatów”.

To stwierdzenie najtrafniej oddaje Jej FENOMEN: gromadzenia wokół siebie takich właśnie ludzi – uczciwych i twórczych, niepokornych i pozytywnie zakręconych, wyprzedzających swój czas i konsekwentnie – mimo często niesprzyjającego otoczenia – wprowadzających swoje inicjatywy w życie. Ta Jej misja, mimo że odeszła od nas cichutko, *leciuteńko, na paluszkach*, jeszcze się nie zakończyła, ponieważ Jej idee, pomysły twórcze ciągle ludzi w regionie karkonoskim inspirowały, a ten esej to tylko chwilowy przystanek na spokojną refleksję o FENOMENIE twórczego i bogatego w synergię życia Aliny Obidniak, życia, w którym zawsze Jej towarzyszyło przesłanie Norwida, że **„piękna kształtem jest miłość”** oraz zachwyt nad cudem istnienia, by tworzyć swoje życie jako dzieło sztuki.



Międzynarodowy Festiwal Teatrów Ulicznych w Jeleniej Górze (czyt. s. 168)

Kilka słów o sensibilizmie

Wrocław, rok 1952, listopad. Dom akademicki tutejszej PWSSP przy ulicy Henryka Pobożnego 9 (zwany „Internatem”, z racji pozostawionej przy wejściu tablicy informującej o poprzedniej przynależności do szkół muzycznych).

Nad notatkami z wykładów anatomii plastycznej siedzą dwaj studenci I roku – Wiesław Zajączkowski i Michał Jędrzejewski. Wchodzi student III roku Kazimierz Głaz. Chwali pogłębianie wiedzy, a następnie pyta, czy przyswajamy sobie również nazwy łacińskie*, dla przykładu rzucając od niechcienia, jedyną znaną sobie, nazwę któregoś mięśnia. Następnie zaczyna wymieniać rozmaite kości oraz ich cechy szczególne. I tu pierwszorocznicy wyrażają wątpliwość, czy wymieniona właśnie kość w ogóle istnieje.

„Macie rację – mówi Głaz – słuchając, trzeba jednocześnie myśleć!”

Sensibilizm zaistnieje dopiero za trzy lata, ale jego fundamenty, oparte na wątpliwościach, zostały ustanowione.

Tymczasem trwa wdrażanie socrealizmu. Przed 1 maja i innymi dniami celebracji w pracowniach uczelni powstają portrety przywódców i patronów przodującego ustroju, a w tematach zadań malarskich pojawiają się wątki wykonywania planów produkcyjnych, i nawet ich radosnego przekraczania. Zarazem wrocławska PWSSP leży hen daleko na zachodnich kresach. Pociąg osobowy z Warszawy toczy się tu ponad 10 godzin. Kształcą w tym Wrocławiu ceramików i kogoś tam jeszcze, więc centrali szkoda czasu na zawracanie sobie głowy wdrażaniem socrealizmu w sztukach stosowanych. A ten Wrocław i tak wspiera budowę zrębów pomyślności – cegłą wydobywaną z gruzów...

W rezultacie jest tu ciut więcej luzu. Na plenerze w Lwówku Śląskim (1953) trwają przygotowania do wizyty profesora Eugeniusza Gepperta**. Ktoś załatwia wypożyczenie (bodaj z pobliskiego PGR-u) sympatycznego osiołka, którego dosiada profesor po wyjściu z dworca i na czele pochodu przebierańców przejeżdża przez całe nieco zaszokowane miasto, aż do budynku szkoły, w której rezyduje plener. Rok później w Kłodzku powitanie byłego rektora jest również starannie przygotowane, a w jego sypialni wymalowana zostaje (na sklejonych papierach pakowych) muza trzymająca lustro, tak umocowane, aby profesor po przebudzeniu mógł sam na siebie spoglądać.

W Sandomierzu (1955) ilość parahappeningowych akcji jest tak znaczna, że prof. Dawska zarządza karne jednodniowe rwanie lnu w PGR-ze, dla przypomnienia o malowaniu jako takim. Podczas jednego z następnych plenerów (Paczków) profesora Gepperta witał na peronie szpaler uczestników, z twarzami pomalowanymi na wszystkie kolory, udostępnione w ramach przydziału farb, plus dwóch Chińczyków rozpoczynających właśnie studia we Wrocławiu.

Wiosną 1955 w kawiarni studenckiej (stołówka na Kuźniczej, róg Uniwersyteckiej) zamienianej po południu na kawiarnię (z kawą zbożową) zaczynają się pojawiać spontaniczne występy o charakterze parakabaretowym. Prowokuje to istniejące tam podwyższenie, na które każdy może wejść i doświadczyć zaskoczenia, że jest słuchany. Krąg przyszłych sensiblistów reprezentują m.in. Jan Kosiński, Adam Krzemieniewski i dwaj rozmówcy K. Głaza – wymienieni na wstępie. Gwiazdą kolejnych wieczorów staje się Kosiński, zakopiańczyk, opowiadający genialnie góralskie i nie tylko góralskie anegdoty.

Ten spontaniczny kabaret staje się zalążkiem Studenckiego Teatru Satyryków PONURACY. Założycielami są studenci Uniwersytetu Wrocławskiego, PWSSP (w większości przyszli sensibiliści), Politechniki Wrocławskiej i – jeśli dobrze pamiętam – jeden muzyk. Wszyscy piszą teksty i mają występować na scenie. Zostaje też powołany reżyser, młody, świetnie zapowiadający się aktor Zbigniew Wójcik. Próby odbywają się w budynku Uniwersytetu. Na jedną z nich przychodzi ówczesny dyrektor Teatru Polskiego Zdzisław Grywałd. Bardzo mu się powstający spektakl podoba i proponuje zaprezentowanie premiery na dużej scenie Teatru Polskiego. Ma to miejsce w piątek 3 czerwca 1955 roku (a Jędrzejewski i Zajączkowski, oprócz pisania tekstów i pojawiania się na scenie, projektują scenografię).

Odwilż, zarysowująca się coraz wyraźniej po warszawskim Światowym Festiwalu Młodzieży i Studentów, wypiera stopniowo doktrynę socrealizmu, a w PWSSP wysoce niezależne koło naukowe (a w nim sensibiliści) organizuje „Dysputę z drabin”, umiejscowioną w tak zwanej nowej auli (zadaszonym fragmencie wypalonej, a jeszcze nie odbudowanej, części głównego budynku uczelni). Dysputa jest jednocześnie wernisażem wystawy. Dyskutanci zajmują miejsca na drabinach (czasem z nich pomysłowo spadając, aby przewyższyć kunszt kolegi przewracającego się do tyłu na krześle), natomiast zaproszeni profesorowie Eugeniusz Geppert i rektor Stanisław Dawski*** (opiekun koła) zajmują honorowe miejsca wśród licznie zgromadzonych autorów oraz ich koleżanek i kolegów. Towarzyszy podkład muzyczny wykonywany incydentalnie na fortepianie przez dwóch nieumiejących grać kolegów, zaś dysputa jest odlotowa. Wygłoszony zostaje m.in. pogląd, iż „kolory nie istnieją i są tylko wymysłem producentów farb olejnych”. Inny kolega twierdzi, że „dziełem jest oczywiście paleta, a nie obraz,

będący tylko jej pochodną”. Propagowany jest „naukowy daltonizm”, a profesorowie są i tak w świetnym nastroju – w odpowiedzi na głoszony pogląd, iż „malarstwo zanika”, prof. Geppert wyraża nadzieję, że się jednak utrzyma.

Pewną kontynuację tej dysputy stanowi przeprowadzona w klubie „Od nowa” dyskusja Głaza i niżej podpisanego ze Zbigniewem Makarewiczem, podczas której zarysowują się pewne wątki formuły sensibilizmu. Nazwę sensibilizm, dla nowego przełomowego kierunku w sztuce, proponuje Głaz wiosną 1956 roku w rozmowie z niżej podpisanym podczas pobytu w kawiarni/barze Centralna (parter obecnego domu towarowego Renoma). Nazwa sensibilizm wywodzi się od sensibilizatorów (czyli tak zwanych doczulaczy) występujących w procesie wytwarzania kalek ceramicznych w zakładzie Kalkomania Wałbrzych, do którego Głaz trafił w ramach praktyki dyplomowej.

W czerwcu odbywa się we Wrocławiu Ogólnopolska Spartakiada Uczelni Artystycznych, której towarzyszą spektakle i wystawy prac studenckich. Po burzliwej debacie na temat grafik studenckich (główni dyskutanci: Głaz i Jan Berdyszak) kilkuosobowa grupa polemistów udaje się na Dworzec Główny, gdzie podczas posiłku w bufecie K. Głaz przedstawia zarys teorii sensibilistycznej. To spotkanie nosi wszelkie cechy sympozjum, połączonego z teatrem absurdu.

Podczas wywodów na temat formy, treści, funkcji i granic swobody twórczej siedzący obok przemęczony podróżny bezskutecznie próbuje trafić widelcem do ust, które dodatkowo zamykają się w najmniej odpowiednich momentach. Ktoś finezyjnie fałszuje „...czy to listonosz nie, nie, nie”, w drzwiach patrol SOK-u uważnie lustruje konsumentów, a w tle przemieszcza się patrol „Wyzwolicielki Ludów”, zaś z głośników wydobywają się chrapliwe ryki: „Uaa...! Uaa...! Ociągocho – chowy do Bałbycha cho – chodź z roru checiecho, reron gugi”. Całość pejzażu wizualnego uzupełniały hasła zachęcające do przekraczania planu oraz spontanicznej zbiórki złomu oraz masywna postać sprzątaczkę, myślącą z roztargnionym wdziękiem ścierki służące do wycierania stolików i podłogi.

Uniwersum czystej formy odkrył przed sensibilistami „teatr absurdu”, do którego zapisano ich bez pytania o zgodę i... nie musieli już niczego zapożyczać z nowinkarskich plotek i modnych trendów. Co więcej, sensibilizm, odfiltrowując czystą formę z fluktuacji rzeczywistości, nie ujednolicał zasad konstrukcji dzieł. Stał się esencją swobody twórczej, a związani z nim autorzy w tym samym czasie realizowali prace tak różne stylistycznie i przekraczające granice dyscyplin, a nawet dziedzin twórczych, że obserwatorom rozostrzał się (lub wręcz zniknął z pola widzenia) obraz sensibilizmu jako nurtu.

W kwietniu 1957 roku spotykam kolegę Czesława Stasiewicza, znanego w środowisku studenckim animatora klubów filmowych, który zadaje mi pytanie, czy

nie potrzebowałbym na jedno popołudnie sali Teatru Kameralnego w celu zaprezentowania eksperymentalnego spektaklu lub innego zamieszania dla uświetnienia Dnia Studenta, przewidzianego w programie Dni Wrocławia.

Bez chwili namysłu rezerwuję salę i rozpoczynam rozmowy programowe od telefonu do Wałbrzycha. Z Głazem ustalamy, że będzie to „Teatr Sensibilistyczny”. W trakcie dalszych rozmów przeprowadzonych w uczelni i w akademiku ustalony zostaje skład zespołu, który tworzą: Kazimierz Głaz, Tadeusz Fyda, Michał Jędrzejewski, Regina Konieczka, Jan Kosiński, Adam Krzemieniewski, Anna Lisowska, Andrzej Migdał, Jerzy Popowski i Wiesław Zajączkowski oraz Stefan Górski, który deklaruje gotowość objęcia funkcji kierownika technicznego, pod warunkiem, że nie będzie musiał wychodzić na scenę w trakcie akcji.

Zajączkowski przystępuje niezwłocznie do pisania „sztuki”, która ma być grana w drugiej części spektaklu. Tekst dramatu, utrzymany w konwencji afabularnej tragifarsy, niestety zaginął. Można jedynie powiedzieć, że był to utwór pisany wierszem i zawierający kilka przewrotnych monologów, które zaznaczone były przez wygłaszającego je autora finezyjnym uniesieniem ręki wzorowanym na pomniku cezara Augusta.

Migdałowi, jako magistrowi nauk humanistycznych, powierzyliśmy misję opracowania i wygłoszenia referatu podnoszącego wartość merytoryczną przedsięwzięcia. Mimo chwilowego osłabienia wpływów cenzury tekst ten został poddany ocenie Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk, wzbudzając tam wiele radości (cenzorzy też ludzie), i uzyskał wymaganą pieczęć.

Wśród niezliczonych wstępnych ustaleń nie można pominąć zalecenia przekazanego operatorowi kurtyny, iż ma ją opuszczać i podnosić „losowo” – kiedy tylko przyjdzie mu na to ochota (czynił to później z wyrażnym entuzjazmem).

Spektakl odbył się 7 maja 1957 roku i trwał dwie godziny (15.00 – 17.00), a składał się z trzech zasadniczych części. Pierwsza była cyklem „parad”. Zainauguował ją wstęp ideowy wygłoszony przez Głaza, korespondujący tematycznie z wywieszonym na balustradzie balkonu transparentem „Nie wolno robić z publiczności balona”. W chwilę później ruszył przez scenę dwukierunkowy pochód idących przodem lub tyłem, na czworakach albo z rowerem, taczka, na taczce, jak również niesionych na barana, przenoszących teatralne rekwizyty oraz siebie nawzajem, przeciągających na linie ośla i dźwigających znalezione na teatralnym podwórku fragmenty starych scenografii. Jednocześnie na proscenium wybiegał co chwil kilka Migdał, wygłaszając kolejny segment swego referatu. Tam też siedział na krawędzi sceny Krzemieniewski, przyglądając się widowni i coś niby zapisując, zaś zza sceny dochodziły incydentalnie dźwięki pianina oraz gulgoty i pohukiwania kolegi udającego głośnik uliczny.

Aha, trzeba dodać, że czasem od paradujących odrywał się, dążąc do krawędzi proscenium, Jan Kosiński i niby ściszym głosem opowiadał jakiś najnowszy dowcip.

Druga część, czyli przerwa, była pomyślana jako posiłek – podwieczorek zespołu, spożywany na scenie bez udziału publiczności, ale przy podniesionej kurtynie. Ustalono nawet, że kiedy publiczność powróci, padnie kwestia: „Znów przyszli, trzeba grać dalej!”. Tymczasem po wniesieniu stołu i ogłoszeniu przerwy, pomimo zapalonego na widowni światła oraz otwarcia drzwi do foyer, nikt nie opuszczał sali.

Zespół zasiadł przy stole, a widzowie śledzili przebieg zdarzeń ze wzrastającym zainteresowaniem. Szczęśliwie główny składnik pożywienia stanowiła rzodkiewka, łatwa do dozowania i niewymagająca w czasie spożywania urządzeń wspomagających. W rezultacie artyści ruszyli spontanicznie pomiędzy widzów i po chwili cała sala przyłączyła się do podwieczorku. Mimo iż nikt z nas nie słyszał o happeningu (ta nazwa pojawi się dopiero za trzy lata), happeningowa formuła wciągania widzów w głąb akcji sprawdziła się w całej pełni.

Widzowie mieli jednocześnie okazję przyjrzeć się dokładnie strojom zespołu, który wcześniej mijał się po scenie w niestabilnym oświetleniu. Kosiński w cylindrze z muszką w nienagannie skrojonym garniturze miał oblicze pomalowane na brązowo i chodził z teczką na bosaka z ostrogami. Nasze przykuwające wzrok koleżanki Konieczka i Lisowska ubrane były w stroje łączącą aktualną modę (PWSSP'57) z cytatami masowego wzornictwa (np. gumki nie od pary, kufajka jako etola itp.). Niżej podpisany miał na sobie ufarbowane na czarno spodnie od żółtego dresu z naszytymi białymi łatami i wpisana w zabytkowe szelki białą koszulkę z zagadkowym napisem „Tamakwa” (amerykańska, nabyta w ówczesnym ciuchlandzie); powyżej znajdowała się czarno-biała tasiemkowa kompozycja zakończona zawiązanym na głowie szalikiem. Głaz wyróżniał się dyskretną elegancją, podkreślającą status prekursora. Wśród innych atrakcji kostiumowych można jeszcze wymienić spodnie z urwana nogawką, szarfę przodownika pracy (200% normy), słomiany kapelusz (czy może abażur) z wystrzępionym rondem, „sorty” mundurowe ze Studium Wojskowego, włóczkowe nauszniki i tym podobne elementy artystycznego wyposażenia.

Rozpoczęła się trzecia część akcji. Scena została podzielona umownie na dwie autonomiczne strefy. Po prawej stronie grano wspomnianą sztukę Zajączkowskiego, w co zaangażowana była większość osób obecnych na scenie, natomiast po lewej stronie trzy nieobsadzone w tym spektaklu osoby (Głaz, Krzemieniewski i niżej podpisany) starały się odwrócić uwagę widowni, przestrzegając jednak zasady nieprzekraczania umownej linii demarkacyjnej. Był

to bodaj jedyny w dziejach teatru przypadek, gdy ocenę krytyczną spektaklu serwowano publiczności równocześnie z prezentacją przedstawienia.

Wbrew oczekiwaniom widowni i pomimo narastającego napięcia oraz kilku starć polemicznych do bezpośredniej bijatyki nie doszło. Tymczasem sztuka zakończyła się niespodziewanie. Interpretowano to jako osiągnięcie formalne, wyrefinowaną złośliwość, wynik zagubienia trzech ostatnich stron tekstu lub roztargnienie jednego z artystów, który dał znak do opuszczenia kurtyny.

Spojrzelśmy na zegarki. Była 16.50. Mimo że sala była zarezerwowana do 17, bileterki zaczęły otwierać drzwi, a na widowni zapaliło się światło. Jednak widzowie nie ruszali się z miejsc. Wówczas przed kurtynę wyszedł Głaz i wyjaśnił, że „mamy jeszcze dziesięć minut i będziemy P.T. Publiczność zabawiać do siedemnastej”.

Po tym zapewnieniu Głaz, Krzemieniewski i niżej podpisany daliśmy na proscenium „pokaz orki traktorów w PGR-ze”, przemieszczając się drobnymi kroczkami i trzymając ręce na nieistniejących kierownicach, warczeliliśmy głośniej od „zdobywających wiosnę” Ursusów. Pod koniec trzeciej pętli, a właściwie pokonywanego zarysu ósemki, sala wstała z miejsc i zgotowała całemu zespołowi owację. Niektóre osoby płakały ze śmiechu, a nad ogólnym zgiełkiem górowało basowe „Ha! Ha! Ha!” profesora Gepperta.

W kilka dni po spektaklu ukazała się w weekendowym dodatku „Gazety Robotniczej” (z dn. 11/12 maja 1957) recenzja pod znamienym tytułem *Wrażenia widza ogłupiałego*. Jej autor – Marek Kuszewski – pisał tak: „Ni stąd, ni zowąd przyszło do redakcji zaproszenie z Teatru Sensibilistów. Cóż to takiego? Nawet natychmiastowa ankieta wśród członków redakcji nie przyniosła odpowiedzi. Trzeba było pójść. I poszedłem. Kiedy przekroczyłem progi Teatru Kameralnego i zobaczyłem olbrzymie hasło upiękzone balonikiem „Nie wolno robić z publiczności balona”, coś mnie tknęło i moja intuicja podpowiedziała mi, że będzie się działo. I rzeczywiście się działo. Przez półtorej godziny siedziałem w pierwszym rzędzie – przepraszam, jak głupi, i na próżno wyteżałem umysł, aby coś pojąć. To, co kotłowało się przede mną, chwilami przypominało pierwsze próby marnego skeczu, czasem sceny z *Piekle* Dantego, a czasami dom wariatów, gdzie głównym pacjentem byłem – o rany! Ja... (...) Byłem już bliski szoku, ale kiedy spojrzałem na zbaraniałe miny swoich sąsiadów, nie wytrzymałem i ryknąłem takim śmiechem, że nie mógł go przerwać nawet wyciągnięty groźnie w moim kierunku palec zdekakofonizowanego improwizatora. A najśmieszniejsze, że jak się ta cała oficjalna rzecz skończyła, to ja siedziałem – przepraszam – jak ten Turek i gapiłem się na trzech facetów, którzy zabawiali się przed spuszczoną kurtyną, twierdząc, że sala wypożyczona jest do piątej, więc oni mogą tu tkwić

i tkwili – a ja razem z nimi. (...) Myślicie, że potrafię powiedzieć, co widziałem? Nie! (...) na tym właśnie polega ów sensibilizm”.

Tymczasem Głaz, powróciwszy do Wałbrzycha, publikuje (27 V 57 – data na pieczęcie cenzury) Manifest Sensibilistyczny w formie ulotki formatu A5 (w kolorze błękitnym). Brzmi on tak:

„Sensibilizm jest najnowszym kierunkiem w sztuce, który zrodził się z poszukiwań formalnych dla wyrażenia coraz to nowych treści naszego życia. Jak każdy nowy kierunek przyjęty został niezbyt przychylnie przez konserwatystów i przeciwników wszelkiej nowości. Tak już niestety bywa w naszym narodzie, że każda nowa forma rodzimego pochodzenia nie budzi zaufania. Sensibilizm pomimo swojej nazwy brzmiącej zagranicznie nie jest kierunkiem sprowadzonym z zachodu ani również nie jest przyjęty ze wschodu. Jest jak najbardziej kierunkiem wyrosłym na glebie ojczystej, a co najwyżej może być brany jako produkt przeznaczony na eksport do wyżej wspomnianych dwóch stron.

Z każdym dniem, z każdym tygodniem sensibilizm zatacza coraz szersze kręgi, obejmując niemal wszystkie dziedziny twórczości.

Plastyka, teatr, film, literatura, poezja rozwijają się tylko w formie sensibilistycznej, i tu śmiało można powiedzieć, że przyszła epoka w sztuce nazwana zostanie epoką sensibilizmu.

Sensibilizm różni się tym od współczesnych kierunków eksperymentalnych, że po pierwsze posiada wartości trwałe i nieprzemijające – ponadczasowe, a po drugie nie jest kierunkiem eksperymentalnym i tym samym twórczość w ścisłym znaczeniu sensibilistyczna jest dla każdego człowieka zrozumiała na zasadzie interpretacji asemantycznej”.

Ulotkę tą rozkleiliśmy razem z Krzemieniewskim podczas pleneru w Kaziemierzu Dolnym, gdzie do dziś pamięć o niej jest przekazywana (w kręgach nie tylko artystycznych) z pokolenia na pokolenie.

Tymczasem Głaz kreuje w Wałbrzychu Szopkę Sensibilistyczną (pierwszy spektakl premierowy odbywa się w Klubie PTTK na przełomie maja i czerwca), a na kolejne premiery nie trzeba długo czekać. W maju następnego roku ponownie w Teatrze Kameralnym ma miejsce akcja Teatr Katastroficzny. Było to zamieszanie, które doprowadziło do przeniknięcia widzów na scenę, a realizatorów zdarzenia na widownię. Ponadto spektakl rozprzestrzenił się na cały budynek i jak określił to jeden z widzów: „Był balansem na krawędzi wytrzymałości oficjalnego mecenatu”.

Zarazem sensibiliści (w swej większości) kończą studia i ich aktywność, związana z przełomowym nurtem artystycznym, przejściowo maleje. Jednak jesienią (1958) W. Zajączkowski tworzy projekt Funta Patagońskiego – banknotu

stanowiącego równowartość braku 100 złotych. Jest on powielony przez Adama Dzieńcia metodą litografii barwnej podczas praktyki we wspomnianych Zakładach Kalkomanii. Nakład ograniczył się do zaledwie 12 egzemplarzy, ponieważ kierownictwo Zakładu przeraził druk czegoś przypominającego wartości dewizowe.

Realizatorzy akcji Teatr Sensibilistyczny bez większych przeszkód znajdują swoje miejsca w życiu artystycznym. Głaz staje się ogólnie rozpoznawalną postacią w Wałbrzychu (Nagroda Kulturalna Miasta w 1958 roku), Lisowska tworzy w Warszawie scenografie dla Teatru Telewizji, Zajączkowski projektuje rozwiązania graficzne książek dla wydawnictwa Ossolineum, Konieczka zostaje dydaktykiem w PWSSP, Jędrzejewski projektuje plakaty (najmłodszy uczestnik ogólnopolskiej wystawy plakatu w warszawskiej Zachęcie, 1961), wnętrza i scenografie, Popowski obejmuje kierownictwo graficzne miejscowej „Gazety Robotniczej”, Krzemieniewski maluje i sprzedaje obrazy, a zarazem staje się wszechstronnym designerem (m.in. autorem mebli i zabawek), Fyda zajmuje się wystawiennictwem, a następnie scenografią telewizyjną, Migdala ceramikę promuje czasopismo „Projekt”, zaś Kosiński (absolwent Katedry Szkła) uprawia kierunkowy design oraz studiuje i interpretuje malarsko folklor Podhala.

Sensibilizm lat 60. to oczywiście sukcesy Głaza: najpierw nagroda na Wystawie Młodych w Sopocie, a następnie udział w IV Międzynarodowym Biennale Młodych w Paryżu (1965) oraz stypendialna nagroda Erazma/Marca Chagalla, zrealizowane indywidualne wystawy w Paryżu oraz w Vence, wyjazd na Lazurowe Wybrzeżedo fundacji hrabiny Karoly i wejście w krąg towarzyski Witolda Gombrowicza oraz prace komentujące twórczość wielkiego pisarza. Pobyt we Francji kończy się wyjazdem do Kanady celem rozwijania promocji sztuki współczesnej, a już tam opublikuje książkę *Gombrowicz w Vence*, wydaną później w Polsce przez Wydawnictwo Literackie w Krakowie (1989).

Wśród działań sensibilistycznych należy odnotować: hiperrealizujący obraz Fydy „Koncert 2007” (1962) oraz „Kompozycję błękitną” Jędrzejewskiego (przedstawiającą arkusz znaczków pocztowych) z tego samego roku. „Kongres Patagoński” – akcję happeningową zrealizowaną w Łodzi przez Andrzeja Piliczewskiego (uczestnika wspomnianego wyżej spotkania w bufecie dworcowym we Wrocławiu), będącą pastiszem oficjalnych obchodów rocznicowych i innych (1962).

W 1965 roku Zajączkowski i niżej podpisany tworzą i publikują w nakładzie 12 egzemplarzy książkę artystyczną, a zarazem rodzaj encyklopedii pt. „Piramida Scjencji Pełna – czyli podręczny tytan intelektu”. Już na wstępie czytelnik uzyskuje zapewnienie, iż „sama lektura tytułów rozdziałów zapewnia średni poziom wykształcenia”. Poszczególne hasła dotyczyły wielorakich obszarów sztuk i nauk, będą krzywym zwierciadłem, w którym odbijał się aktualny stan ogólnej

świadomości, jak i nieświadomości. Hasło „rzeźba” zaczyna się od stwierdzenia, iż polega ona „na deformowaniu rozmaitych materiałów”, zaś: „muzyką nazywamy chronologiczną systematykę immanentnych wartości wibrofluktuacyjnych o amplitudach zmiennych” (...), a „obiektywnie istnieje jedynie wibrofluktuacja, nie zaś dźwięk (...) będący jedynie złudzeniem” i nie warto by się tym problemem zajmować, „gdyby nie powszechność owego zabobonu”.

Ci sami autorzy proponują Zarządowi Z.O. ZPAP organizację wysyłkowej galerii dzieł artystycznych pod nazwą „sztuka do drzwi puka” – jako pierwsza ma być rozsyłana gipsowa piramida (miniatura piramidy Cheopsa) powlekana tak zwanym „złotolem”. Zarząd zastanawia się nad propozycją, ale oddala ją z nieogłaszanym komentarzem: „Znów nas chcą wpuścić w maliny”.

W 1971 roku Zajączkowski wykonuje kolejny ze swych wielkoformatowych pastiszy znanych dzieł malarskich (poprzednio – w roku 1966 – była to „Panorama Racławicka” o wymiarach 3 na 10 metrów, a przedstawiająca dwie ekipy koszykówców pędzących na siebie pod dowództwem dwóch naczelników o twarzach miejscowych decydentów: prezydenta oraz wojewody – zrealizowana z okazji balu architektów i dziennikarzy). Tym razem jest to pastisz „Hołdu Pruskiego” – pod tytułem „scena wręczenia tubki błękitu pruskiego w ramach rozdziału deficytowych materiałów plastycznych”.

Tubkę wręczał prezes Z.O. ZPAP – przewodniczącemu sekcji malarskiej. Kompozycja wielkoformatowa (ok. 3 metry na 6) wykonana była na sklejonych arkuszach papieru pakowego i zawieszona w jednej z sal Klubu Związków Twórczych.

W roku 1976 K. Głaz, już jako szef założonego przez siebie Toronto Center for Contemporary Art, odwiedza Wrocław. Wspólnie z nim oraz Zajączkowskim, Wojciechem Jankowiakiem i Makarewiczem rozważamy możliwości uczczenia pobytu prekursora sensibilizmu. W rezultacie, po uzyskaniu zgody przychylnego kierownictwa Klubu Związków Twórczych, odbywa się w sali konferencyjnej Klubu „IV Sesja Sensibilistyczna” (oczywiście nie było poprzednich, ale poważna sesja, zjazd lub posiedzenie powinno być którymś z kolei).

Sesja rozpoczęła się od otwarcia wystawy. Była to wystawa zdecydowanie nieistniejąca. Materialnie istniała tylko szarfa, którą przecinał niżej podpisany, oraz rytualne lampki wina i słone paluszki. Po przemówieniu Głaza i około dwudziestominutowym wernisażu, który czynnościowo nie różnił się od innych wernisaży, zgromadzeni przeszli do sali obrad, zasiedli przy nakrytych zielonym suknom stołach i przystąpili do oklaskiwania kolejnych faz otwarcia Sesji.

Wzrost poziomu entuzjazmu stabilizował referat programowy „Świat a sensibilizm”, wygłaszany przez prekursora nurtu. Kazimierz Głaz kreślił obraz

świata wkraczającego w erę sensibilstyczną. „Szerokie kręgi artystów i konsumentów sztuki wznoszą się na coraz to wyższy poziom intelektualnej interpretacji twórczych dokonań. Sensibilizm staje się nurtem powszechnie akceptowanym i poszerzającym horyzonty wokół wszystkich odbiorców razem wziętych i każdego z osobna...”

Był to referat operujący przejrzystymi zdaniami, składającymi się ze zrozumiałych słów, a jednocześnie stanowiący przykład czystej (ponadtreściowej) formy referatu. Mógłby składać się z innych słów i zdań, a forma jego stanowiąca istotę rzeczy pozostałaby niezmienną.

Do podobnej doskonałości zbliżył się drugi referat „Sensibilizm a świat”, wygłoszony przez Makarewicza. Formę tego wystąpienia wzbogacono dodatkowo wieloznacznym wezwaniem prelegenta do telefonu, które wzmogło zainteresowanie zarówno formą, jak i treścią wystąpienia.

Po ożywionej dyskusji, która zadziwiła zwłaszcza przypadkowych gości (bywalców odległej o trzy sale kawiarni Klubu), przystąpiono do wręczania nagród, plaket i dyplomów. Każdy, kto się nawinął w okolicach sali lub na przykład w kawiarni, był doprowadzany, witany powstaniem z miejsc i oklaskami, doprowadzany do prezydium, wyróżniany dyplomem lub plaketą, a następnie pozdrawiany kolejną burzą oklasków. Wznoszono również okrzyki „Niech żyją laureaci”. Opornych dekorowano dwukrotnie, przy wzrastającym entuzjazmie zebranych, i kierowano do bufetu, tam też po przyjęciu uchwały „O niesłabnącej dynamice i wszechstronnym rozwoju senibilizmu” udała się większość zgromadzonych.

Bezpośrednio po sesji Kazimierz Głaz odleciał do Toronto, a niektórzy uczestnicy wyruszyli do bliższych miast (jak twierdził złośliwy kolega, „nie wszystkim potrzebne były samoloty”).

Niezależnie od wielorakich podtekstów „IV Sesja Sensibilstyczna” demonstrowała potęgę formy, która może zabawiać się treścią (w gruncie rzeczy po cóż na wernisazu obrazy, treści w wystąpieniach czy zasługi przy nagradzaniu), i dowodziła skuteczności akcji happeningowych, co znalazło potwierdzenie w późniejszych pełnych rozmachu akcjach happeningowych „Pomarańczowej Alternatywy” – Majora Waldemara Fydrycha.

Zimą 1987 roku, w związku ze zbliżającym się Dniem Teatru, Dział Teatralny Muzeum Historycznego (dziś Muzeum Miejskie Wrocławia) zaproponował Jankowiakowi i niżej podpisanemu zaprezentowanie w salach ratusza wystawy projektów i realizacji scenograficznych.

Ekspozycję zlokalizowano ostatecznie w Sali Wójtowskiej i otwarto zgodnie z planem, natomiast w jej centrum pojawił się obiekt specjalny będący wynikiem pogłębianych rozważań sensibilstycznych. Była to wielkoformatowa makiet

(527 x 338 x 223 cm) przedstawiająca jeden z wariantów prezentacyjnych autorskiego pokazu przestrzennego „Cezar Piramid” („jest to mało znany dramat Szekspira, a właściwie innego autora, który żył kiedy indziej, ale w podobnych okolicznościach”).

Obiekt ten otwierał nowy etap twórczych poszukiwań. Myśl sensibilstyczna, przenikając przez kolejne strefy otaczającej rzeczywistości, dostrzegła i ujęła w jednolitą teorię zjawisko mitręgi uczestnictwa i towarzyszących jej przedstawowań czynnościowych.

„Wszystko co niezbędne jest niezbędnym do pewnego stopnia. Weźmy taką premierę teatralną. Tu dopiero zjawisko mitręgi uczestnictwa ujawnia przedstawowanie czynnościowe – tak w zakresie wysiłku fizycznego, jak i intelektualnego. Trzeba znaleźć bilet, kupić program, schować numerek do szatni, odszukać swoje miejsce, przetrwać (dyskretnie ziewając) do przerwy, wymienić ukłony i błyskotliwe uwagi w foyer, a następnie skupić się na finałowej operacji kurtynowo, oklaskowo, szatniowej” [tu autor cytuje sam siebie („Format” nr 1, 1990)].

Nadmiernej mitrędze uczestnictwa zapobiegał obiekt – akcja – spektakl, wspomniany „Cezar Piramid” Jankowiaka i Jędrzejewskiego. Spektakl ten istniał, ale do pewnego stopnia. Krzesło bez nogi pozostaje krzesłem. Podobnie spektakl teatralny jeśli ma scenariusz, rozplanowaną przestrzeń, opracowanie dźwiękowe i wydrukowane programy, ale na przykład brakuje mu teatru, dyrektora albo aktorów, pozostaje spektaklem do pewnego stopnia i tym ciekawszym, że widz nie musi czekać na to, co powiedzą, jak się podniesie kurtyna, wie wszystko od razu i może iść do domu, mówiąc, że był, widział, a nawet zrozumiał. Czasem nawet zrozumie to, czego autorzy nie rozumieją. I to również jest sensibilizm.

Libretto (jeśli można to tak nazwać) „Cezara Piramida” było nagrane i odtwarzane w zasięgu wspomnianej makiety, wyobrażającej składaną pustynię, wraz z konstrukcją zapewniającą jej oświetlenie, widoczność oraz wszelkie inne udogodnienia inscenizacyjne. Tekst monumentalnego widowiska był wydrukowany w programie; i tu ciekawostka: został wkrótce przetłumaczony na angielski i opublikowany w Kanadzie.

Przełomowi lat 80. i 90. towarzyszy benefis Kazimierza Głaza. Jego wystawy otwierane są kolejno w Łodzi (maj – Galeria IPS), we Wrocławiu (czerwiec – Muzeum Narodowe), w Warszawie (lipiec – Galeria Studio), w Krakowie (sierpień – galeria BWA), w Chełmie (październik – Galeria Sztuki Współczesnej) i w Poznaniu (listopad – w ramach Międzynarodowych Targów Sztuki Interart).

O wystawie Głaza w Galerii Studio tak napisał w swej recenzji Andrzej Matynia: „Całkowitym zaskoczeniem była dla mnie wystawa malarstwa Kazimierza

Głaza (...) ani cienia pozerstwa, ani cienia gadatliwości, sama istota rzeczy (...) Światło w obrazach Głaza przedziera się przez czarne tło. Tym samym ziemską materia tła przekształca się w materię o wyższym wzniosłym znaczeniu" („Odrodzenie” 5.08.1989).

W tym też czasie Głaz i Jędrzejewski opracowują formułę Teatru Niewyobrażonego, ujętą w formę korespondencyjnego sympozjum, podsumowanego wystawami „Sensibilizm i Teatr Niewyobrażony” w Galerii BWA Awangarda we Wrocławiu (1992) i w CSW Zamek Ujazdowski w Warszawie (1993 – 94), kuratorzy Wojciech Stefanik i Grzegorz Borkowski.

Jesienią 1990 roku Głaz i Jędrzejewski realizują projekt plakatu, będący przewrotnym zapisem genezy sensibilizmu [„od potopu – do sensibilizmu (wybrane aspekty rozwoju wydarzeń)"]. Wydrukowany, stał się elementem wystroju wielu mieszkań bliższych i dalszych znajomych, którzy zgodnie twierdzili, że poprawia nastrój, zwłaszcza po wczytaniu się w szczegóły uwidocznionego diagramu.

W Kanadzie Głaz udziela wywiadu opublikowanego w czasopiśmie „High Park” (nr 5, 1993), w którym na pytanie: „Od kiedy istnieje sensibilizm?” odpowiada: „Sensibilizm był już przed potopem”, a na próbę uściślenia: „Jakie mamy na to dowody?” wyjaśnia, że: „Potop właśnie”.

Publikując i prezentując swe prace w Kanadzie, do kraju przyjeżdża często, uczestniczy m.in. w wystawie „Jesteśmy” (1991) i prezentuje liczne wystawy indywidualne – m.in. w BWA w Lublinie (1995), w Międzynarodowym Centrum Kulturalnym w Krakowie (1998) oraz w warszawskiej Zachęcie (2000).

Tymczasem niżej podpisany realizuje cykl rysunków pt. Konkurs na Instytut Sensibilistyczny, wystawianych wielokrotnie we Wrocławiu, Warszawie i w Kazimierzu Dolnym. Wspólnie z Głazem wydajemy najpierw w Toronto (2002), a następnie w bibliotece „Formatu” we Wrocławiu książkę „Sensibilizm” (2004), a w 2006 roku prezentujemy wspólną wystawę sensibilistyczną we wrocławskim Muzeum Narodowym (kurator Mariusz Hermansdorfer).

Sensibilistyczne rozważania Głaza publikuje m.in. „Twórczość” (np. „Semantyka – asemantyka”, nr 7/8, 2004), a on sam wygłasza wykłady np. w ASP w Łodzi: „Indiańskie życzenia, początki sensibilizmu Kaughnawake w Kanadzie” (VI 2004).

Trzeba to dodać, że prowadzimy z Głazem stałą wymianę korespondencji, najpierw od czasu jego pobytu w Vence – listowną, a od początku XXI wieku mailową. Znaczna jej część niestety uległa rozproszeniu lub skasowała się przy okazji awarii i wymian komputerów, ale fragmenty jednego ze swoich listów do Głaza i listu Głaza do mnie zacytuję:

„Drogi Prezesie, wyobraźmy sobie sześcian taki powiedzmy ze stali, trochę podrdzewiały. A właściwie dwa jednakowe. Jeden zupełnie pusty w środku, a w drugim znajduje się rzeźba, powiedzmy abstrakcyjna lub ewentualnie figuratywna. W tej rzeźbie w środku inna wybitna rzeźba, a w niej jeszcze jedna z szufladką, w której umieszczono wyjaśnienie zagadki ucieczki mgławic, przepis na eliksir niewidzialności oraz multimedialną kompozycję z kuponem głównej wygranej w totolotku.

Oba sześciany są starannie zaspawane i wystawione na aukcji »Minimalizm geometryczny 2012« z jednakową ceną wywoławczą. Co z tego wynika, trudno powiedzieć. Ale istnieje możliwość, że kluczyk do szufladki znajduje się w tym pierwszym sześcianie, który kupił i kazał złomować przeciwnik sztuki nowoczesnej, a drugi, nadany z pomyłonym adresem, leży w magazynie niedoręczonych przesyłek.

Tymczasem inflacja chrupie deficyty, sztuka dryfuje po oceanie wątpliwości, a jednocześnie ogólnie idzie ku lepszemu i jak tu się nie denerwować? Pozdrowienia! M”.

K. G.: „(...) te twoje teksty, niekończące się wiczenia umysłowo-fizyczne (...) bo trzeba śmiać się po każdej puencie. K. G. de Toronto”.

Dodam jeszcze kilka słów o sobie: w 2013 roku prezentowałem w Galerii „Domus” we Wrocławiu wystawę „Pocztą osobistą” (kurator Marta Hubka), którą w nieco poszerzonej formie pokazało również wrocławskie Muzeum Poczty (kurator Barbara Wysocka, 2015). Uczestniczyłem w cyklu wystaw uczelnianych w Galerii Test w Warszawie (2015). Opublikowałem niewielką książeczkę „Początki opowieści” (fragmenty adaptowano na scenariusze etiud filmowych) oraz książki „Listy” (2017) oraz „Schody i przygody” (2021), a w 2022 roku uczestniczyłem w wystawie „Jędrzejewscy” w Muzeum Nadwiślańskim w Kazimierzu Dolnym, nie pomijając wątków sensibilstycznych, które zaznaczyły swą obecność w tekstach Andrzeja Kostołowskiego i Doroty Seweryn-Puchalskiej zamieszczonych w katalogu wystawy.

Powracając do Osoby Prekursora Sensibilizmu, trzeba odnotować, że Kazimierz Głaz pojawił się wielokrotnie w książce o Witoldzie Gombrowiczu „Kronos” (2013)****, udzielił wywiadu E. Dzikowskiej, zamieszczonego w książce „Artyści mówią” (2014), zaistniał jako postać sceniczna w sztuce Macieja Wojtyzki „Dowód istnienia drugiego” (Teatr Narodowy w Warszawie, 2014), wystąpił w filmie Barbary Moroń „Artystyczne awangardy Wrocławia” (wypowiedzi Głaza, Jędrzejewskiego i Makarewicza, 2015), zdalnie uczestniczył w wystawach

„Dokumentacja sensibilstyczna ze zbiorów Michała Jędrzejewskiego” w Galerii Działań w Warszawie (kurator – Grzegorz Borkowski; 2017) oraz na wystawie „Głaz, Jędrzejewski, Sensibilizm” w Muzeum Nadwiślańskim w Kazimierzu Dolnym (kurator Dorota Seweryn-Puchalska, 2017). Ostatnio natomiast miał wystawę swego malarstwa w Toruniu w Muzeum Uniwersyteckim na przełomie 2022 i 2023 roku (55 prac z cyklu „Istota Rzeczy”).

Dwadzieścia kilka lat temu zadzwonił do mnie Kazik Głaz z następującym poleceniem: „Podaj mi zaraz geometryczną definicję sensibilizmu”. Niewiele się namyślając, wyrecytowałem: „Sensibilizm to w ujęciu geometrycznym: linia prosta łącząca wszystkie punkty wszechświata”.

W piątek 22 września zmarł w Kanadzie Kazimierz Głaz. Odszedł, jednak pozostawił nam po sobie nurt sensibilizmu oraz zbiory prac, obecnych w szerokim świecie, a znajdujących się m.in. w kolekcjach: National Museum of Modern Art w Tokio, Metropolitan Muzeum w Nowym Jorku, Muzeum Watykańskim, Museu de Arte Contemporânea da Universidade w São Paulo, Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Barcelonie, Muzeach Narodowych w Warszawie, Krakowie i Wrocławiu, Muzeum Sztuki w Łodzi, Centrum Sztuki Współczesnej w Warszawie, w Muzeach w Wałbrzychu i w Mielcu, w zbiorach Biblioteki Jagiellońskiej, Biblioteki Kongresu w Waszyngtonie, Biblioteki Narodowej w Paryżu, Ossolineum we Wrocławiu, Biblioteki Narodowej w Ottawie, Centrum Pompidou w Paryżu, Galerii Sztuki w Ontario i wielu, wielu innych.

* Na szczęście program nie przewidywał wkuwania nazw łacińskich.

** Profesor Eugeniusz Geppert (1890 – 1979) – malarz, założyciel (1946) i pierwszy rektor wrocławskiej PWSSP (1946 – 1950).

*** Profesor Stanisław Dawski (1905 – 1990) – grafik, malarz, trzeci rektor wrocławskiej PWSSP/ASP, za którego kadencji (1952 – 1965) odbudowano główny gmach uczelni. Po 1965 prof. ASP w Warszawie.

**** „Więc Gombrowicz istniał naprawdę? Byłem pewien, że to Głaz go wymyślił” – spotkany kolega dzieli się wrażeniami z lektury „Kronosu”.

Życie pofotograficzne

(w twórczości E. Andrzejewskiej i W. Zawadzkiego)

Fotografia była „jaśnią” ich życia, podporządkowali tej niełatwej profesji w zasadzie całą swoją egzystencję i twórczą aktywność; bo była dla nich i miłością, i prawdziwą pasją zawodową. Teraz, gdy już odeszli do wiecznej „ciemni” – są nie tylko na fotografiach, które zostawili, ale wyznaczają także trwałą komponent naszej zbiorowej pamięci o ich dokonaniach i o sztuce tę pamięć (jako część kultury) uzasadniającą. Ewa Andrzejewska i Wojtek Zawadzki – prywatnie małżeństwo dwojga uzdolnionych ludzi – niemal całe swoje dorosłe życie wspólnie organizowali i doświadczali niejako w ramach fotografii, ale też i niemal wspólnie je zakończyli (W. Zawadzki zmarł w czerwcu 2017 r., a E. Andrzejewska dwa miesiące później). Oboje także w swych zamiarach, swoście interpretując otaczający świat, świat do „sfotografowania”, znaleźli się już w świecie po sfotografowaniu – tj. przestrzeni obrazów i idei go tłumaczących. Ta dystynkcja między światem rzeczywistym (do sfotografowania) a światem już sfotografowanym (pofotograficznym) – czyli zarejestrowanym w częściach jego obrazów (zdjęciach) – jest tu o tyle istotna, że właśnie życie oraz twórczość Andrzejewskiej i Zawadzkiego w znacznej mierze wypełnia znamiona egzystencji niejako w „przejściu” między tymi światami. Oni – wolno tak stwierdzić – funkcjonowali na granicy tych dwóch światów: realnie w pierwszym, by wreszcie znaleźć się w tym drugim. Po wtóre: świat do sfotografowania jest tylko pewnym potencjalnym stanem, bowiem nie cały świat (czyli widzialna jego rzeczywistość) może być obrazowo spenetrowany, ale tylko ta jego szczególna odśłona, ta wskazana czy znaleziona albo „wykreowana” przez fotografa, która jakby sama w sobie (wg. E. Pontremoliego¹) prze ku widoczności, ku ujawnieniu się w obrazie, co zawdzięczamy swoście pojętemu zjawisku fotogenii. Ale fotogenia – jako właściwość rzeczy widzialnych, ujawniających się w ich świetlistości – implikuje jednocześnie rolę podmiotu fotografującego; daje więc możliwość zobrazowania nie tylko tego, co widoczne, ale także tego, co może być wzbogacone subiektywnymi

odczuciami czy intuicjami fotografa, a co pozwala na wgląd w to, co niejawne, skryte pod powłoką widzialności.

Nieprzypadkowo zdjęcia Andrzejewskiej i Zawadzkiego były promowane (choćby na łamach „Formatu” czy „Kwartalnika Fotografia”) w kontekście tzw. twórczości fotogenicznej² jako dokonania fotografii czystej czy jako przykłady tzw. dokumentu subiektywnego. Do tej konwencji wpisano również prace innych autorów³ ze środowiska (i okolic) Jeleniej Góry, ale także fotografów z wielu ośrodków w kraju, osób akceptujących i wpisujących się w inicjatywę jeleniogórską. Chodziło tu o uczestnictwo we „Wszechnicy Fotografii”, prowadzonej przez Zawadzkiego, czy udział w wystawach w galerii „Korytarz” (kierowanej wspólnie przez Ewę i Wojtkę) bądź w ramach także innych inicjatyw wystawienniczych, m.in. organizowanych w lokalnym BWA czy wybranych krajowych instytucjach kultury. Tak więc tę aktywność środowiskową zaczęto postrzegać jako dowód istnienia swoistej „szkoły jeleniogórskiej” w polskiej fotografii (termin ten zaproponował Krzysztof Jurecki – krytyk fotografii).

Rola W. Zawadzkiego w ukształtowaniu tego środowiska jest niepodważalna. Byłby to efekt jego myślenia i zdecydowanej postawy artystycznej, ale też pewnego dydaktycznego talentu w przekonywaniu i gromadzeniu wokół swej osoby młodych (i starszych) adeptów tej sztuki, w perswazyjnym przekazywaniu umiejętności warsztatowych i ustalaniu własnych i wspólnych zadań twórczych. Temu służyły spotkania m.in. w ramach działalności Jeleniogórskiej Wszechnicy Fotograficznej, która założona jeszcze w końcówce lat 70. (powołana pod kierownictwem A. Rybińskiego) dla celów edukacji instruktorów fotografii dla potrzeb placówek kultury w dawnym województwie, wówczas – w latach 80. już w innej strukturze administracyjnej – została wykorzystana do nowego zadania, to jest dla kontynuowania idei „wszechnicy” w celach samokształceniowych oraz integracji osób zainteresowanych fotografią – uczestników tych spotkań praktycznie z całego kraju. Wszechnica prowadzona przez Wojtkę oraz równoległa aktywność wystawiennicza w znacznej mierze przyczyniły się do określenia i wyróżnienia specyficznych wartości zdjęć i znamion twórczości charakterystycznej właśnie dla całego środowiska.

Jakie więc było owo świadomościowe zaplecze tych inicjatyw, którym liderował Wojtek Zawadzki? Jak sam przyznawał w rozmowach (wywiadach niepublikowanych), na ukształtowanie jego świadomości twórczej największy wpływ miały przykłady fotografii amerykańskiej i doświadczenia w tym zakresie przekazane mu przez Krzyszpina Sawicza⁴ – wrocławskiego fotografa, autora nowatorskiego podejścia do sztuki fotografii, prezentowanego już we wczesnych latach

70. Jego słynna *Ontogeneza*, wystawiona w 1975 r., była dla Zawadzkiego swoistym kierunkowskazem dla jego własnych poszukiwań i przemysłów.

Mieszkający wówczas we Wrocławiu, poszukujący własnego języka wypowiedzi młody fotograf musiał się zetknąć z działającą w latach 70. galerią fotografii w Domku Romańskim, przemianowaną w 1978 r., już pod kierownictwem Jerzego Olka, w galerię „Foto-Medium-Art”. W końcówce lat 70. W. Zawadzki współpracuje z galerią „Foto-Medium-Art”, ale już wtedy nie akceptuje analitycznych poszukiwań sugerowanych przez fotomedializm, proponując odmienną opcję fotografii preferującej dokumentalne odniesienia wobec rzeczywistości. Wystawa grupy „4 +”⁵, której Wojtek był inicjatorem (fotografie eksponujące różne przejawy odbioru światła), wyraźnie różniła się od stylistyki badania właściwości medium fotografii.

Jak przyznał (w wywiadzie), to on już w 1982 r. zainteresował J. Olka tematyką tzw. „fotografii fotograficznej” – znanej mu z amerykańskich przykładów twórczości, co w efekcie inicjatywy i sprawności organizacyjnej Olka doprowadziło do spotkania fotografów w Samotni (1983 r.). W plenerze tym uczestniczyli m.in. W. Zawadzki, A.J. Lech, B. Konopka, J. Byrczek i inni. Tam została wypracowana i teoretycznie uzasadniona przez J. Olka koncepcja fotoelementaryzmu – jako nowego programu galerii „Foto-Medium-Art”. Poplenerowa wystawa pt. *Karkonosze* z 1984 r. w ramach Biennale Fotografii Górskiej⁶ (to także inicjatywa środowiska jeleniogórskiego) niejako rozpoczynała ekspansję elementarizmu również w działalności wrocławskiej galerii, gdzie zaprezentowano serię wystaw wpisujących się w ten program fotografii, której formalne warunki najwyraźniej określił, zafascynowany twórczością Czechów, A.J. Lech (odbitki stykowe, czarne ramki itp.).

Po początkowej akceptacji założeń formalnych fotoelementaryzmu i uczestnictwa w wystawach wg tej koncepcji Zawadzki odcina się od jej „programowych” założeń (podobnie postąpili też inni autorzy, także akceptujący wcześniej tę opcję, tacy jak A.J. Lech czy B. Konopka), gdyż nie zgadzali się oni z arbitralnym włączaniem przez Olka do tego programu wielu nieświadomych takiej manipulacji artystów o innych preferencjach, ale zapraszanych do wystaw w galerii „Foto-Medium-Art”. W 1984 r. Zawadzki przenosi się z Wrocławia do Jeleniej Góry i rozpoczyna już własną, osobną aktywność, w której wczesne fascynacje fotografią bezpośrednią (dokumentem subiektywnym czy tzw. paradokumentem) skutkują wieloma świetnymi realizacjami w obszarze fotografii miejskiej, w tym w takich cyklach jak m.in. *Portret ulicy* czy *Moja Ameryka*.

Okres jeleniogórski wiąże się już ściśle z partnerstwem Ewy Andrzejewskiej, która pojawiła się w życiu Wojtka w 1985 r., ale jego fotografie pojawiły się w życiu



Ewa Andrzejewska, z cyklu *Karkonosze* (czyt. s. 192)

Ewy już wcześniej. Andrzejewska po przeprowadzce ze Zgorzelca do Jeleniej Góry staje się współuczestniczką osiągnięć środowiskowych i osobą niewątpliwie wywierającą również wpływ na twórczość Wojtka. Wpływ ten był oparty na wzajemnej fascynacji i wspólnym uprawianiu swoistego „życio-fotografowania” (analogia do literackiego „życio-pisania”), ale, co ciekawe, ta wspólnota osadzała się na akceptacji i godzeniu przeciwieństw, na wspieraniu się w pielęgnacji różnic, które łączyły ich w jedność. Oboje byli twórcami zafascynowanymi naturą i jej bliżsi niż kulturze, do której wszak wnosili swój wkład: Ewa swą poetycką fotografią, Wojtek – „prozą” obrazową, perfekcyjną i świadomą celów. Ale oboje stawiali w swej twórczości na emocje, autentyzm i naturalność – tyle że niejako z dwóch stron widzenia. Należy tu podkreślić, że Andrzejewska uważając się za uczennicę Wojtka, zafascynowana jego biegłością warsztatową i zdecydowanymi przekonaniem, potrafiła wszakże wypracować, właśnie jakby w przekorze wobec talentu swego guru, własną stylistykę prac i własną specyficzną manierę obrazowania, charakterystyczną w skali kraju. Jej stykowe, postpiktoriale zdjęcia naturalnego otoczenia (łąki, parki, drzewa, stawy, góry itp.), przeważnie wzbogacone melancholijną sepią, często niedoskonałe w warstwie technicznej (efekt świadomej rezygnacji z precyzji warsztatowej i warunków oświetlenia – typowych dla fotografii Wojtka oraz przyjęcia jako zasady: „nieścigania się” z poziomem wypracowanym przez partnera) skłoniły ją do postawienia raczej na estetykę wyrażającą jej spontaniczne wybory; to fotogeniczne notatki nastrojów i emocji towarzyszących jej plenerowym wypadom z prostą, wręcz prymitywną kamerą fotograficzną. Notabene używała do realizacji szczególnych zadań (plenery górskie) także solidnego, ciężkiego sprzętu statywowego, ale to podręcznej, lekkiej kamerze, zabieranej do niemal codziennych spacerów z psem, zawdzięczała większość swych odrębnych „spojrzeń”. Jej fotografie banalnego otoczenia okazały się niemal kanonicznymi przykładami subiektywnego dokumentu, przykładami tzw. fotografii bezpośredniej albo czystej, bez ingerencji w negatyw i stykowych odbitek pozytywnych. Jej zdolność uchwycenia i zapisu w małym formacie takiego ładunku emocji, liryzmu oraz melancholijnego nastroju – jak to prezentowała w zdecydowanej większości swych realizacji – czyniła z niej faktyczną poetkę fotografii, o czym pisałem⁷ już w połowie lat 90. na łamach „Formatu”. Co charakterystyczne, jej zdjęcia odnosiły się prawie wyłącznie do „obrazu” natury, niemal zupełnie (poza serią zamówionych portretów wiejskich artystek) były pozbawione ludzi. Ona w pewnym sensie „uciekała” od ludzi, wołała skupić się na swoich (i swoich bliskich) emocjach. Fotografią „pisała” swoje odczucia wobec świata natury. Była – jak to W. Zawadzki w przypadku ich obojga określił – „zwierzęciem fotografii”, co

znaczyło, że dla nich ważniejszy w twórczości jest swoisty węch; węch niż widzenie. Mówił: „...ja wychodzę na ulicę i wącham”, „...fotografia nie jest problemem wzroku. To jest wyłącznie dotyk i węch (tj. czucie – przypis A. S.). Wzrok nie jest istotny. Dotyk i węch... Świadomość jest tu niezbędna”⁸. W zasadzie mówił w ten sposób, że chce się podzielić z odbiorcą tym, co czuje, a nie tym, co widzi. Ten sensualizm u podstaw myślenia (czyli tak ukształtowana świadomość) był dzielany przez oboje. Tyle że w „prozie” obrazowania Wojtka rolę pierwszoplanową odgrywała forma, czyli to, co wiąże się niejako z geometrią kompozycji, z matematyką światła... natomiast Ewa tworzyła obrazy – wiersze poświęcone odczuwaniu światła, jego przeżywaniu i transponowaniu przez filtr swojej, wycofanej jakby do wnętrza, wrażliwej osobowości. W tej mierze oboje dopełniali się i wzmacniali.

To rzadki fenomen – gdy para małżeńska potrafi powiązać swoje zainteresowania i fascynacje twórcze z codziennymi obowiązkami i żmudną potocznością, a przy tym nie podlega pokusie rywalizacji (co bywa zrozumiałe w przypadku dwojga artystów). W przypadku Ewy można wręcz mówić o zdolności komplementarnego dopisania się do narzucanych przez silną osobowość męża (i jej Mistrza) fascynacji i sposobów realizacji. Andrzejewska osiągnąwszy bowiem pewien poziom warsztatowej biegłości i świadomości w zakresie realizowania własnych koncepcji (była wszak absolwentką Wyższego Studium Fotografii przy ZPAF), jednocześnie odcięła się od potrzeb maksymalizacji technicznego poziomu fotografii i w zasadzie postawiła na to, co odpowiada niejako kobiecej wrażliwości, mianowicie na ekspozycję strony emocjonalnej zdjęć kosztem ich formalnej perfekcji, tj. poszła w kierunku preferowania ujęć niejako nieprecyzyjnych, czasami nieostrych obrazów osadzonych w specyficznej mgławicowości, gry światłem i jego prześwietleniami (ujęcia pod światło), choć jednocześnie celnie zakomponowanych i niewątpliwie z właściwą jej postawie aurą melancholijnego nastroju, czulej pamięci, magii, poezji właśnie. Jej zdjęcia okazały się tym samym inne od prac Wojtka; były jakby, posługując się określeniem M. Poprzęckiej⁹, w analizie obrazowania artystycznego – „inne”, bo były nieostre, niepewne, były nieoczywistymi widokami „ciemnowidzenia” (stąd ich melancholijność). Odsyłające przede wszystkim do „percepcji znaczenia” (wg terminu E. Gombricha)¹⁰, w odróżnieniu od prac Wojtka, które preferowały „percepcję porządku”. Stąd uzasadnienie dla jego tzw. „ostrego widzenia” i bliskości z geometrycznymi koncepcjami H. Cartiera-Bressona. („Fotografia – mówił Cartier-Bresson – to po prostu czysta radość z geometrii”)¹¹.

Ta stylistyka Andrzejewskiej, czasami nazywana osobistą manierą, stała się nader rozpoznawalna i wpłynęła również na jej naśladowanie (w wydaniu

młodych adeptów fascynujących się „stykami” w latach 90.) i teoretyczne uzasadnienia w duchu koncepcji tzw. twórczości fotogenicznej¹². Jej prace zresztą celnie korespondowały z fotografiami Wojtki – tworząc świetną syntezę możliwości twórczych całego środowiska, w którym obok nich tworzyło i dopełniało go liczne grono fotografów.

Niewątpliwie Andrzejewska i Zawadzki stanowili przykład wyjątkowego małżeństwa artystycznego, gdzie we wzajemnym wspieraniu się i motywowaniu zawsze dominował element równoważnego dopełniania się. Byli jak awers i rewers tej samej monety albo dwie strony księżycy: emanująca widocznością (i blaskiem odbicia) Wojtki i tajemnicza, ciemna strona Ewy. To porównanie do „odbicia” ma tu o tyle sens, że Wojtek ogniskował w swojej postawie doświadczenia wielu artystów, od amerykańskich mistrzów fotografii bezpośredniej (Weston, Adams, Ewans) po Czechów (Reich, Sudek). Przekornie mówił: „...lepiej być epigonem prawdziwym niż fałszywym prekursorem”¹³. On wprost sądził o konieczności niejako „wygarbowania” na plecach całej historii fotografii. Ale świecił też swoim własnym, intensywnym światłem, był kimś, kto miał świadomość swej roli i znaczenia nie tylko w środowisku jeleniogórskim. Był zdecydowaną, dominującą osobowością, skłonną do swoistego liderowania. Mawiał też, że fotografia to trwałe „kalectwo” w tym sensie, że inaczej nie można żyć, że trzeba ciągle zawsze posługiwać się tą „sztuczną ręką” (okiem?) dodaną do ciała, zrośniętą z nim tak trwale, że już się tego kalectwa nie odczuwa. Oczywiście jeśli przyjmiemy, że „kalectwem” nazwiemy postrzeganie świata przez pryzmat obiektywu aparatu. Takie intuicje podziela zresztą wielu innych autorów interpretujących fenomen fotografii (i jej odmienność od ludzkiego widzenia) w prezentowaniu efektów obrazowych.

Nie będzie zatem przesadą, jeśli powie się, że bez doświadczeń i nauk Wojtki nie byłoby Ewy – tj. jej fotografii takiej, jaką pozostawiła. Ale też bez Ewy, jej odczuć i zaangażowania Wojtek nie dokonałby tego, co osiągnął w budowaniu swego prestiżu w środowisku. Trzeba też podkreślić ich wspólne eskapady w naturę, wypadki w góry i lasy, gdzie już każde na swój sposób rejestrowało to, co było godne fotografii. Wojtek znajdował tę jedną „klatkę”, tę – jak mówił – „moją fotografię”. Ewa w tym samym miejscu realizowała kilka ujęć – wprojektowywała swój nastrój, swoje części widzenia w otaczający sztafaż. Wojtek je oceniał, analizował... Ewa je nasycala wrażliwością poetycką. Geometria i oszczędna precyzja szła tu w parze z literaturą. Wiedział, że on mówi prozą, podczas gdy Ewa – wierszem.

Fotografia dla W. Zawadzkiego, rozumiana jako terra incognita – byłaby tym nieznanym, obiecany i odkrywanym łądem widzenia, jego „Ameryką”, tj. szansą



Wojciech Zawadzki, z cyklu *Moja Ameryka* (czyt. s. 192)

dotarcia do owej obiecanej „ziemi” własnych odczuć; „ziemi” nie do końca jednak rozpoznawalnej. On tę „nieznaną ziemię” swej wyobraźni wprawdzie wyczuwał zmysłowo (tj. ten „węch i dotyk”), a dopiero potem odkrywał, czyli fotograficznie zapisywał. Tej przestrzeni, która była odległa, ale jednocześnie – jak twierdził – mogła znajdować się parę metrów od zamieszkania. W tym czasie, gdy Wojtek wybierał się do swojej dalekiej „Ameryki”, Ewa „śniła” odrębną opowieść o swojej „ziemi”, która była właśnie całkiem blisko, tuż obok, na łące, w pobliskim parku, która zawsze była przede wszystkim wprawdzie wyobrażona, wprawdzie okazywała się efektem zauroczenia; czymś, co jest, a czego jakby nie ma, bo przecież nie ma takich realności, takich prześwietleń słońca, takich emanacji aury – jakie Andrzejewska zapisywała w swych zdjęciach. Bo tak się nie widzi wprost, to się może ujawnić dopiero przez obiektów sprzężony ze świadomością celu i wrażliwością podmiotu takiego obrazu poszukującego.

Byłby to zatem, w wypadku obu postaw, efekt wyobrażonego, choć odwołującego się do intuicyjnego wglądu w zastaną rzeczywistość rezultat zamysłu albo impulsu (tzn. gestu fotograficznego), kierowanego wewnętrzną potrzebą i z wewnętrznych, subiektywnych źródeł czerpiącego swą energię. Zamiar rozwijany potem w akcie fotografowania, tj. procedurze wykorzystywania technicznych właściwości aparatu, łączonej z umiejętnościami i potrzebami autora zdjęcia (wymogi estetyczne, kompozycyjne i treściowe obrazu). A więc obrazowemu doświadczaniu świata (często „nowego świata”) przez Wojtkę wtórowała Ewa z jej odczuwaniem i wzbogaceniem tego świata swoją wrażliwością, swoimi poetyckimi obrazami. To wyłączone, własne miejsce w tym świecie („mojej fotografii”) Wojtek konstruował precyzyjnie, z „geometrycznie” założonym planem, tak by było to jasne także dla innych. Ewa natomiast te swoje miejsca (widoki), zgodne z jej nastrojami, jakby chciała faktycznie zatrzymać tylko dla siebie, nie dbając o to, by je „sprzedawać” innym, znana była bowiem z dystansu czy pewnego lęku wobec prezentowania się na wystawach (choć ostatecznie ulegała tej konieczności).

Niewątpliwie rzecz można, że oboje żyli fotografią i żyli w fotografii (czyli egzystowali na sposób fotograficzny). Co to znaczy? Co znaczy, gdy mówili o akceptowanej przez nich „fotografii fotograficznej”, tj. takiej, która więcej mówi o sobie, o własnej specyfice i właściwościach niż o ujawnionym temacie zdjęcia, więcej o sensie fotografii niż o jej odniesieniach? Takie podejście i rozumienie sztuki fotografii odsyła wszak do bogactwa interpretacji budowanych na przekonaniach (i mitach) łączonych ze specyficznym zjawiskiem fotografii i jej rolą oraz miejscem we współczesnej kulturze, szczególnie w porównaniu z odmiennością ikonicznej presji mediów konwencjonalnych. Fotografia – jak żadne inne medium –

angażuje swymi realizacjami czas, to – co – było, co realne, a jednocześnie zostało przeniesione („zamrożone” albo „odłożone” – A.J. Lech) w przyszłość, stając się zapłonem pracy pamięci. Co stało się samą Pamięcią. Wreszcie ta odmienność – wynikająca ze specyfiki fotografii – pozwalająca na dostrzeganie i zapis w obrazie tego, co nie jest widoczne „gołym okiem”. To wreszcie jej enigmatyczność, a jednocześnie zdolność szczegółowych przedstawień i odsyłania do rzeczywistości. Obraz fotograficzny jest bowiem (wg Ch.S. Peirce’a)¹⁴ połączeniem podobieństwa i śladu, jest ikoną (odniesieniem), ale też indeksem (wskazaniem na to, co tam było). Jest wreszcie – w swej metafizycznej interpretacji – efektem fotogenicznej twórczości, w której uwidaczniają się intencje autorskie (osobowościowe) na równi z presją widzialności (światła), wykorzystującej właściwości aparatury. Dlatego można tu właśnie mówić o dokumencie subiektywnym, w którym treści oczywiste (rzeczywistość widzialna) są wzmocnione przez odniesienia nieoczywiste (dla świata niewidzialnego; gdzie rolę grają wewnętrzne odczucia i myślowe wyobrażenia). To znaczy, gdy obraz (zdjęcie) rzeczywistości podlega nadto fotogenicznemu „wyświetleniu”.

W zasadzie każda fotografia (zdjęcie, poza collage’em, odnosi się do rzeczywistości przed sfotografowaniem) jest dowodem albo dokumentem tego, co tam było, a co się dało sfotografować (tu rola fotogenii) i co zostało w akcie twórczym przeniesione już do innej rzeczywistości – pofotograficznej. Więc w rezultacie aktu fotograficznego dokonuje się przemiana świata realnego w świat odtworzony, zobrazowany zgodnie z możliwościami technologii (mechano-optycznej, chemicznej lub cyfrowej) i presją świadomościowych (psycho-duchowych) dążeń autora. Dążenia te wzmacniane są niejako właściwościami samej fotografii, które ujmują zjawisko fotogenii. Jest więc fotogenia potencjalnością twórczej ekspresji podmiotu (tj. pewną potencjalnością jego woli i talentu), zdarza się ona tylko tym autorom, którzy jej zawierzą, czyli potrafią ją dostrzec, stymulować i zastosować (wykorzystać) w swej twórczej praktyce (od gestu do zakończonego aktu fotograficznego). Tak odtworzony świat może być dokumentem bezpośrednim, ale w istocie, w rezultacie subiektywnych intencji będzie ewoluował w stronę obrazów wykreowanych, stąd mowa o tzw. paradokumencie czy dokumencie subiektywnym – charakterystycznym dla dokonań wielu twórców ze środowiskiem jeleniogórskim powiązanych. W taki obraz (zdjęcie) „wpisywane” są oprócz wartości informacyjnych (ślad odbicia) również wartości odsyłające do nabudowywanych znaczeń (symbole, metafory), do charakterystyki podmiotu tej operacji. Taka fotografia (zdjęcie) mówi zatem o autorze (bo wpierw jest w jego wyobrażeniu, w jego intencji), ale także mówi o sobie, o swej specyfice i właściwości pokazania tegoż wszystkiego. Najpierw autor ją czuje („węch”), a dopiero

potem ujawnia na zdjęciu. Nie każda więc osoba z aparatem w ręku (dzisiaj ze smartfonem) jest fotografem, bo bywa najczęściej tego aparatu – jak określał to V. Flusser – tylko funkcjonariuszem. Zarówno Zawadzki, jak i Andrzejewska dowiedli, że bycie fotografem to szczególna, wymagająca rola życiowa, której trzeba poświęcić się całkowicie, do końca. Dokonania ich można więc widzieć wspólnie, ale niewątpliwie są one i powinny być oglądane, przeżywane i interpretowane oddzielnie. Bo były to dwa różne, choć dopełniające się światy twórczości; odmiennie eksploatujące własne doświadczenia oraz możliwości warsztatowe i emocjonalne. Choć służące tej samej idei wglądu we własną tożsamość z pomocą tego samego medium. Tu znajdowali punkt styku, gdzie różne treści i różna forma służyły wspólnemu przeżywaniu świata i pielęgnacji własnych widzeń. To była ich wspólna droga przez życie i, niestety, także niemal wspólna śmierć. Ale żyją nadal „drugim życiem”: w pofotografii, czyli świecie sytuowanym u źródeł Pamięci.

1. Pontremoli E., *Nadmiar widzialnego. Fenomenologiczna interpretacja fotogeniczności*, Wydawnictwo Słowo/obraz terytoria, Gdańsk 2006.
2. Por. Saj A., *W kręgu twórczości fotogenicznej*, „Format” nr 8/9, Wrocław 1992. Również pisał o tej opcji B. Konopka na łamach „Formatu” i „Kwartalnika Fotografii”.
3. Do kręgu tzw. fotograficznego środowiska jeleniogórskiego, obok W. Zawadzkiego i E. Andrzejewskiej, zaliczani byli m.in. mieszkający tam: Nina Hobgarska, Jacek Jaśko, Marek Likszet, Piotr Komorowski, Waldemar Grzelak czy Tomasz Mielech, ale również osoby spoza Jeleniej Góry, takie m.in. jak: Jakub Byrczek, Sławoj Dubiel, Marek Szyryk, Adam Lesisz, Janusz Nowacki, Maciej Hnatiuk czy przebywający później za granicami: Bogdan Konopka (Paryż), Andrzej J. Lech (Nowy Jork).
4. Por. artykuł: Dmochowska L., *Kryspin Sawicz – „ufotografować” coś dla siebie*, „Format” nr 63, Wrocław 2012.
5. Grupa „4 +” z udziałem: W. Zawadzkiego, A. Baranowskiego, Z. Staniewskiego, J. Lalaka i M. Łopaty, wystawa w 1979 r. w Galerii Foto-Medium-Art.
6. Plener w Samotni i wystawa *Karkonosze* z 1984 r., por. (praca zbiorowa), *Fotografia we Wrocławiu 1945–1997*, ZPAF, Wrocław 1997.
7. Por. Saj A., *Fotogeniczne wiersze Ewy Andrzejewskiej*, „Format” nr 20/21, Wrocław 1995.
8. Cytaty na podstawie wywiadów z artystami (materiały niepublikowane).
9. Poprzęcka M., *Inne obrazy. Oko, widzenie, sztuka. Od Albertiego do Duchampa*, Wydawnictwo Słowo/obraz terytoria, Gdańsk 2008.
10. Gombrich E., *Zmysł porządku. O psychologii sztuki dekoracyjnej*, Universitas, Kraków 2009.
11. Cartier-Bresson H., cyt. za: M. Szczypiorska-Mutor, *Praktyki fotograficzne i teksty kultury*, Wydawnictwo Akademickie SEDNO, Warszawa 2016.
12. Wystawa prezentująca przykłady twórczości fotogenicznej *Blżej fotografii*, BWA Jelenia Góra 1996.
13. Por. przypis 8.
14. Peirce Ch.S., *Wybór pism semiotycznych* [w:] *Znak-Język-Rzeczywistość*, Warszawa 1997.



Wojciech Zawadzki, z cyklu *Olszewskiego 11*,
za udostępnienie zdjęć dziękujemy Jankowi Zawadzkiemu (czyt. s. 192)

Antybajki dla dorosłych...

Krótką bajka o Pinokiu

Żył raz sobie stolarz
W ubogiej krainie,
A że był samotny,
Topił smutki w winie.

Czasem, gdy robotą
Nie był zbyt zajęty,
Rzeźbił sobie ptaszki
I figurki świętych.

Raz po pijanemu
Zabrał się do pracy
I zamiast świętego
Wyszedł mu pajacyk.

A kiedy ponownie
Walnął sobie w szyję,
To mu się wydało,
Że pajacyk żyje.

Popijając z gwinta,
Spojrzał tępo w okno
I w pijanym widzie
Nazwał go Pinokio.

„Będziesz moim dzieckiem
– rzekł, zwalczając czkawkę.
– Chcę mieć w tobie syna,
Nie zwykłą zabawkę.

Lecz nim posmakujesz
Pokus tego świata,
Posłuchaj przestrogi,
Jaką da ci tata.

Nigdy nie kłam, synu,
W domu czy w podróży,
Bo jak będziesz kłamał,
Nos ci się wydłuży”.

„Wierzysz w bajki, tato?
– rzekł synek radośnie –
Że jak będę kłamał,
To mi nos urośnie?

Jakby było prawdą,
To, co tata plecie,
Sami długonosi
Żyliby na świecie”.

Stolarz, co od rana
Był w nietrzeźwym stanie,
Strasznie się obruszył
Na to pyskowanie.

Bez dalszej dyskusji
Wziął w rękę zapalki
I krnąbrnego synka
Użył do podpałki.

Morał z tej bajeczki
Wszyscy pewnie znacie:
Nie rób głupich uwag
Pijanemu tacie.

Brzydkie Kaczątko

Kaczka szlocha w gnieździe,
Bo w ubiegły wtorek
Prócz żółtych kaczątek
Wylął się potworek.
Wszystkie urodziwe, pełne wdzięku, ładne,
A jedno szkaradne.
Szare, nastroszone,
Pokraczne jak waran,
Rozpycha się wkoło,
A dziób ma jak taran.
Więc go wyśmiewają okoliczne ptaki,
Że jest właśnie taki.

Zaś ojciec kaczątka
Niby dla ochłody,
By nie patrzeć na nie,
Nie wylązi z wody.
Inne dzikie kaczki w stawie rejwach robią
I potworka dziobią.

To dostanie dziobem,
To łapą kopniaka,
Codziennie obrywa
Od każdego ptaka.
Lecz brzydkie kaczątko, na pozór strachliwe,
Było złe i mściwe.

Pamiętało ciosy
I słowa obrazy,
Wiedziało, kto, kiedy
Oraz ile razy.
I jak to zapewne doskonale wiecie,
Śniło o odwecie.

Przeminęło lato,
Wyszły nawet osty,

Kaczuszki zmężniały
I w piórka porosły.
W końcu przyszła jesień oraz czas odlotów
I każdy był gotów.

A brzydkie kaczątko
Schowało się w krzakach,
Bo się okazało, że nie umie latać.
Kaczki odleciały razem z jego mamą
I zostało samo.

Gdy przyszły przymrozki
Tak gdzieś w październiku,
Skryło się przed zimnem
Pośród świń w chlewiku.
Tak minęła zima, a razem z jej końcem
Zaświeciło słońce.

Silne, wyrośnięte
Na świńskim korycie
Kaczątko zaczęło
Swoje nowe życie.
Mocne, pewne siebie, dumne niby paw
Wróciło nad staw.

Waląc ptaki dziobem,
Wydało orędzie,
Że nie jest kaczątkiem,
Lecz pięknym łabędziem.
Część w to uwierzyła, druga część się bała,
Oto prawda cała.

Pochlebcy kadzili:
„Kwkanie jest złotem”
I chwalili loty,
Choć było Nielotem.
W końcu je wybrano, wbrew ptasiemu prawu,
Wielkim Księciem Stawu.

Každy, kto próbował
Kwestionować znowę,
Obrywał od razu
Twardym dziobem w głowę.
I żeby w przyszłości nie było z nim starcia,
Nie dostawał żarcia.

I tak by to trwało
Długie lata może,
Lecz rządy kaczątka
Ukrócił Król – Orzeł.
Wyciągnął je z wody mocnymi szponami
I zjadł na kolację razem z przystawkami.

Morał:
Kiedy w polityce
Ktoś jest nazbyt butny,
Jego koniec często
Bywa bardzo smutny.

Bajka o stoliczku „Nakryj się”

Trzech synów matka miała.
Dwaj na politechnice,
A ten trzeci, najgłupszy,
Robił w polityce.

Dwaj mądrzy chcieli w życiu
zajmować się czymś wzniosłym,
A ten trzeci, najgłupszy,
Został wkrótce posłem.

Dwaj bracia żyli z pensji,
Kredytów i zaliczek,
A ten trzeci, najgłupszy,
Miał w sejmie stoliczek.

Starczyło, że powiedział:
„Nakryj się, mój stoliku”,
A stolik się nakrywał
Dobrami bez liku.

Jadł suto, żył rozrzutnie,
Chciał kupić rezydencję,
Ale go nie wybrano
Na drugą kadencję.

Z mandatu poselskiego
Tabliczka mu została
I stolik, co za sejmem
Niestety nie działał.

Kiedy rzekł stolikowi,
Że chętnie by coś zjadł,
stolik odparł szyderczo:
„Pocałuj mnie w... blat”.

Morał:
Nic nie ma za darmo
I wierzę w to święcie.
Wyjątkiem są cuda
W polskim parlamencie.

Nowe Szaty Króla

W pewnym królestwie żył król zboczony,
Co nie miał dzieci, ani też żony.

Nie miał kochanek, lecz był ładacem
I chodził goło przed swym pałacem.

Bo lubił nago od rana chodzić.
I swą golizną dworzan uwodzić.

Nikt nie śmiał pisać marnego słowa,
Więc panowała milczenia zmowa.

Nieważne – biedny czy też bogaty,
Każdy udawał, że król ma szaty.

W mediach nie było także hałasu
I było cicho, ale do czasu.

Służby doniosły, że bunt się szerzy,
„Król molestuje nawet żołnierzy.

A z tego może być gorsza draka,
Bo ktoś mu w końcu utnie siusiaka”.

Więc pod naciskiem król zmienił zdanie
I po namyśle kupił ubranie.

Joanna Lustyk, *Antybajki dla dorosłych, czyli nowa wersja starych bajek. Brzydkie kaczątko i inne. Przeważnie z morałem*, Warszawa 2023.



BWA Wrocław, czerwiec 1992, Kazimierz Głaz i Michał Jędrzejewski, otwarcie wystawy *Sensibilism & teatr niewyobrażony*, fot. J. Krzysztof Kos, za udostępnienie zdjęć dziękujemy Michałowi Jędrzejewskiemu (czyt. s. 178)

Autor a dzieło i zagubiony Bóg.

Czytając „Egotyzm pracy filozoficznej”

Cezarego Wąsa

Główne wątki artykułu C. Wąsa zawiązują się wokół kilku tez – o istotności znaczenia intencji i biografii autora dla treści i zrozumienia jego dzieła; o tym, że w istocie nie ma istotnej różnicy między dziedzinami kultury, takimi jak nauka, literatura, poezja, religia, o pytaniu o Boga i wielości „odpowiedzi”. Na ostatnich, wieńczących stronach pojawia się myśl o parku *de La Villette* w Paryżu jako swoistej świątyni *chôra*, czyli „prapierwotnego początku”. „Chôra”: czy to nowe imię Boga, czy nowy/nowoodkryty bóg – zapytam jeszcze.

Tak więc tekst porusza lub dotyka wielu doniosłych i podstawowych problemów. Pytanie o związek dzieła z jego autorem, pytanie o istotę interpretacji i jej związek z interpretowanym dziełem, o relacje pomiędzy dziedzinami kultury, o znaczenie kategorii symbolu w kulturze, o związek architektury z filozofią, o źródła moralności, o źródła wiary, o istnienie Boga, o pojmowanie Boga.

Polemikę podejmuję właśnie ze względu na doniosłość tych problemów, ze względu na doniosłość prób ich podjęcia („zawiazywania”) oraz prób odpowiedzi na nie (ich „rozwiązywania”). W dyskusję wchodzę ze stanowiska krytycznego wobec I-teorii, pośród których lokuje główna myśl *Epf*.

Epf – w ten sposób oznaczam tekst o tytule „Egotyzm pracy filozoficznej”. Skrót ten wprowadzam dla podkreślenia, iż nie mówię o autorze tego tekstu. To pierwszy moment polemiczny w stosunku do treści *Epf* głoszących istotność związku dzieła z jego autorem.

Złośliwy krytyk? Czytam: „forma może nie być wystarczającą tarczą przeciw zawziętym krytykom. Perfekcyjna argumentacja św. Tomasza, [...] nie uchroniła go od ataku ze strony biskupa Étienne’a Tempiera” (79). W zwrotach „krytyka złośliwa”, „krytyka pogardliwa” obecne jest potoczne rozumienie krytyki, właściwe dla porządku *vis*, siły. Tu są postaciami ataku.

1 Cezary Wąs, *Egotyzm pracy filozoficznej*, „Format Literacki” nr 7, 2023 – wiodącym tematem tego numeru pisma był NARCYZM. (Cytując ten artykuł, numery stron podaję w nawiasie, bez „s.”).

Krytyka i dyskusja są postaciami poszukiwania prawdy, konstytuują je idea prawdy, tą formułuję prosto, stanowi ją pytanie o „rzeczywistość”, o to, co jest, jakie jest i w jaki sposób jest (realny jest jednym z wielu sposobów istnienia, a „rzeczywistości” wiele). Krytyka i dyskusja są sporem myśli, a nie sporem ludzi, mają charakter bezinteresowny. Toteż wewnętrznie sprzecznym są określenia „zawzięta krytyka” albo „siła argumentu”. „Zawzięty krytyk” w istocie jest kimś zaślepionym, jest wrogiem, np. pozornym dyskutantem. Krytyk, dyskutant, który staje się zawzięty, przestaje być krytykiem, staje się napastnikiem.

Urok formy bez treści. Powyżej przytoczone stwierdzenie na temat „perfekcyjności argumentacji” sugeruje, że biskup potrafił ją zobaczyć i pojąć, a mimo to zaatakował – osobę autora. Perfekcyjność to nie prawdziwość. Tak, forma perfekcyjna, wyrafinowana, piękna – czegokolwiek lub kogokolwiek – nie chroni przed wrogością („bywa” wprost przeciwnie). Piękna forma dzieła jego treści nie czyni prawdziwą. Urok formy, poetyckość, śliczność i ładność, formy oderwane od treści karmią estetów czystych – trzymają się z dala od rzeczywistości, szczęśliwi (Norwid: „ładny od wyrazu ład idzie”). Estetyka pitagorejska karmi się kosmosem, dosłownie – κόσμος znaczy *order, regular disposition; ornament, decoration, embellishment*.

Esteta to widzi w gwiazdozbiorach (nocą naj), słyszy i ma za boskie. W ten sposób bóg trafia do jego zmysłów – co do nich trafia, ma za rozumnie poukładane – a co znajduje poukładanym, do nich pasuje. Tak się przedstawia rzeczywisty sens myśli św. Tomasza: „Zmysły radują się rzeczami należycie odmierzonymi, gdyż mają je za sobie podobne, bowiem zmysł to także rodzaj rozumu, jak każda władza poznawcza”². Święty Tomasz wierzy w estetykę pitagorejską – chrześcijaństwu obcą (krzyż). Podobnie obcą temu rozumieniu powagi sztuki, które wiąże z nią odniesienie do „przetaczającego się przez świat zła” i „egzystencjalnych bólów” (80). To rozumienie przebija się w *Epf*.

Krytyka uroku formy w oderwaniu od treści obecna jest na ten sposób w *Epf*: „Czynnik racjonalności wywodu, jego przeprowadzenia w logicznie zborny sposób, nadanie wywodowi niecodziennego piękna, zadbanie o wyrafinowane wyrażenia, wzmocnienie dowodzenia przez ukryty rytm i wysublimowaną kadencję” (79). Rzeczywiście to egotystyczne ambicje. Natomiast racjonalność myśli polega na poszukiwaniu racji dla niej, uzasadnienia tez odnoszących się do rzeczywistości, niecodzienne piękno, ukryty rytm należą do retoryki, nie stanowią aspektu, nie stanowią elementu dowodzenia – przede wszystkim trzeba mieć co dowodzić, a przede wszystkim (logicznie wcześniej) określić rzecz, sprawę, meritum,

2 Cytowanie za Panofskim w *Epf*, przypis 4, (79), bezkrytycznie. Zmysły są jakoby niezawodne, same widzą.

do której odnosząby się tezy wymagające dowodzenia. Czytam: owe ambicje „nie są ostateczną motywacją do pracy pisarskiej czy filozoficznej. Jej głębszym źródłem bywa przede wszystkim przewrażliwienie, egzystencjalne bóle wywołane zetknięciem ze złem” (80). Jeśli w ogóle owe ambicje egotystyczne są motywacją (zobaczcie, jak wyrafinowanie potrafię), cóż. Jakiegokolwiek byłyby czyjeś motywacje, owo pragnienie nadania dziełu wyrafinowanej formy, jeśli dla wszystkich czy nie wszystkich pisarzy i filozofów ostateczną motywacją były egzystencjalne bóle (przeżywane przez nich samych), to nie usprawiedliwia dzieła. Tak, w zetknięciu ze złem obecne jest odniesienie do rzeczywistości. Czy będzie w duchu prawdy? Kultury nie określa żaden motyw, ale przyjęcie idei prawdy.

Niemniej pierwsze zdanie *Epf* pochwała poddaństwo urokowi wyrafinowania: „Lektura każdego bardziej wyrafinowanego dzieła literackiego [...] nieodparcie skłania do zastanowienia nad motywami i intencjami twórcy” (76). Wciągać ma w owe zastanowienia. Kto poddaje się tej konieczności psychicznej, ten zagubił dzieło i jego interpretację. Warunkiem zastanowienia się nad motywami i intencjami jest ich poznanie – badania takie mogą podjąć uczeni. Ich „empiryczne” teorie o związku autora z dziełem są przeliczne (ukryte motywy i intencje upatrują w instynktach, sublimacji popędów, resentymentach, reakcji na ból i zło, w przynależności typu klasa społeczna, płeć, gender...). W każdym razie nie są tak nic niemówiące, jak tytuł *Epf*. „Po co on TO w ogóle pisał?” Odpowiedź brzmi: był egotystą, z egotyzmu swego, z myślą o zaspokojeniu egotyzmu swego.

Egotyzm, upraszczając, to inklinacja do stawiania siebie na pierwszym planie, pragnienie, aby cieszyć się uznaniem, bycia postrzeganym, i to jako ktoś – temu służyć mają podejmowane działania i dzieła. Czy towarzyszy temu przekonanie o własnej wielkości? Czym innym jest kwestia związku dzieła z autorem. Trafić się może, że tworząc dane dzieło, autor był egotystą. Ten rys jego postawy czy osobowości nie rozstrzyga o wartości dzieła, ani na nią się nie przekłada. To odmienne porządki. Poniżej sztukę czy naukę myśl, że jest sprawą psychiki – mówiąc po „staroświecku”, sprawą duszy, a nie ducha. Mówiąc „łagodniej”, że sztukę i naukę gubi myśl, że jest kwestią procesu widzenia lub/i myślenia, a nie obrazu lub/i myśli (tego, co widziane, i tego, co myślane)³.

Egotyzm potrzeby uznania. Słynna Masłowa „piramida potrzeb” jakoby miała znaczenie normatywne, stanowiła obiektywny system wartości – jakoby

3 Odnotuję, że wbrew tytułowi *Epf* problem egotyzmu ani nie stanowi głównego, ani jednego z głównych wątków *Epf* (na szczęście). Egotystycznie brzmią jedynie zdania, w których autor pisze o swoich zainteresowaniach (80) oraz o swoim dziele, książce *Cień Boga...* Obecność tych zdań w *Epf* nie dowodzi tezy, że dzieła, że książka *Cień Boga...* taką jest (właśnie nie – pokażę). Przytoczę: „Otóż jestem autorem książki, która posiada identyczne treści, jakie zawierają wszelkie bardziej rozbudowane przekazy nauk ścisłych, literatury czy filozofii” (77). To niemożliwe.

odkrywała moralność „w samej konstrukcji człowieka” (sformułowanie *Epf*, 73). U szczytu tej piramidy leży potrzeba uznania i szacunku. Fakty mogą być takie, cóż. Pytanie, czy to, aby szukać uznania, pragnąc cieszyć się szacunkiem, nie leży poniżej godności człowieka? (Wtrącenie, opowieści o Jezusie czy Sokratesie zawierają mit nie z tego świata).

Moralna godność człowieka w hierarchii potrzeb się nie mieści – jej godność także w tym, że nie zaspokaja żadnej potrzeby. To nie godność, którą się posiada, którą się piastuje, żaden majestat. Kto jej pragnie być moralnie godnym, ten się od niej oddala, moralizuje. Godność spełnia się w czynach, działaniach i dziełach, lecz nie dlatego, że było to czyjąś intencją, przeciwnie.

Praca, czyli? Tytuł „Egotyzm pracy filozoficznej” zawiera wieloznaczności. Otóż w jednym znaczeniu pracą nazywamy pewną aktywność, „pracowanie”, w drugim praca to dzieło powstałe w pracy (nad nim?). Powiedzieć, że dzieło jest rezultatem procesu pracy, to orzec zbyt wiele, bowiem on nie determinuje dzieła bez reszty, dzieło proces ten przekracza. Te dwa znaczenia słowa „praca” oraz ich desygnaty są rozdzielne – przeoczenie tego mnoży błędy. Egotyzm piszącego nie przekłada się na egotyzm jego dzieła. Każdy ma prawo do egotyzmu – pytanie, czy taka inklinacja nie stoi na przeszkodzie do twórczości.

„Praca filozoficzna”. Z kolei zasadniczo „pracą filozoficzną” nazywamy należąca do filozofii. W innym, luźnym znaczeniu to dzieło nienależące do filozofii, które jednak buduje pewna myśl filozoficzna, a ono ją niesie (kwestia ta wymagałaby doprecyzowania, bowiem powszechnie przez filozofię rozumie się pewien zespół fundamentalnych idei odnoszących się do rzeczywistości, istnienia, dziejów, życia, świata człowieka, człowieka – czyli światogląd, ideologię, doktrynę (tzw. filozofia chrześcijańska, filozofia marksistowska to zasadniczo doktryny). Filozofia filozoficzna w szczególności polega na dyskusji i krytyce fundamentalnych idei – podstawowych założeń myśli.

Krytyka tekstu to krytyka myśli, które on zawiera, explicite lub implicate. Myśli, to znaczy wyobrażeń, pojęć, tez, założeń, pytań. Rozróżnienie explicite-implicite to nie rozróżnienie treści tekstu, których autor był świadom lub nieświadom, a jeszcze czym innym jest sprawa tego, jak to było, gdy pisał. Krytyka myśli, lecz nie w znaczeniu myślenia, nie w znaczeniu procesów myślowych autora, tego, co on sobie myślał. Myśli ktoś, lecz myśli nie są czyjeś, myśl (każda?) zawiera więcej, niż jej autor pomyślał – dlatego drogą myślenia jest krytycyzm, w szczególności autokrytycyzm. Rozróżniam autokrytycyzm i samokrytycyzm – krytycyzm w stosunku do własnego dzieła od krytycyzmu w stosunku do samego siebie.

Autokrytycyzm należy do procesu twórczego – podkreślam, pierwszym odbiorcą i krytykiem dzieła jest jego autor, tworzyć to nie wyrzucać coś z siebie, to nie wyrzucać siebie. Egotyzm tu nie ma miejsca – nie ma tu miejsca na egotyzm.

Wezwanie: *ad meritum*! W krytyce i dyskusji merytorycznej, w dziele szukającym prawdy, czyli pytającym o rzeczywistość (tę czy inną, czegoś czy w ogóle), nie ma miejsca na emocje, uprzedzenia, zamiary, motywy i intencje. Przeczy temu wyobrażenie, że dzieła człowieka ze swej istoty mają charakter egotystyczny. W ten sposób zostaje odrzucone rozróżnienie *ad meritum* – *ad hominem* (inaczej: *ad rem* – *ad personam*). Zasada, wezwanie *ad meritum* (*ad rem*) leży u podstawy kultury (nie u podstaw kultur, ale kultury, liczba pojedyncza – przeciwieństwem jest barbarzyństwo, czyli prawo siły. Odrzucić to rozumienie kultury to przystać na to prawo (na nim opiera się perswazja, retoryka, reklama, propaganda, formowanie umysłów, rozrywka...).

I-teorie twórczości i interpretacji stanowi twierdzenie, że dla dzieł istotne albo rozstrzygające znaczenie mają iluminacje, imaginacje, imitacje, imperatywy, impresje, impulsy, inepcje, inicjacje, inklinacje, inspiracje, instynkty, intencje, interesy, intrygi, intuicje, inwencja, irytacje jego autora... Tę tezę rozszerzyć trzeba na odbiorców i krytyków, na rolę ich „I”. Ba, podkreślam: autor jest pierwszym odbiorcą i krytykiem dzieła, które tworzy, jest odbiorcą i krytykiem, tworząc – fakt ten podważa albo nawet wywraca I-teorie.

Teorie te nazywam „I-teoriami”. Wymienione słowa zaczynają się na „i”, co merytorycznie nie ma znaczenia, ma je natomiast ich znaczenie, dlatego są trafione (np. inklinacja – skłonność, nastawienie, uprzedzenie, postawa, pragnienie, pożądanie, potrzeba, lęk, obawa, wrogość, przyjazność; iluminacja – objawienie, oświecenie, natchnienie, jasnowidzenie, Widzenie).

Do I-teorii należy między innymi ekspresjonistyczna teoria sztuki (dzieło wyrazem „I”), I-teoria wpisana jest w „ideał mocy twórczej artysty” – przekonanie, że autor panuje nad dziełem.

I-teorie nie są do pogodzenia z ideałem sztuki, której kategorią jest idea prawdy, nie są do pogodzenia z tezą o autonomii dzieła, nie są do pogodzenia z tezą, iż to, co istotnie twórcze w dziele, nie jest produktem tego, co już uprzednio było w autorze, co mu się przytrafiło itp.

Szczęśliwi, których dzieła przerosły ich intencje. Biedni pozostaną ci, którzy tworzą na swoją miarę. Bez autokrytycyzmu i bez samokrytycyzmu (przez co rozumie krytycyzm w stosunku do własnego dzieła i krytycyzm w stosunku do samego siebie).

I-teorie zdają się lekceważyć brak świadomości intencji, rozbieżność intencji na poziomach świadomości i nieświadomości, samozakłamanie autorów,

pozerstwo autorów (egotyzm!), a także i ten „cudowny” fakt, że autor zastanawiając się nad swymi intencjami, zmienia je, a mimochodem siebie. Zastanawia się z myślą o dziele, które właśnie tworzy, o tym, ku czemu ono się kieruje.

Pułapka hermeneutyki intencji wpisana jest w to przekonanie: „Motywacje autora nie przekładają się wprost na uczynienie wytworu bezpośrednim narzędziem przekazu poglądów, ale niewątpliwie ich poznanie bywa poważnym ułatwieniem w odbiorze” (75). Wtrącenie: motywacje dla przekazu poglądów mogą być niewiarygodne, autentyczne dzieło nie jest przekazem – w nim np. poglądy się formułują.

Hermeneutyka łącząca zrozumienie dzieła z poznaniem intencji jego autora ma beznadziejne konsekwencje. Oto autor wyjaśnia, jakie miał intencje, lecz aby zrozumieć jego wyjaśnienia, musiałby nam dać kolejne, na temat intencji, którymi się kierował, wyjaśniając, i tak dalej... Krytyk dzieła wyjaśnia, jakie intencje i motywy miał jego autor – cóż, jeśli nie znamy jego samego, krytyka? A kto się nigdy nie zgrywa? Kto nie mędrkuje? Kto się nie bawi w takie wyjaśnienia?

Otóż czyjekolwiek uwagi na temat danego dzieła mogą być nieobojętne, ale nie są rozstrzygające. Do kwestii skrywanych zamiarów jeszcze się odniosę.

Freudowska barbaria. Psychologia – jak każda nauka – estetykę i sztukę pojmuje w sobie właściwych kategoriach, kategoriach *vis*. Gdy te, sobie właściwe, ma za stanowiące o istocie sztuki, redukuje ją do swego poziomu pojmowania. Co się mieści w jej granicach, jest „wszystkim”. Skrajnym przykładem tego redukcjonizmu/poniżenia jest teza Freuda: „tym, co porywa nas z taką siłą, może być wyłącznie intencja artysty. [...] Artysta stara się bowiem obudzić w nas tę samą postawę uczuciową, tę samą konstelację psychiczną, która zrodziła w nim impuls tworzenia”. Teza ta pozostałaby poza wszelką dyskusją w obszarze filozofii sztuki – jeśli byłaby odniesiona do konkretnego przypadku, do pewnego artysty i jego obudzonych odbiorców. W tej ogólnej postaci, jaką posiada, absolutyzuje ten przypadek.

„Porywa”, „nas” czy człowieka na miarę teorii Freuda, człowieka w ich rozumieniu? „Wyłącznie intencja”... Jak widać, malarz, pisarz, który nie ma takich intencji, nie jest artystą – na szczęście. Tę tezę Freuda przytaczam tutaj, gdyż bliska jest licznym tezom *Epf*. Teza ta jest reprezentatywna dla całej rodziny teorii, które określam mianem I-teorii, dla teorii sztuki jako ekspresji, dla estetyk przeżycia.

Redukcjonizmy. Oddanie pola grze i prawom siły stanowi zaprzeczenie kultury. Jasne, barbarzyńcą nie jest ten, kto stosuje siłę. Barbarzyństwem jest poddanie się, oddanie i poddanie człowieka prawu siły. Tym są estetyki przeżycia. Tym są neurologizacje, psychologizacje, socjologizacje pojęcia kultury. Odbierają jej podstawę, jaką stanowi przyjęcie idei prawdy – idea prawdy.

Egotystyczne pluralis. Wracam do tezy Freuda. Drobny jej fragment, fraza „tym, co porywa nas” obciążona jest wieloznacznością „nas”. Nie wdając się w psychologię podejrzeń, iż to sam Freud musiał utożsamiać siebie z ową tezą, że wyrażała jego osobiste doświadczenia, odpowiadała jego poziomowi rozumienia sztuki i jego mentalności – zatrzymam się przy znaczeniach formuły *pluralis*. Co w nich się ukrywa? Jedną z postaci tego *pluralis*, wypowiedanie się w liczbie mnogiej jest papieskie, monarchiczne „My”. *Pluralis* Jego Wysokości – *pluralis maiestatis* głosi poczucie wyższości, władzy. *Pluralis benevolentiae* – znosi różnicę, dystans pomiędzy mówiącym a słuchaczem, autorem a odbiorcą, to „my inkluzywne” przygarnia, wciąga... zawłaszczając, podporządkowując. Toteż *pluralis auctoris*, jakoby wyraz skromności, usuwa „ja” autora, odbiorcę podporządkowuje wypowiedanej tezie. *Pluralis auctoritaris*.

„**Bóg nauki**”, „Bóg w nauce” to niedorzeczność. Kategoria boga w ogóle do nauki nie należy, nauka w ogóle nie wypowiada się w tej kwestii, toteż nawet nie odrzuca domniemania, że jakiś bóg istnieje (patrząc z zewnątrz, znaczyłoby to, że jest aateistyczna). Tak zwany „światopogląd naukowy” uzurpuje sobie podstawę w tym fakcie.

Czytam, „W osobową formułę Boga [...] nie wierzył [...] Albert Einstein. Pytanie o Boga jest więc znane i podstawowe dla przedstawiciela nauk ścisłych, chociaż byt Boga może być ujmowany w sposób odmienny niż bywa to w tradycyjnych religiach” (77). W ostatnim fragmencie cytowanego zdania pada sugestia, jeśli nie twierdzenie, że Einstein wierzył w jakiegoś boga. Wątpliwość co do takich twierdzeń sieje rozróżnienie świadomości i nieświadomości (Erich Fromm: na poziomie świadomości można nie wierzyć, na poziomie świadomości wierzyć itp.). Orzekać można na temat tego, co np. Einstein mówił o kwestii Boga, co i kiedy, natomiast to, co w jego „duszy”, to „jeden Bóg wie” (Fromm z Freudem mieliby to zbadać, pogrzebać w jego duszy, na łożu śmierci?).

Cokolwiek sądził i odczuwał np. Einstein w sprawie Boga czy piękna świata, mówił to jako człowiek, nie jako naukowiec. Kategoria piękna także nie należy do nauki. Przedmiotem badań naukowych może być kto, kiedy, co uważa za piękne, jakie preferencje mają naukowcy, jakie są rozkłady upodobań w ich grupach, i tyle. Twierdzenie, że piękne jest to, co się podoba, sprowadza się do zastąpienia słowa „piękno” przez „podobanie się” (statystyka mówi, że fizycy częściej, a humaniści rzadko „wierzą w Boga”). Zajmujący się astronomią mają tendencję do wzdychania, jaki to świat piękny, a pracownicy prosektoriów nie.

Poetyckość nauki? Czytam: „Różnice między nauką a religią czy poezją są bardziej domniemane niż rzeczywiste. Metaforyka «czarnych dziur», «wielkiego wybuchu»...” (76). Otóż, różnice te są rzeczywiste, bowiem aby porównywać,

aby znaleźć podobieństwa, wcześniej trzeba rozróżniać, wskazać między czym a czym i pod jakim względem to porównanie jest czynione.

Teza powyższa nie podlega krytyce, ze względu na unik, jakim jest słowo „bardziej”. Podobieństwo pod względem obecności metafor nie znosi rzeczywistej różnicy. Czy w naukach przyrodniczych w ogóle jest miejsce na metafory? Nieostrość hipotez nie czyni ich metaforami.

Teza głosząca, że pierwiastek poetycki należy do fizyki, nie może zostać wysunięta na tej podstawie, że pojawiają się tam określenia typu „black hole”, „pulsar death line”, „Big Bang”. To nie metafory, ale powierzchowne opisy czynne jako nazwy, przy czym, swoją drogą, w wymowie „Big Bang” to frajda wyobraźni i ust. Merytorycznie dość byłoby pisać np. **BH**, rzecz konwencji terminologicznej, etykiety, zapamiętywalności, mody. W języku nauki *mysterious source* z mistycyzmem nie ma związku (jak w Lema *Głosie Pana*). *Mysterious* znaczy tu: wymykający się dotychczasowym teoriom, *operating in ways that scientists thought impossible*.

Nadając nazwy nowo odkrytym galaktykom, astronomowie mogą inspirować się swoimi skojarzeniami z pewnym malarstwem, mogą również czymś innym, lecz do meritum rzeczy to nie należy. „Galaktyki mirowskie” należą do astronomii. Ich obrazy skojarzyły się badaczom z obrazami Joana Miró. Och, ten malarz był wizjonerem i przewidział istnienie takich struktur we wszechświecie – śmiech. Podobnie małpa Lema napisałaby Teorię Wielkiego Wybuchu (Lem: gdyby małpa długo stukała po klawiaturze, trafiłby się jej „Pan Tadeusz” – ciąg liter ten sam, co w *Panu Tadeuszu*).

Symbol w nauce a symbol w kulturze to nie to samo. Wbrew tej sugestii: „Wspierając się na poglądach Ernsta Cassirera, nawet matematykę można uznać za system symboliki porównywalny z każdym innym systemem symbolicznym” (76). Cokolwiek pisał autor *Eseju o człowieku* – otóż porównywać można wszystkim – pytanie: pod jakim względem, istotowym?

Symbol w logice, matematyce czy fizyce to tylko znaczek. Tylda służy jako znak negacji w jednych tekstach z zakresy logiki, a w innych odwrócone L. Za znak negacji mógłby służyć emotikon. To względy pragmatyczne, a nie merytoryczne decydują o przyjęciu konwencji.

Natomiast symbol kulturowy stanowi postać obecności tego, co symbolizowane, toteż jest niezamienny. Nie trzeba być czytelnikiem dzieł Junga, Eliadego czy Cassirera, aby zauważyć, że mandali albo krzyża nie można ot tak sobie zastąpić tyldą (sięgam po przykłady z kręgu religijnego, gdyż do niego odnoszą się liczne fragmenty *Epf*, symbol mandali stanowi przedmiot dociekań Junga).

Zapoznanie kulturowej kategorii symbolu prowadzi najwyraźniej do ironii zawartej w słowach o wyzwoleniu: „Z kręgu krępujących przepisów religijnych,

gdzie nawet zalecenia kulinarne mają rzekomo boskie pochodzenie” (75). „Rzekomo” – może być, być może – czy także rzekome dla wyznawców boskości Natury (panteisty) albo wyznawców boskiej *chôra* (Prapoczątku stanowiącego wzorzec dla dobrego życia?). Niechaj nie pochodzą od żadnego boga, dość że są ukierunkowane ku Bogu? Istnieje czy nie istnieje, ku Bogu. Drwić z religijnych znaczeń związanych ze spożywaniem pokarmów to ich nie rozumieć. Czy wigilia lub komunია są sprawą kulinarną? A pokarmy koszerne są sprawą unikanie patogenów? Co na to wyznawca judaizmu – czy Żyd nie poczułby się przypadkiem źle (nawiązując do słów troski w *Epf*, troski, która miałyby objąć „Żyda, czyli każdego, kto ma uzasadnione powody źle się czuć w katolickim kraju” (74).

Wysnuć „Boga” z zaleceń kulinarnych? *Epf* daje „do myślenia”: otóż owe krępujące przepisy religijne, obejmujące nawet zalecenia kulinarne, jednak mogą mieć i miały niezwykle znaczenie, skoro to właśnie z nich, z ich kręgu – uwierzmy temu, co czytamy – „Spinoza wysnuł nową koncepcję Boga” (75)! Nie przeczę, tak rzeczywiście mogłoby być, a mianowicie jeśli „wysnuł”, to rzecz sposobu i ścieżek myślenia Spinozy – to opowieść o nim. Natomiast jeśli „wysnuć” miałoby znaczyć „wywnioskować”, to... Jak Spinoza doszedł do owej koncepcji Boga, to jedno. Jakim „cudem” owo przejście się dokonało „w głowie” Spinozy, to ciekawostka psychologiczna, biograficzna. Koncepcje nie są w czyjejś głowie, mogą „być komuś w głowie”. Koncepcje – pojęcia, teorie, wierzenia, opowieści – określać nie tylko można bez wchodzenia do czyjejś głowy, czyjegoś życia, ale można dyskutować tylko pod warunkiem skupienia na nich samych, bez *ad personam*.

Zaangażowanie. Dziełom zostaje przypisana instrumentalna rola „identyfikacji problemów i prób ich rozwiązania” (80). Tak pojęta filozofia, literatura, sztuka, jako zaangażowana, należą do świata i życia człowieka, niczym technika uczestniczyć mają w jego zmaganiach. Natomiast praca filozoficzna, filozoficzna filozofia, literatura, sztuka pod znakiem zapytania stawiają pytania kierowane ku istnieniu, do świata, życia, człowieka – w ten sposób stawiają pod znakiem zapytania odpowiedzi na tamte i stawiają pod znakiem zapytania istnienie, świat, życie, człowieka...

Aspekty instrumentalne, np. pozaliterackie. Czytamy: „Niekiedy dopiero poznanie moralnych, politycznych czy religijnych celów dzieła czyni jego lekturę sensowną i zrozumiałą” (s. 74). Sensowność lektur czym jest, to rzecz odrębna niż sens dzieła. Czyni lekturę zrozumiałą czy dzieło zrozumiałym (bardziej)? Jeśli dzieło posiada cele, to bezsprzecznie ich poznanie należy do jego zrozumienia. Dzieło takie ma charakter funkcjonalny – uwikłane jest w okoliczności (funkcje są okazjonalne). W przypadku dzieła literackiego są to właśnie jego pozaliterackie aspekty – mogą być odpowiednikami, właśnie, „pozaliterackich

dążeń autora" (75). Tak!, znajomość ich nie odsłania „tajemnicy, dlaczego książka posiada nadzwyczajną wartość artystyczną, ale...” – czytamy dalej – „...ale doznania estetyczne bywają wzmacniane przez przeżycia poznawcze związane z odsłanianiem pozaliterackich dążeń autora” (74-75). „Doznania”! „Przeżycia”!

„Wiedza o źródłowych przyczynach czy skrywanych zamiarach także ma wpływ na oceny estetyczne czytelnika” (75). Zdanie takie ma status fakualny – niechaj rzeczywiście wiedza taka wpływa na czyjąś lub wszystkich ocenę, ale o trafności oceny nie stanowi.

Estetyki przeżycia istotę piękna czy sztuki wiąże z przeżyciem estetycznym, przenoszą wartość na nie, na doznania, odczucia, wrażenia, wstrząs, porażenie – oby jak najsilniejsze, cokolwiek temu pomoże. W *Epf* ideał takiej estetyki pojawia się najwyraźniej właśnie w słowach „doznania estetyczne bywają wzmacniane przez przeżycia poznawcze” (74-75). Słowo „wzmacniane” jest tu najwłaściwszym, gdyż przeżycia należą do porządku *vis*, siły. Dzieło, które/gdy porывa, uderza, wstrząsa, ekscytuje itd. ma zniewalającą siłę, a porwani są szczęśliwi. Ich rola polega na zdolności przeżywania przeżywania – w poddaniu i oddaniu mu się bez reszty. W ideały estetyk przeżycia *implicite* wpisane jest także rozumienie człowieka. „Przeżycia poznawcze”, czyli towarzyszące poznaniu czegoś przez kogoś, nie należą do poznania. Przeżywanie poznawania także.

Obalić boga. Prowokacja, opór, pogarda, parodia należą do sztuki wymierzonej w panujących bogów oraz ich wyznawców. Uderza w nich w postaci wstrząsu. Jej samej powaga wylewa się w olewam to wszystko, *piss off*. Poniżej pasa i na to, co poniżej pasa, „wszyscy” są wrażliwi – wrażliwość w stosunku do sfery fizjologicznej określają czynniki kulturowe – tym gorzej dla nich. W ten sposób do sztuki wkracza także nie tylko kopulacja, ale także mikcja i defekacja. Pewne *ready-made* (pisuar – to on był *ready-made*) zostało potraktowane w konwencji wystawowej, a mianowicie wyniesione na piedestał postumentu, naniesiona sygnatura, data (to było *made*). Jak sądzę, podobną wartość ma „deska klozetowa, zajmująca tak dużo miejsca w pierwszych częściach powieści” Joyce’a *Ulisses* (74) – w *Epg* wartość to istotna. W ten sposób miałoby się spełniać dzieło twórcze: stawiając opór „wobec dusznego klimatu” panujących norm kulturowych, wyrażając pogardę wobec „konwencji tworzących tradycję” (74).

Analogie: ekspozycja dzieła, w którym krzyż/krucyfiks jest utopiony w mo-czu, zawieszenie nagiej kobiety na krzyżu, happening przedrzeźniający rytuały i figury religijne – to może wstrząsnąć dewotkami i dewotami. Trafia w nie i trafia do ducha pogardy światłych i oświeconych elit, ten przecież przez nie przemawia. Jarmarczne prześmiewisko (ach, satyra i groteska!). Sztubackie wy-bryki, podobnie jak wąsy domalowane *La Joconde* na pocztówce, wraz *L.H.O.O.Q.*,

brzmącym wulgarnie jak *Elle a chaud au culod*. To dzieło należy do kamieni milowych w dziejach sztuki i świętości progresywnej historii sztuki. Poruszyło światem? Taki świat. „Artyści już dość interpretowali świat, pora go zmienić!” Taki świat. Ku czemu? To jednak rzecz interpretacji świata.

Dzieła uderzające, wstrząsające, wywrotowe, porażające... Cóż po nich, gdy nie ma dewotek, zagorzałych wyznawców czegokolwiek? Przejdą do historii, nie wyłączając historii politycznej i spolitycznionej historii literatury.

Okazjonalność dzieł. „Obsceniczne fragmenty opisujące wypróżnianie się czy różne czynności seksualne powstały jako przejaw oporu wobec dusznego klimatu religijnego, który [! – JK] z rozmachem powrócił także w Polsce XXI wieku” (74). Skoro tak, taki też poziom owych fragmentów. Obscena z eutrapelią nie chodzi w parze.

Uwaga, chłopcy siusiający do chrzcielnicy jednak biorą ją na poważnie, obojętne, czy w żartach, z humorem czy w buncie. Profanacja, podobnie jak profanum, stanowi pochodną sacrum, wobec niego się określa – w tej mierze *Ulisses* jest anty-dewotyzmem (to rodzaj zależności).

Spełnienie antydewotycznej funkcji miałoby stanowić o znaczeniu i wartości owych fragmentów *Ulisses*a? I to na przykład w stosunku do klimatu religijnego w Polsce XXI wieku? To wartość instrumentalna i okazjonalna. Każda funkcja spycha dzieło do roli środka, instrumentu właśnie.

Funkcja psychologiczna? Ironiczna hipoteza brzmi: w gruncie rzeczy owe fragmenty defekacyjno-seksualne odpowiadają instynktownej koprofili i czytelnika bądź autora (skrytej przed nim samym, nieuświadomionej. Być może kategorie brudu lub dewiacji należą do samej tej sytuacji – tyłać się w brudzie, to właśnie może radość przynosić? Natomiast czy postacią dyskryminacji jest odniesienie do tych sytuacji kategorii takich jak brud, dewiacja lub *disorder*? W obu wypadkach kategorie te mają charakter oceniający.

Okazjonalność wiąże się także z eksponowanym w *Epf* (74) fakcie, iż *Ulisses* stanowi „zbiór polemik z różnymi tradycjami literatury”, że „prozaik [...] pogardzał konwencjami” mieszczańskiej literatury. „Pogardzał” – to jego prywatna sprawa (jego ego?). Pogardzie odpowiadają wyzwiska i sprośności.

Sztuka okazjonalna – już poza okolicznościami, które nadawały jej sens – trwa jako kuriozum, osobliwość, świadectwo historii, pole badań bądź to jako pole popisu znawców i koneserów.

Spór ideowy, np. *chôra* a *nihilo*. „Klimat religijny w Polsce XXI wieku”... Jak rzecz faktycznie ma się w Polsce dzisiaj, komu „duszno”, jaka jest skala sekularyzacji – to pytanie do socjologów. Na poziomie idei, rzecz nie w statystykach. Dane statystyczne nie stanowią argumentu w krytyce np. etyki katolickiej.

Krytyka merytoryczna ma znaczenie dla etyki, pytania i sporu o moralność.

Na poziomie idei istotny wydaje się np. spór teorii *chôra* („prapierwotnego początku”) z teorią *creatio a nihilo*.

Pamięć o czasie powstania tych koncepcji ma znaczenie metodologiczne: kiedy i gdzie szukać tekstów podejmujących tę tematykę. Merytorycznie kwestia czasu, okoliczności powstania tych koncepcji, jest bez znaczenia. Rzecz nie w ustaleniu treści teorii *creatio* np. św. Tomasza, ale w sporze, w krytycznej dyskusji, tzn. w pytaniu o prawdę. Biografie autorów biorą ciekawskich.

Nauka postacią kultu? W *Epf* przywołane zostało nazwisko Karla Poppera: ten jakoby zwracał „uwagę, że zachowania naukowców wszelkich dziedzin są przede wszystkim kultywowaniem pewnej grupy odkryć (paradygmatów), co zbliża naukę do religii” (s. 76). Cóż, w Poppera filozofii nauki nie sposób znaleźć argumentów mających stanowić uzasadnienie dla tego twierdzenia – ani „przede wszystkim”, ani w ogóle. Wprost przeciwnie. Zachowania te są zdradą nauki. Niechajby wszyscy „naukowcy” kult taki uprawiali, to nie daje żadnego powodu do stwierdzenia o tym, co dla nauki jest istotne. Nauka nie jest faktem, nauka jest ideą. *Epf* raz po raz zatrzymuje się na poziomie tego, jak to bywa. Stwierdzenia faktualne nie są jednak ideatycznymi (ideatyczny – związany z pewną ideą).

Otóż. Popper wychodzi od założenia, iż nauka to postać poszukiwania prawdy. Możliwe jest ono dzięki „racjonalnej krytyce” oraz dyskusji. Popper podkreśla przy tym, że jedyną metodą naukową jest „metoda prób i błędów”, odkrycie błędu ma charakter twórczy, droga „prób i błędów” nieskończona – teorie są falsyfikowalne, acz nie weryfikowalne, mimo ich empirycznego charakteru. Krytycyzm nie jest tu kwestią czyjegoś zachowania – jest drogą pytań.

Dyskusja stanowi postać poszukiwania prawdy. Pisało o tym wielu. To Popper podkreśla, że dyskusja może być „owocną” tylko wówczas, gdy w dyskusję wchodzi reprezentanci teorii opartych na odmiennych *frameworks*, odmiennych schematach myśli, czyli nie podzielają tych samych podstawowych założeń. Tak, w tym procesie wyzwaniem jest zrozumienie języka i twierdzeń „drugiej strony”. Banał: gdy ktoś obstaje przy swoim, ten w dyskusji nie uczestniczy, w dyskusji nie chodzi o to, kto ma rację (ktoś zna prawdę?).

„Kultywowanie paradygmatu” (76) nie upodabnia nauki do religii, ale stanowi zaprzeczenie sensu nauki. Myśl o tym, co Popper nazywa *frameworks*, obecna jest w *Epf*. Czytam: „nie istnieją żadne oczywistości, bezpośredniość jest zawsze uprzedzona założeniami (81).

„Oczywistości to nie rzeczywiścieści” (Witkacy), ale istnieją. Oczywiście nie jest to, czego na oko nie widać („oczywiście” od „oczy” idzie). Tak, bezpośredniość

to odczucie bezpośredniości – w tym problem poznania prawdy. Obserwacje nie tylko mają za sobą uprzednie założenia, ale te założenia wpisane są w obserwacje, ich treść.

Nie sposób kwestionować wszystkich założeń myśli, działań lub dzieł – a tym trudniej, że wcześniej trzeba je odnaleźć, odsłonić, określić. Kto z użytkowników zegarka świadom jest teorii czasu, w oparciu o które został on zbudowany? Badacze korzystają z czasomierzy, bez uprawiania ich kultu.

Krytyka, zmiana, przeformułowanie, doformułowanie czy odrzucenie pewnych założeń jest istotnie twórcze (np. takich jak pojęcie czasu lub przestrzeni). Tak, żaden zbiór założeń, żaden schemat myślenia nie odpowiada i nie będzie odpowiadał „prawdzie”. Tak, ku niej zbliża dyskusja sięgająca założeń właśnie, dyskusja, w którą wchodzi stanowiska istotnie odmienne, to znaczy oparte na odmiennych założeniach, wzajem nieprzekładalnych. Nie dość powtarzać... Celem dyskusji nie jest wypracowanie wspólnego stanowiska, odnalezienie tego, co wspólne dyskutującym – dyskusja nie tworzy wspólnoty (temu służyć może dialog). Możliwa jest dyskusja jednostronna w tym sensie, że tylko jeden z rozmawiających przyjął ideę prawdy. W jej duchu będzie się wsłuchiwał w myśli zawarte np. w słowach drugiego i rozważał je. W istocie dyskusja toczy się w czyjejś „głowie”, między dwoma „zdaniami”, a nie ma znaczenia, kto je sformułował, komu są bliskie – myślenie możliwe jest w samotności, nie ma w nim „ja” – wolność w myśleniu na tym polega, to także wolność od własnego „Ja”. Samotności w myśleniu odpowiada pojęcie człowieka jako *in-dividuum*. *Dividuum*, gdyż rozdziela się w sobie.

„To, co osobiste, tym, co wspólne”. Czy taka teza w ogóle mogłaby zostać podjęta na gruncie psychologii i socjologii? Natomiast twierdzenie, że „to, co osobiste, jest tym samym, co wspólne, dawne i konieczne” (81) miałyby ratować dodanie „w gruncie rzeczy”? Słownikowe znaczenie słowa „osobiste” stoi w sprzeczności ze znaczeniem słowa „wspólne”. Nie zawiera tej sprzeczności zdanie „to, co dla nas osobiste, w gruncie rzeczy opiera się na czymś, co jest nam wszystkim wspólne, co dawne i konieczne” (81). Tak, nikt nie wyrwie się temu, co konieczne. Tak, bez tego, co dawne, nas nie byłoby. Pytanie, co w istocie jest nam wspólne (nie tylko dwoje nóg bądź głowa). Upatrywano tam obecności tego, co boskie, głosu Boga – w samej głębi głębi duszy byłoby źródło, które nią nie jest.

Teza „to, co osobiste, jest tym samym, co wspólne” wydaje się stać w sprzeczności z tezą o egotycznym charakterze „pracy filozoficznej” (twórczości). Egotyzm polega na ekspozycji własnego ego – nie przeczy duchowi wspólnoty w tym względzie, że ekspozycja ma publikę, to w oczach innych egotysta chce wypaść wielkim (konieczni są inni). Ba, egotysta może powołać do

życia wspólnotę – gdy stanie się idolem, więcej, mówiąc językiem współczesnym: stanie się „ikoną” (teologia ikony, ikonę ma za postać obecności Boga, tego, co boskie – kultowi ikony przeciwstawia idolatrię).

Banał: myśli podzielane, myśli wspólne, obecne w myślach, w duszach i podbrzuszach wszystkich ludzi, obecność pewnych stałych, rdzennych, osiowych elementów nie czyni ich prawdziwymi. W przeciwnym razie archetypy byłyby czymś boskim (prorokiem sekty „archetypistów” jest Jung).

Dzieło jako autobiografia? W *Epf* postawiona zostaje teza: „wszelka nauka, literatura i filozofia to w ważnej części skrywana autobiografia” (78). Teza nie do obalenia bez wyjaśnienia, jaka to autobiografia, jak się ona w dziele ukrywa i na czym polega jej waga – stanowi aspekt, tło czy rzeczywiście część. Jedno jest pewne *ex definitione* – owa część nie stanowi o istocie nauki, sztuki czy filozofii, a jeśli np. w tekście filozoficznym lub powieści taka się pojawia, to albo jest wtrąceniem, albo ma znaczenie jako myśl mówiąca o człowieku, o człowieku „w ogóle”, o *conditio humana*, o tym, co człowiecze... Malarstwo: oto portret, nic nie wiedząc, że malarz malował „siebie”, albo wiedząc – czy to portret męskości, zniewieściałości, zwierzęcości, artysty (czyli obraz bycia artystą, roli artysty), portret człowieka, jako pytanie o człowieka, człowieka w sobie, samotności czy indywidualności?

Autobiografia różni się od biografii jak stosunek do własnej biografii od niej, od czyjejś własnej biografii – własnej przeszłości (*post factum*). W autobiografii wpisane jest wyobrażenie swego życia. Autobiografia intelektualna nie jest biografią czyjegoś życia.

„Skrywana autobiografia”. Pisać, skrywając swe doświadczenia, swe życie, to pisać je od nowa, to rodzaj refleksji, rachunku sumienia, sentymentalizm, poza – choć co. Natomiast ukryta biografia, biografia własna, taką jest dla samego autora. Czytać dzieło w ten sposób można z pozycji analityka. Zadaniem jego byłoby z dzieła wydobyć wiedzę o autorze. Czy będzie wiedział o nim więcej niż on sam, podglądnie, odsłoni, wydobędzie go? „Go”, czyli pewien przypadek np. osobowości, czyli przypadek teorii, którą analityk się kieruje. Psychoanalityczne, freudowskie teorie nigdy nie spotkają się z kontrprzypadkiem – trudności w badaniu polegają na tym, że pojawiły się przeszkody, analityk nie dotarł jeszcze dostatecznie w głąb głębi człowieka, której istnienie i rolę teorie te głoszą.

Natomiast autobiografia intelektualna nie jest biografią czyjegoś życia. Biografia intelektualna, biografia artystyczna pojawia się w czymś życiu, lecz nim nie jest. Czas nie jest jej porządkiem.

Przypadek powieści Lema *Głos Pana* ma przemawiać za tezą, iż każde dzieło zawiera skrywaną autobiografię. Kontrteza: Jak to faktycznie bywa w związku

dzieła z jego autorem, z jego życiem, osobowością, jego postrzeganiem samego siebie i swego dzieła – to nie stanowi znaczenia i sensu dzieła ani nie stanowi o znaczeniu i sensie dzieła. Jeśli do tego sprowadzałyby się wartość dzieła, tym mniej znaczy ono jako dzieło sztuki czy filozofii (w jaki sposób mogłoby to się stać w wypadku teorii naukowej?).

„Lem opisywał, przywoływał swoje doświadczenia, to, co widział, to, co go doświadczyło – chociaż w swej powieści o tym nie wspomina. Pisałby wprost, w pierwszej osobie i o sobie – to nic w istocie nie zmienia. Czytanie *Głosu Pana* jako wyznania Lema może dyktować zainteresowanie życiem Lema, ale nie odda sprawiedliwości tej powieści, nie widząc problemu człowieka, który odkrywa i ku któremu kieruje się ona.

Podobnie fakt ten, że Lem należał do tej statystycznej mniejszości ludzi, którzy nie są wizualistami, którzy pisząc i czytając opowieści, nie mają przed oczyma obrazów, pozostaje jego przypadkiem, lecz nie wywraca Ingardena teorii dzieła literackiego, jakkolwiek to Lem postawił zarzut, iż mówi ona o wzrokowcach – rozszerzenie tej teorii o motoryków nie zmienia jej treści. „Tajemnicy” wydłużonych postaci z obrazów El Greca nie demaskuje ani nie odkrywa to, jakoby miał taką wadę wzroku.

Wyznania, listy, pamiętniki jako takie mają osobisty charakter. Merytoryczne znaczenie *Wyznań* św. Augustyna albo listów van Gogha na tym nie polega, nie są do nas adresowane. Listy te zawierają np. pewną teorię sztuki i pod tym kątem mogą być czytane. Brać ją na poważnie to odsunąć na bok na przykład pochodzenie autora. Uwaga „ten na wpół afrykański teolog” co miałyby wnosić do zrozumienia *Wyznań*? Co zostaje wyznane – to ma znaczenie np. filozoficzne lub teologiczne, a przy odsunięciu na bok tego, że jest wyznane, oraz od osoby wyznającego. Niechaj będą to zmyślane wyznania, dla ich treści nie ma to znaczenia. Czytam: „Rzadką formułę pisania we własnym imieniu przyjął św. Augustyn w swych «Wyznaniach», gdzie odnajdujemy opisy żarliwej miłości nie tylko do Boga, lecz wcześniej także do niewymienionej z imienia Berberyjki”. Ten powieściowy wątek także mógłby być fikcją, nie wyklucza to, że owa opowieść da np. wgląd w kwestię miłości. To nie czyni ją filozoficzną ani filozofią.

Jeśli czytać św. Augustyna *Wyznania*, to nie czytać wyznań Augustyna (Aureliusa Augustinusa z Hippony), nie czytać z różgą bądź zachwytem: a miałeś „ukochane” i dziecko z jedną z nich, nie czytać ich z myślą, że był „w pół afrykańskim teologiem” (79).

Norwid: „książki oddzielić od człeka”⁴.

Biograficzne plotki. Oto rewelacja: „Odkryto jedną z największych tajemnic sztuki”. Nagłówek tej treści pojawił się „wszędzie”, także w „najpoważniejszych”

4 Cyprian Kamil Norwid, *Pisarstwo*. „Od człeka” – mowa tu o autorze.

gazetach. Otóż... Ustalono, kim była kobieta pozująca do obrazu *Pochodzenie świata* Courbeta (intrygująca to tajemnica, ponieważ ona pozowała „explicite” i była kochanką tego malarza).

Inny, świeży przykład: odkrycie dokonane przez historyk sztuki Ulinkę Rublack, że Dürer *painted himself at centre of Renaissance altarpiece in revenge, research finds*. Jak widzimy, może to zajmować badaczy jego życiorysu. *Revenge*, gdyż nie otrzymał stosownej zapłaty. Czytam *Dürer inserted his figure just left of centre, and below Mary and Jesus, to ensure that any viewer's gaze was directed to just this spot*⁵. Spójrzmy inaczej – ulokował „siebie” poniżej Marii z Jezusem, stanowić to może osobiste wyznanie Dürera, swej własnej adoracji religijnej... To jego sprawa. Ta wersja może ucieszyć obrońców wiary, lecz znaczenia, wagi i sensu tego dzieła nie buduje. Ten epizod z życia Dürera przywołuję tutaj, skoro mowa o egotyzmie. Brak wiedzy o takich faktach z życia autorów nie stanowi braku w interpretacji ich dzieł.

Augustyn, Kant, czyli? Zauważmy, że rozważając pewne twierdzenie, zawarte w jakimś dziele Kanta, zbyt łatwo orzekamy, pisząc np. „Kant twierdzi, że...”. Także wówczas, gdy zdanie to jest osadzone w spójnym systemie myśli danego dzieła, nie oznacza to, że twierdzi tak Kant – osoba. Cóż znaczy „Platon”, „Kant” w myśli filozoficznej – to zbiór tekstów sygnowanych tym nazwiskiem. Wittgenstein wczesny, Wittgenstein późny – dwa systemy myśli.

Autor, który utożsamia się ze swoim dziełem, z myślą, że „nie cały umrze”, boryka się z faktem, że umiera się całym.

Formuła „teoria Einsteina” przypomina tylko, że on był jej autorem, teorie nie są czyjeś.

Człowiek na swoją miarę, na miarę swej biografii, swych intencji? Jeśli czytać *Wyznania* w rozważaniach poświęconych relacji dzieła z jego autorem, to to krytyczne znaczenie ma zdanie: „Ludzie osuwają się w to, co jest na ich miarę” (*Wyznania*, X, 23). Ten upadek pod niebiosa wynosi teza o istotności związku dzieła z jego autorem i pojmuje człowieka na podobieństwo rośliny lub kamienia (natura). Otóż twórczości zaprzeczeniem jest zasada Protagorasa – w akcie twórczym człowiek wykracza poza to, jakim jest, poza siebie. Problem człowieka w tym, że zastyga, gdy żyje na swoją miarę. Upada człowiek, który siebie czyni miarą... Mocniej: Człowiek nie jest na miarę człowieka. Tezy te stanowią konsekwencję przyjęcia idei prawdy, a tym samym ideału samokrytycyzmu.

Naturalizacja człowieka, sprowadzenie człowieka do poziomu natury (natury, nie „Natury”) obecne jest w słowach „Filozofii zajęło parę tysięcy lat, by źródła

5 <https://www.theguardian.com/artanddesign/2023/jul/11/>

[durer-painted-himself-at-centre-of-renaissance-altarpiece-in-revenge-research-finds](#).

moralności zaczęły być poszukiwane w samej konstrukcji człowieka czy w koniecznościach wspólnego bytowania z innymi” (73). Zdanie to sugeruje istnienie linii rozwojowej w dziejach filozofii, a co więcej, że wreszcie rozpoznana została lokacja źródła moralności. Jeśli tak rzeczywiście, to niechybnie nieomal wszystkie rozprawy z zakresy filozofii i etyki to albo śmieci, albo nawóz, albo bezwiedne szczeble... – patrząc od strony postępu.

Cel stworzenia „społeczeństwa łatwiej akceptującego sprzeczne cele jednostek” (81) odpowiadałby ideałowi „wspólnego bytowania” (73; tamże nie ma słów „cel”, „idea”). Otóż owa łatwość stoi w sprzeczności ze świadomą akceptacją – wyzwaniem jest bowiem pojęcie i zrozumienie obcych poglądów, systemów wartości, celów. Obojętność wobec innych akceptacją nie jest. Czy można akceptować „sprzeczne cele”? Przecież sprzeczne to znaczy albo-albo. Naiwne jest wyobrażenie raj na Ziemi, jakim byłoby życie bez tragizmu, jakim jest albo-albo między dwoma „wysokimi wartościami” (M. Scheler). Wiary w Boga, jakimi są judaizm i chrześcijaństwo, nie są tak naiwne, tak optymistyczne (mówią pierworodnej niedoskonałości wpisanej w świat – mówią o tym w wyobrażeniach Upadku oraz grzechu pierworodnego). Nie obiecują harmonii i jedności, taką miałyby być komunizm, takie wyobrażenie wpisane jest w chińskie słowo/pojęcie świata).

Czy określenie „sprzeczne cele jednostek” miałyby odnosić się do dwojga, kilku, wielu „jednostek”, czy do każdej z osobna, a posiadającej sprzeczne cele, to w obu wypadkach człowiek pojęty zostaje w sposób poniżający go – jego człowieczeństwo. Człowiek bowiem nie mieści się w kategoriach społecznych, a to z punktu widzenia społecznego/socjologicznego jest właśnie „jednostką” – ponad nim stoi społeczeństwo, on staje się jego elementem, jednostką. W porządku myśli człowiek jest indywidualnością, myślenie ma postać *in-dividuum*. Szukając prawdy, nie prowadzi monologu, jest sam w swoim wnętrzu – podzielony w sposób, na który wskazują słowa dia-log, poli-log. Tam znika jego ja – poszukiwanie prawdy ma postać dyskusji, wewnętrznej.

Boska natura? W jaki to sposób przyroda może pojęta, odczuta jako Natura, boska natura, Bóg? I to w głębszym sensie niż ten, z jakim ktoś mówi „jest bosko”, w jakim komuś „kojarzy się z czymś boskim”. W pociesznym rozumieniu z naturą kojarzone jest łono, piękne widoki, piękno świata. (Judaizm i chrześcijaństwo nie pojmują tak słodko natury: jakkolwiek świat to Stworzenie, to jednak w dziejach Tego wydarzyły się dwie katastrofy – dwa Upadki, Aniołów i Człowieka – już nic nie uczyni świata „boskim”).

Konieczność wspólnego bytowania, skąd się bierze? W naturze takiej nie ma. Teoria ewolucji, dzieje ewolucji przeczą istnieniu wspólnoty i takiej konieczności na poziomie gatunków roślin czy zwierząt. Przeciwnie, upraszczają:

dinozaurów już nie ma. Na poziomie jednostek, to warunkiem życia jest zabijanie, nie wyłączając „diety wegetariańskiej” – spełnienie przykazania „Nie zabijaj” jest niemożliwością. Kolejne pytanie: co konieczność czyni powinnością? Co konieczne, tego nie ma sposobu nie robić albo robić – dzieje się. Jeśli przez „konieczność” tamże rozumiana jest powinność, to...

Elementarz z aksjologii. Filozofia boryka się z problemem wskazanym w jednym z przypisów w *Traktacie o naturze ludzkiej* Hume’a, znanym jako *is-ought problem*. Problem w tym, że nie ma przejścia od tego, co jest, do tego, co być powinno, nie ma przejścia od zdań opisowych, teorii empirycznych do zdań normatywnych. Z kolei G.E. Moore w *Zasadach etyki* stawia problem możliwości etyki. Uwaga, etyki, która nie byłaby etyką przyjętą/panującą w jakimś środowisku, w jakiejś wspólnotie lub w jakimś okresie... (nazizm miał także swoją etykę, opiewał dobro, ze względu na które koniecznością było zabijanie – w „najlepszych” intencjach wydzielono „nie wartych życia”...).

Otóż Moore wprowadza pojęcie „błędu naturalistycznego”. Ujmę to tak: błąd polega na utożsamieniu dobra z jakimkolwiek stanem czy procesem naturalnym (określonym przez prawa natury). Kategoria dobra i kategoria wartości nie należą do natury. Inne sformułowanie tego błędu: żadna własność nie jest wartością, żadne cechy czegoś nie czynią go dobrym albo złym (rozszerzę: każdy układ sił, nie tylko fizycznych, ale i psychicznych czy społecznych, nie jest ani dobrym, ani złym, ani nijakim). To błąd jakoby naukowej teorii etyki A. Masłowa – kategorię potrzeby utożsamia z kategorią wartości.

Świątynia chóry. „Architekt Bernard Tschumi zaprojektował park, [...] kiedy doszło do wymiany poglądów między architektem parku a Derridą. Derrida wprowadził [...] do dyskusji na temat parku pojęcie *chôry*” (81). Park to mało powiedziane, zdjęcia w „sieci” ukazują kompleksową, złożoną strukturę – obejmuje architekturę krajobrazu, architekturę wielu budynków, pawilonów... W każdym razie to *Parc de la Villette* w Paryżu.

Pytanie o boga przewijające się przez tekst *Epf* tam znajduje coś „boskiego”. Te kilka akapitów *Epf*, kilkanaście też *Epf* na temat *Parc de la Villette* ma za sobą rozległe dociekania autora – Cezary Wąs poświęcił mu książkę⁶. Te kilkanaście intrygujących też „zaprasza” do jej lektury i do tego „parku”. Na ich podstawie już wiemy – to dzieło Tschumi stanowi dobry przykład pracy filozoficznej w luźnym znaczeniu.

W akapitach *Epf* poświęconych *Parc de La Villette* nie znajdziemy twierdzeń, które mówiłyby o egotyzmie autora projektu, o związku parku z jego

6 Cezary Wąs, *Cień Boga w ogrodzie filozofa. Parc de La Villette w Paryżu w kontekście filozofii chóry*, Wydawnictwo Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 2021.

autobiografią (nawet akcydentalnie nie są obecne; powiem: słusznie). Także w owych akapitach nie znajdziemy wypowiedzi C. Wąsa, które miałyby charakter egotystyczny. Wprost przeciwnie – czytam np.: „dzieło to [...] weszło w dialog z prowadzonymi wówczas dysputami filozoficznymi i wytworzyło własną wypowiedź związaną z Platońskim pojęciem *chôry*” (81). To głosy owego dialogu zostają przywołane przez C. Wąsa, nie ich autorzy. Różne głosy, uwagi...

Architektura a filozofia. Zdanie Wittgensteina „Praca architekta zasadniczo nie różni się od pracy filozofa, jest pracą nad samym sobą”, to po pierwsze mówi o pracy twórczej, po drugie mówi o pewnej zgodności charakteru procesu pracy, wysiłku autorów (nie inaczej jest w przypadku, dajmy na to, rolnika, stolarza), a po trzecie praca nad sobą oznacza, że projekt nie jest na miarę tego, jakim jest autor, że twórczość polega na przekroczeniu siebie. Dzieło czyni artystę architekta – Wittgenstein stał się architektem, gdy zaprojektował willę dla swej siostry Margarethe Stonborough-Wittgenstein. Dom ten znany jest dzisiaj jako *Haus Wittgenstein*. Zaprojektował go od klamki po bezpośrednie otoczenie (i odwrotnie), nadzorował także realizację. Niechaj nawet byłby wtedy egotystą, to nie ma znaczenia, „liczy się” rezultat.

Zmiana statusu, wyjście poza. Czytam: „Pod wpływem takich właśnie spostrzeżeń” – np. wyłonionych w toku dyskusji na temat *Parc de La Villette* – „inaczej postrzegamy wyjściowe dzieło, tak jakby jego status bytowy zmienił się pod wpływem interpretacji” (81; „status bytowy”?). Przedwczesnym jest wierzyć takim uwagom czy spostrzeżeniom – a skoro mogą być nieadekwatne, chybiłoby, to znaczy, że dzieło jakkolwiek byłoby otwarte, to jednak ma autonomiczny charakter, interpretacje są czegoś interpretacjami.

„Zmiana statusu bytowego”, „wyjściowe dzieło”... Te określenia przystają do efektu projekcji – efektu Denis’a (od malowidła do obrazu; od powierzchni pokrytej farbami do nagiej kobiety), efektu *ready-made* (od zastanego do wypatrzonego), efektu objawienia (od obrazu MB do MB)...

Natomiast moment „zmiany”, „wyjścia poza” należy do interpretacji dzieła – interpretacji szczególnego rodzaju, który określam mianem „interpretacja partycypacyjna”. Partycypację taką znajduję w C. Wąsa interpretacji *Parc de la Villette* (stąd mój osobisty motyw, aby czytać jego *Cień Boga w ogrodzie filozofa*).

Interpretacja partycypacyjna. Wyróżniam ten typ interpretacji, określam mianem partycypacyjnej ze względu na to, że polega na uczestnictwie. Ma charakter współtwórczy z danym dziełem, gdyż nie zatrzymuje się na nim, lecz z nim i poprzez nie poszukuje – odkrywając, podejmuje jego ruch myśli, spojrzeń i wyobrażeń. Pytając. Ku czemu ten się kieruje – czym, jakie, jak jest X, które się w nich jawi? Kieruje się ku pewnej rzeczywistości, pytając o jej rzeczywistość.

Interpretacja partycypacyjna opiera się na przyjęciu idei prawdy.

Jeden Bóg, wiele „nazw”? „Zgodnie z taką logiką”, jak to było w przypadku Spinozy, Hegla, Bergsona, Heideggera, czytam: „filozof na pewnym etapie swojej pracy pisze już tylko o Bogu, chociaż może go różnie nazywać” (80), „natura”, „duch absolutny”, „bycie”... Jasne, rzecz nie w polinomii, różnicach nazewnictwa, lecz wielości wyobrażeń boga (te nie muszą być sposobami pojmowania). Prób wyobrażenia Boga jest wiele, łączy je marzenie o Prawdziwym, lecz nie są wyobrażeniami Boga jednego. Bogowie wyobrażeń są bogami, a ponieważ nie są jednym, nie są Bogiem, są bożkami (toteż wyznawcy są dewotami?). Pośród nich występują wyobrażenia wzajem się wykluczające.

Gdy ktoś mówi o Bogu, to o jakim? Różnych bogów mają deizm, teizm czy panteizm, a także ateizmów wiele. Najłatwiej wierzyć w tego Boga, który stworzył świat i sobie poszedł. Teista i aateista znają ten świat, a tego Boga nikt („w sumie” najbliżej Niego byłoby *nihilo* albo *chôra*). Przy czym aateista, jak go nazywam, to w ogóle nawet nie pomyśli o czymś takim jak bóg, zaś ateista boryka się z nieobecnością jakiegoś boga. Teza „Jak Boga nie ma, to wszystko jest dozwolone” implicite mówi o tym bogu, który sieje strach, i o człowieku, który się boi kary boskiej.

Jakie pojęcie boga pozwala na to, aby mieścili się w nim owi wszyscy bogowie? Bóg w ogóle, bóg jakikolwiek, czyli? W pojęciu *deus absconditus* „Bóg ukryty”, ten nieznany, jednak „Bogiem” jest nazwany – bóg wszelkiego teizmu oraz ateizmu (w ateizmie jakieś pojęcie Boga, jakiś teizm tkwi – odrzucony).

Pytanie o prapoczątek. Otóż jakoby Lema „dręczy nierozwiązywalne pytanie o źródło przechwyconego sygnału, którym może być specyficznie rozumiany Bóg” (77). Nauka zajmuje się rozwiązywaniem takich pytań – bez domysłów o Bogu. Jeśli owo realne źródło miałoby być (zarazem) „specyficznie rozumianym Bogiem”, to przez kogoś, kto rozum utracił. Bóg, który miałby nadawać zaszyfrowane komunikaty? Objawienia jako komunikaty? Rzeczywiście, ktoś miał takie specyficzne rozumienia, kto scientyzował Boga, ten miałby w niego/ takiego wierzyć?

Bóg prapoczątku. Ogólne pojęcie boga, boga jakiegokolwiek, wydają się określać „banalne” pytania: „Skąd bierze się wszystko?”, „Skąd świat?” – to „skąd” wyprowadza poza świat. Pojęcie boga, boga „w ogóle” byłoby więc myślą (?) o Prapoczątku.

„Niepojęta Przedwieczna Świątość” pojmowana była wielorako. Z pewnością nie mógłby nią być Bóg chrześcijan, to znaczy Bóg Ojciec. Ojciec ma Syna – ten wkracza w dzieje świata. Natomiast Bóg Prapoczątku nie przynosi żadnej nadziei – Bóg deizmu jest tym bogiem, toteż nielogiczne jest przekonanie,

że „baśnie” o „Przedwiecznej Świątości” leczą lęki czy przynoszą nadzieję⁷.

Pocieszny charakter mają wyobrażenia, że wyobrażenie tego, co było na początku, stanowi wzorzec dla życia człowieka i ludzkości (to trop *chôry*, którym idzie C. Wąsa interpretacja *Parc de La Villette*). Równie pocieszny charakter ma wyobrażenie, że wzorcem człowieka jest Bóg, że jest Bogu podobny. Z takimi bogami robi się interesy. To zresztą naturalne oczekiwania na poziomie „dusznym”, na poziomie psychiki rzeczywiście. Lecz idea Boga należy do poziomu „ducha”. Pytanie o „Prapoczątek” nie jest tożsame z mechanizmem psychicznym bezsilności, który prowadzi do szukania ratunku, pomocy, w tym lęku wobec „umrę”.

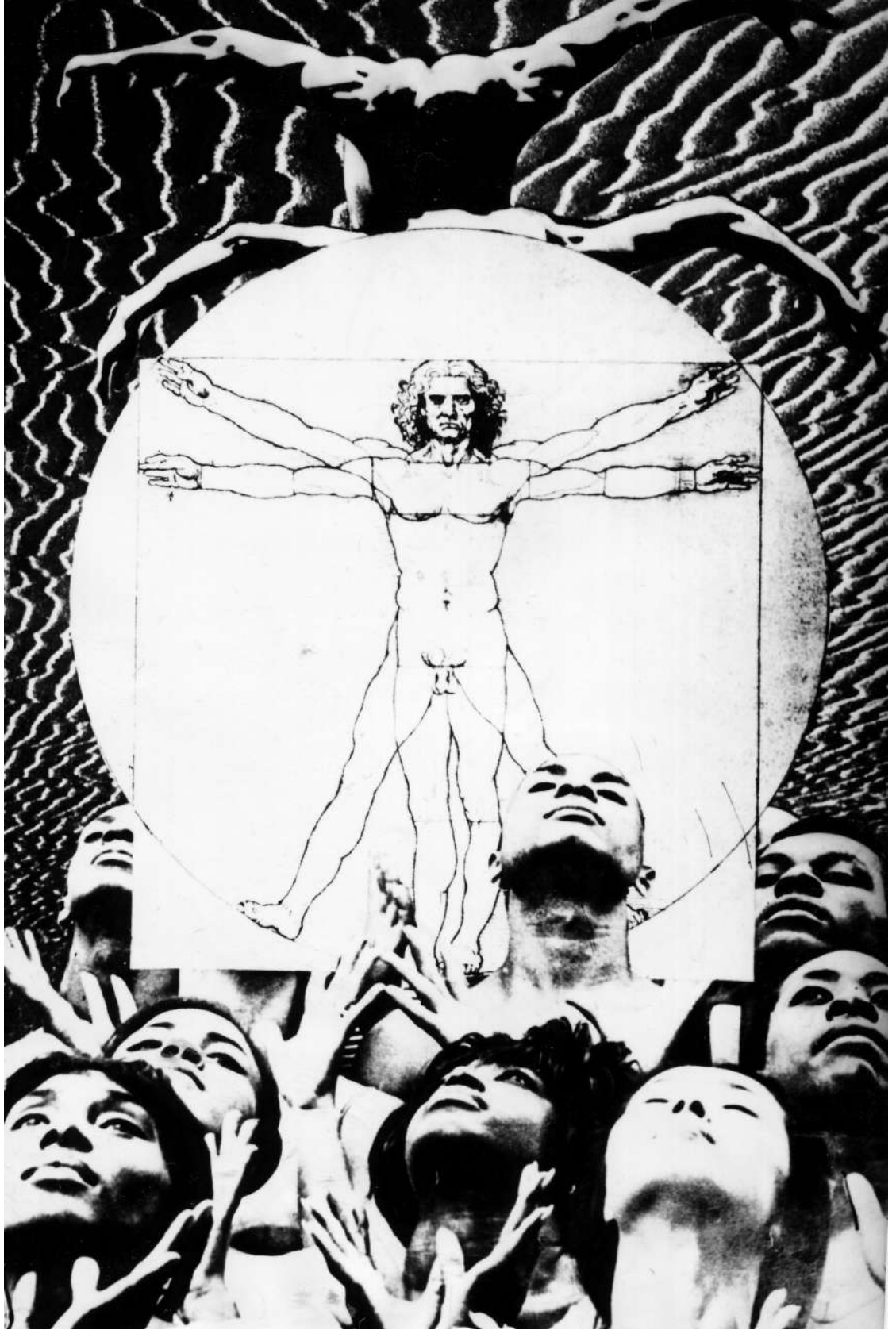
Tylko życie „jakby Boga nie było” odnosi się do Boga, który nie jest bogiem interesu?

Pojęcia *deus absconditus* oraz idololatrii wykluczają, aby człowiek mógł spotkać boga w tym, co widzi. Tak też ma się rzecz z rzeczywistością badaną przez nauki, w szczególności przyrodnicze. To ogólna bariera poznania, to, co widzę, to tylko to, co widzę. Słowo „niewidzialne” ma prozaiczne znaczenie, jakkolwiek tak mówią o Bogu. W czymkolwiek i gdziekolwiek można „spotkać boga” – przeżyć objawienie, oświecenie. Jak to przeżycia... Są stanami psychicznymi i nie pozostają bez konsekwencji. Dzięki temu jakkolwiek głębokie szczęście stanie się czymś udziałem, i ono jest stanem psychicznym – życia nie czyni sensownym.

Idea *chôry*. Czytam: „*chôra* – jako prapierwotny początek wszelkiego istnienia – może być kojarzona z boskością” (81). Słowo „jako” wyklucza, by *chôra* była „prapierwotnym początkiem wszelkiego istnienia” („jako” to pewien aspekt czegoś), nie wyklucza, że jest pojęta jako prapoczątek. „Skojarzenia”? „Choć co” kojarzyć się może komuś z czymś (psychiczne to ścieżki). Otóż treści takie posiada koncepcja *nihilo* z formuły *creatio ex nihilo* – lecz tamże *nihilo* wyprzedza wszelki początek. *Chôra* „zarazem będąca zbiorem nieuporządkowanych, pierwotnych sił” (81) jest kategorią naturalną, podobnie wyobrażenie dziejów wszechświata jako procesu porządkowania. Naukowe hipotezy także kierują się ku początkowi. Być może stymulowane religijnie. Religijny charakter ma wspomniane przekonanie, iż dla ludzkości stanowi ona wzorzec.

Rozumowanie takie, rekonstruuje: „park przejawia cechy *chôry*”, a mianowicie „pustkę i sprzeczności”, park „reprezentuje aktywną pustkę” – uwaga – „przywołującą nieznanne możliwości i zmieniającą społeczeństwo” (81). A ponieważ „*chôra* może być kojarzona z boskością, a wtedy park można uznać za swoistą świątynię praźródłowych sił, które są niezbędne zarówno dla odnawiania sztuki,

7 Polemizuję tutaj z ledwie kilkoma uwagami, które zawiera artykuł Jakuba Skrzypczaka „*Zombie, feminizm i rewolucja*”, „Format Literacki” nr 3 (s. 142). Tamże czyni on wyliczenie bogów utożsamianych z Prapoczątkiem.



Józef Liebersbach, *Collage* (czyt. s. 168)

jak i do wytwarzania nowych form życia zbiorowego" (81). „*Chôra* być kojarzona”... Obiektywnie stanowi odpowiednik *nihilo* z koncepcji *creatio ex nihilo* – lecz także *nihilo* wyprzedza wszelki początek, nie jest Prapoczątkiem. *Nihilo* nie jest też tym początkiem, którym było Słowo (J 1.1).

Słowo. Ἐν ἀρχῇ ἦν ὁ λόγος. „Na początku było Słowo” (Prolog Ewangelii wg św. Jana). Słowo – Duch Święty. (Logos, jeszcze jedna „nazwa” Boga?)

Jak sądzę, to nie idea *chôry*, ale idea *logos* byłaby bliska centralnemu twierdzeniu C. Wąsa o znaczeniu dyskusji oraz interpretacji dla bytu dzieła. To, jak „status bytowy [„wyjściowego dzieła”] zmienił się pod wpływem interpretacji, to właśnie jest głównym problem tej książki” (81), książki *Cień Boga*. Na czym polegałaby zbieżność? Słowo – Duch Święty. Duch Święty – Duch Prawdy.

Dyskusja i interpretacja – z istoty swej – możliwe są tylko „w duchu prawdy”, przez co rozumiem: pod warunkiem przyjęcia idei prawdy. To właśnie interpretacja partycypacyjna jest z jej ducha: nie zatrzymuje się na dziele, ale pyta o to, co przezeń, wraz z nim i dzięki niemu, pyta o rzeczywistość domniemaną za tym wszystkim, czemu świadczy umysł i zmysł – X. Hen, gdzieś w nieskończoności nieskończonego poszukiwania prawdy, hen domniemany początek początków – a więc principium, czyli zarazem początek i źródło, i pierwsza zasada.

Obalenie boga. W rozważaniach C. Wąsa *chôra* to jedno z wyobrażeń „tego, co boskie” (81) czy jedna z „nazw Boga” (80) – jednego Boga. Byłaby jego „nazwą” aktualną – czemu świadczyć miałyby *Parc de la Villette* w Paryżu. Pointa tekstu C. Wąsa mówi o znaczeniu przejścia od starej „nazwy” do nowej „nazwy”, mówi tymi słowami: „Metafizyka, dla swego właściwego funkcjonowania, musi zostać najpierw obalona w swej zastanej postaci, by odrodzić się z siłą niezbędną dla życia jednostek i społeczeństw w nowych słowach, chociaż pozostanie niezmienną w swych niewystawialnych i niepojmowalnych wartościach istotowych” (82). A przecież siła owa bierze się właśnie z dewocji – ta polega na tym, że „nazwę” bierze za Boga, czyli żyje bogiem jakimś, żarliwie. Siła owa potęguje się wraz z odnalezioną w ten sposób szczęśliwością – bogowie są funkcjonalni. Dyskutujący przypadek *Parc de la Vilette* w Paryżu próbują znaleźć boga, dla celu, który im przyświeca: stworzenia „społeczeństwa łatwiej akceptującego sprzeczne cele jednostek” (73).

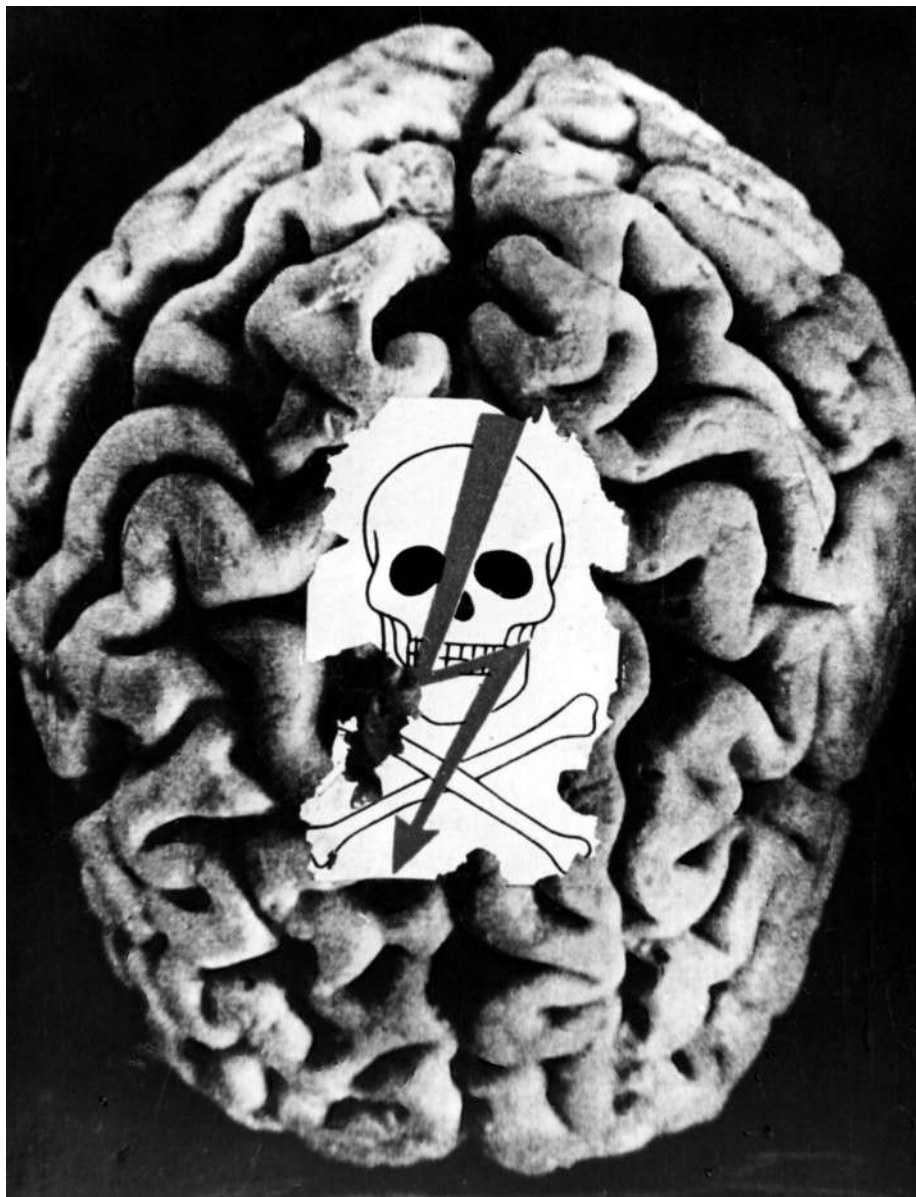
Nihilizm. Wezwanie „najpierw obalać” bliskie jest duchowi oświecenia, w konsekwencji awangardom artystycznym i politycznym – ich nihilizm polega na wierze w *nihilo* jako dobrym początku („spalić muzea”, „wypalić umysły”, „wymazać tablicę umysłu”, tabula rasa).

Realizm Nietzschego: „Aby obalić boga, trzeba stworzyć nowego” – tej drogi nie przechodzi się dzięki pogardzie dla dewocji. W każdym razie pozostanie

droga donikąd, czyli od cielca do cielca (niczym więcej nie jest bóg stworzony). Od starej dewocji do nowej. Od starego ateizmu do nowego (każdy ateizm jest a-teizmem, tzn. ma swego *theos*).

Bóg Jeden ostaje się tylko w *Etsi Deus non daretur* („Jak gdyby nie było Boga”)⁸.

8 Por. Janusz Krupiński, *Etsi Deus non daretur*, „Format Literacki” nr 4, 2022, s. 113-127.



Józef Liebersbach, *Collage*, lata 90. (czyt. s. 168)

Góry literatury

Tytuł zapewne mylący, ponieważ przypomina nazwę odbywającego się latem dolnośląskiego festiwalu, który z literaturą wszakże niewiele ma wspólnego; może z pominięciem naszej noblistki w tej dziedzinie, zajmującej się od lat organizacją imprezy. Dla mnie wszakże takie określenie oznacza to, co najlepsze w literaturze, jej absolutne szczyty, choć nie mógłbym odmówić racji i znaczeniu przenośnemu tego zestawienia słów, określającemu książki gór dotyczące, takie jak choćby pozycje autorstwa nieodżałowanego Michała Jagiełły (autora wielokrotnie wznawianego „Wołania w górach”), z którym całe lata się przyjaźniłem. Wróćmy jednak do znaczenia pierwszego.

W licznych zestawieniach wielkich dzieł literackich XX wieku, przynajmniej tych konstruowanych w naszej części świata, nigdy nie brakuje tajemniczej księgi, księgi, która musiała poczekać kilkadziesiąt lat, nim nie została wydana, ale – skoro sam jej autor stwierdził, że *rękopisy nie płoną* – prędzej czy później musiała objawić się światu niczym mityczny feniks. Chodzi o „Mistrza i Małgorzatę” Michaiła Bułhakowa. W Związku Radzieckim rzecz została opublikowana na przełomie lat 1966 i 1967, a pierwsze polskie tłumaczenie (w przekładzie Witolda Dąbrowskiego i Ireny Lewandowskiej), wydane w serii „Nike” wydawnictwa „Czytelnik”, ukazało się już w roku 1969. Dzisiaj, z perspektywy czasu, uwzględniając również okoliczności powstania tej powieści, mamy ją za niekwestionowane arcydzieło. Ale czy było tak wtedy, gdy pożółkłe dzisiaj strony książki pachniały jeszcze farbą drukarską? Z pewnością nie. Rzecz jasna, problem ma już poważne opracowania naukowe, z których najciekawsza jest chyba obszerna praca Karoliny Korcz¹. Mnie chodzi jednak o pewien konkretny przykład.

Niedawno wpadła mi w ręce recenzja² książki autorstwa Bohdana Czeszki, opublikowana po raz pierwszy w roku ukazania się przekładu, a więc w 1969. Mimo swojej lewicowej, a wręcz komunistycznej proveniencji, Czeszko był niezłym pisarzem, a jego „Pokolenie” – być może dzięki ekranizacji Andrzeja Wajdy – pozostanie w annałach polskiej powieści XX wieku. Co ciekawe, całe jego dorosłe

1 Karolina Korcz, „Mistrz i Małgorzata” Michaiła Bułhakowa w Polsce w latach 1969-1989, Wydawnictwo „Poznańskie Studia Polonistyczne”, Poznań 2016.

2 Bohdan Czeszko, *Jak szatan wydał bal*, „Nowe Książki” 1969, nr 16.

życie (miał 16 lat, gdy wybuchła wojna) zamknęło się w okresie Polski Ludowej (profilaktycznie na niebiański wikt, o ile taki u komunistów jest w planie, udał się w grudniu 1988 roku), nie miał więc szansy zweryfikować idei, w które z pełnym przekonaniem uwierzył.

Jego twórczość to, z grubsza biorąc, realizm (z pewnością niemający nic wspólnego z socrealizmem). Nie trzeba tego dowodzić, ponieważ autor sam, w licznych wywiadach, przyznaje, że *konstruowanie fikcji literackiej jest dla mnie nieosiągalne*. Czy takie credo może upoważniać do krytycznego traktowania dzieł innych literatów, dzieł skażonych piętnem fikcji czy wręcz fantastyki? Chyba tak, skoro nawet w omawianej recenzji przywołuje z niekłamany uznaniem Mannowskiego „Doktora Faustusa”. Z pełną powagą porównuje nawet pierwiastek fantastyczny obu powieści. Cóż, gdy zestawienie *praniemieckiego szatana z szatanem słowiańskim* wypada zdecydowanie niekorzystnie na rzecz tego drugiego. Może nieuważnie czytał Bułhakowa? Przecież już na początku powieści Woland brany jest przez obywateli Moskwy za Niemca...

A co można powiedzieć o autorze omawianej recenzji? *Jest mistrzem krótkiej noweli, w której opisane zjawisko nastrocza czytelnikowi jak najczęściej przypuszczeń i domysłów* – pisze o Czeszce niekwestionowany autorytet, na którego zdanie często sam się powołuje, Henryk Bereza. Recenzja jako taka nie jest nowelą, ale może nią być, a z pewnością jest krótką formą. Czy autor „Trenu” należycie przyłożył się do tekstu opublikowanego w „Nowych Książkach”?

Co zatem Bohdan Czeszko wyczytał na kartach „Mistrza i Małgorzaty”? *Przybywa szatan z kilkoma adiutantami, którzy nie bez jego aprobaty w okropny sposób narozrabiali, wpędzając wielką liczbę ludzi do kliniki psychiatrycznej i wywołując kilka pożarów oraz powodując masowy striptiz w centrum Moskwy* – tak w kilku słowach opisuje akcję powieści. Dodaje, że ów diabeł, jako diabeł słowiański, *działa w sposób absurdalny i prawdziwego szatana niegodny*. Uzasadniając swoje słowa, dodaje, że szatan *zwolnił od męki piekielnej Poncjusza Piłata i pewną panią, która udusiła swojego noworodka...* Po tej tyradzie dostaje się i samemu Bułhakowowi, który – jak wyjaśnia Czeszko – *był z wykształcenia lekarzem i stąd, myślę, jego (...) wiara w zbawienne działanie azylu, jakim (...) jest klinika psychiatryczna*.

Nie pomija również informacji, jak napisana jest powieść. *Opisy są cyzelowane precyzyjnie, a w partiach Piłata cyzelowane z lubością (...) dla popisu sztuki narratorskiej, ponieważ czytelnik musi być przekonany dowodnie, że udręczony Mistrz (w domyśle sam Bułhakow) był wielkim pisarzem* – wyjaśnia Czeszko. Wiemy, że autor „Pokolenia” nie lubił kunsztownych opisów, choć chyba nikt nie ma wątpliwości, że „Mistrz i Małgorzata”, mimo całej swojej plastyczności, nie

przekracza granic wylewności. Skąd zatem ta kąśliwość? Może chodzi jedynie o niepożądany zamęt w stolicy światowego komunizmu?

Na szczęście tekst kończy pointa, która właściwie nijak nie pasuje do całej recenzji, ponieważ jej autor – mimo wcześniejszych uwag – poleca książkę czytelnikom, a w szczególności **tym, którzy w głupocie swej bezdennej uważają skrobanie piórkem po papierze za czynność podpadającą jakoby pod pojęcie społecznego pasożytnictwa.**

Te mądre słowa warto zadedykować organizatorom przywołanego na początku tekstu festiwalu Góry Literatury, którzy – takie mam wrażenie – wszystkich literatów spoza niezmiennego od lat klucza uważają zapewne za pasożytów. Mniemam, że głównie dotyczy to pisarzy z obszaru, gdzie rozgrywa się festiwal, a zatem z Dolnego Śląska.

I tak zresztą nieliczni prześwietni literaccy goście dosłownie zaginęli w powodzi hucznych spotkań z modnymi publicystami, aktorami i politykami, a przede wszystkim zagłuszeni zostali przez muzykę w wykonaniu znanych celebrytów, wycierających podeszwy o estrady największych festiwali w Polsce. Aż dziw, że zabrakło Maryli Rodowicz.

Jaka szkoda, że na festiwalu nie pojawił się wyszydzony przez Bohdana Czeszkę Woland, który – swoimi sztuczkami – może doprowadziłby do opamiętania się organizatorów, którzy dosłownie utopili pierwiastek literacki w powodzi czegoś, co z literaturą nie ma nic wspólnego.

A do Lubiąży (gdzie notabene również odbywają się głośnie festiwale) miał całkiem niedaleko.

P.S. Na Festiwalu zorganizowano spotkanie z Jackiem Dehnelem. Autor przybył specjalnie z Berlina, by poopowiadać o swoim nowym tomie „Bruma”³, w którym kilka genialnych wierszy (a szczególnie ten wyjątkowy, otwierający tom, którego – jak napisałem w pierwszym tegorocznym numerze FL⁴ – nie da się zapomnieć) przemieszał z przeciętną, a nawet wręcz słabą poezją. Nie zaproszono zaś Krzysztofa Chary, by przedstawić jego wybitny tom „Porzeczeki”⁵, uznany przez środowisko poetyckie za wydarzenie dziesięciolecia. Może dlatego go pominięto, ponieważ nie rezyduje już w Paryżu (gdzie studiował w Conservatoire de Versailles) ani w Rzymie (gdzie rezydował w Villi Medici), lecz mieszka kilkadziesiąt kilometrów od Nowej Rudy. No, ale – jak widać – najciemniej jest pod latarnią.

3 Jacek Dehnel, *Bruma*, Wydawnictwo a5, Kraków 2022.

4 Kamil Bryka, 27,84, „Format Literacki” nr 7, Wrocław 2023.

5 Krzysztof Chara, *Porzeczeki*, Akwedukt, Wrocław 2022.



Ewa Andrzejewska, z cyklu *Karkonosze*,
za udostępnienie zdjęć dziękujemy Przemkowi Winczewskiemu (czyt. s. 192)

„Zapatrzeni” Andrzeja Saja

Malarstwo i poezja – dwa bieguny ontyczne wspólnoty sztuk próbujących określić swój byt względem otaczającej rzeczywistości. Brzmie to uczenie, ale chodzi o to, by słowa stały się żywym obrazem. Poetycką i subtelną osnową, która podkreślałaby duchowość i gnozę tkwiącą w malarzkiej kompozycji jak i kolorystycznej paletcie.

Przekonanie o wspólnocie tych dwóch sztuk: malarstwa i literatury, w tym wypadku poezji, zmieniało się z epoki na epokę. Jedno jest pewne – to częściej poeci próbowali pisać wiersze, inspirując się obrazami czy rzeźbami. Głębia poetyckiej metafory wnosi w przestrzeń obrazu dodatkową ideę, która wymaga właściwego odczytania, czyli erudycyjnej wiedzy.

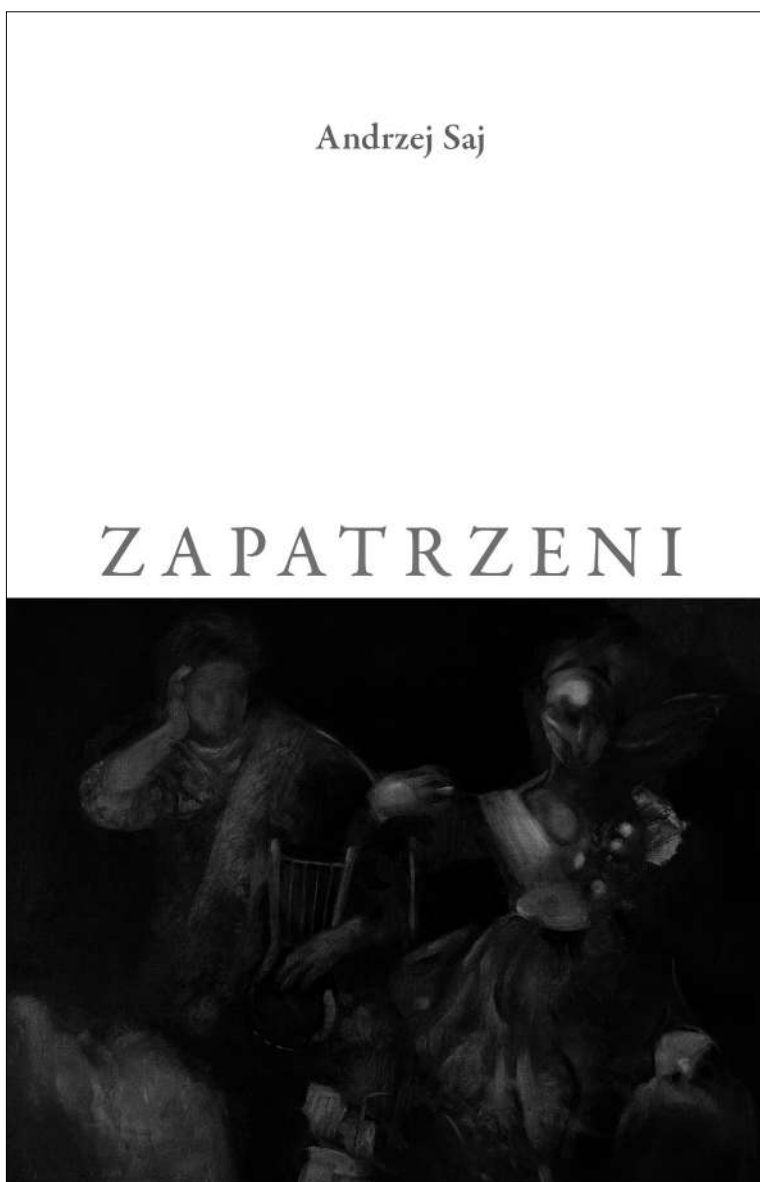
Andrzej Saj, poeta, liryk, krytyk sztuki, eseista w swoim tomie pt. „Zapatrzeni” próbuje stworzyć własny liryczny ikonostas złożony z wierszy poświęconych jego artystycznym mistrzom czy przewodnikom duchowym. Znajdziemy wśród nich całą paletę nazwisk. Począwszy od Telemacha Pilitsidisa, któremu swój tom poświęca, Maśluszczaka, Dudy-Gracza, Nowosielskiego, po próbę interpretacji „Wyjścia straży nocnej” Rembrandta, „Upadku Ikara” Bruegla, obrazu Vermeera, „Tratwy Meduzy” Géricaulta, van Gogha, „Krzyku” Muncha, Bacona, Rilkego, Balthusa, Duchampa, Iliasa Wrazasa, a skończywszy na fotografiach swojego syna Krzysztofa.

Wielobarwna paleta interpretacyjnych wątków, alegorii i „zapatrzeń”. Kalejdoskop lirycznych nastrojów i przenośni: „A jeśli świat – to Bóg” (***) , pyta Saj. I odpowiada: „Świat oglądany z pozycji kogoś, kto skryty za parawanem spogląda nań przez szpary źrenic” („Pozór”), bo „Jestże w twórczości taka niepoznana sfera, w którą są wsysane nasze dusze” („Słońce poezji”). I dalej: „W obrazach poetów słowa są ciche” („Porównanie”). „Po to samotne pieśni nagrywane są nocą, by czas się cofał jak morskie odpływy” („Piękno”). Patronem literackim tomu jest mit o Orfeuszu. Jemu poświęca poeta najwięcej uwagi w wierszach jak „Słońce poezji” czy tekście „Patronat”. Takie liryczne ekfrazy można by mnożyć, wygrywając je na pięciolinii poetyckiego diapazonu, jakim operuje Saj.

Ogromna praca włożona w osobisty dialog z wielkimi mistrzami i przewodnikami po sztuce świata, naszego świata. Tom uzupełniają rysunki,

portrety, reprodukcje, podkreślając dodatkowo rangę tego poetyckiego zamierzenia. Tom starannie opublikowała Miejska Biblioteka Publiczna im. Galla Anonima w Głogowie. Polecam miłośnikom tych dwóch rywalizujących ze sobą muz: poezji lirycznej Euterpe i pamięci Mneme, bowiem poeta nieustannie odwołuje się do niej, ceniąc w niej wzniosłość i podziw dla boskiego i ludzkiego geniuszu.

Andrzej Saj, *Zapatrzeni (ekfrazy i inne obrazy)*, Miejska Biblioteka Publiczna im. Galla Anonima, Głogów 2023.



Kronika

Ośrodek Monitorowania Zachowań Rasistowskich i Ksenofobicznych złożył w Sądzie Okręgowym w Warszawie pozew przeciwko prezydentowi Andrzejowi Dudzie. Pozew został przyjęty. To pierwszy taki przypadek w historii Polski, kiedy organizacja pozarządowa skutecznie pozwała urzędującego prezydenta. Chodzi o film Agnieszki Holland „**Zielona granica**”. Stał się on przedmiotem batalii medialnej. Prezydent skomentował go jeszcze przed premierą w programie „Gość Wiadomości” TVP Info: *Nie dziwię się, że funkcjonariusze Straży Granicznej, którzy zapoznali się z tym filmem, użyli tego hasła „Tylko świny siedzą w kinie”, znanego nam z czasów okupacji hitlerowskiej, kiedy w naszych kinach pokazywano propagandowe filmy hitlerowskie. Jest mi przykro z tego powodu, że taki film jest realizowany; który – jak słyszałem – w zdecydowany sposób oczernia polskich funkcjonariuszy. Czytałem wręcz taką opinię, że pokazuje ich jak niemal sadystów.*

Jak zawsze w takich przypadkach problemem jest brak edukacji, także w tej najskromniej żyjącej części społeczeństwa, bez znajomości prawa, przepisów i sposobów wsparcia ze świata. Z kolei liberalno-lewicowi intelektualiści, pełni empatii wobec imigrantów, nie znajdują takowej wobec lęków społecznych przed nagłym załamaniem struktur etniczno-kulturowych. Głośny obecnie pisarz Szczerpan Twardoch mówi z sarkazmem, że w „Zielonej granicy” *uchodźcy są rekwizytem, a właściwym tematem – szlachetność i odwaga wielkowiejskiej inteligentki* (gra ją Maja Ostaszewska). Krzysztof Skiba wygłosił szokujące słowa ze sceny: *Nie wiem, czy się cieszyć, czy smucić z powodu sukcesu filmu Holland w Wenecji. Emigranci to temat bardziej złożony niż tylko kwestia tzw. człowieczeństwa, współczucia itp. Na przykład już teraz mamy masę problemów z własnymi, swojskimi fanatykami religijnymi, a jak do tego dojdą setki tysięcy fanatyków muzułmańskich, to taki kocioł się robi, jak już teraz we Francji. No ale cóż, mainstreamowe artyści uwielbiają ubierać się w szatki sprawiedliwych, dobrych księżniczek kroczących po czerwonych dywanach wybiegów sławy... i chyba tylko to je obchodzi.*

Do prezydenckiego zarzutu uprawiania hitlerowskiej propagandy dołączył minister sprawiedliwości Ziobro.

Intryguje więc samo zjawisko choroby dwubiegunowej odbioru dzieła w ogóle

nieoglądanego/nieczytanego, poprzez ujawnianie emocji wobec spraw, jakie są w nim poruszane, oraz „autorytetów” obalanych np. na podstawie tego, że zarobkują, reklamując niemieckie auta (mercedesy), lub też fakt, że prezydent Duda sadził las i na jego przyjazd wycięto stare drzewa. Do tego dochodzą pikiety pod kinem – Holland wystąpiła o ochronę osobistą.

Pozew OMZ RiK nie jest wcale jedyny. W udzielonym „Wyborczej” wywiadzie reżyserka „Zielonej granicy” mówiła wprost o odpowiedzialności polityków za śmierć i cierpienie ludzi na granicy. *I stawiam pytanie: jak to możliwe, że takie decyzje polityczne można podejmować bezkarnie? To ważna sprawa, ale w moim filmie kwestia odpowiedzialności politycznej jest marginalna. Podobnie zresztą jak kwestia geopolityczna. Tak, cała sytuacja wynika z intrygi Putina i Łukaszenki. Ja jednak staram się patrzeć na nią szerzej, wychodząc poza nasz ciasny polski punkt widzenia. Skupiam się na człowieku. Na tych ludziach, którzy cierpią przez decyzje Putina i Łukaszenki, ale też Kaczyńskiego i Kamińskiego oraz innych decydentów, którzy ponoszą polityczną odpowiedzialność za śmierć, tortury, łamanie prawa i dehumanizującą propagandę.*

W tym kulturowym mięsie kęszonym żywcem zabrał też głos prezes Stowarzyszenia Filmowców Polskich Jacek Bromski: *Szanowny Panie Ministrze Ziobro, zdecydowałem się napisać do Pana w sprawie Pańskiej wypowiedzi na temat Agnieszki Holland nie ze względów politycznych ani artystycznych, bo podobnie jak Pan jeszcze nie widziałem filmu Agnieszki, ale dlatego, że głęboko wstrząsnął mną skandaliczny ton tej wypowiedzi, przekraczający wszelkie granice przyzwoitości i niespotykany w cywilizowanym świecie. Chciałbym Pana uświadomić, że żaden amerykański polityk nie ośmielił się zareagować krytycznie na wybitnie antyamerykański film Olivera Stone’a „Pluton”, że nawet Putin nie wypowiadał się w tym tonie na temat bardzo krytycznych wobec Rosjan filmów Zwiagincewa, prawdopodobnie dlatego, że nie chcieli się ośmieszyć (...).*

W dniu publikacji tego listu Holland poprzez swoich pełnomocników wydała oświadczenie: *Post Zbigniewa Ziobry w sposób oczywisty narusza moje dobra osobiste i stanowi zniesławienie. Nie mogę pozostać obojętna na tak otwarty i brutalny atak ze strony osoby piastującej w Polsce bardzo ważną konstytucyjną funkcję ministra sprawiedliwości i jednocześnie prokuratora generalnego.* Przypomniła, że jest córką łączniczki powstania warszawskiego Ireny Rybczyńskiej i wnuczką ofiar Holocaustu. Reżyserka poinformowała, że jeśli w ciągu siedmiu dni minister nie wycofa wpisu i nie przeprosi, skieruje sprawę do sądu.

Piszemy o tym, bo w świecie Dysku ilość kliknięć przechodzi w jakość, w „waw!”. Internauci z kolei posługują się wyrażeniami w rodzaju: „hy-pe’owałem ten film”, „moje live’y były cytowane”.

Granicy w dosłownym i symbolicznym sensie dotyka też inny film, „Mur” Kasi Smutniak, polsko-włoskiej modelki i aktorki. *Jestem pilotem, odkąd skończyłam 16 lat, w lataniu najfajniejszy jest inny punkt widzenia, o wiele szerszy. I w „Murze” chciałam to pokazać, spojrzeć z góry na teren przy granicy polsko-białoruskiej.* W przekonaniu, że budowanie murów nie jest stawianiem pytania, a tylko narzucaniem opacznej odpowiedzi.

W październiku w Warszawie odbył się festiwal filmowy „Ukraina!”. Ponad 60 filmów oraz blisko 20 wydarzeń towarzyszących, w tym wystawy fotografii, debaty, spektakle, warsztaty i koncert. Ważnym elementem były tam kameralne historie o kobietach, zrealizowane przez kobiety. Jeden z nich to mówiący o wyzwaniach emigracji „Waleria wychodzi za mąż”, cieszący się świetnym przyjęciem w Izraelu dramat izraelsko-ukraiński: opowiada historię dwóch ukraińskich sióstr, które decydują się na małżeństwo z Izraelczykami poznanymi on-line.

Jon Fosse laureatem literackiej Nagrody Nobla 2023. Niedawno ukazały się w Polsce pierwsze dwa tomy monumentalnej „Septologii” tego norweskiego pisarza, który przez lata był uznawany za jednego z najważniejszych współczesnych dramaturgów i od lat typowany do tej nagrody.

Dopiero w ostatniej dekadzie zaczął pisać więcej prozy. To jest proza bardzo rytmiczna. Dość metafizyczna. Jest to taki pisarz, dla którego trudno znaleźć punkty odniesienia we współczesnej literaturze – przyznaje polski wydawca noblisty, Krzysztof Cieślík z Art Rage. – Fosse zdecydowanie nie jest pisarzem pop i powiedzmy też sobie szczerze – nie jest też autorem dla każdego czytelnika. To nie jest książka, do której można sobie sięść na 10 minut i po tym się oderwać. Wydaliśmy dotąd pierwszy tom jego „Septologii”, planujemy wydać pięć. Cieszymy się, bo nie jesteśmy wydawnictwem nadmiernie dochodowym. Mamy teraz szansę wreszcie wyjść na prostą i wydawać dużo więcej wspaniałej literatury.

Nagrodę NIKE przyznano Zycie Rudzkiej za powieść „Ten się śmieje, kto ma zęby”. Zaintrygowało nas, że przewodnicząca jury Inga Iwasiów laudowała zwłaszcza fakt, że Rudzka *odpowiada na pytania zadawane realności*. Dotąd myśleliśmy, że formułowanie pytań stanowi o myśleniu. Taki więc główny atut literatury wysokiej tłumaczy problemy jej w Polsce dwubiegunowości.

Zmarł prof. Michał Głowiński. Był literaturoznawcą i językoznawcą, autorem przenikliwej analizy języka Marca 1968, który na gruncie polskim najpełniej opisał zjawisko nowomowy w systemie komunistycznym. Był też teoretykiem

i historykiem literatury, krytykiem, eseistą, prozaikiem. W PRL współtworzył Towarzystwo Kursów Naukowych. Członek m.in. Stowarzyszenia Pisarzy Polskich.

Urodził się w 1934 r. w Warszawie. Był jednym z żydowskich dzieci uratowanych z warszawskiego getta przez zespół Ireny Sendlerowej. Został umieszczony w zakładzie opiekuńczym Zgromadzenia Sióstr Służebniczek Najświętszej Marii Panny w Turkowicach. Jedną z jego ostatnich wypowiedzi: *Przyglądam się wielu rzeczom z dystansem, ale to taki dystans pełen przygnębienia. Nie przypuszczałem, że w Polsce ukształtuje się tak silny front nacjonalistyczny.*

Janusz Kamiński, dwukrotnie już zdobywca Oscarów za zdjęcia do filmów („Lista Schindlera” i „West Side Story” Spielberga), otrzymał tej jesieni kolejną prestiżową amerykańską nagrodę, Distinguished Filmmaker w ramach Emerging Cinematographer Awards, organizowaną przez Międzynarodową Gildię Operatorów Filmowych.

We wrześniu Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie pokazało „Pocałunek nie zabija”, wystawę performansów Ani Nowak, mieszkającej w Berlinie artystki, performerki i choreografki, oraz zaproszonych przez nią gości. Nowak zajmuje się cielesnością i seksualnością, chorobą i przyjemnością. Tytuł wystawy nawiązuje do hasła z 1989 roku: „Pocałunek nie zabija. Zabijają chciwość i obojętność”, które rozklejone na miejskich autobusach przez społeczno-artystyczny kolektyw Gran Fury zwracało uwagę na zobojętnienie wobec ofiar epidemii AIDS. W roku 1992 Andrzej Urbanowicz wystawił tam duży obraz pt. „Z AIDS szybciej”, też dołączając plakaty.

Ceramiczna mozaika Jerzego Nowosielskiego „Stygmatyzacja św. Franciszka” przez kilkadziesiąt lat była uznawana za zniszczoną. W roku 2022 odnalazła się na strychu kościoła w podwarszawskim Izabelinie i jest już w rejestrze zabytków. Rok obecny jest Rokiem Jerzego Nowosielskiego. Z tej okazji odbywały się też koncerty muzyki prawosławnej, wystawy, a w łódzkim teatrze im. Jaracza spektakl „Finisaż” o sakralnym wstrząsie artysty.

Wirtualny van Gogh! Dzięki nowym technologiom w Poznaniu można było wejść w świat „Słoneczników”, zanurzać się w gwiazdnych wirach „Drogi z cyprysami”! Swoją drogą, związek pomiędzy modernistycznym upodobaniem do tworzenia społecznych mitów, również odnoszonych do sławnych twórców oraz do ich dzieł, a w szczególności van Gogha właśnie, aż po „szaleństwo na punkcie ich twórczości”, z narodzinami ideologii faszystowskiej, był badany już

od dawna. Prawie pół wieku temu urodzony w Rydze profesor historii na Uniwersytecie w Toronto, Modris Eksteins, napisał pracę „Święto wiosny. Wielka wojna i narodziny nowego wieku”. W 2012 roku ukazał się jego „Taniec w słońcu” o kulcie celebry i kryzysie autentyczności, właśnie w kontekście procesu o fałszerstwo obrazów van Gogha, paradoksalnie – dla niemieckich narodowych socjalistów, będącego kwintesencją niemieckości, co podkreślił polski wydawca Zys i S-ka.

A zatem, van Gogh wirtualny a van Gogh autentyczny, czyli *nature*?

Białoruskie ministerstwo kultury pochwaliło się, że dostało od Łukaszenki niezwyklej prezent – rzeźbę słynnego włoskiego surrealisty Giorgio de Chirico „Wielcy archeolodzy”. Rzeźba trafiła do Narodowego Muzeum Sztuki Republiki Białorusi w Mińsku.

Duński artysta Jens Haaning został poproszony o odtworzenie dwóch swoich prac, „Średni duński dochód roczny” i „Średni austriacki dochód roczny”, przedstawiających banknoty przymocowane do płótna. Od muzeum sztuki nowoczesnej Kunsten w Aalborgu otrzymał na ten cel 534 tys. koron duńskich (ok. 330 000 zł). Tymczasem oddał placówce dwie puste ramy. Według Haaninga stanowiły one część dzieła pt. „Bierz pieniądze i uciekaj!”. *Praca polegała na tym, że wziąłem ich pieniądze*, wyjaśniał. Sąd w Kopenhadze nakazał mu zwrot większości sumy, z zachowaniem dla siebie 40 tys. jako honorarium.



Międzynarodowy Festiwal Teatrów Ulicznych w Jeleniej Górze, fot. Robert Kutkowski (czyt. s. 168)



Międzynarodowy Festiwal Teatrów Ulicznych w Jeleniej Górze, fot. Robert Kutkowski (czyt. s. 168)



